

# Zabawa w Boga

Cook Robin



calibre 0.9.43



# **Zabawa w Boga**

**Przekład Zygmunt Jagielski**

# **Barbarze i Puchatkowi**

*- moim nierozłącznym towarzyszom*

*i najbardziej wdzięcznym słuchaczom*

# Prolog

Bruce Wilkinson ocknął się nagle z twardego snu. Natychmiast oprzytomniał, czując, że przenika go niewytłumaczalny lęk. Tak budził się z koszmarnych snów w dzieciństwie. Nie miał pojęcia, co go właściwie obudziło - musiał to być hałas lub jakiś ruch w pobliżu. Zastanawiał się, czy go ktoś nie dotknął podczas snu. Leżał cicho z szeroko otwartymi oczami, wstrzymując oddech i nasłuchując. Początkowo nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje, ale powoli pamięć mu wracała: był w Boston Memorial, w sali 1832. Niemal jednocześnie zorientował się, że wokół panuje głęboka ciemność: musiało być koło północy. Cały szpital był pogrążony w ciszy.

Od przeszło tygodnia leżał na oddziale chirurgii serca. Przed około miesiącem przebywał w tym samym szpitalu kilka pięter niżej po nieoczekiwanym ataku serca, zdążył się więc już przyzwyczać do szpitalnych odgłosów: skrzypienia wózków przewożących chorych, odległych sygnałów nadjeżdżających ambulansów, a nawet do wywoływania nazwisk lekarzy.

Wszystkie te dźwięki nie tylko mu nie przeszkadzały, ale wręcz budziły w nim poczucie bezpieczeństwa. Na ich podstawie Bruce nie spoglądając na zegarek mógł niemal dokładnie określić godzinę. Wszystkie świadczyły, że w razie potrzeby w każdej chwili może otrzymać pomoc lekarską.

Bruce nigdy nie przejmował się zbytnio stanem swojego zdrowia, mimo iż cierpiał na stwardnienie rozsiane. Występujące pięć lat temu kłopoty ze wzrokiem ustąpiły. Bruce usiłował więc zapomnieć o diagnozach lekarskich, gdyż szpitale i doktorzy budzili w nim lęk. Niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, ten atak serca, konieczność pobytu w szpitalu i poddania się operacji. Chociaż lekarze zapewniali go, że obecna choroba serca nie ma nic wspólnego ze stwardnieniem rozsianym, nie poprawiło to jego pogarszającego się

samopoczucia.

Teraz, gdy obudził się w środku nocy i nie słyszał zwykłych szpitalnych odgłosów, szpital wydał mu się ponurym i posępnym miejscem, budzącym raczej lęk niż nadzieję.

Otoczająca go cisza była przerażająco głucha, nie wiedział skąd się wzięła ogarniająca go nagle niemoc. Czuł, że zaczyna go paraliżować narastający strach.

W miarę jak upływały sekundy coraz bardziej zasychało mu w ustach, dokładnie tak samo jak przed pięcioma dniami po lekach stosowanych przed operacją. Leżał wciąż spokojnie i cicho jak czujne zwierzę, trzymając wszystkie zmysły w napięciu. Zachowywał się dokładnie tak samo jak przed laty, gdy jako mały chłopiec, obudziwszy się ze złego snu, nie poruszał się w nadziei, że straszny potwór go nie zauważy. Leżąc na plecach niewiele mógł widzieć wokół siebie, gdyż jedynym źródłem światła była mała lampka stojąca za łóżkiem, tuż przy samej podłodze. Przed sobą widział ścianę, na której rysował się olbrzymi cień zainstalowanego przy łóżku statywu z butlą i rurką. Miał wrażenie, że butelka lekko się chwieje.

Usiłując stłumić narastający lęk, Bruce zaczął się zastanawiać nad swoim samopoczuciem. Przede wszystkim niepokoiła go odpowiedź na zasadnicze pytanie: czy nie dzieje się z nim w tej chwili coś złego? Od dnia, w którym przeżył atak serca, stracił zaufanie do swojego zdrowia; obawiał się, by to nagłe przebudzenie nie zapowiadało jakiejś nowej katastrofy. Może szwy na sercu puściły? Bardzo się tego obawiał tuż po operacji. Czy może bypass się rozluźnił?

Bruce czuł pulsowanie tętna w skroniach, ale oprócz pocenia się rąk i nieprzyjemnego uczucia w głowie, które przypisywał gorączce, nie miał powodu do niepokoju. W każdym razie nie czuł żadnego bólu, a przede wszystkim piekącego ucisku w piersi zapowiadającego zwykle atak serca.

Spróbował nabrać większą ilość powietrza do płuc: nic, najmniejszego bólu, chociaż włożył w to nieco wysiłku.

Nagle w wypełniającym salę półmroku rozległ się chrapliwy, flegmisty kaszel. Bruce poczuł nowy przyływ lęku, ale szybko uświadomił sobie, że te odgłosy wydaje Hauptman, leżący na sąsiednim łóżku pacjent. Z pewnością to on obudził go swoim kaszlem. Na tę myśl Bruce poczuł coś w rodzaju ulgi. Starzec zakaszłał raz jeszcze, a następnie hałaśliwie przewrócił się na drugi bok.

Bruce zaczął się zastanawiać, czy nie warto wezwać do Hauptmana pielęgniarki; miałby wtedy okazję do porozmawiania. Rzecz jednak w tym, że sąsiad często kaszłał, jego kaszel nie stanowił więc wystarczającego pretekstu do takiego alarmu.

Nieprzyjemne gorączkowe uczucie zaczęło w nim narastać. Chory poczuł, jakby jego pierś zaląa gorąca fala. Wrócił lęk, że dzieje się z nim coś niepokojącego.

Spróbował spojrzeć w kierunku bocznej metalowej poręczy łóżka, do której przymocowany był przycisk dzwonka. Głowę miał zbyt ciężką, żeby ją odwrócić, ale kątem oka dostrzegł, że ze stojącej obok butli z kroplówką w miarowym, lecz dziwnie przyspieszonym tempie spływają krople wypełniającej butlę cieczy. Załamujące się w kroplach światło sprawiało wrażenie iskrzenia, które lada chwila spowoduje wybuch.

To było bardzo dziwne! Bruce wiedział, że kroplówka znajdowała się obok niego tylko na wszelki wypadek, a podłączona powinna spływać jak najwolniej. Bruce dobrze to pamiętał i przed wyłączeniem lampki do czytania za każdym razem to sprawdzał.

Spróbował odnaleźć palcami przycisk dzwonka. Nie był jednak w stanie się poruszyć.

Wyglądało tak, jakby prawe ramię odmawiało mu posłuszeństwa. Spróbował ponownie - również bez rezultatu.

Strach zamienił się w panikę. Teraz był już pewien, że dzieje się z nim coś

przerażającego. W najlepszym szpitalu nie miał w tej chwili opieki lekarskiej. Musi wezwać pomoc. Musi natychmiast wezwać pomoc. To jest jak koszmarne sen, z którego nie może się obudzić.

Unosząc głowę nad poduszką, Bruce zawołał pielęgniarkę. Był zdumiony, że jego głos zabrzmiał tak cicho. Chciał krzyknąć, a z jego ust wydobywał się zaledwie szept.

Jednocześnie głowa zaciężała mu straszliwie, jakby była z ołowiu; musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją utrzymać nad poduszką. Z wysiłku zaczął drżeć, a razem z nim zaczęło się trząść całe łóżko.

Ulegając panice, opadł z powrotem na poduszkę z ledwo dosłyszalnym westchnieniem. Ponownie spróbował zawołać, ale zamiast swojego głosu i słów usłyszał tylko nieartykułowany syk. Cokolwiek się z nim działo - szło ku gorszemu. Zdawało mu się, że niewidoczny ołowiany pled rozciąga się nad nim i przyciska do łóżka. Jego oddech stawał się coraz bardziej nierówny i przyspieszony. Z najwyższym przerażeniem Bruce uprzytomnił sobie, że się dusi.

Jakimś cudem udało mu się jeszcze pozbierać myśli i przypomnieć o dzwonku alarmowym. Ogromnym wysiłkiem woli uniósł ramię nad łóżkiem i nieskoordynowanym ruchem przesunął po pierś. Miał wrażenie, jakby był zanurzony w gęstej, lepkiej mazi. Palce kurczowo przylgnęły do poręczy w poszukiwaniu przycisku, lecz go nie znalazły. Resztkami sił przewrócił się na lewy bok, przyciskając mimowolnie twarz do zimnej, stalowej poręczy, która zasłaniała mu prawe oko. Brakowało mu już siły, żeby poruszyć się i zmienić pozycję. Lewym okiem dojrzał leżący na podłodze przycisk dzwonka.

Panika i desperacja ogarnęły Bruce'a, gdy poczuł, że ucisk na jego ciało wciąż narasta i wyklucza możliwość wykonania choćby najmniejszego ruchu. Przerażony pomyślał, że coś niedobrego musiało się stać z jego sercem: prawdopodobnie wszystkie założone podczas



operacji szwy popękały. Uczucie duszności rosło, a jednocześnie wszystko w nim niemal krzyczało o dodatkowy dopływ powietrza. Był całkowicie sparaliżowany, zdolny jedynie do wydawania z siebie przytłumionych jęków. Mimo to był zupełnie przytomny, zachował całkowitą jasność umysłu. Wiedział, że umiera. W uszach mu dzwoniło, czuł zawrót głowy i nudności. Potem zapadła ciemność...

Pamela Breckenridge już od roku pracowała w szpitalu codziennie od jedenastej wieczorem do siódmej. Nie była to popularna zmiana, ale ona ją doceniała, gdyż dawała sporo swobody. Latem chodziła w ciągu dnia na plażę, a sypiała wieczorami. Wysypiała się dobrze - całe siedem godzin. Lubiła swoje nocne dyżury. W nocy było w szpitalu mniej nerwowości i bieganiny. W ciągu dnia czuła się często jak policjant na skrzyżowaniu ulic - rozrywana na lewo i na prawo. Poza tym Pamela wołała nie dzielić się z nikim odpowiedzialnością.

Tej nocy szła pustym, ciemnym korytarzem, wsłuchana w ciszę szpitala: do jej uszu dochodził jedynie syk respiratora i odgłosy własnych kroków. Była za kwadrans czwarta. W tej chwili na oddziale nie było żadnego lekarza i Pamela dyżurowała tylko z dwiema innymi doświadczonymi pielęgniarkami. W trójkę radziły sobie nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Przechodząc obok pokoju 1832, Pamela zatrzymała się. Tej nocy przekazująca jej służbę pielęgniarka wspomniała, że kroplówka u Bruce'a kończy się, tak, że należałoby pomyśleć o zawieszeniu nad ranem nowej butli z D5W. Zawahała się. Była to czynność, której wykonanie mogła prawdopodobnie zlecić komu innemu, ale ponieważ znalazła się już pod drzwiami tego pokoju i nie przestrzegając pedantycznie tego, co do jej obowiązków należy, a co nie, postanowiła zrobić to sama.

W słabo oświetlonej sali przywitał ją kaszel chorego, budząc w niej samej podobny odruch. Bezszelestnie przesunęła się wzdłuż łóżka Wilkinsona. Płynu w butli było mało; przestraszyła się, widząc jak szybko spływa drenem w stronę żył chorego. Zapasowa butla z

D5W stała na nocnej szafce. Po dokonaniu wymiany pojemników i uregulowaniu kroplówki nagle nastąpiła na coś twardego. Spojrzała w dół: na podłodze leżał przycisk dzwonka. Gdy pochyliła się, by go podnieść, spostrzegła, że twarz chorego była dziwnie przyciśnięta do żelaznej poręczy łóżka. Coś tutaj było nie w porządku. Delikatnie przewróciła Bruce'a na plecy. Pacjent opadł bezwładnie na poduszkę jak szmaciana lalka, a jego prawa ręka przyjęła nienaturalną pozycję. Pamela pochyliła się: chory nie oddychał!

Sprawnymi, wytrenowanymi ruchami nacisnęła przycisk dzwonka, zapaliła stojącą na nocnej szafce lampkę i odsunęła łóżko od ściany. W ostrym, fluoryzującym świetle dostrzegła, iż skóra Bruce'a miała ciemnoniebieską barwę, jak chińska porcelana, co wskazywało, że chory musiał się czymś udławić i udusić. Pochyliwszy się nad nim, lewą ręką przesunęła do tyłu jego podbródek, prawą ścisnęła mu nozdrza i mocno dmuchnęła w otwarte usta. Ze zdziwieniem stwierdziła, że pierś Bruce'a uniosła się: najwidoczniej to, czym się udławił, nie stanowiło już przeszkody dla powietrza.

Ujęła Bruce'a za przegub dłoni - nie wyczuła pulsu. Usunęła poduszkę spod głowy, uderzyła go ręką w pierś, a następnie pochyliła się ponownie, by wdmuchnąć mu do ust powietrze.

Niemal jednocześnie wpadły do sali dwie pielęgniarki - Trudy i Rose. Pamela rzuciła w ich kierunku tylko jedno słowo: „kod” i obie natychmiast przystąpiły do akcji. Rose szybko nadała wiadomość o wypadku przez głośnik, Trudy zaś przyniosła mocną deskę o wymiarach 60 na 90 centymetrów, podkładaną zwykle pod pacjenta podczas masażu serca. Po ułożeniu Bruce'a na desce Rose zaczęła rytmicznie uciskać jego mostek. Po każdym czterech naciśnięciach Pamela wdmuchiwała powietrze do płuc pacjenta, gdy tymczasem Trudy pobiegła po wózek reanimacyjny i aparat EKG.

Kiedy po czterech minutach zjawił się Jerry Donovan, dyżurny lekarz, pielęgniarki

zdążyły już podłączyć aparaturę EKG. Niestety, aparat kreślił prostą, poziomą linię, choć jednocześnie twarz Bruce'a nieco się zaróżowiła.

Stwierdziwszy, że EKG nie wykazuje pracy serca, Jerry - podobnie jak wcześniej Pamela - uderzył ręką w pierś pacjenta. Żadnej reakcji. Sprawdził źrenice: były rozszerzone i nieruchome. Za Jerrym nadszedł młody lekarz, Peter Matheson, a potem w drzwiach stanął jakiś rozczochrany student.

- Kiedy to się stało? - zapytał Jerry.

- Znalazłam go w takim stanie pięć minut temu - odpowiedziała Pamela. - Nie mam pojęcia, kiedy mógł stracić przytomność. Nie było go na głównym monitorze. Skórę miał szarosiłą.

Jerry skinął głową w milczeniu. Przez ułamek sekundy zastanawiał się nad celowością dalszych prób reanimacji. Podejrzewał, że u pacjenta nastąpiła już śmierć mózgu. Nie mógł się jednak zdecydować, co robić dalej - łatwiej było kontynuować to, co już zaczął.

- Potrzebuję dwóch ampułek dwuwęglanu i trochę epinefryny - burknął, biorąc z wózka rurkę dotchawiczą. Cofnąwszy się nieco, polecił Pameli, by wznowiła sztuczne oddychanie: po chwili wprowadził do krtani Bruce'a laryngoskop, a następnie założył rurkę dotchawiczą i umocował worek ambu, który połączył ze znajdującym się w ścianie źródłem tlenu. Postawiwszy stetoskop na piersi pacjenta, polecił przytrzymać go Peterowi, a sam zaczął rytmicznie naciskać worek ambu. Pierś Bruce'a natychmiast zaczęła się unosić.

- Wiemy przynajmniej, że drogi oddechowe są w porządku - powiedział jakby do siebie Jerry.

Tymczasem podano dwuwęglan i epinefrynę.

- Zaaplikujemy mu chlorek wapnia - zdecydował Jerry, obserwując jak twarz Bruce'a powoli przybiera normalny, różowawy kolor.

- Ile? - spytała Trudy, podchodząc do wózka reanimacyjnego.

- Pięć centymetrów sześciennych dziesięcioprocentowego roztworu - odpowiedział

Jerry, a zwracając się do Pameli zapytał: - Na co chorował?

- Jest po bypassie - odparła. Rozpostarła kartę choroby, którą podała jej Rose. -

Czwarty dzień po operacji. Stan dobry.

- Był dobry - poprawił ją Jerry. Skóra Bruce'a przybrała już niemal całkowicie normalną barwę, tylko źrenice były wciąż rozszerzone, a aparat EKG rysował wciąż tę samą prostą linię.

- Być może nastąpił ciężki, rozległy zawał serca, a może był to zator płucny. Pani powiedziała, że był siny, kiedy go znalazła?

- Szarosiny - potwierdziła Pamela.

Jerry potrząsnął głową. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie powinna wystąpić sinica. Jego rozważania przerwało przybycie chirurga stażysty. Był rozespany.

Jerry zwięźle przedstawił mu sytuację. W uniesionych do góry rękach trzymał strzykawkę, próbując uwolnić znajdującą się w niej epinefrynę od pęcherzyków powietrza; następnie wbił igłę prostopadle w pierś Bruce'a. Rozległo się ciche „plaśnięcie”, gdy igła przebiła ścięgna. Poza tym słychać było tylko szum aparatu EKG, wypluwającego z siebie taśmę z płaskim wykresem. Kiedy Jerry cofnął tłoczek strzykawki, jej wnętrze wypełniła krew. Przekonany, że trafił w serce, wstrzyknął zawartość do środka, po czym polecił Peterowi wznowienie masażu serca, a Rosie - sztucznego oddychania.

Nadal nie było żadnych oznak pracy serca. Wydobywając ze sterylnego opakowania dożylną elektrodę rozrusznika, Jerry zastanawiał się nad celowością swoich wysiłków. Intuicyjnie czuł, że sprawy zaszły już za daleko. Musiał jednak skończyć to, co zaczął.

Zwilżonym betadyną tamponem zaczął nacierać lewą stronę szyi Bruce'a, przygotowując

zabieg.

- Czy chciałbyś może, żebym ja to zrobił? - zapytał chirurg, odzywając się po raz pierwszy.

- Sądzę, że opanowaliśmy już sytuację - stwierdził Jerry, nadrabiając miną.

Pamela pomogła mu założyć chirurgiczne rękawice. Mieli właśnie przystąpić do układania pacjenta do zabiegu, gdy w drzwiach pojawiła się jakaś postać, odsuwając na bok stojącego w nich studenta. Uwagę Jerry'ego zwróciło zachowanie się chirurga stażysty: był tak bardzo uniżony wobec przybyłego, że brakowało tylko, by mu zasalutował. Nawet pielęgniarki wyprostowały się mimo woli, gdy do sali wkroczył Thomas Kingsley, najlepszy chirurg w szpitalu. Był ubrany jak do zabiegu - najwidoczniej przyszedł prosto z sali operacyjnej. Podeszedł do łóżka i łagodnie położył dłoń na ramieniu Bruce'a, jakby w ten sposób chciał postawić diagnozę.

- Co robisz? - zapytał Jerry'ego.

- Zakładam elektrodę do komory serca - odpowiedział Jerry, nieco speszony obecnością przybyłego. Etatowi lekarze zwykle nie pojawiali się w takich sytuacjach, szczególnie w środku nocy.

- Wygląda na to, że serce całkowicie przestało pracować - stwierdził doktor Kingsley, przebiegając wzrokiem kawałek taśmy EKG. Nie zachodzi tu przypadek bloku przedsionkowo-komorowego. Rozrusznik chyba już nic nie pomoże. Tracisz po prostu czas. - Namacał puls w pachwinie Bruce'a. Spoglądając na Petera, który był już spocony od wysiłku, rzekł: - Puls jest silny. Dobrze pracowałeś, a zwracając się do Pameli, rzucił krótko: - Numer szósty, proszę.

Pamela podała mu natychmiast rękawice; założył je i poprosił o skalpel.

- Czy mógłbyś zdjąć z niego opatrunki? - zwrócił się do Petera. Od Pameli zażądał

przygotowania wysterylizowanych cienkich nożyc.

Peter spojrzał na Jerry'ego, jakby oczekując od niego zgody, a następnie przerwał masaż i ściągnął płataninę plastrów i gazy z mostka pacjenta. Kingsley podszedł do łóżka i palcem wypróbował ostrze skalpela. Nie namyślając się, zanurzył nóż w gojącej się ranie i pociągnął go z góry na dół. Słysząc było jak ostrze przecina niebieskie, przezroczyste szwy nylonowe. Peter odsunął się na bok, żeby nie przeszkadzać.

- Nożyce - rzucił doktor Kingsley; wszyscy przyglądali mu się bacznie jak urzeczeni.

Na ich oczach działo się coś, o czym dotąd mogli czytać, ale nigdy oglądać.

Doktor Kingsley porozcinał szwy łączące mostek. Następnie wcisnął obie ręce w otwartą ranę i siłą rozepchnął obie połowy mostka. Rozległ się ostry chrzęst. Jerry Donovan usiłował zajrzeć w głąb rany, ale doktor Kingsley zasłaniał mu widok. W każdym bądź razie nie widać było krwawienia.

Doktor Kingsley wsunął teraz rękę w głąb otwartej piersi i ujął w place koniuszek serca, po czym zaczął go rytmicznie uciskać, skinieniem głowy dając znak Rosie, kiedy powinna napępniać płuca pacjenta powietrzem. - Proszę teraz sprawdzić puls - polecił. - Peter posłusznie to wykonał. - Jest silny - oświadczył.

- Potrzebuję trochę epinefryny - powiedział Kingsley. - Sprawa nie przedstawia się dobrze. Sądzę, że pacjent już od pewnego czasu nie żyje.

Jerry Donovan zastanawiał się, czy nie powiedzieć, że odniósł takie samo wrażenie, ale się powstrzymał.

- Proszę sprowadzić aparat EEG - polecił doktor Kingsley, kontynuując masaż serca. -

Zobaczmy, czy mózg jeszcze pracuje.

Trudy podeszła do telefonu.

Doktor Kingsley wstrzyknął pacjentowi epinefrynę, co jednak nie miało żadnego

wpływu na wskazania aparatu EKG. - Czyj to pacjent? - zapytał.

- Doktora Ballantine'a - odpowiedziała Pamela.

Pochyliwszy się nad Bruce'em, doktor Kingsley zajrzał w głąb otwartej rany. Jerry domyślił się, że dokonuje w tej chwili fachowej oceny pracy chirurga. Było powszechnie wiadome, że gdyby za poziom techniki chirurgicznej wystawiano oceny, to stosunek ocen przyznanych Kingsley'owi i Ballantine'owi wynosiłby w przybliżeniu 10:3, mimo że ten ostatni był szefem oddziału kardiochirurgii.

Nagle Kingsley uniósł głowę i spojrzał na studenta medycyny tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy. - Na jakiej podstawie mógłbyś stwierdzić, że to nie jest przypadek bloku przedsionkowo-komorowego, doktorze?

Z twarzy studenta odpłynęła cała krew. - Nie wiem - wydusił wreszcie z trudem.

- Na swój sposób odważna odpowiedź - roześmiał się Kingsley. - Chciałbym mieć taką odwagę przyznać się, że czegoś nie wiem, gdybym był studentem medycyny. -

Zwracając się do Jerry'ego, zapytał: - Jak zachowują się źrenice naszego pacjenta?

Jerry uniósł powieki Bruce'a: - Są nieruchome - odparł.

- Proszę przynieść jeszcze jedną ampułkę dwuwęglanu - polecił Kingsley. - Zakładam, że zaaplikowałeś mu wapno?

Jerry skinął głową.

Przez kilka następnych minut, wśród panującej ciszy, Kingsley masował serce pacjenta, dopóki nie pojawił się technik z nienajnowszej generacji encefalografem.

- Chcę tylko wiedzieć, czy w mózgu pacjenta zachodzą jeszcze jakiegokolwiek procesy bioelektryczne - Kingsley rzucił mimochodem.

Technik umocował przy czaszce elektrody i włączył aparat. Wykres fal mózgowych był równie płaski jak EKG.

- Niestety, nic już nie poradzimy - stwierdził Kingsley i wyjął dłoń z wnętrza piersi Bruce'a. Ściągnął rękawiczki. - Trzeba wezwać doktora Ballantine'a. Dziękuję wam za pomoc. - Zdecydowanym krokiem wyszedł z sali.

- Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego - zauważył Peter, patrząc na otwartą ranę chirurga piersi Bruce'a.

- Ja też - przytaknął Jerry. - Przyglądałem się temu z zapartym tchem. - Obaj podeszli do łóżka i zajrzeli w głąb rany.

Jerry najpierw odkaszlnął, a następnie powiedział w zamyśleniu:

- Nie wiem, co bardziej jest potrzebne, by tak odważnie krajać człowieka: fachowość, czy też wielka pewność siebie.

- Chyba jedno i drugie - rzekła Pamela, wyjmując z gniazdka wtyczkę od EKG. - A teraz proponowałabym, żeby panowie nam nie przeszkadzali: musimy wszystko doprowadzić do porządku. Aha, omal nie zapomniałam powiedzieć, że gdy znalazłam pana Wilkinsona w tym stanie, kropłówka była odkręcona niemal do oporu; a przecież powinna sączyć się powoli. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli o tym powiem.

- Dziękuję - odparł Jerry. Myślami był gdzie indziej. Zafascynowany, wsunął palec w głąb rany i dotknął serca.

- Mówią, że Kingsley to kawał aroganckiego sukinsyna. Mimo to wiem na pewno, że gdyby zaszła potrzeba, to właśnie jego prosiłbym o zrobienie mi bypassu.

- Amen - powiedziała Pamela odsuwając go od łóżka, by rozpocząć rutynowe czynności.

## **Rozdział I**

- Tej nocy przyjęliśmy tylko jednego pacjenta - oświadczyła Cassandra Kingsley,



zaglądając do swojego notatnika. Czowała się nieswojo pod ostrzałem spojrzeń całego zespołu oddziału psychiatrii Clarkson 2, zebranego na porannej odprawie. - Nazywa się William Bentworth i jest pułkownikiem - ciągnęła. - Ma czterdzieści osiem lat, rasy białej, trzy razy rozwiedziony. Został przywieziony przez pogotowie po awanturze w gejowskim barze. Był bardzo pijany i zachowywał się grubiańsko wobec personelu.

- Mój Boże! - roześmiał się Jacob Levine, główny lekarz zakładowy. Zdjął z nosa okrągłe, w drucianej oprawie okulary i przetarł oczy. - Podczas pierwszego dyżuru trafiłaś na Bentwortha!

- Przeszłaś przez prawdziwą próbę ogniową! - stwierdziła Roxane Jefferson, czarna niegłupia pielęgniarka. - Nie można powiedzieć, że psychiatria w Boston Memorial jest nudnym zajęciem!

- Nie był dla mnie idealnym pacjentem - ze słabym uśmiechem przyznała Cassi.

Uwagi Jacoba i Roxany dodały jej pewności siebie - poczuła, że gdyby nawet strzeliła jakieś głupstwo, wybaczone by jej: Bentworth najwyraźniej był dobrze znany na Clarkson 2.

Cassi pracowała na oddziale psychiatrii zaledwie od kilku dni. Listopad nie jest typowym miesiącem dla rozpoczynania pracy, ale aż do lipca Cassi nie mogła zdecydować się na przejście z patologii na psychiatrię i uczyniła to dopiero wtedy, gdy jeden ze stażystów na psychiatrii złożył wymówienie. Początkowo była nawet bardzo szczęśliwa z podjęcia tej decyzji - obecnie jednak nie była już tego taka pewna. Rozpoczynanie pracy bez kolegów równie niedoświadczonych okazało się trudniejsze, niż się tego spodziewała. Pozostali pierwszoroczni stażyści mieli nad nią pięćmiesięczną przewagę.

- Założę się, że Bentworth umyślnie dobierał słów, kiedy się pojawiłaś - stwierdziła Joan Widiker, lekarka z trzyletnim już stażem, prowadząca obecnie psychiatryczne konsultacje, która odnosiła się z sympatią do Cassi.

- Wolałabym ich nie powtarzać - przyznała Cassi, skinąwszy głową w kierunku Joan. -

Nie chciał rozmawiać ze mną o niczym innym, oprócz tego, co myśli o psychiatrii i psychiatrach. Poprosił mnie o papierosa, a gdy mu go dałam w nadziei, że się nieco odpręży, zaczął przyciskać rozżarzony koniuszek do swoich rąk. Zanim zdążyłam wezwać pomoc, poparzył się w sześciu miejscach.

- Swoją drogą uroczy z niego facet - stwierdził Jacob. - Trzeba było mnie wezwać, Cassi. O której go przywieziono?

- O wpół do trzeciej rano - odpowiedziała.

- Cofam to, co powiedziałem - oświadczył Jacob. - Postąpiłaś prawidłowo.

Wszyscy, nie wyłączając Cassi, głośno się roześmieli. W tym zespole nie czuło się atmosfery nieprzyjaznej konkurencji, która jej towarzyszyła podczas studiów. Nie słyszała także żadnych uwag ani złośliwych komentarzy pod adresem jej związku małżeńskiego z Thomasem Kingsley'em, których uprzednio musiała tyle wysłuchać. Była wdzięczna wszystkim za takie przyjęcie.

- W każdym bądź razie - powiedziała, usiłując zebrać myśli - pan Bentworth, czy może raczej „pułkownik armii amerykańskiej pan Bentworth”, został przywieziony do naszego szpitala w stanie ostrego zatrucia alkoholem i głębokiej depresji, przerywanej gwałtownymi wybuchami gniewu, ze skłonnością do samouszkodzania się i czterokilogramową historią swoich poprzednich hospitalizacji.

Wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem.

- Jedno, co można zaliczyć pułkownikowi Bentworthowi na plus - zauważył Jacob - to fakt, że pomógł nam wyszkolić całe pokolenie psychiatrów.

- Domyśliłam się, z jakim pacjentem mam do czynienia - stwierdziła Cassi. -

Usiłowałam zapoznać się z głównymi fragmentami historii choroby: jest długa jak „Wojna i

pokój”. Przynajmniej powstrzymała mnie przed popełnieniem głupstwa - próbą postawienia diagnozy. Zakwalifikowałam go po prostu jako jednostkę o zachwianej równowadze psychicznej z okresowymi, krótkimi atakami psychozy.

Szczegółowe badania jego kondycji fizycznej wykazały liczne stłuczenia na twarzy i małe rozcięcie górnej wargi. Reszta była w normie, z wyjątkiem świeżych oparzeń. Na nadgarstkach obu rąk widoczne były blizny. Pacjent odmówił współpracy podczas badania neurologicznego, ale doskonale orientował się w szczegółach dotyczących miejsca, czasu i osób, z którymi miał do czynienia. Ponieważ symptomy były te same, co wielokrotnie poprzednio, i amytal sodium okazał się przedtem tak skutecznym środkiem, również i tym razem otrzymał pół grama tego specyfiku do kroplówki.

Ledwie Cassi skończyła mówić, jej nazwisko zapaliło się na szpitalnej tablicy informacyjnej. Instynktownie podniosła się z miejsca i chciała wyjść, ale Joan powstrzymała ją uspokajając, że dyżurna pielęgniarka odpowie za nią na wezwanie.

- Czy sądzisz, że pułkownik Bentworth mógłby popełnić samobójstwo? - zapytał Jacob.

- Chyba nie - odrzekła Cassi, uprzytomniając sobie nagle, że wkracza na niepewny grunt. Zdawała sobie doskonale sprawę, że w tej materii jej opinia była warta tyle co pierwszego  
lepszego  
przechodnia.

-  
Przypalanie się papierosem było raczej  
samookaleczeniem się niż próbą samodestrukcji.

Jacob odsunął z czoła skręcony kosmyk włosów i spojrzał na Roxane, która pracowała

tutaj najdłużej ze wszystkich i była uznawana za autorytet w zespole. Jej obecność była jedną z przyczyn, dla których Cassi lubiła obecną pracę. Nie było tutaj takiej sztywnej hierarchii, jaka istniała we wszystkich szpitalach - z lekarzami na wierzchołku i personelem pomocniczym w dole; każdy - bez względu na stanowisko - był równoprawnym członkiem zespołu i cieszył się należnym mu szacunkiem.

- Sądzę, że różnica między jednym a drugim istnieje - oświadczyła Roxane - ale skłonna jestem tym razem ją zignorować. Powinniśmy być ostrożni. On jest niezwykle skomplikowanym osobnikiem.

- To jest raczej bardzo enigmatyczne określenie - stwierdził Jacob. - Facet szybko awansował w wojsku, zwłaszcza podczas służby w Wietnamie. Został nawet kilkakrotnie odznaczony. Kiedy jednak zajrzałem do jego wojskowych akt personalnych, okazało się, że niewspółmiernie duża liczba jego podkomendnych zginęła. Jego psychiczne problemy ujawniły się dopiero teraz, gdy awansował na pułkownika. Wygląda na to, że to ten awans go zniszczył.

- Wracając do sprawy ewentualnego samobójstwa - odezwała się ponownie Roxane - uważam, że wszystko zależy od stopnia depresji.

- To nie jest typowa depresja - zauważyła Cassi, świadoma tego, że znowu wchodzi na śliski teren. - Powiedział, że czuje się raczej pusty niż smutny. Przez chwilę znajdował się w stanie depresji, by nagle wybuchnąć gniewem i miotać wyzwiska. Był niekonsekwentny.

- Tu cię mamy - powiedział Jacob. Było to jedno z jego ulubionych powiedzonek, którego znaczenie zależało od tego, które słowo w nim zaakcentował. W tym przypadku wyrażało zadowolenie. - Gdybym miał wybrać jedno słowo, żeby określić człowieka z pogranicza, słowo „niekonsekwencja” wydałoby mi się najbardziej odpowiednie.

Ta pochwała sprawiła Cassi wyraźną przyjemność; w ciągu całego tygodnia niewiele

miała okazji do podreperowania swojego samopoczucia.

- A więc - odezwał się znowu Jacob - co zamierzasz uczynić z pułkownikiem Bentworthem?

Dobry nastrój Cassi prysnął w mgnieniu oka. Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie, które przerwał jeden ze stażystów:

- Sądzę, że mogłabyś spróbować oduczyć go palenia...

Cały zespół wybuchnął śmiechem, a powstałe napięcie rozładowało się równie szybko, jak się pojawiło.

- Co się tyczy terapii, którą zamierzam zastosować... - Cassi zawiesiła na chwilę głos - zamierzam najpierw poczytać coś na ten temat w czasie weekendu.

- Rozumiem, że jest to uczciwa odpowiedź - stwierdził Jacob - ze swej jednak strony proponuję zastosować - przynajmniej na razie - krótką kurację środkami uspokajającymi. Co prawda pacjenci z pogranicza raczej źle znoszą kurację lekową, niemniej powinna mu pomóc przetrwać stan psychozy. Co więcej zdarzyło się jeszcze tej nocy?

Odpowiedzią na to pytanie zajęła się jedna z pielęgniarek, Susan Cheaver, która jak zwykle zwięźle i sprawnie zdała relację ze wszystkiego, co się zdarzyło na oddziale od późnego popołudnia wczorajszego dnia do dzisiejszego ranka. Nie było żadnych trudniejszych przypadków - jedynie akt fizycznej przemocy, którego ofiarą padła jedna z pacjentek, Maureen Kavanaugh, zakłócił spokój chorych i personelu. Maureen odwiedził mąż, co nie zdarzało się często. Wizyta miała początkowo miły przebieg, gdy nagle doszło do ostrej wymiany zdań między małżonkami i serii brutalnych uderzeń otwartą dłońią, zadanych żonie przez pana Kavanaugh. Mimowolnymi świadkami tego incydentu byli inni pacjenci, przebywający w tym czasie w sali przyjęć, których ta nieoczekiwana napaść bardzo wzburzyła. Pana Kavanaugh trzeba było obezwładnić i siłą wyprowadzić ze szpitala, jego

żonę zaś z trudem udało się uspokoić.

- Kilkakrotnie rozmawiałam z jej mężem - wtrąciła Roxane. - Jest kierowcą

ciężarówki i raczej ma niewiele zrozumienia dla stanu, w jakim znalazła się jego żona.

- Jakie więc widzisz rozwiązanie? - zapytał Jacob.

- Uważam, że należy zachęcać pana Kavanaugh do dalszych odwiedzin, ale ktoś

zawsze powinien być obecny przy ich spotkaniach. Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie osiągnąć poprawę zdrowia Maureen, jeśli jej mąż nie będzie uczestniczył w terapii, a jego chyba niełatwo będzie skłonić do współpracy.

Cassi przysłuchiwała się z zainteresowaniem dyskusji, w której brał udział cały - bez wyjątku - zespół. Kiedy Susan skończyła, każdy ze stażystów mógł mówić o swoich pacjentach; poza tym zabrali głos zawodowy terapeuta i pracownik socjalny. Na koniec doktor Levine zapytał, czy ktoś jeszcze chciałby coś powiedzieć. Nikt się nie odezwał.

- Doskonale - oświadczył Levine. - Do zobaczenia więc podczas popołudniowego obchodu.

Cassi nie od razu ruszyła się z miejsca. Przymknęła oczy i nabrała tchu w piersi.

Teraz, gdy towarzyszące jej podczas zebrania napięcie opadło, czuła jak bardzo jest zmęczona i wyczerpana. Tej nocy spała tylko trzy godziny, a wypoczynek zawsze był dla niej bardzo ważny. Z jaką przyjemnością położyłaby głowę nawet na tym stole!

- Widzę, że jesteś zmęczona - zauważyła Joan Widiker, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Był to ciepły, kojący gest.

Cassi z wysiłkiem zdobyła się na uśmiech. Joan szczerze przejmowała się sprawami innych ludzi. Poświęciła więcej niż inni swojego czasu, żeby ułatwić Cassi adaptację w zespole.

- Dam sobie radę - powiedziała Cassi. Po chwili zaś dodała: - Mam taką nadzieję.

- Na pewno dasz sobie radę - zapewniła ją Joan. - Tak naprawdę, to dziś na naradzie wypadłaś doskonale.

- Rzeczywiście tak sądzisz? - zapytała Cassi. Jej sarnie oczy ożywiły się na chwilę.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Zasłużyłaś sobie nawet na pochwałę Jacoba. Podobało mu się twoje określenie zachowania się pułkownika Bentwortha jako „niekonsekwentnego”.

- Daj spokój - rzekła Cassi niepokieszona. - Przecież tak naprawdę to nie poznałabym osoby z pogranicza nawet wtedy, gdybym zjadła z nią obiad.

- Prawdopodobnie masz rację - zgodziła się Joan. - Ale nie poznałoby jej także wielu innych ludzi, gdyby nie dostała ataku psychozy. Tego rodzaju ludzie dobrze się maskują; spójrz choćby na Bentwortha - jest przecież pułkownikiem.

- To mnie właśnie najbardziej niepokoi. To też wygląda na niekonsekwencję.

- Bentworth jest w stanie wytrącić z równowagi każdego - uspokajała ją Joan, głaszcząc opiekuńczo po ramieniu. - A teraz chodźmy już stąd. Napijemy się kawy - to ci dobrze zrobi.

- Na pewno tak - zgodziła się Cassi. - Nie wiem tylko, czy mi wolno w godzinach służbowych.

- Traktuj to jako polecenie lekarza - podnosząc się z miejsca oświadczyła Joan. A gdy już obie szły korytarzem, dodała: - Miałam również do czynienia z Bentworthem na pierwszym roku stażu i też nie miałam wtedy żadnego doświadczenia. Dlatego wyobrażam sobie, jak się czujesz.

- Nie żartuj - powiedziała Cassi w lepszym już nieco nastroju. - Nie chciałam się do tego przyznać na odprawie, ale tak naprawdę to pułkownik mnie przeraził.

Joan skinęła głową ze zrozumieniem. - Słuchaj, Bentworth to bardzo trudny

przypadek. Jest złośliwy i inteligentny. Potrafi dobrać się ludziom do skóry - znaleźć ich słabą stronę. Ta umiejętność w połączeniu z tajoną złośliwością i wrogością może być siłą destrukcyjną.

- To z jego powodu poczułam się nagle kimś zupełnie bezużytecznym - poskarżyła się Cassi.

- Jako psychiatra - zaznaczyła Joan.

- Jako psychiatra - zgodziła się Cassi. - Ale właśnie być psychiatrą to jest moja rola.

Być może uda mi się coś przeczytać o podobnych przypadkach.

- Istnieje dużo publikacji na ten temat. Może nawet zbyt wiele. Ale niewiele jest takich, z których można się czegoś nauczyć. Można całymi latami czytać o rowerach i nie umieć na nich jeździć. Psychiatria jest w równym stopniu wiedzą, co umiejętnością. Chodźmy jednak w końcu napić się tej kawy.

Cassi zawahała się. - Może jednak powinnam wrócić do pracy.

- Nie masz przecież teraz żadnej zaplanowanej wizyty u pacjenta?

- Nie, ale...

- Wobec tego nie ma o czym mówić. - Joan wzięła ją pod rękę i obie ruszyły korytarzem.

Cassi pozwoliła się prowadzić. Miała ochotę spędzić trochę czasu z Joan. Rozmowa z nią była dla niej pouczająca i pokrzepiająca. A Bentworth po nocnym wypoczynku okaże się - być może - nie takim strasznym pacjentem.

- Pozwól, że powiem ci coś jeszcze o pułkowniku - odezwała się Joan, jakby czytając w myślach Cassi. - Każdy, kto go leczył, nie wyłączając mnie, był przekonany, że go wyleczy. Ale ludzie z pogranicza, a szczególnie pułkownik Bentworth, nie dają się wyleczyć.

Po drodze Cassi wstąpiła do pokoju pielęgniarek, żeby zostawić kartę Bentwortha i



zapytać, kto jej szukał podczas odprawy. - Doktor Robert Seibert pytał o panią - oznajmiła dyżurna pielęgniarka. - Prosił, żeby pani jak najszybciej do niego zadzwoniła.

- Kto to jest doktor Seibert? - spytała Joan.

- Jest stażystą na patologii - odrzekła Cassi.

- Jeśli to takie pilne, to lepiej zadzwoń teraz - poradziła Joan.

- Mogę cię więc na chwilę przeprosić?

Joan skinęła głową; Cassi wyminęła stojący u wejścia do pokoju kontuar i podeszła do aparatu telefonicznego, znajdującego się obok półki z kartami chorych. W tym czasie do Joan podeszła Roxane. - Jest miła - zauważyła pod adresem Cassi. - Sądzę, że będzie bardzo użyteczna w zespole. - Joan skinęła głową potakująco; obie wiedziały, że brak pewności siebie Cassi i jej nerwowość były wynikiem nader poważnego stosunku do pracy.

- Trochę się jednak o nią obawiam - dodała Roxane. - Jest chyba bardzo wrażliwa.

- Uważam, że da sobie radę - odrzekła Joan. - Zresztą nie może być taką lilią, skoro jest żoną Thomasa Kingsley'a.

Roxane uśmiechnęła się znacząco i odeszła. Była wysoką, elegancką czarną kobietą, której gust i rozsądek budziły ogólny szacunek. Zaczęła wiązać włosy w koński ogon na długo przedtem, zanim stało się to tak modne.

Gdy Cassi rozmawiała przez telefon, Joan przyglądała się jej z uwagą. Roxane miała rację. Cassi rzeczywiście wyglądała bardzo eterycznie. Prawdopodobnie jej blada, niemal przezroczysta cera sprawiała takie wrażenie. Miała szczupłą, nie pozbawioną wdzięku sylwetkę. Swoje piękne, jasnokasztanowe, mieniące się różnymi odcieniami włosy, tu i ówdzie wpadające w blond, nosiła upięte na głowie za pomocą licznych spinek i grzebyków, spod których wymykały się małe, okalające twarz i czoło kosmyki. Rysy miała drobne, a lekko skośne oczy przydawały jej urodzie egzotycznego wyrazu. Stosowała tylko bardzo

subtelny makijaż, dzięki czemu nie wyglądała na dwadzieścia osiem lat. Była zawsze starannie ubrana i nawet po nieprzespanej nocy wyglądała świeżo - dziś miała na sobie białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem. Przypominała Joan młode kobiety oglądane często na fotografiach z epoki wiktoriańskiej.

- Zamiast na kawę, może wstąpiłybyśmy na kilka minut na oddział patologii? -

zapropozowała Cassi, odłożywszy słuchawkę telefonu.

- Patologii? - powtórzyła zaskoczona Joan.

- Jestem pewna, że tam dostaniemy kawę - powiedziała Cassi, jakby chcąc tym

zapewnieniem rozwiać wątpliwości Joan. - Chodźmy. Być może będzie to dla ciebie nawet interesujące.

Joan pozwoliła się poprowadzić Cassi długim korytarzem do ciężkich

przeciwpożarowych drzwi, które wiodły do głównego budynku szpitalnego. W Clarkson 2

wszystkie drzwi zawsze stały otworem - to był oddział „otwarty”. Aczkolwiek pacjentów

obowiązywał zakaz opuszczania oddziału, nie był on przez nich rygorystycznie

przestrzegany, mimo iż groziło im za to odesłanie do State Hospital, gdzie panowała mniej przyjemna atmosfera.

Gdy ciężkie drzwi zamknęły się za nimi, Cassi poczuła pewien rodzaj ulgi. W

przeciwieństwie do oddziału psychiatrii, tutaj, w głównym budynku łatwiej było odróżnić

lekarzy i pielęgniarki od pacjentów. Lekarze nosili swoje cywilne ubrania albo białe fartuchy,

pielęgniarki - białe uniformy, a pacjenci chodzili w szpitalnych piżamach. W Clarkson 2

wszyscy byli ubrani jak przeciętni ludzie.

- Co to właściwie znaczy być stażystką na patologii? - zapytała Joan, gdy podchodziły

do windy. - Czy lubiłaś swoją pracę?

- Bardzo - odparła Cassi.

- Mam nadzieję, że nie sprawię ci przykrości - ze śmiechem oznajmiła Joan - jeśli ci powiem, że wcale nie wyglądasz na patolożkę.

- Niestety, zawsze tak było - rzekła Cassi. - Najpierw nie chciano mi wierzyć, że jestem studentką medycyny, później mówiono mi, że nie wyglądam na lekarza, bo jestem za młoda, a ostatnio pułkownik Bentworth był łaskaw oświadczyć, że nie wyglądam na psychiatrę. Może mi więc powiesz, na kogo wyglądam?

Joan milczała. Tak naprawdę to Cassi wygląda raczej jak tancerka lub modelka, a nie jak lekarka.

Przed windami obsługującymi główny budynek stało już sporo oczekujących osób.

Było tylko sześć wind w całym budynku i dlatego czasem trzeba było długo czekać, a potem zatrzymywać się na każdym piętrze.

- Dlaczego zmieniłaś oddział? - zapytała Joan i natychmiast pożałowała swojej dociekliwości. - Nie musisz odpowiadać. Nie chcę, żebyś pomyślała, że jestem wścibska. Może odezwał się we mnie w tej chwili psychiatra.

- Nic nie szkodzi - odparła spokojnie Cassi. - Przyczyna była całkiem prosta. Choruję na młodzieńczą cukrzycę. Powinnam mieć to na uwadze przy wyborze specjalności zawodowej. Początkowo próbowałam to zlekceważyć, ale niesłusznie.

Niezwykła szczerość Cassi wprawiła Joan w zakłopotanie. Rozumiała, że musi teraz odpowiednio się zachować. - Sądzę - rzekła - że w tych warunkach patologia nie była złym wyborem.

- Ja też tak początkowo sądziłam - odparła Cassi. - Niestety, w zeszłym roku zaczęłam mieć kłopoty ze wzrokiem. Obecnie moje lewe oko jest w stanie zaledwie odróżnić światło od ciemności. Jestem pewna, że wiesz wszystko o cukrzycowej retinopatii. Nie jestem defetystką, ale gdyby doszło do najgorszego i utraciłabym wzrok, mogę uprawiać psychiatrię

nawet będąc niewidomą. To nie byłoby możliwe w przypadku patologii. Ale mamy już windę...

Joan dawno nie czuła się tak niezręcznie, ale zdawała sobie sprawę, że raz podjęty temat wypada kontynuować. - Od kiedy cierpisz na cukrzycę? - zapytała.

To pytanie cofnęło Cassi myślami w przeszłość. Do ósmego roku życia lubiła szkołę, była dziewczynką o chłonnym umyśle, żądną wciąż nowych wrażeń. W trzeciej klasie wszystko się zmieniło. Jeśli przedtem chętnie zrywała się wcześniej z łóżka do szkoły, to odtąd matka była zmuszona wciąż ją ponaglać. Nie uważała na lekcjach i coraz częściej otrzymywała od nauczycielki uwagi do dzienniczka. Najważniejszej jednak zmiany początkowo nikt nie zauważył, nawet sama Cassi: dziewczynka zaczęła coraz częściej biegać do toalety. Nauczycielka, panna Rossi, podejrzewając, że Cassi pragnie w ten sposób wymigać się od udziału w lekcjach, często nie chciała udzielać jej zgody na wyjście z klasy. Wówczas dziewczynka przeżywała straszliwy lęk, że może stracić panowanie nad pęcherzem. W wyobraźni widziała pod swoim krzesłem strużkę moczu, tworzącą wokół jej stóp kałużę. Lęk wywoływał w niej uczucie złości, które z kolei powodowało ostracyzm ze strony koleżanek i kolegów.

W domu przypadek zmoczenia pościeli w nocy zaskoczył i zaszokował zarówno Cassandrę, jak i jej matkę. Pani Cassidy zażądała od córki wyjaśnień, których Cassi nie była w stanie udzielić. Ojciec chciał zasięgnąć opinii domowego lekarza, lecz matka, dla której cała ta sprawa była upokarzająca, uważała, że raczej należy zastosować ostrzejsze środki wychowawcze.

Stosowane kary nie odnosiły skutku, przeciwnie, zaostrzyły problem. Cassi zaczęła dostawać ataków wściekłości, tracąc z ich powodu resztę przyjaciół. Większość czasu spędzała zamknięta w swoim pokoju.

Aczkolwiek niechętnie, pani Cassidy zaczęła się w końcu zastanawiać nad koniecznością wizyty u dziecięcego psychologa.

Wczesną wiosną doszło do przesilenia w sytuacji Cassi. Do dziś pamięta doskonale wydarzenia tamtego wiosennego dnia. Załedwie pół godziny po przerwie między lekcjami zaczęła odczuwać narastające parcie na pęcherz i pragnienie. Lękając się, że panna Rossi nawet nie będzie chciała słyszeć o jej wyjściu z klasy, Cassi starała się wytrzymać do końca lekcji. Wierciła się bez przerwy na krześle i zaciskała z całej siły piąstki. W ustach jej zaschło, nie potrafiła przełknąć śliny i mimo wysiłków w pewnym momencie poczuła, że popuściła.

Przerażona podeszła na palcach do panny Rossi i poprosiła o zgodę na opuszczenie klasy, ta jednak nawet na nią nie spojrzała i poleciła usiąść na swoim miejscu. Cassi obróciła się na pięcie i skierowała ku wyjściu. Panna Rossi spostrzegła niesubordynację dziewczynki dopiero wtedy, kiedy zamknęły się za nią drzwi. Zerwała się z miejsca i pobiegła za małą, która jednak pozwoliła się dopaść dopiero w toalecie. Jeszcze w biegu Cassi uniosła sukienkę i opuściła majteczki, by w końcu z głęboką ulgą opaść na sedes. Panna Rossi stanęła przed nią wspierając dłonie na biodrach z wyrazem twarzy, który mówił: - Lepiej będzie dla ciebie, jeżeli teraz coś „zrobisz”, inaczej...

Cassi „zrobiła”. Robienie siusiu trwało niesłychanie długo. Wyraz twarzy panny Rossi nieco złagodniał. - Dlaczego nie załatwiłaś się w czasie przerwy? - zapytała. - Załatwiłam się - bezbarwnym głosem odpowiedziała Cassi. - Nie wierzę ci - stwierdziła nauczycielka. - Po prostu ci nie wierzę i dlatego po lekcjach pójdziemy razem do dyrektora.

Po powrocie do klasy poleciła dziewczynce zająć miejsce. Cassi do tej pory jeszcze pamięta, że poczuła zawrót głowy. Najpierw nie potrafiła dostrzec tablicy, a potem poczuła

się jakoś dziwnie i miała ochotę wymiotować. Nie zdążyła, gdyż po chwili zemdląca. Ocknęła się dopiero w szpitalu: zobaczyła pochyloną nad sobą matkę, od której usłyszała, że jest chora na cukrzycę.

Wracając myślami do rzeczywistości Cassi odpowiedziała Joan: - Mając lat dziewięć znalazłam się w szpitalu - mówiła pośpiesznie w nadziei, że Joan nie dostrzegła jej chwilowego zamyślenia. - Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, na co choruję.

- Musiałaś wtedy przeżyć bardzo ciężkie chwile - zauważyła Joan.

- Niezupełnie. - Pod pewnym względem poczułam głęboką ulgę, że wszystkie objawy miały podłoże fizjologicznej natury. A ponieważ lekarze przepisali mi odpowiednie dawki insuliny, poczułam się o wiele lepiej. Po przekroczeniu dziesiątego roku życia wolno mi było nawet samej sobie robić zastrzyki. - Ale jesteśmy już na miejscu - oświadczyła na kolejnym piętrze, przepuszczając Joan do wyjścia.

- Jestem pod wrażeniem tego, co mi powiedziałaś - wyznała szczerze Joan. - Wątpię, czy byłabym w stanie ukończyć studia, gdybym była chora na cukrzycę.

- Na pewno dałabyś sobie radę - zapewniła ją Cassi. - Do wszystkiego się można przyzwyczaić.

Niezupełnie przekonana, Joan zadała kolejne pytanie: - A co na to wszystko twój mąż? W swoim życiu znałam niewielu chirurgów, mam jednak nadzieję, że twój mąż okazuje ci zrozumienie i wsparcie w chorobie.

- O, tak - potwierdziła Cassi, uczyniła to jednak jakoś bardzo pośpiesznie.

Oddział patologii stanowił jakby wydzielony, odrębny od reszty szpitala świat.

Chociaż Joan pracowała w Boston Memorial już trzeci rok, znalazła się tutaj po raz pierwszy.

Była przygotowana na to, że zobaczy zupełnie coś innego. Patologia kojarzyła się jej zawsze z wydziałem na uczelni, z ciemnymi dziewiętnastowiecznymi salami, w których pod ścianami

stały odrapane, zaszkłone szafy, pełne słoików z żółtawą formaliną i pływającymi w niej kawałkami horroru. Zamiast tego znalazła się w białym futurystycznym świecie zbudowanym z kafelków, plastyku, nierdzewnej stali i szkła. Nie było tutaj żadnych słoików z formaliną ani hałaśliwej krzątaniny, ani też dziwnie odpychających zapachów. Przy wejściu Joan ujrzała kilka sekretarek, ze słuchawkami na uszach, pracujących przy komputerach. Na lewo znajdowały się biura, środkiem sali zaś biegł długi stół, na którym stał szereg mikroskopów. Cassi wprowadziła Joan do pierwszego z brzegu pokoju; zza biurka zerwał się elegancko ubrany młody mężczyzna i uściskał ją na powitanie. Następnie odsunął Cassi nieco od siebie, tak żeby się jej lepiej przyjrzeć.

- Boże mój, wyglądasz wspaniale - oświadczył. - Ale chwileczkę: chyba nie zmieniłaś koloru włosów?

- Wiedziałałam, że zauważysz - stwierdziła ze śmiechem Cassi. - Nikt inny oprócz ciebie.

- Oczywiście że zauważyłem. A to jest nowa bluzka. Kupiona u „Lorda i Taylora”?

- Nie, u „Saksa”.

- Jest cudowna. - Dotknął palcami materiału. - To bawełna. Bardzo ładna.

- O, przepraszam bardzo! - zawołała Cassi przypomniawszy sobie o Joan. - To jest Joan Widiker, a to Robert Seibert, drugoroczny stażysta na patologii - dokonała prezentacji.

Joan ujęła wyciągniętą dłoń Roberta. Podobał jej się jego ujmujący szczery uśmiech.

Czuła, że przygląda się jej badawczo iskrzącym wzrokiem.

- Robert i ja skończyliśmy tę samą uczelnię - wyjaśniła Cassi, gdy Robert znowu objął ją ramieniem. - I zupełnym zbiegiem okoliczności spotkaliśmy się znowu w Boston Memorial na oddziale patologii.

- Wyglądacie jak siostra i brat - zauważyła Joan.

- Ludzie często tak mówią o nas - odpowiedział Robert z widoczną satysfakcją. -

Wiele przyczyn złożyło się na to, że połączyła nas wzajemna sympatia. Ważną rolę odegrał fakt, że w dzieciństwie oboje zapadliśmy na ciężkie choroby: Cassi na cukrzycę, ja na gorączkę reumatyczną.

- I oboje strasznie baliśmy się lekarzy - powiedziała Cassi, i razem z Robertem wybuchnęli głośnym śmiechem.

Joan pomyślała, że ten humor musi mieć podłoże osobiste.

- W rzeczywistości to nie jest takie śmieszne - oświadczyła Cassi. - Zamiast się wzajemnie wspierać na duchu, ostatnio straszymy się nawzajem. Robert musi usunąć swoje zęby mądrości, a ja - krwiaka w lewym oku.

- Swoimi zębami zajmę się już wkrótce - oznajmił wojowniczo Robert - a ciebie mam już z głowy.

- Uwierzę w to dopiero wtedy, kiedy już się stanie - powiedziała ze śmiechem Cassi.

- Przekonasz się - odparł Robert. - Ale teraz przejdźmy już do rzeczy. Poczekalem z sekcją zwłok do twojego przyjścia. Pozwól jednak, że najpierw zadzwonię do lekarza, który usiłował dokonać reanimacji pacjenta.

Robert podszedł do swojego biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Sekcja zwłok! - zawołała Joan z przerażeniem. - To ponad moje siły. Nie jestem pewna, czy będę mogła to znieść.

- To może być dla ciebie nawet interesujące - stwierdziła Cassi z niewinną miną, jakby chodziło o dobrą zabawę. - W czasie gdy pracowałam na oddziale patologii, naszą uwagę zwrócił szereg nagłych śmiertelnych przypadków, które razem z Robertem oznaczyliśmy hasłem SSD\*. Wszystkie miały miejsce po pomyślnej operacji serca, po której większość operowanych pacjentów czuła się dobrze. We wszystkich tych przypadkach nie udało się



ustalić anatomicznej przyczyny zgonu. Kilka spośród nich może by się jeszcze dało jakoś wytłumaczyć, ale w ciągu dziesięciu lat naliczyliśmy aż siedemnaście takich przypadków.

Ten ostatni zmarły, którego sekcji Robert ma zamiar teraz dokonać, jest już osiemnasty.

Robert odłożył słuchawkę oznajmiając, że Jerry Donovan zaraz przyjdzie. Aby skrócić oczekiwanie, zaproponował gościom kawę; zanim zdążyli ją wypić pojawił się Jerry, który przede wszystkim uściskał serdecznie Cassi. Joan była mile zaskoczona tym, że Cassi pozostaje w tak przyjaznych stosunkach ze wszystkimi swoimi byłymi kolegami.

Jerry klepnął kordialnie Roberta po ramieniu i podziękował mu za telefon. Robert skrzywił się pod tym uderzeniem i przywołał na usta wymuszony uśmiech.

Joan pomyślała, że Jerry wygląda niechlujnie. Miał na sobie białą, wymiętą i poplamioną marynarkę, która wisała na nim nieco krzywo, gdyż prawą kieszeń rozpychał czarny, ciężki notes. Na spodniach widać było wyraźne ślady krwi. Przy eleganckim Robercie Jerry wyglądał jak robotnik z masarni.

- Jerry kończył tę samą uczelnię, co ja i Robert - wyjaśniła Cassi. - Był jednak na starszym roku.

- Jest to różnica, której do dziś żałuję - zażartował Jerry.

- Chodźmy już - zaproponował Robert. - Zarezerwowałem dla nas jedną z sal prosektorium.

Robert wyszedł pierwszy, za nim podążyła Joan. Jerry przyłączył się do Cassi.

- Nie zgadniesz, kogo miałem przyjemność oglądać w akcji minionej nocy - rzekł

Jerry, gdy oboje szli wzdłuż stołu z mikroskopami.

\* Sudden surgical death (ang.) - nagła śmierć pooperacyjna.

- Nawet nie próbuję - odparła Cassi, oczekując kiepskiego żartu.

- Twojego małżonka! Doktora Thomasa Kingsley'a.

- Naprawdę? A co ty robiłeś w sali operacyjnej? - zapytała.

- Nawet tam nie zaglądałem - odpowiedział Jerry. - Byłem na piętrze pooperacyjnym, gdzie usiłowałem dokonać reanimacji pacjenta znajdującego się teraz w prosektorium. Twój mążnek pojawił się na sygnał „kod”. Byłem wprost zszokowany. Nigdy przedtem nie widziałem takiego zdecydowania w działaniu ze skalpelem. Rozciął pierś facetowi i przeprowadził masaż na otwartym sercu po prostu na łóżku. Czułem się oszołomiony. Powiedz mi, czy twój mążnek zachowuje się w równie imponujący sposób w domowych warunkach?

Cassi rzuciła mu ostre spojrzenie. Gdyby zapytał o to ktoś inny, nie Jerry, z pewnością by coś odpaliła. Ale przecież usłyszała tylko to, czego oczekiwała: kiepski żart. Po co więc robić problem? Puściła pytanie mimo uszu.

Nie zwracając uwagi na brak reakcji Cassi, Jerry ciągnął: - Tym, co wywarło na mnie największe wrażenie, było nie sprawne otwarcie skalpelem piersi zmarłego, ale decyzja, żeby to uczynić w pierwszej kolejności. Przecież jej skutki były już nieodwracalne. Nie wyobrażam sobie, jak można podjąć tak łatwo takie ryzyko. Ja często nie mogę się zdecydować czy zaaplikować pacjentowi antybiotyki.

- Chirurdzy przywykli do podejmowania tego rodzaju decyzji - odparła Cassi. - To dla nich chleb powszedni - w pewnym sensie sprawia im to satysfakcję.

- Satysfakcję? - z niedowierzaniem powtórzył Jerry. - Chociaż trudno w to uwierzyć, chyba jednak masz rację - inaczej nie mielibyśmy chirurgów. Być może największa różnica między internistą a chirurgiem polega na tym, że ten ostatni posiada umiejętność podejmowania nieodwracalnych decyzji.

Po wejściu do prosektorium Robert założył czarny gumowy fartuch i także rękawice.

Pozostali skupili się wokół leżących na stole, z wciąż jeszcze otwartą ogromną raną piersi,

zwłok. Brzegi rany już nieco pociemniały i zaczęły zasychać. Jeśli nie brać pod uwagę sterczącej z ust rurki dotchawicznej, twarz zmarłego wyglądała spokojnie i pogodnie, oczy były zamknięte.

- Stawiam dziesięć do jednego, że to był zator płucny - z przekonaniem oświadczył Jerry.

- Nie dałbym więcej niż jednego dolara za tę diagnozę - odparł Robert, regulując wysokość zwisającego z sufitu mikrofonu przy pomocy nożnego pedału. - Sam mówiłeś, że pacjent był początkowo siny. Nie przypuszczam, żebyśmy stwierdzili zator. Jeśli nie myli mnie moje przeczucie, to nic nie znajdziemy.

Prowadząc badanie, Robert dyktował do mikrofonu: „Jest to dobrze zbudowany i dobrze odżywiony mężczyzna rasy białej, waży około siedemdziesięciu dwóch kilogramów, mierzy metr siedemdziesiąt osiem centymetrów. Lat czterdzieści dwa...”.

Joan nie słuchała tego, co mówił Robert, lecz przyglądała się Cassi, która spokojnie piła kawę. Na samą myśl o tym, żeby zrobić to samo, Joan poczuła mdłości.

- Czy wszyscy inni zmarli wyglądali podobnie? - zapytała usiłując nie patrzeć w stronę stołu, przy którym Robert przygotowywał się do sekcji, gromadząc odpowiednie skalpele, nożyce i piłki do cięcia kości.

Cassi potrząsnęła przecząco głową. - Nie. Niektórzy z nich mieli sinicę, jak ten tutaj.

Inni wyglądali na zmarłych w wyniku zatrzymania krążenia, jeszcze inni jakby zginęli w przebiegu niewydolności oddychania albo drgawek.

Robert naciął skórę zaczynając wysoko od ramion w stronę otwartej już klatki piersiowej, rysując w ten sposób na zwłokach jakby wielką literę „Y”. Do uszu Joan dochodził zgrzyt ostrza na wewnętrznych strukturach kostnych.

- Czy operacje zostały należycie przeprowadzone? - zapytała Joan. Przymknęła oczy,

słyszając trzask łamanych żeber.

- Zmarli przeszli operację serca, choć niekoniecznie z tego samego powodu.

Sprawdziliśmy anestezję, czas perfuzji, czy stosowano hipotermię. Wszystko było w porządku. I to właśnie powoduje naszą frustrację.

- Rozumiem, ale dlaczego usiłujecie wszystkie te przypadki skojarzyć z sobą?

- Pytanie nie pozbawione racji - odparła Cassi. - To, o co pytasz, ma swoje źródło w mentalności patologa. Jeśli patolog dokonał sekcji zwłok i nie znalazł przyczyny zgonu, jest z siebie niezadowolony. Jeśli ma do czynienia z całą serią podobnych przypadków, czuje się wytracony z równowagi. Żeby ją odzyskać, musi rozwiązać zagadkę.

Mimo woli Joan spojrzała na stół. Zwłoki Bruce'a Wilkinsona leżały jak gigantyczna otwarta książka, której kartki odkrywały lekarzowi tajemnice ludzkiego ciała. Joan poczuła zawrót głowy.

- Rozwiązanie tej zagadki jest konieczne - ciągnęła Cassi nieświadoma stanu, w jakim się znajdowała Joan. - Dzięki niemu można będzie uniknąć podobnych przypadków w przyszłości. W tej chwili natomiast mamy do czynienia z alarmującym trendem. Jeśli wcześniej ofiarami byli pacjenci w wieku mocno zaawansowanym i z bardzo złym stanem zdrowia - najczęściej pozostawali w stanie śpiączki - to ostatnio są nimi ludzie znacznie młodszy, z reguły poniżej pięćdziesiątki, oraz znacznie zdrowsi, tak jak to ma miejsce w przypadku Wilkinsona. - Joan, co z tobą? - Cassi w końcu spostrzegła, że jej przyjaciółka jest bliska omdlenia.

- Pozwól, że poczekam na zewnątrz sali - powiedziała Joan. Odwróciła się i skierowała ku wyjściu, ale Cassi chwyciła ją za ramię.

- Czujesz się niedobrze? - zapytała.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Joan. - Muszę tylko usiąść. - Szybko wybiegła z sali.

Cassi chciała również wyjść, ale Robert ją zatrzymał, żeby coś pokazać. Wskazał palcem siniak na powierzchni serca. - Co myślisz o tym? - zapytał.

- To prawdopodobnie skutek prób reanimacji - odrzekła.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy - stwierdził Robert i ponownie skierował uwagę na system oddechowy i krtań. Zręcznie otworzył drogi oddechowe. - Żadnej przeszkody w oddychaniu. Gdyby była, wiedzielibyśmy przynajmniej, skąd się wzięła sinica.

Chrzękając znacząco, Jerry wtrącił: - A więc pozostaje tylko zator płucny. Byłem tego pewien.

- To był kiepski zakład - stwierdził Robert kręcąc głową. Starannie obejrzał główne naczynia krwionośne w płucach i samo serce.

- Pomosty naczyniowe są wszyte prawidłowo - stwierdził i cofnął się nieco, żeby Cassi i Jerry mogli też zobaczyć.

Biorąc do ręki skalpel, zwrócił się do Jerry'ego: - Teraz, doktorze Donovan, lepiej zrobisz wykładając pieniądze na stół. - Następnie pochylił się i otworzył arterie płucne.

Żadnych skrzepów. Z kolei otworzył prawy przedsionek serca: ani śladu krzepnięcia krwi. W końcu przystąpił do otwarcia żyły głównej: napięcie wzrosło, gdy nóż zagłębił się w naczynia, te jednak również okazały się czyste. Nie mogło być mowy o zatorze.

- Kłops! - zawołał Jerry ze złością.

- Jesteś mi winien dziesięć dolarów - oświadczył spokojnie Robert.

- Co, u diabła, mogło wyprawić faceta na tamten świat? - dziwił się Jerry.

- Nie sądzę, żeby udało się nam to ustalić - odrzekł Robert. - Po prostu mamy do czynienia z osiemnastym tego rodzaju przypadkiem.

- Uważam, że przyczyna zgonu delikwenta tkwi w jego głowie - oznajmiła Cassi.

- W jaki sposób doszłaś do takiego wniosku? - zapytał Jerry.

- Jeśli pacjent był rzeczywiście siny - tłumaczyła Cassi - a nam nie udało się ustalić żadnej przyczyny w cyrkulacji krwi i w oddychaniu, to przyczyna zgonu znajduje się w mózgu. Pacjent przestał oddychać, ale serce wciąż pompowało odtlenowaną krew. Stąd się wzięła sinica.

- Znacie stare lekarskie porzekadło? - zapytał Jerry. - Patolodzy wiedzą wszystko i robią wszystko, tyle że za późno.

- Nie pamiętasz najwidoczniej pierwszej części tego powiedzenia - zauważyła Cassi - więc ci ją przypomnę: chirurdzy nic nie wiedzą, ale robią wszystko, interniści wiedzą wszystko, ale nie robią nic. Dopiero potem jest mowa o patologach.

- A co z psychiatrami? - zapytał Robert.

- To proste: psychiatrzy nic nie wiedzą i nic nie robią! - roześmiał się Jerry.

Robert szybko kończył sekcję. Mózg po bliższym zbadaniu okazał się normalny.

Najmniejszego nawet śladu skrzepu czy urazu.

- Tak więc? - odezwał się Jerry patrząc na połyskujące zwoje mózgowie Bruce'a. - Czy macie jeszcze, moi drodzy, jakieś inne pomysły?

- Na razie nie - odrzekła Cassi. - Może jednak Robert znajdzie jakiś dowód, że to był atak serca.

- Jeśli nawet udałoby mi się go znaleźć, nie wyjaśni to skąd się wzięła sinica - powiedział Robert.

- To prawda - zgodził się Jerry drapiąc się w tył głowy. - Być może pielęgniarka się pomyliła. Może facet był po prostu szary.

- Pielęgniarki na chirurgii serca są przeraźliwie dokładne - wtrąciła Cassi. - Jeśli mówią, że pacjent był siny, to z pewnością tak było.

- Wobec tego poddaję się - oznajmił Jerry, wyjmując z portfela banknot

dziesięciodolarowy i wkładając go do kieszeni białej marynarki Roberta.

- Nie jesteś mi nic winien - powiedział Robert. - Przecież to były tylko żarty.

- Gówno - odpowiedział Jerry. - Gdyby okazało się, że to był zator płucny, wziąłbym od ciebie te pieniądze - stwierdził podchodząc do wieszaka, na którym powiesił swoją marynarkę.

- Winszuję ci, Robercie - rzekła Cassi. - Wygląda na to, że masz już przypadek numer osiemnaście. W porównaniu z liczbą wykonanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat operacji serca w szpitalu, jest to wcale pokaźna liczba. Dzięki tej sprawie masz szansę trafić do gazet.

- Dlaczego tylko ja? - zapytał Robert. - Przecież oboje się nią zajmujemy?

Cassi potrząsnęła przecząco głową. - Nie, Robercie. Cała ta sprawa od samego początku należy do ciebie. Poza tym, odkąd przeniosłam się na psychiatrię, nie jestem w stanie nią się zajmować.

Robert milczał ponuro.

- Głowa do góry, Robercie. Kiedy publikacja się ukáže, będziesz zadowolony, że nie musisz dzielić autorstwa z psychiatrą.

- Miałem nadzieję, że te badania skłonią cię do częstszego odwiedzania patologii.

- O to się nie martw - odparła. - Przecież wciąż tutaj przychodzę, szczególnie, gdy masz do czynienia z nowymi przypadkami SSD.

- Chodźmy już, Cassi - zawołał niecierpliwie Jerry, przytrzymując nogą otwarte drzwi.

Cassi musnęła wargami policzek Roberta i wybiegła z sali. Jerry zamachnął się na nią żartobliwie, gdy znalazła się w drzwiach, lecz ona nie tylko zręcznie uniknęła uderzenia, ale w przejściu zdążyła pociągnąć go za krawat.

- Gdzie się podziała twoja przyjaciółka? - zapytał Jerry poprawiając krawat.

- Chyba jest w gabinecie Roberta - odparła. - Powiedziała, że musi usiąść.

Prawdopodobnie nie wytrzymała widoku pokrajanych zwłok.

Joan odpoczywała z zamkniętymi oczami. Gdy tylko usłyszała głos Cassi, stanęła na niepewnych nogach. - No i co ustaliliście? - starała się mówić rzeczowo.

- Niewiele - odrzekła Cassi. - Jak się czujesz, Joan?

- Nie spodziewałam się czegoś takiego - rzekła Joan. - Nie powinnam była tam chodzić.

- Gorąco cię przepraszam... - zaczęła Cassi.

- Nie bądź głupia - odparła Joan. - Przyszłam tu z własnej woli. Ale chętnie bym już wyszła, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wszyscy troje skierowali się ku windom. Jerry pożegnał obie przyjaciółki i udał się do siebie schodami na czwarte piętro. Zbiegając po schodach w dół, pomachał im jeszcze ręką.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam za to, że zmusiłam cię do przyjścia tutaj - odezwała się Cassi. - Jako stażystka patologii przyzwyczaiałam się już do sekcji zwłok i zapomniałam, że to może być dla kogoś bardzo przykre przeżycie. Mam nadzieję, że nie wytrąciło cię to zbyt mocno z równowagi?

- Do niczego mnie nie zmuszałaś - oświadczyła Joan. - Poza tym nie z twojej winy jestem taka nadwrażliwa. Czuję się wręcz zażenowana. Po sześciu latach studiów medycznych nie powinnam mieć takich problemów. W każdym bądź razie powinnam wiedzieć na co mnie stać i raczej poczekać w gabinecie Roberta. Zamiast tego zachowałam się głupio. Nie mam pojęcia, co chciałam udowodnić idąc tam z tobą.

- Sekcje zwłok były dla mnie początkowo dość trudnym przeżyciem - ciągnęła Cassi - ale stopniowo przyzwyczaiałam się. Jest wprost zdumiewające, do jak bardzo przykrych rzeczy człowiek się może przyzwycząić, zwłaszcza jeśli ma do sprawy podejście intelektualne.

- Masz rację - przytaknęła Joan i żeby zmienić temat zapytała: - *A propos* twoich



przyjaciół: czy Jerry Donovan jest żonaty?

- Sądzę, że nie - odparła Cassi naciskając ponownie guzik windy. - Kiedy był na uczelni, miał żonę, ale potem się rozwiódł.

- Znam tę historię - stwierdziła Joan.

- Nie mam pojęcia, czy obecnie z kimś się spotyka - oświadczyła Cassi. - Ale mogę się dowiedzieć, jeśli to cię interesuje.

- Chętnie wybrałabym się z nim na kolację - rzekła w zamyśleniu Joan. - Gdybym tylko była pewna, że inaczej się ubierze...

Cassi w lot chwyciła dowcipną uwagę Joan. Wybuchnęła głośnym śmiechem: -

Widzę, że go doskonale rozgryzłaś - stwierdziła.

- Typowy lekarz - stwierdziła Joan. - A Robert? - zapytała zniżając głos, gdyż zdążyły już wejść do windy: - Czy jest homoseksualistą?

- Chyba tak - odparła Cassi. - Ale na ten temat nigdy z sobą nie rozmawialiśmy.

Zawsze był bardzo dobrym przyjacielem - reszta jest nieważna. Zwykle krytykował moich adoratorów, a ja go słuchałam - dopóki nie spotkałam swojego obecnego męża - gdyż zawsze miał rację. Chyba jest zazdrosny o Thomasa, bo nigdy go nie lubił.

- Czy wciąż ma taki sam stosunek do ciebie? - zapytała Joan.

- Nie mam pojęcia - odparła Cassi. - To jest temat, na który nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

## **Rozdział II**

- W gabinecie cewnikowania serca oczekuje na pana pacjent - oznajmiła pracownica rentgenologii. Nie weszła nawet do pokoju, w którym siedział doktor Joseph Riggin, tylko wsunęła głowę poprzez uchylone drzwi. Zanim doktor zdążył potwierdzić przyjęcie informacji, zniknęła.

Z ciężkim westchnieniem Joseph uniósł się zza biurka, odłożył czasopismo na półkę z książkami i wypił ostatni łyk kawy. Z wieszaka na drzwiach zdjął ołowiany fartuch i założył go na siebie.

O godzinie dziesiątej trzydzieści korytarz w oddziale rentgenologii przypominał Josephowi dzień targowy w Bloomingdale. Wszędzie było pełno ludzi: siedzieli na krzesłach, stali w kolejkach, kręcili się bez celu po korytarzu. Ich twarze wyrażały napięcie oczekiwania. Joseph poczuł nieprzezwyciężone uczucie nudy. Od czternastu lat robił to samo i dawno wyzbył się już wszelkich złudzeń. Każdy nowy dzień niczym się nie różnił od poprzednich. Nigdy nie działo się nic nadzwyczajnego. Sam nie wiedział, dlaczego już dawno nie rzucił tego wszystkiego.

Otwierając drzwi pokoju numer trzy próbował wyobrazić sobie, co mógłby robić, gdyby porzucił swoje dotychczasowe zajęcie. Niestety, nic określonego nie przychodziło mu do głowy.

Pokój numer trzy był największy spośród pięciu tak samo wyposażonych. Znajdował się tutaj najnowszy sprzęt, włącznie z zainstalowanymi ekranami do wyświetlania zdjęć. Joseph wszedł do środka i zauważył pozostawione na stole zdjęcia rentgenowskie.

Przecież ciągle powtarzał technikom, by je uprząтали. Jakby tego było mało, stwierdził, że w pokoju nie ma żadnego technika.

Krew uderzyła mu do głowy. W szpitalu obowiązywała zasada, że pacjent nie może przebywać sam w gabinecie. - Do diabła! - warknął pod nosem. Na stole rentgenowskim leżał pacjent przykryty białym prześcieradłem. Wyglądał na piętnaście lat, miał szeroką twarz i krótko przystryżone włosy. Jego ciemne oczy bacznie obserwowały Josepha. Obok stołu znajdowała się kroplówka, od której prowadziła znikająca pod prześcieradłem plastikowa rurka.

- Jak się masz? - powitał chłopca, przywołując na usta uśmiech mimo dręczącej go frustracji.

Pacjent nawet nie drgnął. Gdy Joseph brał kartę do ręki, spostrzegł, że kark chłopca był gruby i muskularny. Zauważył też, że chory wyglądał nienormalnie - miał wywrócone do góry oczy. Język częściowo widoczny w rozchylonych ustach był jakby spuchnięty.

- Tak, co my tutaj mamy? - odezwał się Joseph nieco zakłopotany. Chciał, żeby chłopiec coś powiedział lub przynajmniej odwrócił oczy. Spojrzał na kartę choroby i zaczął czytać:

„Sam Stevens, lat dwadzieścia dwa, muskularny biały mężczyzna, od czwartego roku życia z nieustalonych przyczyn zahamowany w rozwoju psychicznym. Przyjęty do szpitala w celu usunięcia wrodzonej wady serca, polegającej prawdopodobnie na wadzie przegrody...”

Drzwi do pokoju otworzyły się z hałasem i do środka wpadła Sally Marcheson z naręczem kaset. - Dzień dobry, doktorze Riggin - zawołała.

- Dlaczego pacjenta pozostawiono samego?

Sally zatrzymała się w miejscu przed aparaturą. - Samego? - zapytała.

- Samego - powtórzył z wyraźną irytacją.

- Gdzie jest Gloria? Ona miała...

- Na litość boską, Sally - krzyczał Joseph. - Pacjentów nie wolno pozostawiać samych.

Czy nie rozumiesz tego?

Sally wzruszyła ramionami. - Minęło zaledwie piętnaście lub dwadzieścia minut...

- Co to są za zdjęcia? Co one tutaj robią?

- Nie mam pojęcia. Nie było ich tutaj, gdy wychodziłam. Szybko zaczęła porządkować zdjęcia i upychać je do koperty. Był to jakiś wieńcowy angiogram.

Ciągle gderając, Joseph wyjął z szafki sterylne fartuch i założył na siebie. Spoglądając

na pacjenta zauważył, że chłopiec wciąż się nie porusza i bez przerwy wodzi za nim oczami.

Z wielkim hałasem Sally załadowała kasety do aparatury, a następnie ściągnęła okrycie z ekranu.

Naciągając gumowe rękawice na dłonie, Joseph przybliżył twarz do głowy pacjenta. -

Jak się czujesz, Sam? - zapytał. Nie wiadomo dlaczego sądził, że powinien odzywać się bardzo głośno do tego opóźnionego w rozwoju chłopca. Ale Sam nie drgnął.

- Czy dobrze się czujesz, Sam? - zawołał Joseph. - Mam teraz zamiar ukłuć cię małą igielką. W porządku?

Sam milczał, jakby był wyciosany z granitu.

- A teraz proszę, przez chwilę się nie ruszaj - nalegał Joseph. Miał właśnie zamiar włączyć aparat, gdy jego uwagę ponownie przyciągnął napuchnięty i popękany język Sama.

Wargi chłopca znajdowały się w podobnym stanie. Sam wyglądał jak ktoś, kto właśnie skończył wędrówkę przez pustynię.

- Chce ci się może pić, Sam? - dopytywał się doktor.

W tym momencie rzucił okiem na kroplówkę i stwierdził, że była wyłączona. Włączył ją jednym ruchem ręki. Chłopcu groziło odwodnienie.

Doktor Joseph chciał przystąpić do rutynowych czynności, gdy nagle ostry, nieludzki krzyk wstrząsnął ciszą pokoju. Odwrócił się przerażony.

Sam zrzucił z siebie koc i uchwycił rękami ramię statywu z kroplówką. Walił stopami w stół rentgenowski, a z jego ust bez przerwy wydobywał się przeraźliwy krzyk.

Joseph zdążył odsunąć fluoroskopowy agregat z zasięgu bębniących nóg Sama, po czym chwycił chłopca za ramiona i usiłował ułożyć go z powrotem na stole. Wtedy Sam złapał go za rękę z taką siłą, że tym razem lekarz krzyknął z bólu. Nie mogąc nic zrobić,

Joseph patrzył z przerażeniem, jak Sam przyciąga jego dłoń do swoich ust, a następnie zatapia

zęby u nasady jego kciuka.

Doktor wrzasnął przeraźliwie. Próbował uwolnić rękę z uścisku Sama, ale ten okazał się silniejszy. Zdesperowany Joseph uniósł do góry stopę i odepchnął się nią od stołu.

Zatoczywszy się do tyłu, upadł, pociągając za sobą Sama, który go przygniótł swoim ciężarem. Joseph poczuł, że Sam puścił jego rękę, ale jednocześnie dłonie chłopca zacisnęły się na jego szyi. W miarę jak wzrastał ich ucisk, czuł narastające w głowie ciśnienie.

Zrozpaczony usiłował oderwać ręce Sama od swojej szyi, ale na próżno - były jak ze stali.

Cały pokój zaczął mu wirować przed oczami. Resztką sił uderzył chłopca kolanem w pachwinę.

Niemal w tej samej chwili ciało Sama skręciło się w gwałtownym skurczu, za którym poszły następne. Sam miał posturę dorosłego mężczyzny, Joseph leżał więc przygnieciony ciężarem wijącego się w konwulsjach ciała.

Wreszcie Sally oprzytomniała z szoku i pomogła mu wydobyć się spod napastnika.

Tymczasem oczy Sama uciekły gdzieś w głąb czaszki, a z rozciętego języka płynęła coraz szerszą stróżką krew.

- Zawołaj pomoc - wydusił z siebie Joseph, ściskając swoją rękę w nadgarstku, żeby zatamować płynącą z rany krew. Między poszarpanymi brzegami rany widać było bielejącą kość.

Zanim przybyła pomoc, gwałtowne konwulsje Sama stopniowo słabły, aż w końcu ustąpiły. Niemal w tej samej chwili, gdy pojawił się zespół pogotowia, Joseph uświadomił sobie, że chłopiec przestał oddychać. Gorączkowe wysiłki przywrócenia go do życia okazały się daremne. Po upływie kwadransa doktor Joseph Riggin został zabrany do chirurga w celu założenia szwów na rękę, a Sally Marcheson przystąpiła do porządkowania gabinetu.

Myjąc ręce Thomas Kingsley czuł - jak zwykle przed każdą operacją - przyływ

podniecenia. Zawsze był przekonany, że został stworzony po to, by być chirurgiem. Zaczął skromnie, asystując jako internista podczas operacji, rychło jednak jego umiejętności znalazły uznanie w całym szpitalu. Obecnie jako główny kardiochirurg szpitala Boston Memorial cieszył się ogromną, nawet międzynarodową reputacją.

Splukawszy mydliny, Thomas uniósł do góry ręce, starając się nie dopuścić, aby woda ściekała z nich na podłogę. Biodrem otworzył drzwi do sali operacyjnej. Po jego wejściu w sali zapadła grobowa cisza, rozmowy urwały się. Wziął ręcznik z rąk pielęgniarki, Teresy Goldberg. Przez chwilę oczy ich spotkały się ponad maskami. Thomas lubił Teresę. Miała wspaniałe kształty, czego nie był w stanie ukryć nawet luźny strój pielęgniarki. Poza tym mógł na nią pokrzyczeć i być pewny, że nie wybuchnie z tego powodu płaczem. Była też wystarczająco sprytna, żeby nie tylko wiedzieć, iż Thomas jest najlepszym chirurgiem, ale powiedzieć mu to w odpowiednim momencie.

Thomas metodycznie wycierał ręce, obserwując jednocześnie pacjenta. Następnie - jakby dokonując przeglądu swojego zespołu - przeszedł wokół sali i skinął na Phila Baxtera, perfuzjonistę, który stał za swoim sztucznym płucosercem. Aparat był już przygotowany, buczał monotonnie, gotów do podjęcia swojego zadania, polegającego na dotlenianiu krwi pacjenta i pompowaniu jej do wszystkich zakamarków organizmu, w czasie gdy Thomas będzie przeprowadzał operację.

Z kolei Thomas spojrzął na Terence Halainena, anestezjologa.

- Wszystko w normie - oświadczył Terence naciskając worek oddechowy.

- W porządku - skwitował Thomas.

Pozbywszy się ręcznika, narzucił na siebie podany mu przez Teresę sterylny fartuch.

Następnie naciągnął na ręce specjalne brązowe rękawice gumowe. Niemal w tym samym momencie napotkał wzrok doktora Larry'ego Owena, doświadczonego kardiochirurga, który

wykonał pierwszą część operacji.

- Pan Campbell jest już gotów - oświadczył Larry, robiąc dla Kingsleya miejsce przy operacyjnym stole. Pacjent leżał z szeroko otwartą klatką piersiową, przygotowany do wszczepienia bypassów przez renomowaną sławę - doktora Thomasa Kingsley'a. W szpitalu przyjęło się, że wstępne czynności wykonywał jeden z doświadczonych chirurgów.

Thomas zajął jego miejsce z prawej strony pacjenta. Jak zwykle zaczął od tego, że dotknął lekko dłonią bijącego serca. Poprzez gumową rękawiczkę poczuł tajemnicze pulsowanie.

Ten niemal rytualny gest przeniósł Thomasa w przeszłość, do jego pierwszej poważnej operacji. Wcześniej brał udział w wielu, ale zawsze jako pierwszy lub drugi asystent, lub ktoś mało znaczący. Tak było do czasu, kiedy do szpitala trafił pacjent o nazwisku Nazzaro Walter. Nazzaro przeszedł ciężki atak serca i nikt mu nie dawał szans na przeżycie. Jednak przeżył. Przeżył nie tylko atak serca, lecz także rygorystyczny tryb kuracji narzucony mu przez domowych lekarzy. Rezultaty operacji okazały się imponujące. Wszyscy zachodzili w głowę, w jaki sposób udało się go uratować. Miał przecież zwężoną lewą tętnicę wieńcową, co zresztą było przyczyną przebytego zawału serca. Jakby tego było mało, miał także zwężenie w prawej tętnicy wieńcowej, które spowodowało wcześniejszy zawał serca przebyty przed laty. W dodatku stwierdzono u niego złożoną wadę zastawki mitralnej oraz aortalnej. Jakby i tego było za mało, Walter miał jeszcze pozawałowego tętniaka w obrębie ściany lewego przedsionka serca. Dopełnieniem jego tragicznego stanu były jeszcze zaburzenia rytmu, nadciśnienie i niewydolność nerek.

Jako niezwykle nagromadzenie anatomicznych i fizjologicznych usterek, Walter był prezentowany na wielu lekarskich konferencjach, gdzie formułowano najróżnorodniejsze opinie na jego temat. Tylko pod jednym względem wszystkie były zgodne: Walter był żywą

bombą zegarową. Żaden z chirurgów nie miał ochoty go operować - wyjątek stanowił Thomas Kingsley. Zdaniem Thomasa, operacja stanowiła jedyną szansę dla chorego, którą należało wykorzystać. Tak długo o tym mówił, aż w końcu wszystkim znudziło się go słuchać i otrzymał zgodę na przeprowadzenie zabiegu.

W czasie operacji Thomas zastosował eksperymentalną metodę wzmocnienia funkcji serca, wprowadzając do aorty Waltera wypełniony helem przeciwpulsacyjny balon. Chciał być przygotowany na wypadek kłopotów z lewym przedsionkiem serca pacjenta. Dopiero w trakcie operacji uprzytomnił sobie cały ogrom ryzyka, jakie podjął. Zaczął odczuwać niepokój, ale nie było już odwrotu. Nigdy nie zapomni uczucia, jakiego doświadczył, gdy zatrzymał pracę serca chorego i patrzył na spoczywający w jego dłoni drgający mięsień. W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że jest władny przywrócić życie człowiekowi.

Odrzuciwszy od siebie wszelką myśl o możliwości porażki, Kingsley najpierw wytworzył bypass - zabieg o eksperymentalnym wówczas charakterze. Pewną ręką wyciął następnie tętniakowaty fragment ściany serca Waltera i zeszył ranę jedwabną nicią. Wymienił również obie zastawki: mitralną i aorty.

Gdy zakończył operację, podjął próbę odłączenia Waltera od sztucznego płucoserca. Nieoczekiwanie wokół stołu operacyjnego zebrała się spora gromadka widzów. Kiedy okazało się, że serce Waltera nie ma dość siły, żeby pompować krew, rozległ się ogólny jęk zawodu. Niespeszony tym Thomas uruchomił uprzednio przygotowane urządzenie przeciwpulsacyjne.

Nigdy nie zapomni uczucia dumy, które go ogarnęło, gdy serce zareagowało. Waltera nie tylko można było odłączyć od płucoserca, ale już po trzech godzinach okazało się zbędne urządzenie przeciwpulsacyjne. Thomas czuł się jak stwórca życia. Podniecenie podziałało na niego jak alkohol. Odtąd całkowicie pochłonęła go chirurgia serca. Dobywanie serca z



ludzkiej piersi, dotykane go, przezwyciężanie śmierci własnymi rękami - wszystko to było jakby zabawą w Boga. Wnet spostrzegł, że jeśli nie wykonał kilku takich operacji w ciągu tygodnia i nie przeżył upragnionego podniecenia, odczuwał depresję. Kiedy już nabrał doświadczenia, wykonywał jedną, dwie, a nawet trzy operacje w ciągu dnia. Zdobyta sława zapewniała mu nieprzerwany ciąg pacjentów. Był bardzo szczęśliwy, gdy mógł spędzać dużo czasu w sali operacyjnej. Kiedy inni lekarze usiłowali ograniczyć jego limit czasu w sali operacyjnej, chodził zły i napięty, jak nałogowiec pozbawiony codziennej dawki narkotyku. Musiał operować, żeby żyć. Pragnął czuć się jak stwórca, żeby nie czuć się nikim.

Potrzebował uznania innych ludzi, tego samego bezapelacyjnego uznania, które w tej choćby chwili mógł wyczytać z oczu Larry'ego Owena, gdy zwracał się z zapytaniem: - Czy zdecydowałeś się na podwójny, czy potrójny bypass?

To pytanie przywróciło Thomasa do rzeczywistości.

- Dobrze przygotowanie - stwierdził Thomas, oceniając robotę Larry'ego. - Możemy zrobić potrójny, jeśli tylko mamy wystarczającej długości żyłę odpiszczelową.

- Więcej niż wystarczającej - z przekonaniem oświadczył Larry. Przed otwarciem klatki piersiowej Larry wyciął starannie kawałek żyły z nogi Campbella.

- W porządku - autorytatywnie stwierdził Thomas. - Wobec tego zaczynamy. Czy pompa jest gotowa?

- Gotowa - zameldował Phil Baxter, sprawdzając skale i liczniki.

- Kleszcze i skalpel - zażądał Thomas.

Szybko, choć bez pośpiechu, Thomas rozpoczął swoją pracę. Pacjentowi podłączono płucoserce na okres mierzony zaledwie w minutach. Każdy ruch Thomasa był przemyślany i celowy. Jego znajomość anatomii była niemal encyklopedyczna, posiadał wycucie każdej tkanki. Zakładał szwy z niesłychaną precyzją, dostarczając obserwującym go chirurgom

wręcz wizualnej satysfakcji. Każdy szew znalazł się na właściwym miejscu. Tak wiele wykonał bypassów, że robił to już niemal mechanicznie. Niemniej zawsze towarzyszyło mu to samo podniecenie.

Kiedy skończył i nie dostrzegł nigdzie nadmiernego krwawienia, odstąpił od stołu i ściągnął rękawice.

- A teraz możesz go zeszyć, Larry - powiedział odwracając się ku wyjściu. - Będę do dyspozycji w razie potrzeby. Już za drzwiami do jego uszu doszedł szmer ogólnego uznania. O tej porze dnia po południu korytarz był pełen ludzi. Większość z trzydziestu sześciu sal operacyjnych była stale zajęta: wciąż do nich wwożono bądź wywożono pacjentów, przy czym zajętych było mnóstwo osób. Thomas przebijał się przez ten tłum, słysząc od czasu do czasu wypowiedziane z respektem swoje nazwisko.

Gdy mijał wiszący na korytarzu zegar, uświadomił sobie, że „załatwił” Campbella w ciągu niecałej godziny. Tego dnia przeprowadził trzy operacje w czasie, w którym większość chirurgów byłaby w stanie przeprowadzić tylko jedną, najwyżej dwie.

Thomas doszedł do wniosku, że mógłby na dziś zaplanować jeszcze jedną operację, ale wnet uprzytomnił sobie, że byłoby to niemożliwe ze względu na odbywającą się w każdy piątek po południu konferencję kardiochirurgów. Był to stosunkowo świeży pomysł szefa oddziału, doktora Normana Ballantine’a: Thomas brał w niej udział nie dlatego, że mu to nakazano, ale ze względu na fakt, iż konferencja stała się czymś w rodzaju zarządu oddziału kardiochirurgii. Na samą myśl o tym Thomasa ogarniała dzika pasja.

- Doktorze Kingsley! - jakiś ostry głos przerwał mu tok myślenia.

Spojrzał w kierunku, skąd pochodził głos: piórem trzymany w palcach machała na niego Priscilla Grenier, apodyktyczna dyrektorka sal operacyjnych. Thomas miał dla niej względy, gdyż w swą pracę wkładała dużo serca. To wcale nie jest proste - zapewnić idealne

funkcjonowanie trzydziestu sześciu sal operacyjnych. Nie lubił jednak, kiedy próbowała się wtrącać w jego sprawy, co robiła dość chętnie. Zawsze zwracała się do niego z jakimś zleceniem lub pouczeniem.

- Doktorze Kingsley - zawołała. - W poczekalni znajduje się córka pana Campbella. Jest pan proszony o rozmowę z nią jeszcze przed przebraniem się. - Nie czekając na odpowiedź, wróciła do swojego biura.

Thomas z trudnością pohamował ogarniającą go irytację. Szedł przez hall szpitalny już bez tej euforii, z którą wychodził z sali operacyjnej. Ostatnio zauważył, że dobry nastrój, który mu towarzyszył po każdej operacji, opuszczał go coraz szybciej.

Początkowo nie miał zamiaru zastosować się do zalecenia Priscilli - chciał się najpierw przebrać i dopiero potem pójść na spotkanie z córką Campbella. Przypomniał sobie jednak, że do momentu powrotu pacjenta do jego pokoju, na wypadek nieprzewidzianych komplikacji powinien pozostać w ubraniu szpitalnym.

Mocno pchnął drzwi prowadzące do przebieralni. Z szafy z ubraniami wydobył długi biały fartuch i zarzucił go na siebie. Jak wiele nerwów kosztują go sprawy, które nie powinny mieć miejsca! Poziom pielęgniarek strasznie się obniżył. A ta Priscilla Grenier! Jeszcze nie tak dawno podobni jej ludzie mieli dla niego więcej respektu. A te przymusowe piątkowe konferencje... Mój Boże!

Zdenerwowany udał się do poczekalni. Był to stosunkowo nowy lokal, uzyskany przez szpital po przebudowaniu starego magazynu. W związku z gwałtownym wzrostem liczby przeprowadzanych operacji serca, postanowiono oddać do użytku specjalny pokój, w którym mogliby przebywać członkowie rodzin operowanych pacjentów. Był to pomysł jednego z pracowników administracji i okazało się to niezwykle trafnym i szczęśliwym rozwiązaniem. Kiedy Thomas wszedł do gustownie urządzonego pokoju o jasnoniebieskich ścianach,

jego uwagę zwróciła scena rozgrywająca się w kącie.

- Ale dlaczego, dlaczego? - krzyczała niewysoka, oszalała z bólu kobieta.

- Cicho już, cicho - mówił doktor George Sherman, usiłujący ją uspokoić. - Jestem pewien, że uczyniono wszystko, żeby ocalić Sama. Wiadomo, że miał chore serce. To, co się stało, mogło stać się w każdej chwili.

- Ale on był taki szczęśliwy w domu. Trzeba go było zostawić w spokoju. Dlaczego zgodziłam się na przewiezienie go tutaj? Pan mówił, że istnieje pewne ryzyko związane z operacją, ale nie było mowy o ryzyku podczas cewnikowania. O Boże...

Reszta słów utonęła w szlochu. Kobieta zachwiała się i doktor Sherman był zmuszony ją podtrzymać.

Thomas rzucił się na pomoc koledze i wsparł kobietę z drugiej strony. Wymienił spojrzenia z George'em, który wzniosł wymownie oczy. Thomas nie miał zbyt wielkiego respektu dla doktora Shermana, ale w tej sytuacji poczuwał się do obowiązku okazania mu pomocy. Razem posadzili na krześle zrozpaczoną matkę, która ukryła twarz w dłoniach, a szloch wstrząsał jej pochylonymi ramionami.

- Jej syn zmarł w gabinecie rentgenowskim podczas cewnikowania serca - szepnął George. - Był opóźniony w rozwoju, miał także inne problemy ze zdrowiem.

Zanim Thomas zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do pokoju wszedł ksiądz i jeszcze jakiś mężczyzna, najwidoczniej mąż kobiety. Objęli ją serdecznie i to najwidoczniej dodało jej sił. Wszyscy pośpiesznie opuścili poczekalnię.

George wyprostował się. Sytuacja najwyraźniej go zbulwersowała. Thomas miał ochotę powtórzyć pytanie kobiety, dlaczego chłopca zabrano z miejsca, w którym był szczęśliwy, ale zabrakło mu odwagi.

- Co za życie - westchnął George.

Thomas przebiegł oczami twarze pozostałych osób. Wszyscy patrzyli na niego z życzliwością i obawą. Byli to najbliżsi krewni operowanych pacjentów i scena, której byli świadkami, dodatkowo ich zaniepokoiła. Thomas spojrzał na córkę Campbella. Siedziała tuż przy oknie blada i niespokojna, z łokciami wspartymi na kolanach i złożonymi rękami.

Widział ją już raz w swoim biurze i pamiętał, że miała na imię Laura. Była przystojną kobietą około trzydziestki, miała kasztanowe włosy spięte do tyłu w długi koński ogon.

- Operacja przebiegła pomyślnie - powiedział do niej łagodnie. W odpowiedzi zerwała się na nogi i zarzuciła mu ramiona na szyję. - Dziękuję panu - powiedziała wybuchając łzami.  
- Bardzo panu dziękuję.

Thomas stał w miejscu sztywno, zakłopotany tym przejawem wdzięczności. Jej zachowanie zaskoczyło go. Uprzytomnił sobie, że obecni w pokoju ludzie ich obserwują, próbował więc uwolnić się z uścisku, lecz bezskutecznie. Thomas przypomniał sobie, że po jego pierwszej pomyślniej operacji serca rodzina Nazzaro okazywała mu swoją wdzięczność w podobnie żywiołowy sposób. Wtedy Thomas szczerze uczestniczył w ich radości. Było to dla niego wyjątkowo mocne przeżycie, które teraz wspominał z nostalgią. Obecnie jego reakcje były bardziej skomplikowane. Często przeprowadzał od trzech do pięciu operacji dziennie. Najczęściej wiedział bardzo niewiele o swoich pacjentach - tylko niezbędne dane fizjologiczne. Campbell był tego dobrym przykładem.

- Tak bardzo chciałabym zrobić coś dla pana - szepnęła Laura, zaciskając mocniej ramiona na jego szyi. - Cokolwiek.

Thomas obrzucił spojrzeniem wypukłość jej pośladków, uwydatniającą się pod jedwabną sukienką. Zakłopotany czuł ciepło przyciśniętych do niego ud i wiedział, że musi się od niej uwolnić.

Stanowczo wyswobodził się z obejmujących go ramion.

- Rano będzie pani mogła rozmawiać ze swoim ojcem - powiedział.

Skinęła głową, nagle zawstydzona swoim zachowaniem.

Thomas wyszedł z poczekalni z uczuciem dziwnego, niezrozumiałego niepokoju.

Zastanawiał się, czy jego źródłem było zmęczenie, którego wcześniej, po przeprowadzonej nocą operacji, przecież nie odczuwał. Zdjął biały kitel i próbował otrząsnąć się z przykrego nastroju.

Zanim się przebrał, Thomas odwiedził swoich pacjentów - Victora Marlborough i

Gwendolena Hasbrucka w sali pooperacyjnej. Stan obu poprawiał się, ale spoglądając w ich twarze nie mógł się wyzbyć niepokoju: w tłumie nie poznałby tych ludzi, chociaż zaledwie kilka godzin temu trzymał ich serca w swojej dłoni.

Zdenerwowany i zirytowany wrócił do pokoju chirurgów. Nie przepadał za kawą, ale nalał sobie pełną filiżankę i wypił w jednym z obitych skórą foteli. Podniósł leżący na podłodze egzemplarz „Boston Globe”, bardziej z zamiarem odseparowania się od obecnych w pokoju osób, niż lektury. Thomas nie cierpiał przypadkowych rozmów z personelem swojego oddziału. Ale tym razem mu się nie udało.

- Dziękuję za pomoc w poczekalni - usłyszał głos.

Złożył gazetę i spojrzął w kwadratową twarz George’a Shermana. Miał gęsty zarost i o tej popołudniowej porze mogło się wydawać, że zapomniał się rano ogolić. Był krępy, atletycznie zbudowanym mężczyzną, o trzy do pięciu centymetrów niższym od Thomasa, ale dzięki bujnej kręconej czuprynie wyglądał na równego mu wzrostem. Ponieważ zdążył się już przebrać, był w niebieskiej rozpiętej koszuli, która nigdy nie zaznała żelazka; na szyi miał krawat, a wytarta na łokciach sztruksowa marynarka wisiała luźno na plecach.

George Sherman mimo swoich czterdziestu lat nigdy dotąd nie był żonaty. Pozostali chirurdzy stanu wolnego byli albo rozwiedzeni, albo żyli w separacji. George cieszył się

szczególным powodzeniem wśród młodych pielęgniarek; lubiły go prowokować, ofiarowując mu różnego rodzaju pomoc w prowadzeniu domu. George traktował te oferty z poczuciem humoru, chętnie je wykorzystując, co Thomasa doprowadzało do irytacji.

- Biedna kobieta była bardzo wstrząśnięta śmiercią syna - stwierdził Thomas.

Powstrzymał się od komentarza na temat celowości przyjmowania do szpitala tego rodzaju pacjentów. Znowu rozłożył gazetę.

- W tym przypadku nastąpiły niespodziewane komplikacje - oświadczył nie speszony

George. - Rozumiem, że ta ładna gąska w poczekalni jest córką twojego pacjenta.

Thomas znowu złożył gazetę.

- Nie zauważyłem, żeby była szczególnie atrakcyjna - stwierdził krótko.

- Wobec tego może udostępnisz mi jej nazwisko i numer telefonu? - chichocząc

zapropował George, a gdy Thomas nie zareagował, taktownie zmienił temat. - Czy

słyszałeś, że jeden z pacjentów Ballantine'a zmarł w nocy?

- Tak - odpowiedział Thomas.

- Podobno facet był homoseksualistą - ciągnął George.

- Tego nie wiedziałem - odparł Thomas nie wykazując żadnego zainteresowania. - Nie

wiedziałem także, że homoseksualizm ma cokolwiek wspólnego z zabiegiem chirurgicznym.

- Powinien mieć.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zobaczysz dlaczego - odpowiedział George, unosząc wysoko brwi. - Jutro, w Grand Rounds.

- Nie mogę czekać - oświadczył Thomas.

- Do zobaczenia po południu na konferencji, kolego - zakończył rozmowę George,

klepiąc przyjacielsko Thomasa w ramię.

Thomas odprowadził go niechętnym wzrokiem. Nie lubił być poklepywany - uważał, że cierpi na tym jego autorytet. Tymczasem George przyłączył się do grupy stażystów i pielęgniarek siedzących przy oknie. Śmiech i podniesione głosy dochodziły stamtąd do uszu Thomasa bez przerwy. Jak nigdy przedtem, czuł w tej chwili, że nie cierpi George'a Shermana. Był przekonany, że George'owi były potrzebne choćby pozory sukcesów, żeby ukryć za nimi mierność zawodową. To wszystko było Thomasowi tak dobrze znane. Jednym z pozornie tylko nieświadomych grzechów obciążających duże akademickie centra medyczne był fakt, że wszystkie nominacje w tych ośrodkach miały charakter bardziej polityczny niż merytoryczny. Tak było właśnie z nominacją George'a. Był człowiekiem dowcipnym, rozmownym, łatwo nawiązywał kontakty. Najważniejsze jednak, że potrafił prosperować na gruncie biurokratycznego systemu zarządzania medycyną. Bardzo szybko zorientował się, że dla odniesienia sukcesu ważniejsza jest znajomość Machiavellego niż Halsteda.

Thomas wiedział doskonale, że problem tkwi w antagonizmie między lekarzami posiadającymi szeroką prywatną praktykę i pieniądze a ludźmi typu George'a Shermana, zatrudnianymi przez uczelnie medyczne na etatach i utrzymującymi się przede wszystkim z pensji wypłacanych im przez uczelnie. Ci pierwsi posiadają znacznie wyższe dochody i korzystają z większej swobody osobistej - nie muszą podporządkowywać się żadnym zwierzchnikom, drudzy natomiast mają znakomite tytuły naukowe, ale mniej pieniędzy i swobody.

Szpital znalazł się pośrodku tego antagonizmu. Z jednej strony ceniono bardzo wysokie kwalifikacje zawodowe lekarzy uprawiających prywatną praktykę i zarabiających duże pieniądze, z drugiej zaś chętnie korzystano z przywilejów, jakie zapewniał placówce wysoki status w ważnym ogniwie uniwersyteckiego systemu kształcenia kadr medycznych.

- Zamknęliśmy klatkę Campbella - z zamyślenia wyrwał Thomasa Larry. - Obecnie



stażyści zszywają skórę. Wszystko bez zmian i w normie.

Odłożywszy na bok gazetę, Thomas podniósł się z miejsca i poszedł za Larrym do przebieralni. Przechodząc obok George'a usłyszał, że mówi on o powołaniu nowego komitetu do spraw nauczania. W ten sposób można bez końca! Thomas nie ugiął się pod naciskiem George'a, który był kierownikiem zespołu dydaktycznego, ani Ballantine'a jako szefa oddziału, usiłujących namówić go do porzucenia praktyki zawodowej i przyjęcia profesury, którą próbowano go skusić. Być może wcześniej taka propozycja by go zainteresowała, ale teraz woli trzymać się swojej praktyki, niezależności i wysokich zarobków. Wiedział dobrze, że jeśli przyjmie etat, to rychło znajdzie się w sytuacji, że kto inny będzie decydował, kogo mu wolno operować, a kogo nie.

Zdenerwowany wszedł do szatni i otworzył swoją szafkę. Gdy ściągał szpitalną odzież i rzucił zmiętą do kosza z brudami, przypomniał sobie przyciskające się do niego, uległe ciało Laury Campbell. To przyjemne wspomnienie uśmierzyło nieco poszarpane nerwy. Dobry nastrój po przeprowadzonej operacji już dawno go opuścił, czuł narastające napięcie.

- Jak zwykle, również i dzisiaj wykonałeś wspaniałą robotę - powiedział Larry, pragnąc poprawić mu humor.

Thomas nie zareagował na pochwałę. Dawniej przyjąłby ją z zadowoleniem, obecnie była mu zupełnie obojętna.

- Ludzie nie zdają sobie sprawy, co to jest chirurgia - ciągnął Larry zapinając koszulę.

- Mają o niej zupełnie wypaczone pojęcie. Gdyby było inaczej, bardziej starannie dobieraliby sobie chirurgów.

Thomas milczał, choć się z tym całkowicie zgadzał. Wkładając koszulę myślał o

Normanie Ballantine, siwowłosym, sympatycznym starym doktorze, którego wszyscy lubili i dobrze się o nim wyrażali. Ballantine nie powinien był już operować, ale nikt nie śmiał mu

tego powiedzieć w oczy. Było powszechnie wiadome na oddziale, że do każdego pacjenta Ballantine'a przydzielano stażystę, który w razie potrzeby pomagał szefowi. Jeszcze jeden przyczynek do akademickiej medycyny - myślał Thomas. Dzięki stażystom Ballantine osiągał przyzwoite wyniki, a jego pacjenci i ich rodziny uwielbiały go bez względu na to, co się działo podczas operacji.

Dlatego Thomas zgadzał się z opinią Larry'ego. Myślał, że to właściwie on, Thomas Kingsley, powinien być szefem oddziału. Przecież to właśnie on, na miłość boską, przeprowadzał większość operacji. To jemu szpital zawdzięcza swoją dobrą sławę - pisał o tym nawet kiedyś „Time”.

Właściwie Thomas sam nie wiedział, czy zależy mu jeszcze na stanowisku szefa oddziału. Kiedyś ciągle o tym myślał. Był to jeden z powodów, dla których stać go było na duży wysiłek i poświęcenie. Wydawało się, że taka powinna być naturalna kolej rzecz i koledzy często o tym rozmawiali, kiedy jeszcze nie był sławny. Ale tak było kilka lat temu, zanim administracyjne łajno podniosło swoją obrzydliwą głowę i zaczęło wtrącać się do wszystkiego.

Thomas zamarł na chwilę w bezruchu i patrzył przed siebie. Czuł pustkę. Jeden z głównych celów jego życia stracił dla niego swoją atrakcyjność właśnie teraz, gdy znalazł się w zasięgu ręki. Być może nie było już o co walczyć, być może osiągnął już swoje apogeum.

Boże, co za straszna myśl!

- Z przykrością dowiedziałem się, że twoja żona ma problemy ze zdrowiem - odezwał się znowu Larry. - To naprawdę bardzo przykre.

- Co... masz... na... myśli? - zapytał Thomas umyślnie akcentując każde słowo.

Zdenerwowało go, że zwykle taktowny Larry pozwolił sobie na taką poufałość.

Larry, jakby nie rozumiejąc reakcji Thomasa, pochylił się, aby zawiązać pantofle. -

Myślę o jej cukrzycy i problemach ze wzrokiem. Słyszałem, że grozi jej operacja oka.

- Operacja nie jest przesądzona - uciął Thomas.

Słyszając nutę gniewu w głosie chirurga, Larry uniósł głowę i spojrzał na kolegę. -

Przepraszam, że poruszyłem ten temat. Rozumiem, że to przeżywasz. Nie wiedziałem, że jej cokolwiek dolega.

- Moja żona czuje się doskonale - oświadczył z gniewem Thomas. - Ponadto nie sądzę, aby jej stan zdrowia mógł cię obchodzić.

- Przepraszam bardzo.

Zapanowała chwila kłopotliwej ciszy, podczas której Larry szybko kończył zawiązywanie butów. Thomas poprawił krawat i skropił się wodą kolońską, wykonując przy tym gwałtowne ruchy.

- Skąd masz te wiadomości? - zapytał.

- Od Roberta Seiberta, stażysty z patologii - odparł Larry. Larry zamknął szafkę i skierował się ku wyjściu, oznajmiając, że idzie do sali pooperacyjnej.

Thomas tymczasem stał przed lustrem i czesząc włosy próbował się uspokoić. To stanowczo nie był dobry dzień. Jakby wszyscy zmówili się przeciwko niemu i chcieli go wyprowadzić z równowagi! Stan zdrowia jego żony tematem rozmów między stażystami - nie wyobrażał sobie nic bardziej irytującego i upokarzającego.

Gdy odkładał do szafki grzebień, spostrzegł małą plastikową buteleczkę. Czując wzrost wewnętrznego napięcia i początki bólu głowy, otworzył ją. Przełamał jedną z żółtych tabletek na dwie połowy i włożył jedną z nich do ust; po małej chwili wahania połknął również drugą.

Tabletka był gorzka, zachciało mu się pić. Niemal natychmiast poczuł ulgę i odprężenie.

Piątkowa popołudniowa konferencja kardiochirurgów odbywała się w sali wykładowej imienia Turnera, naprzeciwko oddziału intensywnej terapii. Urządzona w stylu *art deco* była darem żony zmarłego pod koniec lat trzydziestych J. P. Turnera. W sali było sześćdziesiąt miejsc siedzących - tyle, ile liczyła połowa jednego rocznika na uczelni medycznej w 1939 roku. Na przodzie znajdowało się podium, za nim pokryta kurzem tablica, na ścianach wisiały stare plansze z wykresami anatomii człowieka, w kącie zaś stał ludzki szkielet.

Cotygodniowe konferencje kardiochirurgów odbywały się właśnie tutaj, gdyż było stąd blisko do chorych leżących na oddziale kardiochirurgii, a przecież - jak się wyraził doktor Ballantine - „pacjenci są dla nas najważniejsi”.

Trzeba jednak przyznać, że mała - bo licząca zaledwie około dwunastu osób - grupa lekarzy wyglądała na nieco zagubioną wśród ogromnej liczby wolnych miejsc i czuła się wyraźnie nieswojo za skromnymi pulpitemi.

- Sądzę, że powinniśmy już rozpocząć - powiedział głośno doktor Ballantine, starając się przekrzyczeć gwar rozmów. Wszyscy zajęli miejsca. Na posiedzenie przyszło sześciu spośród ośmiu kardiochirurgów, łącznie z Ballantine'em, Shermanem i Kingsley'em, kilku innych lekarzy, a także pracowników administracji. Po raz pierwszy w konferencji uczestniczył świeżo zatrudniony w szpitalu filozof Rodney Stoddard.

Thomas z uwagą przyglądał się Stoddardowi. Filozof wyglądał na niespełna trzydzieści lat, mimo że był już prawie całkowicie łysy; pozostałe włosy miał tak jasne, że trudno było je dostrzec. Nosił okulary w drucianej oprawie i miał wyraz twarzy człowieka zadowolonego z siebie. Thomas odniósł wrażenie, jakby fizjonomia Stoddarda głosiła wszem wobec: - Wiem wszystko, znam rozwiązanie wszystkich waszych problemów.

Stoddard został zatrudniony dzięki natarczywej rekomendacji uniwersytetu. Jeszcze

nie tak dawno chirurdzy czuli się zobowiązani do operacyjnego leczenia wszystkich zgłaszających się pacjentów. Ostatnio jednak, wraz z pojawieniem się nowych technik leczenia, takich jak operacje na otwartym sercu, transplantacje i zastosowanie sztucznych organów, szpitale zostały zmuszone do wprowadzenia selekcji wśród kandydatów do operacji.

Czynnikiem ograniczającym zasięg ich działalności były wysokie koszty tych technik medycznych, jak również niewystarczająca liczba miejsc w wyspecjalizowanych placówkach pooperacyjnej rekonwalescencji. W kwestii wyboru pacjentów opinia się podzieliła. Jeśli personel nauczający faworyzował osoby z licznymi skomplikowanymi schorzeniami, które najczęściej nie rokowały dużych nadziei na wyleczenie, to lekarze praktycy, tacy jak Thomas, skłonni byli operować przede wszystkim osoby nie posiadające innych - poza chorobą serca - dolegliwości.

Patrząc na Rodney'a Thomas uśmiechnął się ukradkiem z ironią. Wyobraził sobie, jak poczułby się ten tak bardzo pewny siebie człowiek, gdyby wypadło mu wziąć do ręki ludzkie serce. Musiałby wtedy decydować, a nie pozorować. Obecność Rodney'a na konferencji była dla Thomasa jeszcze jednym dowodem tego, że medycyna coraz bardziej grzęźnie w biurokratycznym bagnie.

- Zanim jednak zaczniemy - oznajmił Ballantine rozkładając ręce, jakby chciał uspokoić zebranych - pragnę upewnić się, czy wszyscy czytali artykuł w ostatnim numerze tygodnika „Time”, w którym nasz szpital został wysoko oceniony jako ośrodek chirurgii serca. Sądzę, że na taką ocenę jak najbardziej zasłużyliśmy i chcę podziękować wszystkim tu obecnym lekarzom, jak również personelowi pomocniczemu. - Powiedziawszy to Ballantine zaklaskał w dłonie, za jego przykładem poszedł George i kilka innych osób.

Siedzący blisko drzwi, na wypadek gdyby był potrzebny swoim pacjentom, Thomas

przeżywał moment głębokiej satysfakcji. Ballantine i jego zausznicy przypisywali sobie w tej chwili zasługi jego i jeszcze dwóch innych nieobecnych na konferencji lekarzy. Wybierając chirurgię jako swoją specjalność na studiach był głęboko przekonany, że w ten sposób uda mu się uniknąć ugrzęźnięcia w biurokratycznym bagnie, które towarzyszyło większości innych profesji, gdy jednak rozejrzał się po sali, uprzytomnił sobie, że niemal wszyscy tu obecni mieli prawo wtrącać się do jego pracy w związku z ograniczoną liczbą sal operacyjnych i łóżek szpitalnych. Szpital zdobył sobie tak wielką renomę, iż niemal każdy chory chciał być operowany właśnie tutaj. Ludzie oczekiwali więc w kolejce na przyjęcie do szpitala, szczególnie na możliwość zostania pacjentem doktora Kingsley'a. Tymczasem Thomas mógł przeprowadzać tylko dziewiętnaście operacji tygodniowo i w tej chwili jego przyszli pacjenci musieli czekać cały miesiąc.

- Podczas gdy George będzie rozdawał harmonogram przyszłego tygodnia, ja spróbuję podsumować miniony tydzień - powiedział Ballantine, przesuwając plik papierów w kierunku George'a.

Mówił jeszcze coś dalej monotonię, ale Thomas skoncentrował całą uwagę na harmonogramie. Listę jego pacjentów sporządzała pielęgniarka, która przekazywała ją - wraz z niezbędnymi informacjami - sekretarce Ballantine'a, ta zaś opracowywała całość. Powstały w ten sposób harmonogram zawierał zwięzłą historię choroby każdego pacjenta, jego podstawowe dane diagnostyczne i uzasadnienie konieczności przeprowadzenia operacji. Każdy z obecnych na konferencji lekarzy mógł dodatkowo scharakteryzować pacjenta i umotywić potrzebę operacji. Thomas bardzo starannie przeglądał plan operacji, ponieważ kiedyś się zdarzyło, że w czasie jego nieobecności oddział anestezjologii spowodował skreślenie kilku jego pacjentów, co stało się przyczyną wielkiej awantury. Gdy jednak do jego uszu dotarło słowo „śmierć”, uniósł głowę znad papierów.

- Niestety, mieliśmy w tym tygodniu dwa przypadki śmierci naszych pacjentów -

kontynuował Ballantine. - Pierwszy dotyczył Alberta Bigelowa, osiemdziesięciodwuletniego dżentelmena, który - jak się okazało - nie mógł zostać odłączony od pompy po podwójnej wymianie zastawki. Był operowany w trybie nagłym. - Czy posiadamy już wyniki sekcji jego zwłok, George?

- Jeszcze nie - odparł George. - Należy dodać, że przypadek Bigelowa był bardzo ciężki. Alkoholizm mocno nadwerżył wątrobę. Operując go, podjęliśmy duże ryzyko. Można było coś zyskać albo stracić.

Zapanowała cisza. Thomas pomyślał z sarkazmem, że przedwczesna śmierć Bigelowa wywołała „burzliwą dyskusję”. Najbardziej irytujący był jednak fakt, że tego rodzaju pacjenci wydłużali oczekiwanie innych jego pacjentów na operację.

Ballantine rozejrzał się wokół, nie dostrzegł jednak nikogo, kto by chciał zabrać głos.

- Drugi przypadek śmierci dotknął mojego pacjenta, pana Wilkinsona, który zmarł ubiegłej nocy. Dziś rano dokonano sekcji zwłok.

Thomas zauważył spojrzenie, jakie Ballantine rzucił George'owi, który niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową.

Ballantine odchrząknął i oświadczył, że oba przypadki zostaną przedyskutowane na następnej konferencji.

Thomas zastanawiał się, co może oznaczać to niezrozumiałe, milczące porozumiewanie się obu lekarzy. Przypomniawszy sobie tajemniczą uwagę rzuconą przez George'a w pokoju chirurgów. Mimo woli pokręcił głową.

Najwyraźniej coś łączyło Ballantine'a i George'a, coś, co zaniepokoiło Thomasa.

Ballantine zajmował wyjątkową pozycję w świecie lekarskim. Jako szef oddziału chirurgii, zatrudniony na uniwersytecie i posiadający jednocześnie własną praktykę lekarską, był

swojego rodzaju reliktem przeszłości, łączącym lekarzy zatrudnionych na uniwersyteckich etatach z lekarzami uprawiającymi prywatną praktykę. Ostatnio jednak Thomas odnosił wrażenie, że Ballantine, którego sprawność jako chirurga wyraźnie spadła, zaczął wyżej stawiać profesorskie splendory niż prywatną praktykę. Gdyby tak rzeczywiście było, mogłoby to oznaczać zachwianie dotychczasowej równowagi między rywalizującymi ze sobą grupami.

- Teraz proszę o zapoznanie się z ostatnią stroną harmonogramu - oświadczył doktor Ballantine. - Chciałbym zwrócić uwagę na zmianę w planie operacji na przyszły tydzień.

Rozległ się szelest przewracanych kartek papieru. Thomas również zajął się odszukiwaniem ostatniej strony. Nigdy nie lubił zmian w swoich planach.

Ostatnia strona została podzielona w pionie na cztery równe kolumny, z których każda odnosiła się do jednej z czterech sal operacyjnych. Poziomo strona była podzielona na pięć dni tygodnia. Wewnątrz każdej kratki widniały nazwiska operujących tego dnia chirurgów. Thomas operował zazwyczaj w sali numer 18. Będąc najsprawniejszym wśród chirurgów, operował aż cztery razy dziennie z wyjątkiem piątku, kiedy ze względu na konferencję przeprowadzał tylko trzy operacje. Przede wszystkim więc Thomas zainteresował się planem operacji w osiemnastce. Patrzył i nie wierzył oczom. Plan przewidywał dla niego tylko trzy operacje każdego dnia. Oznaczało to cztery operacje mniej w ciągu tygodnia!

- Uniwersytet upoważnił nas do dodatkowego zatrudnienia w pełnym wymiarze godzin jeszcze jednego, prowadzącego działalność dydaktyczną chirurga - z dumą oświadczył Ballantine - w związku z czym poszukujemy kardiochirurga dziecięcego. Oznacza to, oczywiście, duży krok naprzód w pracy naszego oddziału. Biorąc pod uwagę nową sytuację, postanowiliśmy rozszerzyć działalność dydaktyczną o cztery dodatkowe operacje w ciągu tygodnia.

- Doktorze Ballantine - odezwał się Thomas z trudem panując nad nerwami - jak



wynika z harmonogramu, to właśnie mój plan został uszczuplony o te cztery operacje. Czy mam prawo sądzić, że chodzi tu tylko o najbliższy tydzień?

- Nie - odpowiedział Ballantine. - Ten nowy układ będzie obowiązywał aż do odwołania.

Thomas zaczerpnął do płuc powietrza. - Niestety, muszę zaprotestować przeciwko takiemu rozwiązaniu. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ta innowacja została wprowadzona wyłącznie moim kosztem.

- Chodzi o to, że do ciebie należy czterdzieści procent czasu w salach operacyjnych - wtrącił George. - A to jest szpital funkcjonujący w ramach systemu kształcenia lekarzy.

- Ja również prowadzę działalność dydaktyczną - uciął Thomas.

- Pamiętamy o tym - oświadczył Ballantine. - Nie chodzi tu jednak o żadne personalne rozgrywki, tylko o bardziej wyrównany podział czasu w salach operacyjnych.

- Mam w tej chwili tylu oczekujących pacjentów, że mogę nimi wypełnić swój plan na cały miesiąc - stwierdził Thomas. - Nie są to pacjenci przydatni dla celów dydaktycznych. W ogóle brak nam takich pacjentów, którymi moglibyśmy wypełnić czas dydaktyczny, jakim aktualnie dysponujemy.

- Nie martw się o to - odparł George - znajdziemy takich. Thomas rozumiał doskonale, o co w tym wszystkim chodzi: wielu lekarzy - a wśród nich George - zazdrościło mu liczby wykonywanych operacji, a co za tym idzie - pieniędzy, które zarabiał. Chętnie wstałby w tej chwili z miejsca, podszedł do George'a i wymierzył mu policzek. Rozejrzawszy się zauważył, że wszyscy pozostali uczestnicy konferencji zajęli się w tym momencie pilnym przeglądaniem swoich notatek i wertowaniem papierów. Pojął, że nie może w żadnym wypadku liczyć na poparcie tych ludzi.

- Wszyscy musimy zrozumieć - tłumaczył Ballantine - że stanowimy część składową

systemu uniwersyteckiego. Wychowanie nowych kadr lekarskich jest naszym ważnym zadaniem. Jeśli pacjenci ponaglają nas, można ich operować gdzie indziej.

Wściekłość Thomasa nie miała granic. Wszyscy dobrze wiedzieli, że nie mógł się przenieść - ot tak, po prostu - do innego szpitala. Współczesna medycyna wymaga od kardiochirurga współpracy z wykształconym i doświadczonym zespołem. Thomas zbudował taki zespół w Boston Memorial - zespół, z którym był związany i od którego był uzależniony. Priscilla Grenier wtrąciła, że istnieje możliwość oddania do użytku dodatkowej sali, pod warunkiem znalezienia środków na zakup jeszcze jednego płucoserca i na zatrudnienie dodatkowego technika.

- To jest myśl - stwierdził doktor Ballantine. - Sądzę, Thomas, że mógłbyś objąć przewodnictwo nad zespołem, który zająłby się rozpatrzeniem tej propozycji.

Thomas podziękował Ballantine'owi, ograniczając sarkazm swojej odpowiedzi do minimum. Oświadczył, że przy obecnym obciążeniu pracą nie może przyjąć propozycji od razu, ale że się nad nią zastanowi. W tej chwili jego głównym zmartwieniem są pacjenci, którzy mogą umrzeć, zanim znajdzie się dla nich czas w sali operacyjnej. Są to ludzie posiadający dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na przeżycie, a których życie zostało tutaj poświęcone dla zaspokojenia profesorskich ambicji kilku sklerotyków!

Po oświadczeniu Thomasa konferencja została odroczone.

Hamując wciąż nurtującą go wściekłość, Thomas podszedł do Ballantine'a.

- Czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

- Naturalnie - odparł Ballantine.

- Na osobności.

- Idę teraz na salę intensywnej terapii - powiedział George pojednawczym tonem. -

Będę w swoim biurze, gdybyście mnie potrzebowali. - Na pożegnanie George poklepał lekko

Thomasa po ramieniu.

Zdaniem Thomasa Ballantine przedstawiał sobą hollywoodzki typ lekarza; miał bujną strzechę siwych włosów zaczesanych do tyłu i porytą zmarszczkami, opaloną, piękną twarz. Ogólny efekt psuły tylko zbyt wielkie uszy. Thomas miał wielką ochotę złapać za nie i mocno wytarmosić.

- Słuchaj, Thomas - odezwał się Ballantine - nie życzę sobie sprzeczek wokół tej sprawy. Musisz zrozumieć, że uniwersytet wywiera na mnie nacisk, byśmy więcej czasu w salach operacyjnych poświęcali dydaktyce. Zwłaszcza teraz, po tym artykule w „Time”. Tego rodzaju reklama może się nam bardzo przydać. George ma rację mówiąc, że ty dysponujesz nieproporcjonalnie dużą ilością czasu w sali operacyjnej. Przepraszam cię bardzo, że mówimy o tym przy tego rodzaju okazji, ale...

- Ale co?

- Ty prowadzisz prywatną praktykę - zaznaczył Ballantine. - Jeśli zgodzisz się przejść na etat, mogę ci zagwarantować pełną profesurę i...

- Tytuł asystenta profesora kliniki w zupełności mi wystarcza - przerwał mu Thomas.

Nagle wszystko stało się dla niego jasne. Nowy harmonogram był kolejną próbą wywarcia nacisku, żeby zrezygnował z prywatnej praktyki.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że mój następcą na stanowisku szefa oddziału kardiochirurga musi być pracownikiem etatowym.

- Wobec tego rozumiem, że mam traktować to ograniczenie moich godzin w sali operacyjnej jako fakt dokonany? - zapytał Thomas, ignorując sugestię Ballantine'a.

- Przykro mi, Thomas, ale tak. Chyba że otrzymamy jeszcze jedną salę, ale to - jak ci wiadomo - nieprędko może nastąpić.

Thomas gwałtownie odwrócił się ku wyjściu.

- Rozumiem, że pomyślisz jeszcze o przejściu na etat - zawołał za nim Ballantine.

- Zastanowię się - odpowiedział już przy drzwiach Thomas, ale wiedział, że nie mówi prawdy.

Wyszedł z sali wykładowej i zbiegł po schodach na niższe piętro. Tutaj przystanął, zamknął oczy i trzymając się poręczy trząsł się jak w gorączce. Ale to trwało krótko. Po chwili wyprostował się, odzyskał panowanie nad sobą. Zawsze kierował się rozsądkiem i był przeciwny biurokratycznym wynaturzeniom. Między Ballantine'em a Shermanem musi istnieć jakieś tajemnicze porozumienie. Teraz już wiedział, o co im chodzi, nie był tylko pewien, czy wie wszystko. Prawdopodobnie chodzi nie tylko o zmianę w harmonogramie - nie mógł się wyzbyć niepokoju, że za tym kryje się jakaś gra.

### **Rozdział III**

Cassi zawsze z lękiem zanurzała pasek testowy w swoim moczu. Nie dlatego, żeby te trochę cukru stanowiło jakiś wielki problem, zwłaszcza że zdarzało się tylko od czasu do czasu. Było to raczej sprawą emocji: jeśli był cukier, należało uważać na siebie; miało to znaczenie bardziej psychologiczne niż praktyczne.

Światło w szpitalnej toalecie było słabe, dlatego Cassi uchyliła nieco drzwi, żeby lepiej przyjrzeć się paskowi. Nie zmienił barwy. Po nieprzespanej nocy i owocowym jogurcie zamiast obiadu nie była zaskoczona stwierdzając niewielką obecność cukru. Była zadowolona, że ilość insuliny, którą sobie aplikowała, i dieta pozostawały w przybliżonej równowadze. Chociaż internista, doktor Malcolm Mcinery, wspominał coś o możliwości przejścia na stały doustny sposób przyjmowania insuliny, Cassi nie chciała o tym słyszeć. Nie miała ochoty zmieniać metody kuracji, która zdawała egzamin. Przyzwyczaiała się już do robienia sobie dwa razy dziennie zastrzyków: jednego przed śniadaniem, drugiego przed kolacją. Nie sprawiało jej to najmniejszego kłopotu.

Przymknęła prawe oko i przyjrzała się paskowi dokładnie. Odnosiła wrażenie, jakby patrzyła przez grube, przyćmione szkło. Kłopoty z okiem martwiły ją szczególnie, gdyż ślepoty obawiała się bardziej niż śmierci. O śmierci mogła zapomnieć, natomiast o możliwości utraty wzroku nie, gdyż pogarszający się stan lewego oka ciągle jej o tym przypominał. Wszystko stało się tak nagle. Pewnego dnia stwierdzono, że pękło jej naczynko krwionośne i krew dostała się do ciała szklistego.

Myjąc ręce Cassi przyglądała się sobie uważnie w lustrze. Żarówka rzucała łagodne światło na twarz, przydając żywych kolorów jej cerze. Spojrzała na swój nos: był trochę za mały. Natomiast zewnętrzne kąciaki oczu były nadto uniesione do góry, tak jakby zostały odciągnięte przez zaczesane do tyłu włosy. Cassi próbowała ocenić obiektywnie swoją urodę: czy rzeczywiście była taka atrakcyjna, jak to jej często mówiono? Nigdy nie uważała się za piękną. Sądziła, że choroba została wypisana wielkimi literami na jej twarzy i że każdy o niej wie i się nad nią lituje.

Nie zawsze tak było. Na studiach Cassi usiłowała zminimalizować rolę choroby w swoim życiu i nawet jej się to udawało. Choć nigdy nie zapominała o przyjmowaniu lekarstw i diecie, obie te sprawy traktowała jak inne codzienne obowiązki.

Inne podejście do jej choroby mieli zatroskani rodzice, zwłaszcza matka. Oboje uważali, że Cassi musi przestrzegać surowej dyscypliny w sposobie odżywiania i trybie życia. Konflikt wybuchł przy okazji studenckiego balu.

Owego dnia Cassi wróciła z uczelni rozentuzjasmowana i podniecona. Bal miał się odbyć w najlepszym lokalu klubowym, a po nim uczestnicy mieli zjeść wspólne śniadanie na uczelni. Po śniadaniu cała grupa planowała wyjazd na resztę weekendu na wybrzeże do New Jersey.

Ku swojemu zaskoczeniu Cassi została zaproszona na bal przez Tima Bartholomew,

jednego z najbardziej lubianych na uczelni studentów. Choć Tim wielokrotnie rozmawiał z

Cassi - oboje spotykali się na wykładach fizyki - nigdy dotąd nigdzie jej nie zapraszał.

Perspektywa pójścia na bal z bardzo atrakcyjnym chłopcem wywarła na Cassi ogromne wrażenie.

Szczęśliwa, najpierw podzieliła się dobrą wiadomością ze swoim ojcem. Ojciec, profesor geologii w Columbia University, człowiek raczej oschły, przyjął wiadomość bez entuzjazmu, choć widząc radość Cassi był raczej zadowolony. Matka za to zareagowała rygorystycznie. Wychodząc z kuchni oświadczyła, że Cassi może pójść na bal, ale na śniadanie powinna wrócić do domu.

- Na takich imprezach nie przygotowują potraw specjalnie dla cukrzyków - stwierdziła  
- a co się tyczy wyjazdu na wybrzeże, to sprawa jest wykluczona.

Nie spodziewając się takiej reakcji, Cassi nie wiedziała jak się zachować. Zaczęła gorzko płakać i tłumaczyć, że przecież zawsze pamięta o przyjęciu lekarstw, o diecie i że wobec tego matka nie powinna jej zabraniać udziału w całej imprezie.

Pani Cassidy była jednak nieugięta: oświadczyła, że ma na względzie wyłącznie jej dobro i Cassi wreszcie powinna sobie uświadomić oczywisty fakt, że nie jest zupełnie normalnym człowiekiem.

Cassi zaczęła krzyczeć, że czuje się najzupełniej normalna i że ma takie samo prawo do życia jak inne dziewczęta.

Matka objęła ją ramieniem i zaczęła tłumaczyć, że jest chora na nieuleczalną chorobę i im prędzej się z tym pogodzi, tym lepiej dla niej.

Cassandra uciekła do swojego pokoju zamykając za sobą drzwi i do końca dnia z nikim nie chciała rozmawiać. Następnego ranka oświadczyła matce, że zadzwoniła do Tima i powiedziała mu, że nie może pójść na bal, gdyż jest chora. Tim był mocno zawiedziony,

ponieważ nie miał pojęcia o chorobie Cassi.

Przeglądając się w szpitalnym lustrze, Cassi wróciła myślami do rzeczywistości.

Zastanawiała się, w jakim stopniu udało jej się poznać swoją chorobę. O, teraz wiedziała o niej bardzo wiele i w każdej chwili mogła cytować odpowiednie dane i liczby. Ale czy ta wiedza warta była jej poświęceń? Na to pytanie nie znalazła odpowiedzi. Spojrzała na znajdujące się w nieładzie włosy.

Wyjawszy z nich wszystkie spinki i grzebienie, potrząsnęła energicznie głową. Bujne, piękne loki opadły na ramiona, otaczając twarz wspaniałą koroną. Sprawnym ruchem ręki odrzuciła je do tyłu. Gdy po chwili wyszła z łazienki, czuła się odświeżona i odprężona.

Drobiazgi, które wczoraj wieczorem przyniosła do szpitala łatwo zmieściły się w brezentowej torbie na ramię, mimo iż wcześniej włożyła do niej gruby plik odbitek artykułów prasowych na tematy medyczne. Chodziła z tą torbą już od czasów studenckich i mimo że była ona już trochę przybrudzona i mocno wytarta, nigdy się z nią nie rozstawała. Po obu jej stronach były przyklejone duże czerwone serca. Z okazji zakończenia studiów otrzymała w prezencie nową skórzaną torbę, ale wolała starą - teczka wydawała jej się zbyt pretensjonalna. Ponadto torba była bardziej pojemna.

Spojrzała na zegarek. Była piąta trzydzieści, o tej porze zwykle opuszczała szpital. W tym czasie Thomas przyjmował ostatnich pacjentów w swoim gabinecie.

Zarzucając torbę na ramię Cassi pomyślała, że zaletą pracy na oddziale psychiatrii jest fakt, iż wszystko tu dzieje się zgodnie z planem w określonym czasie. Na internie i na patologii kończyła zwykle pracę o szóstej trzydzieści lub siódmej, czasem nawet znacznie później. Na psychiatrii zawsze mogła liczyć na to, że będzie wolna po codziennej naradzie, między czwartą a piątą, chyba że właśnie wypadał jej dyżur.

Gdy znalazła się na korytarzu, zaskoczyło ją, że był zupełnie pusty. Szybko jednak

uprzytomniła sobie, że pacjenci właśnie jedzą obiady; gdy mijiała salę klubową, spostrzegła wielu chorych spożywających posiłek przed telewizorami. Cassi zajrzała do swojej szafki i zabrała z niej karty choroby. Miała tylko czterech pacjentów, łącznie z pułkownikiem Bentworthem. Było więc dość czasu na dokładne przestudiowanie ich kart.

Z brezentową torbą na ramieniu i kartami choroby w ręku Cassi skierowała się do pokoju pielęgniarek. Znalazła tu Joela Hartmana, który tej nocy miał dyżur, a teraz gawędził z dwiema pielęgniarkami. Cassi położyła na właściwym miejscu karty i pożegnała się. Joel życzył miłego wypoczynku, żartując, że do poniedziałku zdąży wyleczyć jej pacjentów i że da sobie radę nawet z pułkownikiem Bentworthem, któremu przyda się męska ręka.

Schodząc po schodach na pierwsze piętro, Cassi poczuła się odprężona. Pierwszy tydzień na psychiatrii był dla niej ciężki - nie życzyłaby sobie, żeby się powtórzył.

Wewnętrznym przejściem udała się do głównego budynku. Gabinet Thomasa znajdował się na trzecim piętrze. Zatrzymała się przed lśniącymi dębowymi drzwiami, na których widniał napis z mosiężnych liter: „Thomas Kingsley, dr med., chirurgia serca i narządów wewnętrznych”. Cassi poczuła mimowolny przyływ dumy.

Poczekalnia była gustownie umeblowana w stylu Chippendale. Podłogę pokrywał duży dywan, a na niebieskich ścianach wisiały oryginalne obrazy. Przy drzwiach prowadzących do gabinetu Thomasa stało mahoniowe biurko Doris Stratford - pielęgniarki-recepcjonistki. Gdy Cassi weszła do środka, Doris uniosła oczy znad maszyny do pisania, po czym wróciła do swojego zajęcia.

Cassi podeszła do biurka.

- Jak się miewa Thomas?

- Doskonale - odparła Doris nie podnosząc oczu.

Doris nigdy nie patrzyła Cassandrze prosto w oczy. Cassi przyzwyczała się do tego,



że widocznie jej choroba krępowała niektórych ludzi. Doris prawdopodobnie była jedną z nich.

- Czy nie zechciałaby pani powiadomić go o moim przyjściu? - zapytała Cassi.

Na krótki moment udało jej się schwytać przelotne spojrzenie piwnych oczu Doris.

Można było wyczytać z nich rozdrażnienie. Nie tak duże, by mieć o to pretensję, ale wystarczające, by zrozumieć, że Doris nie lubi, kiedy się jej przeszkadza w pracy. Nie odpowiedziała na pytanie Cassi, ale nacisnęła na guzik interkomu i zakomunikowała o przyjściu doktor Cassidy, po czym wróciła do pisania na maszynie.

Cassi nie mogła sobie pozwolić, żeby Doris ją zirytowała. Usiadła więc na różowej kanapie i wyjąwszy z torby artykuły o ludziach z pogranicza, zajęła się lekturą. Co chwila jednak spoglądała sponad kartek na Doris.

Zastanawiała się, dlaczego Thomas trzyma ją u siebie. Zakładając, że była nawet kompetentna, to jednak skłonność do irytacji i ujawniania humorów raczej nie kwalifikowała jej do pracy w gabinecie lekarza. Miała dobrą prezencję, choć nie była specjalnie atrakcyjna. Miała kwadratową twarz, grube rysy oraz mysiego koloru włosy uczesane w kok. Trzeba przyznać, że miała dobrą figurę.

Poczynwszy te spostrzeżenia, Cassi wróciła do lektury.

Oddzielony biurkiem od pacjenta, pięćdziesięciodwuletniego prawnika Herberta Lowella, Thomas przyglądał mu się z uwagą. Gabinet, w którym się znajdowali, był urządzone podobnie jak poczekalnia, z tą jednak różnicą, że ściany pomalowano tu na zielono, a meble były autentycznymi chippendalami; samo biurko warte było małą fortunę.

Thomas badał już kilkakrotnie Lowella przy różnych okazjach i zapoznał się dokładnie z arteriogramami, wykonanymi przez kardiologa, doktora Whitinga. Dla Thomasa sytuacja była jasna. Lowell przeszedł w przeszłości łagodny atak serca, cierpiał na chorobę

niedokrwienną serca i ma potwierdzone radiologicznie upośledzenie krążenia tętniczego.

Thomas powiedział mu o konieczności operacji i obecnie chciał z nim ustalić jej termin.

- To jest taka nieodwracalna decyzja - denerwował się Lowell.

- Ale trzeba koniecznie ją podjąć - oświadczył Thomas, podnosząc się z miejsca i zamykając teczkę Lowella. - Niestety, mój czas jest bardzo ograniczony. Jeśli pan będzie miał jeszcze jakieś pytania, proszę telefonować. - Thomas zrobił krok w stronę drzwi jak znający wartość swojego towaru kupiec, który chce dać do zrozumienia, że dalsze targowanie się nie ma sensu.

- A czy nie byłoby wskazane zasięgnięcie jeszcze jednej opinii lekarskiej? - zapytał z wahaniem Lowell.

- Panie Lowell - oznajmił mu Thomas - pan może zasięgnąć jeszcze dowolnej liczby opinii według własnego uznania. Ja przekażę swoją doktorowi Whitingowi i może pan przedyskutować z nim całą sprawę. - Mówiąc to, otworzył drzwi do poczekalni. - A w ogóle radzę panu zwrócić się do innego chirurga, gdyż nie toleruję braku zaufania. Teraz proszę mi wybaczyć, jestem zajęty.

Thomas zamknął drzwi za Lowellem, pewien, że ten przyjmie proponowany mu termin operacji. Usiadł i zajął się gromadzeniem materiałów na jutrzejszą konferencję w Grand Rounds, a potem podpisywaniem przyniesionych mu przez Doris dokumentów.

Gdy pojawił się w poczekalni z podpisaną korespondencją, nie był zaskoczony, gdy zastał w niej Lowella. Spojrzał na Cassi, skinął jej lekko głową, po czym spojrzawszy pytająco na pacjenta.

- Doktorze Kingsley, podjąłem decyzję o poddaniu się operacji - oświadczył.

- W porządku. Proszę zadzwonić w przyszłym tygodniu do panny Stratford i ustalić z nią szczegóły.

Lowell podziękował, po czym wyszedł zamykając za sobą spokojnie drzwi.

Udając, że jest zatopiona w lekturze, Cassi obserwowała swojego męża. Zwróciła uwagę na to, jak odniósł się do Lowella. On nigdy się nie wahał. Zawsze wiedział, co należy uczynić i robił to, co należy. Podziwiała jego spokój i opanowanie - cechy, których jej brakowało. Z przyjemnością patrzyła na ostry zarys jego profilu, rudawoblond włosy i atletyczną budowę ciała. Był bardzo przystojnym mężczyzną.

Po całodziennych kłopotach, a w rzeczywistości bardzo trudnym dla niej tygodniu, Cassi miała ochotę rzucić mu się na szyję. Instynktownie czuła jednak, że nie przyjąłby dobrze tak spontanicznych uczuć, zwłaszcza w obecności Doris. I miałby chyba rację. Gabinet z pewnością nie jest odpowiednim miejscem dla takich manier. Doszedłszy do takiego wniosku, przerwała lekturę i schowała artykuły do torby.

Gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi poczekalni, Thomas oświadczył obojętnym tonem: - Muszę teraz odwiedzić salę intensywnej terapii. Możesz iść ze mną lub poczekać w hallu. Jak wolisz. To nie będzie długo trwało.

- Idę z tobą - powiedziała Cassi domyślając się, że Thomas również nie miał łatwego dnia. Musiała przyspieszyć kroku, żeby za nim nadążyć.

- Jak poszły ci dzisiaj operacje? - zapytała jakby od niechcienia.

- Bardzo dobrze.

Cassi zrezygnowała z dalszych pytań. Zresztą trudno było podejmować rozmowę, gdy przechodzili ruchliwymi korytarzami. Wiedziała z doświadczenia, że Thomas niechętnie udziela odpowiedzi, gdy jest zdenerwowany.

W windzie ani na chwilę nie oderwał wzroku od licznika pięter. Robił wrażenie jakby był czymś pochłonięty i przeżywał jakieś napięcie.

- Będę szczęśliwa, gdy w końcu znajdę się wieczorem w domu - wyznała Cassi. -

Muszę się dobrze wyspać.

- Czyżby jakieś tajemnicze duchy niepokoiły cię tej nocy?

- Wybacz, ale nie jestem ciekawa opinii chirurga na temat psychiatrii.

Thomas zamilkł, a na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiech. Chyba się nieco odprężył.

Wyszli z windy na siedemnastym piętrze. Thomas szedł pierwszy szybkim krokiem, za nim podążała Cassi. Chociaż spędziła już wiele lat w szpitalach, ilekroć znalazła się na chirurgii nie mogła wyzbyć się uczucia dziwnej obawy. Panująca tu atmosfera nie pozwalała na stoicką postawę, którą Cassi z powodzeniem przyjęła w przypadku własnej choroby. Rzecz znamienna, że na oddziale ogólnomedycznym, gdzie znajdowali się pacjenci ze spowodowanymi przez cukrzycę komplikacjami, panowała zupełnie inna atmosfera.

Gdy Cassi i Thomas znaleźli się w pobliżu działu intensywnej terapii, Thomas został rozpoznany przez oczekujących w korytarzu członków rodzin jego pacjentów. Natychmiast został otoczony jak gwiazdorz filmowy lub rockowy. Jakaś stara kobieta chciała go dotknąć, tak jakby był kimś w rodzaju bóstwa. Thomas zachowywał się spokojnie, każdego po kolei zapewnił, że operacja przebiegła normalnie, a dalszych informacji należy oczekiwać od pielęgniarki. W końcu udało mu się wyrwać z kręgu otaczających go osób i wejść na salę intensywnej terapii, dokąd już nikt - z wyjątkiem Cassi - nie odważył się za nim pójść.

Na widok niezliczonych aparatów, oscyloskopów, monitorów i bandaży nurtujące Cassi uczucie obawy spotęgowało się. W tej niezwyklej plątaniu wyposażenia technicznego pacjenci jakby zostali zapomniani. Odnosiło się wrażenie, że zarówno lekarze, jak i pielęgniarki przede wszystkim są zainteresowani aparaturą.

Thomas przechodził od łóżka do łóżka. Każdym pacjentem opiekowała się tutaj przydzielona kompetentna pielęgniarka; z każdą z nich Thomas rozmawiał nie spoglądając

nawet w stronę chorego, chyba że jego uwagę zwróciło jakieś szczególne odchylenie od normy. Szybko przebiegał wzrokiem dane uwidocznione na sprzęcie technicznym. Sprawdzał zapisy bilansu płynowego, oglądał pod światło zdjęcia rentgenowskie klatki piersiowej, odczytywał zawartość elektrolitów i gazów we krwi.

Przy tej okazji Cassi uprzytomniła sobie raz jeszcze, jak ciągle mało wie o medycynie.

Tak jak Thomas obiecał, wszystko to nie trwało długo. Jego pacjenci czuli się dobrze.

Stażyści - pod kierunkiem Larry'ego Owena - radzili sobie nieźle z drobnymi problemami, które pojawiły się w nocy. Gdy Thomas i Cassi znaleźli się znów na korytarzu, ponownie zostali otoczeni przez rodziny pacjentów. Tym razem jednak Thomas oświadczył krótko, że nie ma już czasu, ale może zapewnić, iż wszyscy pacjenci czują się dobrze.

- To musi być nadzwyczaj przyjemne otrzymywać tyle wyrazów uznania od rodzin pacjentów - zauważyła Cassi, gdy oboje zmierzali do windy.

Thomas nie odpowiedział od razu. Uwaga Cassi przypomniła mu, z jaką radością przyjmował wyrazy wdzięczności od rodziny Nazzaro. Wtedy ta wdzięczność coś dla niego znaczyła. W tym momencie pomyślał o córce Campbella. Spojrzał za siebie, uświadomiwszy sobie nagle, że nie zauważył jej wśród oczekujących.

- To z pewnością jest bardzo przyjemne, że krewni pacjentów tak doceniają naszą pracę - stwierdził dość obojętnie. - Ale to nie jest ważne. W każdym bądź razie nie dla ich uznania wykonuję swoją pracę.

- Oczywiście - zgodziła się Cassi. - I nie to miałam na myśli.

- Najważniejsze było dla mnie zawsze uznanie moich nauczycieli i zwierzchników - dorzucił Thomas.

Winda zatrzymała się i weszli do środka.

- Sedno sprawy tkwi w tym - ciągnął dalej myśl - że obecnie sam jestem

nauczycielem.

Cassi spojrzała zdziwiona, a w jego głosie zadźwięczała nutka zadumy. Stał zapatrzony przed siebie, jakby śniąc na jawie.

Cofnął się myślami do czasu, kiedy był stażystą - okresu niezwykłych przeżyć i wzruszeń. Przez trzy lata opuszczał szpital tylko na kilka godzin dziennie, by się przespać i odzyskać trochę sił w swoim rzadko sprzątanym dwupokojowym mieszkaniu. Żeby się wybić, pracował ponad siły. W końcu został mianowany szefem stażystów. Stanął na czele grupy ludzi tak jak on oddanych sprawie. Nigdy nie zapomni momentu, kiedy wszyscy koledzy gratulowali mu sukcesu. Niewątpliwie wtedy chirurgia i życie w ogóle dostarczały mu więcej radości.

Kiedy Cassi i Thomas wyszli ze szpitala na ulicę, przywitał ich wietrzny i deszczowy bostoński wieczór. Podmuchy wiatru chłostały deszczem w twarze. O osiemnastej piętnaście było już zupełnie ciemno. Nad miastem rozpostarły się ciężkie, skłębione, deszczowe chmury. Podświetlały je światła miasta. Cassi objęła Thomasa i razem pobiegli ku znajdującemu się w pobliżu garażowi.

Już pod dachem otrząsnęli się z ociekającej z nich wody i szli wolno po mokrym betonie, który wydawał dziwnie drażniący zapach. Thomas wciąż nie zachowywał się zupełnie normalnie i Cassi zastanawiała się, co go może dręczyć. Miała przeczucie, że to z jej powodu, nie wiedziała jednak dlaczego. Nie widzieli się od czwartku rano, kiedy to razem przyjechali do pracy, ale wtedy wszystko było między nimi w porządku.

- Czy jesteś bardzo zmęczony pracą? - zapytała.

- Chyba tak, ale nie miałem nawet czasu o tym pomyśleć - odpowiedział.

- A operacje? Czy jesteś z siebie zadowolony?

- Już ci powiedziałem, że tak - odparł trochę zniecierpliwiony. - Byłbym w stanie

wykonać jeszcze jeden bypass, gdybym miał taką możliwość. Wykonałem trzy w tym samym czasie, w jakim George Sherman wykonał tylko dwa, a nasz wspaniały szef, Ballantine - zaledwie jeden.

- Wobec tego powinieneś być z siebie zadowolony - stwierdziła Cassi.

Zatrzymali się obok antracytowego metalika porsche 928. Thomas patrzył na Cassi ponad maską samochodu i wahał się z odpowiedzią. Wreszcie z siebie wydusił: - Ale nie jestem zadowolony. Jak zwykle nie brakuje spraw, które mnie denerwują i utrudniają pracę.

W szpitalu dzieje się coraz gorzej. Mam już doprawdy dosyć tego wszystkiego. Na dodatek na konferencji kardiologów dowiedziałem się, że obcięto mi limit czasu w salach operacyjnych po to, żeby George Sherman mógł rozwijać swoją działalność dydaktyczną. Tymczasem on nie ma nawet dość pacjentów przydatnych do tego celu, by zapełnić nimi łóżka szpitalne, których pozbawił moich chorych.

Otworzył drzwi samochodu, wszedł do środka i sięgnął ręką, by otworzyć dla Cassi przeciwległe drzwi.

- Prócz tego - ciągnął Thomas chwytając za kierownicę - mam wrażenie, że w szpitalu dzieje się coś niezrozumiałego - coś między George'em Shermanem i Normanem Ballantine'em. Boże! Że też musiałem wdepnąć w takie gówno!

Thomas zapalił silnik, dał mocno do tyłu, a następnie równie gwałtownie, z głośnym piskiem opon ruszył do przodu. Cassi z trudem utrzymała równowagę. Gdy Thomas zatrzymał się na chwilę, żeby włożyć w szczelinę magnetyczną kartę, zapięła pas bezpieczeństwa.

- Zapnij również swój pas - zwróciła się do Thomasa.

- Na miłość boską, Cassi - zawołał - przestań zrzędzić!

- Bardzo cię przepraszam - odparła szybko i była już pewna, że to z jej powodu ma zły

humor.

Thomas kluczył po zatłoczonej jezdni, zajeżdżając drogę zirytowanym jego jazdą kierowcom. Cassi bała się odezwać, żeby nie powiększać napięcia. Czuła się jak na wyścigach samochodowych o Grand Prix.

Kiedy znaleźli się już w północnej dzielnicy miasta, ruch uliczny nieco osłabł. Mimo, iż Thomas jechał nie mniej niż sto - sto dziesięć na godzinę, Cassi trochę odetchnęła.

- Przepraszam cię, ale czuję się, jakbyś nie mógł mnie znieść po tym ciężkim dniu - odezwała się w końcu.

Thomas nic nie odpowiedział, ale z jego twarzy znikło już poprzednie napięcie, a ręce nie ścisnęły tak mocno kierownicy. Kilkakrotnie Cassi już miała na końcu języka pytanie, czy to ona jest przyczyną jego złego humoru, ale nie bardzo wiedziała jak to wyrazić. Patrzyła na wypłukaną deszczem, pędzącą im naprzeciw jezdnię i wreszcie wydusiła z siebie:

- Czyżbym ja zrobiła coś takiego, co cię wytrąciło z równowagi?

- Tak - uciął szorstko.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Cassi była pewna, że wcześniej czy później bomba wybuchnie.

- Wygląda na to, że Larry Owen wie wszystko o naszych problemach zdrowotnych - odezwał się Thomas.

- Nigdy nie robiłam tajemnicy z tego, że choruję na cukrzycę - odparła Cassi.

- Na pewno mówisz o tym zbyt wiele - oświadczył Thomas. - A im mniej się mówi na takie tematy, tym lepiej. Nie lubię być przedmiotem plotek.

Cassi nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek rozmawiała z Larrym na temat choroby, ale - oczywiście - nie to było najważniejsze. Zdawała sobie sprawę, że o swojej cukrzycy rozmawiała z niektórymi ludźmi. Nawet dzisiaj powiedziała o niej Joan Widiker.



Tymczasem Thomas, podobnie jak jej matka, uważał, że na ten temat nie powinna rozmawiać nawet z najbliższymi przyjaciółmi.

Cassi spojrzała na Thomasa. Światła nadjeżdżających z przeciwka samochodów wydobywały od czasu do czasu jego twarz z ciemności.

- Nigdy nie przypuszczałam, że moje rozmowy o cukrzycy mogą nam w jakikolwiek sposób zaszkodzić - oświadczyła. - Przepraszam bardzo, w przyszłości będę bardziej uważać.

- Wiesz dobrze, ile plotek krąży po szpitalu. Lepiej nie dawać im pożywki. Larry wie nie tylko o twojej cukrzycy, wie również o oczekującej cię operacji oka. Podobno słyszał o niej od twojego przyjaciela, Roberta Seiberta.

Teraz wszystko stało się jasne. Wiedziała, że nie rozmawiała o chorobie z Larrym Owenem. - Powiedziałam o tym Robertowi - przyznała. - Wydawało mi się to rzeczą zupełnie naturalną. Tak dawno się już znamy, on też mi mówił o operacji, której musi się poddać. Będą mu usuwać zęby mądrości, a ponieważ od dzieciństwa cierpi na gorączkę reumatyczną, ma być leczony dożylnie antybiotykami.

W pewnym momencie zawrócili z trasy 128, kierując się na północ, w stronę oceanu. Pojawiła się mgła i Thomas zwolnił tempo jazdy.

- Mimo wszystko nie sędzę, że należało mówić o tym komukolwiek - stwierdził Thomas zerkając w jej kierunku. - Szczególnie komuś takiemu jak Robert Seibert. Wciąż nie mogę zrozumieć, jak możesz tolerować tego homoseksualistę.

- Nigdy z nim nie rozmawiałam o upodobaniach seksualnych - ostro odcięła się Cassi.

- Nie pojmuję, w jaki sposób mogliście uniknąć tego tematu.

- Robert jest wrażliwym, inteligentnym człowiekiem i cholernie zdolnym patologiem.

- Bardzo się cieszę, że posiada również cechy pozytywne - zauważył Thomas, chcąc dokuczyć żonie.

Cassi nie odpowiedziała na tę złośliwość. Zdawała sobie sprawę, że Thomas jest wściekły i usiłuje ją sprowokować; wiedziała także, że jeśli pozwoli się ponieść nerwom, nie wyniknie stąd nic dobrego. Po krótkim milczeniu zaczęła masować kark Thomasa.

Początkowo pozostawał usztywniony, po kilku jednak minutach zaczął reagować.

- Przepraszam, że rozmawiałam z ludźmi o mojej cukrzycy - powiedziała - i przykro mi także, że rozmawiałem o jej powikłaniach.

Kontynuując masaż, Cassi patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami. Nagle ogarnął ją zimny strach: być może Thomasa znużyła jej choroba. Chyba zbyt często się skarżyła i mówiła o swoich obawach, związanych ze zmianą kierunku stażu. Cassi zauważyła, że w ciągu ostatnich miesięcy Thomas jakby oddalił się od niej, stał się bardziej wybuchowy i mniej tolerancyjny. Postanowiła, że odtąd będzie mniej mówiła o swojej chorobie. Lepiej niż kto inny zdawała sobie sprawę ze stresów, które Thomas przeżywa, nie chciała więc ich pogłębiać.

Przesuwając ręce w górę jego karku myślała, że warto byłoby zmienić temat rozmowy.

- Czy przynajmniej mówi się o tym, że gdy ty wykonujesz trzy bypassy, inni robią tylko jeden lub dwa?

- Nie. Nikt o tym nawet nie wspomina, bo przyzwyczaili się już do tego. Nie ma tu nikogo, kto byłby w stanie mi dorównać.

- Powinieneś podjąć współzawodnictwo z najlepszymi, czyli z samym sobą! - powiedziała ze śmiechem Cassi.

- O, co to, to nie! Nie próbuj mnie czarować swoją pseudo-psychologią! - odparł Thomas.

- Czy na poziomie, który osiągnąłeś, współzawodnictwo jest takie ważne? - już

całkiem poważnie zapytała Cassi. - Czy nie wystarczy ci wielka satysfakcja, że przywracasz ludziom zdrowie?

- Oczywiście, jest to bardzo miłe uczucie - przyznał Thomas. - Ale satysfakcja nie jest w stanie mi pomóc w uzyskaniu łóżek i czasu w sali operacyjnej dla moich pacjentów, którzy na to zasługują zarówno ze względów zdrowotnych, jak i społecznych. A za sprawą ludzkiej wdzięczności z pewnością nie zostanę szefem oddziału chirurgii - zresztą nie jestem nawet pewien, czy jeszcze tego chcę. Jeśli mam być szczery, mój entuzjizm nieco przygasł, a w zamian pojawiło się uczucie pustki.

Słowo „pustka” coś przypomniało Cassi. Czyżby śniła? Rozejrzała się wokół siebie, po wnętrzu samochodu: czuła charakterystyczny zapach skórzanych siedzeń, słyszała warkot silnika i miarowy szmer wycieraczek. Nie, to nie sen: ona to słowo niedawno słyszała w innych ustach. Nagle przypomniała sobie: tego słowa użył pułkownik Bentworth. „Jest we mnie gniew i pustka” - tak właśnie powiedział.

Wynurzywszy się z bezlistnych lasów, pędzili teraz poprzez słone błota. Za ociekającymi strugami deszczu szybami Cassi oglądała ponury listopadowy krajobraz. Podmuchy wiatru i deszcz strącały z drzew ostatnie kolorowe liście, które długo wirowały w powietrzu zanim opadły na ziemię. Zbliżała się zima, jej rychłe nadejście zapowiadały chłodne i wilgotne noce. Wzięli ostatni zakręt, z hukiem przemknęli przez drewniany most i znaleźli się na swojej prywatnej drodze. W ruchomym świetle reflektorów Cassi dostrzegła zarysy domu. Został zbudowany na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku jako dom letniskowy jakiegoś bogacza, w charakterystycznym dla Nowej Anglii rustykalnym stylu. W latach czterdziestych dostosowano go do zimowych potrzeb mieszkalnych. Rozłożysty charakter budynku i nieregularny kształt krytego gontem dachu sprawiały, że miał unikalną sylwetkę. Cassi lubiła ten dom, bardziej jednak latem niż zimą. Na szczególne

wyróżniła jego lokalizacja. Znajdował się tuż przy małej zatoczce, z widokiem na morze. Chociaż do Bostonu trzeba było stąd jechać prawie trzy kwadranse, Cassi uważała, że się to opłaca.

Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Thomasem na trzecim roku studiów. Była wtedy na praktyce w Boston Memorial. Pewnego dnia zobaczyła Thomasa wśród ślepo naśladowanej go grupy stażystów, gdy badał pacjenta po przeżytym ataku serca. Od razu ją zafascynował. Słyszała o nim wiele i była zaskoczona, że jest taki młody. Zauważyła także, że jest nadzwyczaj przystojny i nawet jej do głowy nie przyszło, żeby ktoś tak niezwykle mógł zwrócić na nią uwagę, a jeśli już, to chyba tylko po to, żeby zadać jakieś trudne pytanie z zakresu medycyny. Nigdy nie dowiedziała się, czy ją wtedy spostrzegł.

Gdy już została członkiem lekarskiej społeczności, zdała sobie sprawę, że nie było to takie trudne, jak się obawiała. Była bardzo pracowita; ku swojemu zdziwieniu wnet zwróciła na siebie uwagę. Wcześniej nie miała nigdy czasu na spotkania, ale w bostońskim szpitalu praca i życie towarzyskie przeplatały się ze sobą. Cassi bardzo szybko stała się aktywną uczestniczką różnych jego form. Nieoczekiwanie stała się obiektem wielu męskich względów. Przewodził w nich pewien przystojny okulista; nigdy dotąd nie spotkała kogoś tak bardzo upartego w swoich zabiegach. Jej powodzenie nie miało poważnego charakteru aż do chwili, kiedy wśród konkurentów pojawił się George Sherman. Mimo braku jakiegokolwiek zachęty ze strony Cassandry posyłał jej kwiaty, wręczał niewielkie prezenty, a na koniec zaproponował jej małżeństwo.

Cassi nie od razu odrzuciła ofertę George'a. Chyba nawet go lubiła, z pewnością jednak nie kochała. Gdy zastanawiała się, co ma począć, zdarzyło się coś nieoczekiwanego: o randkę poprosił ją Thomas Kingsley.

Cassi doskonale pamiętała to niezwykle ożywienie, które odczuwała w towarzystwie

Thomasa. Młody chirurg tryskał pewnością siebie, którą niektórzy określali po prostu jako arogancję. Ale nie Cassi. Dla niej był człowiekiem, który wie, czego chce i potrafi podejmować niezwykle szybko ważne decyzje. Kiedy wspomniała mu o swej chorobie, zbagatelizował sprawę. Natchnął ją wiarą we własne siły, czego dotąd bardzo jej brakowało. Niełatwo przyszła Cassi rozmowa z George'em. Oświadczyła mu, że nie wyjdzie za niego za mąż i że zakochała się w jego koledze. Sherman przyjął niepomysłne wiadomości z pozornym spokojem; prosił, żeby mógł nadal uważać się za jej przyjaciela. Ilekroć spotykała się z nim później w szpitalu, zawsze dawał do zrozumienia, że najbardziej obchodzi go jej szczęście osobiste i nie ma żalu za odmowę.

Thomas był uroczy i troskliwy. Plotkowano o nim, że potrafi być szarmancki, lecz na krótką metę. Rzadko mówił jej o swojej miłości, ale w różny sposób ją okazywał. Zabierał ją razem z innymi studentami na obchód swoich pacjentów i zapraszał do sali operacyjnej na bardziej interesujące zabiegi. Na ich pierwsze wspólne święta Bożego Narodzenia ofiarował jej staroświecką diamentową bransoletę, a ostatniego dnia starego roku poprosił Cassi o rękę. Cassandra nie miała zamiaru wychodzić za mąż przed ukończeniem studiów, ale Thomas Kingsley był dla niej mężczyzną, o jakim dotąd nie śmiała nawet marzyć. Mogła już nigdy więcej nie mieć takiej okazji! Ponadto z faktu pokrewieństwa zawodów wyciągała wniosek, że będą się uzupełniać. Zgodziła się więc na ślub, co Thomas przyjął z nieukrywaniem zachwytem.

Ślub odbył się na ogromnym trawniku w posiadłości Kingsley'a na wybrzeżu. Na uroczystości była obecna większość personelu zatrudnionego w szpitalu. Długo wspomniano ich ślub, ponieważ był wydarzeniem roku w miejscowym życiu towarzyskim. Cassi zapamiętała niemal każdą chwilę tego wspaniałego, wiosennego dnia. Niebo było błękitne jak oczy Thomasa, a powierzchnię morza lekko tylko marszczyła łagodna bryza.

Stoły były obficie zastawione, a na trawniku rozbito namioty o charakterystycznym średniowiecznym kształcie. Heraldyczne flagi łopotały na ich szczytach. Cassi nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa, a Thomas chodził dumny jak paw, troszcząc się o każdy szczegół weselnego przyjęcia. Kiedy goście odjechali, nowo poślubieni udali się na spacer. Szli wzdłuż plaży, nie bacząc na lodowate fale obmywające ich stopy.

Cassi nigdy nie czuła się taka szczęśliwa i nigdy nie miała takiego poczucia bezpieczeństwa. Spędzili noc poślubną w hotelu Ritz-Carlton w Bostonie, po czym wyjechali do Europy i tam przeżyli swój miodowy miesiąc.

Po powrocie Cassi przystąpiła do studiów z nową energią. Miała teraz potężnego opiekuna, który pomagał jej na każdym kroku. Zawsze była dobrą studentką, ale przy jego pomocy przeszła samą siebie. Thomas w dalszym ciągu zachęcał ją, by przychodziła do sali operacyjnej, a gdy odbywała praktykę na chirurgii, była jego asystentką, o czym inni studenci mogli tylko marzyć. Gdy po dwóch latach ukończyła studia, nie musiała szukać pracy, gdyż czekała już na nią na oddziale patologii.

Najbardziej ciepłe wspomnienie zachowała Cassi z weekendu, podczas którego otrzymała dyplom lekarza. Tego dnia Thomas od samego rana zachowywał się jakoś inaczej - był niespokojny i jakby wyciszony, co Cassi przypisywała oczekującej go skomplikowanej operacji. Poprzedniego wieczora powiedział jej o pacjencie, który ma przybyć do szpitala z innego stanu. Przeprosił ją, że w związku z tym nie będzie mógł uczestniczyć w uroczystym obiedzie, który miał odbyć się po części oficjalnej; Cassi, choć rozczarowana, zapewniła go o swej wyrozumiałości.

Podczas oficjalnej uroczystości Thomas zachowywał się niepoważnie i wprawił Cassi w niemałe zakłopotanie, kiedy wszedł za nią na podium i zrobił jej mnóstwo zdjęć swoim pentaxem. Później, gdy oczekiwała, że w pośpiechu opuści uroczystość, by zdążyć do

szpitala, wziął ją za rękę i poprowadził przez trawnik do czekającej limuzyny. Speszona Cassi weszła do długiego czarnego cadillaca: wewnątrz znalazła dwa kieliszki na wysokich nóżkach i butelkę schłodzonego Dom Perignon.

Odtąd wszystko potoczyło się jak w baśni. W mgnieniu oka znaleźli się na lotnisku Logan, skąd samolotem rejsowym polecieeli do Nantucket. Próbowwała protestować mówiąc, że nie jest odpowiednio ubrana i powinna wrócić do domu, by się przebrać, Thomas jednak zapewnił ją, że o wszystkim wcześniej pomyślał i pokazał torbę wypełnioną kosmetykami i lekarstwami. Znalazło się tam również kilka jej sukien, a wśród nich bardzo seksowna, różowa jedwabna sukienka z domu mody Teda Lapidusa.

W Nantucket zostali tylko jedną noc, ale co to była za noc! Spędzili ją w uroczym wiejskim zajeździe, który stanowił kiedyś rezydencję starego kapitana żeglugi morskiej. Mieszkanie było urządzone we wczesnowiktoriańskim stylu, z obszernym łóżkiem pod baldachimem. Nie było tam telewizji i co najważniejsze - telefonu. Cassi z rozkoszą oddychała atmosferą całkowitej izolacji od świata i szczęśliwego, intymnego odosobnienia. Nigdy nie była tak bardzo zakochana i Thomas też nigdy nie był tak troskliwy i serdeczny. Popołudnie spędzili jeżdżąc rowerami po okolicy i biegając boso po plaży obmywanej lodowatymi falami. Kolację przy świecach zjedli we francuskiej restauracji. Siedzieli przy stole, który stał przy oknie z widokiem na port. Odbicia światła zakotwiczonych żaglówek iskrzyły się w wodzie jak drogocenne klejnoty. Kulminacyjnym punktem kolacji był prezent z okazji otrzymania dyplomu. Z małego, wyłożonego aksamitem pudełka wyjęła najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziała, naszyjnik z pereł, ozdobiony wielkim, otoczonym diamentami szmaragdem. Pomagając zapiąć naszyjnik na karku, Thomas wyznał jej, że zapinka naszyjnika stanowi rodzinną pamiątkę i została przywieziona z Europy przez jego prababkę.

Późną nocą odkryli, że imponujące łóżko z baldachimem miało bardzo istotną wadę: okropnie skrzypiało przy każdym ruchu. To odkrycie stało się przyczyną niekontrolowanych wybuchów śmiechu i w najmniejszym stopniu nie zakłóciło radosnego nastroju, a tylko wzbogaciło wspomnienia Cassi o jeszcze jeden wesoły szczegół.

Ostre hamowanie zatrzymanego przez garażem samochodu wyrwało Cassi z głębokiego zamyślenia. Thomas wysunął rękę ponad uchyloną szybą samochodu i nacisnął guzik automatu otwierającego bramę garażu.

Garaż, podobnie jak dom, pokryty był gontem i stał nieco na uboczu. W przeznaczonym dla służby mieszkaniu nad garażem obecnie rezydowała owdowiała matka Thomasa, Patrycja Kingsley, która przeprowadziła się tam z głównego budynku.

Porsche z hukiem wtoczył się do garażu i gwałtownie ucichł, gdy Thomas wyłączył silnik. Cassi ostrożnie wyszła z samochodu, tak żeby nie potrącić drzwiami swojego, stojącego obok, chevy nova. Thomas był bardzo przywiązany do porsche'a, więc chociaż była przyzwyczajona do energicznego zatraskiwania drzwi samochodu, co było konieczne, gdy się miało do czynienia z wozami starej rodziny forda, drzwi porsche'a zamknęła delikatnie.

Thomas wściekał się, gdy Cassi nie stosowała się do jego samochodowych wymagań.

- Chyba już najwyższy czas - oświadczyła gosposia, Harriet Summer, gdy Cassi i

Thomas pojawili się w hallu, i podkreślając swoje niezadowolenie, demonstracyjnie spojrzęła na zegarek. Harriet pracowała u Kingsley'ów, gdy jeszcze Thomasa nie było na świecie.

Cassi zorientowała się bardzo szybko, że traktowano ją jak członka rodziny.

- Za pół godziny kolacja będzie na stole. Jeśli się spóźnicie - ostygnie. Dziś w telewizji jest mój ulubiony program, więc chcę być wolna o ósmej trzydzieści.

- Zaraz schodzimy - oznajmił Thomas zdejmując płaszcz.

- I proszę, żebyście wieszali swoje płaszcze, gdyż nie mam zamiaru wciąż po was



sprzątać - dorzuciła Harriet.

W milczeniu zastosowali się do polecenia.

- A co słyszeć u mamy? - zapytał Thomas.

- Jak zwykle jest u siebie - odparła Harriet. - Sama zjadła obiad, a teraz oczekuje zaproszenia na kolację.

Wchodząc z Thomasem po schodach na górę, Cassi ze zdumieniem rozmyślała o zmianach, jakie często dokonują się w jej małżonku: w szpitalu jest taki władczy, wręcz agresywny, a tutaj posłusznie spełnia polecenia matki i Harriet.

Na górze Thomas skierował się do gabinetu, oznajmiając Cassi, że za chwilę będzie gotowy. Nie była wcale zdziwiona, że nie czekał na odpowiedź; udała się do swojej sypialni.

Wiedziała, że Thomas bardzo lubi swój gabinet, który stanowił prawie lustrzane odbicie jego biura w szpitalu, z tym tylko wyjątkiem, że tu miał z okien wspaniały widok na ciekawy architektonicznie garaż i okoliczne słone błota. Niepokoiło ją tylko, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy Thomas coraz chętniej w nim przebywał, a od czasu do czasu nawet tam sypiał na kanapie. Cassi nie poruszała tego tematu, wiedząc że cierpiał na bezsenność, gdy jednak liczba spędzanych samotnie nocy zaczęła rosnąć, zaniepokoiła się tym poważnie i zmartwiła.

Sypialnia znajdowała się w samym końcu korytarza, w północno--wschodniej stronie domu. Francuskie drzwi prowadziły na duży balkon, z którego roztaczał się piękny widok na morze. Obok sypialni znajdował się pokój z oknami na wschód, przez które w pogodne dni wlewało się światło słoneczne. Oba pokoje połączone były łazienką.

Tę część domu Cassi kazała przemaalować i urządziła na nowo. Z garażu wyciągnęła białe wiklinowe meble, które kiedyś stały na werandzie, poleciła je wyreperować i odnowić. W oknach zawiesiła jasne perkalowe zasłony, z perkalu także zrobiła poszewki na poduszki, pokrycia na fotele i kanapę. Sypialnię urządziła w stylu wiktoriańskim, sąsiedni zaś pokój

poleciała pomalować na jasnożółto. W ten sposób całość nabrała żywych barw, stanowiąc ostry kontrast z resztą domu, w której dominowały ciemne barwy i ponury nastrój.

W słonecznym, przyległym do sypialni pokoju Cassi urządziła swój gabinet. W piwnicy znalazła stare rustykalne biurko, które kazała pomalować na białe; w sklepie meblowym kupiła kilka prostych, sosnowych szafek na książki, które również pomalowano na białe. Jedna z szafek pełniła szczególną funkcję - Cassi umieściła w niej małą lodówkę, w której trzymała swoje lekarstwa.

Po ponownym sprawdzeniu moczu, wyjęła z lodówki jedno opakowanie insuliny krystalicznej i jedno insuliny Lente. Używając tej samej strzykawki, pobrała pół centymetra sześciennego insuliny krystalicznej, a następnie jedną dziesiątą centymetra sześciennego U100 Lente. Pamiętając, że rano zrobiła sobie zastrzyk w lewo udo, tym razem nakłuła prawe. Cały zabieg trwał nie więcej niż pięć minut.

Po wzięciu prysznic Cassi szybko przebrała się i poszła do gabinetu Thomasa. Od razu spostrzegła, że jego gospodarz był w lepszym niż przedtem nastroju. Właśnie zapinał guziki czystej koszuli, gdy okazało się, że na dole koszuli zabrakło dziurek. Trzeba było zacząć zapinanie od nowa, tym razem przy pomocy Cassi.

- Mimo to jesteś bardzo dobrym chirurgiem - zażartowała. - Spotkałam dziś stażystę, na którym wywarłeś duże wrażenie. Cieszę się jednak, że nie widział jak zapinasz guziki. - Cassi miała ochotę na rozmowę raczej niezobowiązującą.

- Kto to taki?

- Pomogłeś mu w próbie reanimacji.

- Nie było w tym nic niezwykłego. Chory umarł.

- Wiem. Byłam dziś przy sekcji jego zwłok. Thomas usiadł na sofie.

- Dlaczego byłaś przy sekcji jego zwłok? - zapytał.

- Ponieważ śmierć nastąpiła z niewiadomych przyczyn w kilka dni po operacji serca.

Thomas podniósł się z sofy i zaczął przyczesywać mokre włosy.

- Czy razem z tobą cały oddział psychiatrii przyglądał się temu wydarzeniu?

- Oczywiście że nie - odparła Cassi. - Robert zadzwonił do mnie i...

Nagle zamilkła. Dopiero teraz przypomniała sobie rozmowę w samochodzie. Na szczęście Thomas dalej spokojnie przyczesywał włosy.

- Powiedział mi, że jest to kolejny przypadek śmierci z serii SSD. Pamiętasz, mówiłam ci o tym już wcześniej.

- Nagła pooperacyjna śmierć - powtórzył Thomas jakby recytował lekcję.

- Jak się okazało, miał rację - oświadczyła Cassi. - Nie znaleziono oczywiście przyczyny zgonu. Pacjent przed kilkoma dniami przeszedł operację serca, której dokonał doktor Ballantine.

- Powiedziałbym raczej, że przyczyną były źle założone podczas operacji szwy, które mogły zacisnąć włókna pęczka Hisa i doprowadzić do zaburzeń rytmu.

- Czy takie odniosłeś wrażenie podczas próby reanimacji?

- Taka właśnie myśl przyszła mi do głowy.

- Sądzę, że był to pewien rodzaj ostrej arytmii. Pielęgniarki mówiły, że znalazły go zupełnie sinego.

Thomas skończył się czesać i dał do zrozumienia, że jest gotowy zejść na kolację.

Ręką wskazał w stronę hallu, a jednocześnie kontynuował dyskusję: - Mnie to nie dziwi. Pacjent musiał się zachłysnąć.

Cassi wyszła za Thomasem. Na podstawie wyników sekcji wiedziała, że płuca i drogi oddechowe pacjenta były absolutnie czyste, chory nie mógł więc się zachłysnąć. Ale wolała to przemilczeć. Z tonu Thomasa mogła się domyślić, że ma już dość tego tematu.

- Sądziłem, że w związku z rozpoczęciem nowego stażu jesteś bardzo zajęta -

zauważył Thomas schodząc po schodach. - Czyżbyś na psychiatrii nie miała zbyt dużo roboty?

- Więcej niż trzeba - stwierdziła Cassi. - Nigdy przedtem nie miałam tylu kłopotów.

Ale tą serią SSD interesujemy się z Robertem już od roku. Mieliśmy zamiar opublikować wyniki naszych badań. Ja odeszłam z patologii, ale jestem przekonana, że on znajduje się na jakimś tropie. W każdym bądź razie, kiedy dziś rano zadzwonił do mnie, zwolniłam się, żeby wziąć udział w sekcji.

- Chirurgia to bardzo odpowiedzialna dziedzina - oświadczył Thomas - a szczególnie chirurgia serca.

- Wiem o tym - powiedziała Cassi - ale Robert naliczył już siedemnaście tego rodzaju przypadków. Ten ostatni będzie prawdopodobnie osiemnastym. Dziesięć lat temu przypadki SSD zdarzały się wyłącznie pacjentom znajdującym się w stanie śpiączki. Ostatnio nastąpiła zmiana - umierają bez wyraźnej przyczyny pacjenci, którzy przeszli pomyślnie operacje.

- Jeśli weźmiesz pod uwagę liczbę operacji serca wykonywanych w tym szpitalu - uparcie oponował Thomas - musisz uświadomić sobie, jak mało znaczący procent stanowią te przypadki. Liczba śmiertelnych przypadków jest u nas mniejsza niż w większości innych szpitali - pod tym względem należymy do najlepszych.

- To prawda - przytaknęła Cassi. - Niemniej ta sprawa zasługuje na szczególne zainteresowanie.

Thomas ujął nagle Cassi pod rękę. - Słuchaj, nie dość, że wybrałaś sobie taką nieciekawą specjalność jak psychiatria, to jeszcze próbujesz przysparzać kłopotów oddziałowi chirurgii. Wiemy doskonale o naszych błędach. Z tego między innymi powodu organizujemy specjalną konferencję, poświęconą śmiertelnym przypadkom.

- Nigdy nie miałam zamiaru przysparzać wam kłopotów - oświadczyła Cassi. -

Badaniem przypadków SSD zajmuje się Robert. Powiedziałam mu dzisiaj, że dalej będzie musiał prowadzić badania sam. Wciąż jednak uważam, że sprawa jest interesująca.

- Istniejący w medycynie klimat współzawodnictwa zawsze powoduje, że błędy innych są dla nas interesujące - zauważył Thomas, delikatnie popychając Cassi do przodu w wąskich drzwiach prowadzących do jadalni. - Dzieje się tak bez względu na okoliczność czy są to rzeczywiste błędy, czy też po prostu akty boskiej woli.

Cassi poczuła nagle coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Uwaga Thomasa nie była pozbawiona słuszności, a ona nigdy wcześniej o tym nie pomyślała.

Gdy weszli do jadalni, od razu natknęli się na karcące spojrzenie Harriet, która nie omieszkała wytknąć im spóźnienia.

Patrycja Kingsley już siedziała przy stole. - Najwyższy czas, żebyście się w końcu zjawili - oświadczyła swoim silnym, zgrzytliwym głosem. - Jestem starą kobietą i nie powinnam tak długo czekać.

- Dlaczego nie zaczęłyście jeść kolacji bez nas? - bronił się Thomas, zajmując miejsce przy stole.

- Byłam zupełnie sama przez dwa dni - poskarżyła się Patrycja. - Jeszcze potrzebuję kontaktu z innymi ludźmi.

- Czy to ma znaczyć, że ja nie jestem człowiekiem? - zapytała z rozdrażnieniem Harriet. - W końcu się wydało!

- Dobrze wiesz, co miałam na myśli - odparła Patrycja i machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

Harriet wzniosła oczy ku górze, a następnie zajęła się swoim talerzem.

- Thomas, kiedy wreszcie pójdziesz do fryzjera? - spytała Patrycja.

- Jak tylko znajdę chwilę wolnego czasu - odpowiedział.

- I ile razy muszę ci powtarzać, żebyś przy jedzeniu kładł serwetkę na kolana -

brzmiała kolejna pretensja.

Thomas wziął serwetkę ze stołu i rzucił ją sobie na kolana.

Pani Kingsley włożyła do ust kęs chleba i zaczęła go żuć. Jej jasnoniebieskie oczy,

podobne do oczu syna, krążyły czujnie wokół stołu, jakby oczekując na choćby najmniejsze

potknięcie kogokolwiek z obecnych. Patrycja była siwowłosą kobietą o miłej

powierzchności i żelaznej woli. Od wielu lat paliła lucky strike. Od kącików jej ust w dół

zarysowywały się dwie głębokie bruzdy. Prowadziła samotny tryb życia i Cassi nie mogła

zrozumieć, dlaczego jej teściowa nie chce się przeprowadzić do miejsca, gdzie znalazłaby

przyjaciół w tym samym co ona wieku. Takie rozwiązanie byłoby w interesie Cassi, która po

trzech latach spożywania wspólnych posiłków marzyła o bardziej romantycznych wieczorach.

Czuła się skrępowana obecnością teściowej i bała się, by jej czymkolwiek nie urazić,

ściągając na siebie gniew męża.

W gruncie rzeczy stosunki Cassi z panią Kingsley układały się dobrze - przynajmniej

z punktu widzenia Cassi. Nie było dla niej przyjemne, że teściowa musiała się przeprowadzić

do mieszkania nad garażem.

Kolacja przebiegała w kompletnej ciszy, przerywanej od czasu do czasu brzękiem

sreber i porcelany. Miała się już ku końcowi, gdy nagle Thomas oznajmił: - Wszystkie

operacje poszły mi dzisiaj gładko, bez problemów.

- Nie mam najmniejszej ochoty słuchać o śmierci i chorobach - oświadczyła pani

Kingsley. Następnie, zwracając się do Cassandry, rzekła z przekąsem: - Thomas jest

dokładnie taki sam jak jego ojciec - wciąż chce mówić o swojej pracy. Nigdy nie potrafił

prowadzić rozmowy na inne tematy, na przykład o jakichś ważnych wydarzeniach

kulturalnych. Może byłoby lepiej, gdybym wcale nie wyszła za mąż.

- Co też pani mówi - zaprotestowała Cassi. - Gdyby nie to małżeństwo, nie miałyby pani wspaniałego syna.

- Ech! - wyrwało się z ust Patrycji i w jadalni rozległ się jej śmiech, tak głośny, że zakołysały się płomyki świec na stole. - Jediną nadzwyczajną rzeczą jest w nim to, że do tego stopnia jest kopią swego ojca, iż urodził się także z krzywą stopą.

Cassi upuściła widelec. Thomas nigdy jej o tym nie wspominał. Obraz małego chłopca z krzywą stopą wywołał w Cassi przypływ współczucia, ale z twarzy Thomasa wyczytała, że jest zirytowany na matkę.

- Był cudownym dzieckiem - ciągnęła Patrycja nieświadoma wściekłości, którą wywołała swoimi rewelacjami. - Ładnym i cudownym chłopcem. Przynajmniej do okresu dojrzewania.

- Mamo - odezwał się Thomas cedząc wolno słowa. - Sądzę, że już dosyć powiedziałaś.

- Mówisz bzdury - odparła. - Teraz moja kolej, żeby mówić. Dwa dni siedziałam sama z Harriet, bądź więc łaskaw mnie posłuchać.

Z najwyższą irytacją Thomas pochylił się nad talerzem.

- Thomas - odezwała się Patrycja po krótkiej chwili milczenia. - Proszę, zdejmij natychmiast łokcie ze stołu.

Thomas odsunął krzesło i wstał z płonąca twarzą. Bez słowa rzucił serwetkę na stół i wyszedł z jadalni. Cassi słyszała jego kroki na schodach, a potem trzaśnięcie drzwi gabinetu.

Płomyki świec znowu się zakołysały.

Zaskoczona tym, co się stało, Cassi początkowo nie wiedziała jak się zachować. Po chwili niezdecydowania podniosła się od stołu.

- Cassandro - ostro zareagowała Patrycja. Po czym płaczącym głosem powiedziała: -

Proszę cię, usiądź. Niech sobie idzie, a ty usiądź i dokończ kolację. Diabetycy powinni jeść.

Cassandra oblała się purpurą i usiadła.

Thomas chodził po gabinecie głośno wyrzekając, że po ciężkim szpitalnym dniu nawet w domu nie znajduje spokoju. Kipiąc gniewem dziwił się, że Cassi została z matką, zamiast pójść jego śladem. Przez chwilę pomyślał, czy nie powinien wrócić do szpitala i zainteresować się córką Campbella, której zachowanie zaintrygowało go. Wryły mu się w pamięć jej słowa, że chciałaby uczynić coś dla niego.

Bębniący w szyby zimny deszcz rychło odwiódł go od tego zamiaru. Ze stosu czasopism wziął więc pierwsze z wierzchu i rozsiadł się w obitym skórą, stojącym tuż przy kominku fotelu.

Rychło spostrzegł, że nie może skoncentrować się na lekturze. Zastanawiał się, dlaczego matka po tylu latach jest jeszcze w stanie tak łatwo wyprowadzić go z równowagi.

Potem przyszła mu na myśl seria SSD i Cassi pomagająca Robertowi Seibertowi w badaniach. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że tego rodzaju badania mogą zaszkodzić szpitalowi w oczach opinii publicznej. Był także przekonany, że Robertowi zależało, by zaczęto o nim pisać w prasie, choćby nawet miano kogoś skrzywdzić.

Odłożył na bok periodyk i wszedł do łazienki. W lustrze przyjrzał się uważnie swojemu odbiciu. Zawsze uważał, że - jak na swój wiek - wygląda młodo, ale dzisiaj nie był tego taki pewien. Dostrzegł podkrążone oczy i napuchnięte zaczerwienione powieki.

Wrócił do gabinetu, usiadł przy biurku i wysunął szufladę - drugą z prawej. Wyjął z niej plastikową buteleczkę z pigułkami. Połknął najpierw jedną żółtą pigułkę, a po krótkim wahaniu - drugą. Przy barku nalał sobie whisky i usiadł ze szklaneczką w fotelu, który kiedyś należał do jego ojca. Wypił alkohol, czując jak powoli opuszcza go napięcie. Znow sięgnął go



czasopismo. Nadal jednak nie potrafił się skoncentrować. Był wciąż zdenerwowany.

Przypomniawszy sobie pierwszy tydzień pełnienia obowiązków szefa stażystów na oddziale chirurgii serca. Pewnego dnia okazało się, że na oddziale intensywnej terapii nie ma wolnych łóżek, gdy tymczasem dwóch starszych kolegów się ich domagało. Bez wolnych łóżek ulegała zahamowaniu praca całego oddziału.

Thomas pamiętał, że sam wtedy poszedł na oddział intensywnej terapii i dokładnie sprawdzał stan każdego pacjenta. W końcu wybrał dwóch chorych, znajdujących się w stanie nieodwracalnej śpiączki. To prawda, że obaj potrzebowali ciągłej opieki wykwalifikowanych pielęgniarek, którą mogli otrzymać tylko na oddziale intensywnej terapii, prawdą jednak było również to, że obaj nie mieli już najmniejszych szans na wyleczenie. Kiedy jednak Thomas polecił usunąć ich z oddziału, sprawujący nad nimi opiekę lekarze byli oburzeni, a pielęgniarki odmówiły wykonania polecenia. W ten sposób Thomas nie tylko nie rozwiązał problemu, ale narobił sobie wrogów. Wyglądało jakby nikt oprócz niego nie był w stanie zrozumieć, że zarówno chirurgia, jak i bardzo kosztowna intensywna terapia przede wszystkim powinny służyć pacjentom dobrze rokującym, a nie kandydatom na drugi świat.

Ponownie nalał sobie whisky. Topniejący lód rozwodnił szkocką i stępił jej smak.

Zagłębiając się w fotelu zastanawiał się, co o jego postępowaniu powiedziała by ojciec, gdyby żył.

Na to pytanie nie potrafił sobie odpowiedzieć, pamiętał tylko, że ojciec - podobnie jak matka - nigdy nie lubił go chwalić, natomiast często i chętnie ganił. Czy zaakceptowałby Cassi? Jedno było pewne: jego ojciec niewiele wiedział o kobietach chorych na cukrzycę.

Po gwałtownym wyjściu Thomasa z jadalni Cassi przeżywała niepokój. Pamiętała, że jeszcze przed kolacją Thomas nie miał dobrego humoru i teraz obawiała się jego gniewu.

Usiłowała nawiązać rozmowę z Patrycją, jednak bezskutecznie. Wyglądało, że jest zadowolona, iż wytrąciła syna z równowagi.

- Czy Thomas rzeczywiście urodził się ze skrzywioną stopą? - zapytała Cassi w nadziei na jakiś dialog.

- Straszliwie. Jego ojciec też kulał do końca życia.

- Nie miałam o tym pojęcia i nigdy bym się nie domyśliła.

- To zrozumiałe. W odróżnieniu od swojego ojca został z tego wyleczony.

- Dzięki Bogu - szczerze westchnęła Cassi. Usiłowała sobie wyobrazić utykającego Thomasa. Trudno nawet wyobrazić go sobie jako kulejące dziecko.

- Na noc zakładaliśmy na stopę chłopca klamrę - powiedziała pani Kingsley. - To musiało być bolesne, gdyż krzyczał i zachowywał się jakby go torturowano. - Przyłożyła serwetkę do ust.

Cassi wyobraziła sobie niemowlę ze stopkami zamkniętymi w metalowych klamrach.

Niewątpliwie musiał to być rodzaj tortury.

- Tak więc - rzekła pani Kingsley, podnosząc się nagle z miejsca - dlaczego miałabyś nie pójść teraz do niego? Z pewnością cię potrzebuje. Wcale nie jest taki silny, jakby to się mogło zdawać. Poszłabym ja, ale z pewnością woli, żebyś to była ty. Mężczyźni są wszyscy tacy sami. Oddasz im wszystko - a oni i tak cię porzucą. Dobrej nocy, Cassandro.

Oszupiała Cassi siedziała przez chwilę w milczeniu. Słyszała jeszcze rozmowę Patrycji z Harriet, a potem trzasnęły drzwi i wszystko ucichło. Dom pogrążył się w całkowitej ciszy, tylko drzwi werandy skrzypiały monotonnie pod podmuchami wiatru.

W końcu Cassi wstała od stołu i zaczęła wspinać się po schodach. A więc również Thomas miał w dzieciństwie swoją dolegliwość! Wydało jej się to nagle tak zabawne, że wydobyło na usta mimowolny uśmiech. Stukając do drzwi gabinetu Thomasa ciekawa była, w jakim go znajdzie nastroju. Po zachowaniu się w samochodzie i późniejszym wybuchu w jadalni można było oczekiwać najgorszego. Kiedy jednak znalazła się już w gabinecie,

odetchnęła z ulgą. Thomas siedział swobodnie w fotelu, z nogami przewieszonymi przez poręcz, trzymał w jednej ręce szklankę whisky, a w drugiej periodyk medyczny. Wyglądał na zupełnie odprężonego i uspokojonego, i co najważniejsze, uśmiechał się.

- Mam nadzieję, że nie posprzeczałaś się z matką - powiedział unosząc ekspresyjnie brwi, tak jakby rzeczywiście mogło się zdarzyć coś przeciwnego. - Przepraszam za nagłe opuszczenie jadalni, ale matka doprowadza mnie czasem do szału. Po prostu nie wytrzymałem - mrugnął porozumiewawczo.

- Jak zwykle jesteś nieobliczalny - powiedziała Cassi ze śmiechem. - Odbyłam bardzo interesującą rozmowę z twoją matką. Nigdy przedtem nie słyszałam o twoich kłopotach ze stopą. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Przysiadła na poręczy jego fotela, zmuszając go do przyjęcia normalnej pozycji. Nic nie odpowiedział zajęty swoją whisky.

- Zresztą to nie jest ważne - ciągnęła - chociaż uważam się za eksperta od dziecięcych schorzeń. A to, że dotknęły nas obojga, powinno tylko nam ułatwić wzajemne zrozumienie.

- Nie pamiętam o żadnym skrzywieniu stopy. Moim zdaniem, nic takiego nie miało miejsca. Cała ta sprawa jest wytworem wyobraźni mojej matki. Chciała po prostu dać ci do zrozumienia, jak wiele ją kosztowało moje wychowanie. Spójrz sama na moje stopy: czy wyglądają na zdeformowane?

Thomas zdjął z nóg pantofle i unióś stopy.

Cassi musiała przyznać, że obie wyglądały zupełnie normalnie. Nigdy nie zauważyła, żeby Thomas miał jakiegokolwiek trudności z chodzeniem, co więcej, wiedziała, że podczas studiów uprawiał lekkoatletykę. Nie była jednak pewna, kto mówił prawdę: matka czy syn.

- To wydaje się wprost nieprawdopodobne, żeby twoja matka mogła wymyślić coś podobnego? - Cassi raczej zapytała niż cokolwiek stwierdziła. Jednak Thomas zrozumiał jej

słowa jednoznacznie.

Rzucił na podłogę trzymany w ręku periodyk, zerwał się na równe nogi niemal przewracając Cassi. - Słuchaj, jest mi zupełnie obojętne, komu wierzysz - oświadczył. - Moje stopy są zdrowe, zawsze były zdrowe i nie chcę słyszeć o żadnym ich skrzywieniu.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała uspokajająco. Okiem psychiatry dostrzegła w nim pewne zachwianie równowagi, wyrażające się choćby w formułowaniu zbyt uproszczonych wniosków. Ale to nie było wszystko. Zaczął mówić mniej wyraźnie. Cassandra zauważyła to już wcześniej, ale nie przywiązywała do tego wagi. Miał przecież prawo wypić od czasu do czasu, a Cassi wiedziała, że lubi szkocką. Zaskoczył ją jednak fakt, że zmiana nastąpiła w tak krótkim czasie; po kolacji najwidoczniej wypił kilka drinków.

Cassi bardzo pragnęła, by Thomas się odprężył. Jeśli rozmowa o skrzywieniu stopy tak bardzo go denerwowała, gotowa była nie wracać nigdy do tego tematu. Ześliznąwszy się z poręczy fotela, próbowała objąć go ramionami.

Odsunął ją i ponownie napił się szkockiej. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę na kontynuowanie sprzeczki. Z bliska Cassi dostrzegła, że jego źrenice skurczyły się i zamieniły w niewielkie czarne punkty na tle jasnoniebieskich tęczywek. Przewyciężając irytację, odezwała się łagodnie: - Jesteś wyczerpany, Thomas. Potrzebujesz snu. - Tym razem pozwolił jej objąć się za szyję. - Chodź ze mną do łóżka - powiedziała miękko.

Thomas westchnął, ale wciąż milczał. Odstawił na bok wypitą do połowy szklanekę z whisky i pozwolił Cassi zaprowadzić się do sypialni. Zaczął rozpinąć koszulę, ale Cassi odsunęła jego ręce i zrobiła to sama. Powoli go rozebrała, rzucając poszczególne części garderoby na bezładny stos. Gdy Thomas znalazł się już pod kołdrą, szybko rozebrała się i wśliznęła obok. Z przyjemnością odczuwała na nagiej skórze dotyk czystych prześcieradeł, łagodny ciężar kołdry i ciepło ciała Thomasa. Na dworze był listopadowy wiatr, łomocąc w

drewniane okiennice.

Cassi zaczęła od masowania jego karku i ramion, przesuując ręce coraz niżej. Czuła jak pod palcami rozluźniają się napięte mięśnie i jak stopniowo zaczyna reagować na jej obecność. Narastające podniecenie znalazło ujście w gwałtownym uścisku jego ramion, w którym zamknął jej szczupłą sylwetkę. Pocałowała go w usta i delikatnie sięgnęła między jego nogi. Nie był gotowy!

Odsunął gwałtownie rękę Cassi, odepchnął ją od siebie i usiadł w łóżku. - Nie sądzę, żebym był dziś w stanie cię zaspokoić - oświadczył.

- Chodziło mi o twoją przyjemność, a nie o moją - odpowiedziała łagodnie.

- Czyżby? - złośliwie zapytał Thomas. - Znam dobrze twoje psychiatryczne chwytły.

- Uwierz mi, to naprawdę nie jest ważne, czy będziemy się dziś kochać, czy nie.

Thomas podniósł się z łóżka i schylił, by podnieść z podłogi ubranie. Wykonał kilka gwałtownych, nieskoordynowanych ruchów. - Nie bardzo mam ochotę w to uwierzyć. - Z tymi słowami wyszedł z sypialni, zatrzasnąwszy mocno za sobą drzwi.

Cassi została sama w ciemnościach. Wycie wiatru za oknami budziło w niej lęk i niepokój. Dawne obawy, że może zostać porzucona, odezwały się w niej z nową siłą. Mimo ciepłej kołdry trzęsła się jak w febrze. Co będzie, jeśli Thomas ją porzuci? Rozpaczliwie usiłowała odpędzić od siebie tę myśl. Prawdopodobnie po prostu za dużo wypił.

Przypomniała sobie jego nie wyważone sądy i opinie oraz bełkotliwą mowę. Niemożliwe, żeby w krótkim czasie po wyjściu z jadalni mógł aż tyle wypić, choć w ciągu ostatnich miesięcy takie historie miały już miejsce.

Leżąc na wznak Cassi patrzyła w sufit, na którym cienie bezlistnych drzew rysowały przez okno ogromną pajęczynę. Przerażona przewróciła się na bok, by zobaczyć ten sam straszny obraz na znajdującej się naprzeciwko okna ścianie. Czyżby Thomas brał narkotyki?

Dopuszczając taką możliwość musiała przyznać, że od szeregu miesięcy przymykała oko na pewne objawy, gdyż oznaczałoby to, że Thomas nie jest z nią szczęśliwy, a ich związek małżeński poważnie zagrożony.

Thomas stał nagi przed lustrem w łazience i przyglądał się uważnie swojemu ciału.

Trudno mu było przyznać się do tego, że znacznie się postarzał. Największe zmartwienie budził w nim jego ściągnięty, pomarszczony członek. Gdy go dotykał, nie czuł najmniejszej nawet reakcji. Czyżby coś złego działo się z jego seksem? Kiedy Cassi go masowała, odczuwał potrzebę zbliżenia, ale jego penis najwidoczniej sądził inaczej.

To musi być wina Cassi - myślał bez szczególnego przekonania. Wrócił do gabinetu i ubrał się. Nie dopijając drinka, usiadł za biurkiem i otworzył drugą szufladę z prawej strony. Z tyłu szuflady, starannie ukryte za papeterią, znajdowały się plastikowe buteleczki. Jeśli chce zasnąć, musi przedtem wziąć pigułkę. Tylko jedną! Zręcznie wrzucił do ust małą żółtą tabletkę, po czym popił ją szkocką. Zadziwiające, jak szybko poczuł się całkowicie uspokojony.

## **Rozdział IV**

Następnego ranka Cassi zrobiła sobie - jak zwykle - zastrzyk z insuliny, a potem zjadła sama śniadanie. Thomas nie dawał znaku życia. O ósmej zaczęła się już martwić. W sobotę zazwyczaj wyjeżdżali razem o ósmej piętnaście, tak żeby Thomas mógł obejrzeć swoich pacjentów przed konferencją w Grand Rounds, a Cassi zdążyła do pracy.

Odłożywszy czasopismo na biurko i zacisnąwszy mocniej pasek w talii, Cassi wyszła do hallu i zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami Thomasa. Żadnego odgłosu. Delikatnie zastukała i przez chwilę czekała. Znowu nic. Nacisnęła kłamkę - drzwi były otwarte. Thomas spał, głośno chrapiąc, z budzikiem w ręku. Najwidoczniej wyłączył go, gdy dzwonił i znowu zasnął.

Cassi podeszła do łóżka i lekko nim potrząsnęła. Bezskutecznie. Potrząsnęła mocniej i dopiero wtedy otworzył z trudem oczy. Wyglądał jakby jej nie rozpoznawał.

- Przepraszam bardzo, że cię budzę, ale jest już po ósmej. Miałeś chyba zamiar jechać do Grand Rounds?

- Grand Rounds? - powtórzył Thomas jakby speszony. Stopniowo odzyskiwał przytomność. - Oczywiście że tak. Za kilka minut będę na dole. Najpóźniej za dwadzieścia minut wyjedziemy.

- Nie jadę dziś do szpitala - powiedziała Cassi najwyraźniej jak tylko mogła. - Na oddziale psychiatrii nie jestem dziś potrzebna, mam natomiast bardzo dużo lektury. Przywiozłam do domu pełną torbę odbitek prasowych.

- Jak chcesz - powiedział Thomas siadając na łóżku. - Mam dzisiaj dyżur, w związku z tym nie potrafię powiedzieć, kiedy wrócę do domu. Później dam ci znać.

Cassi zeszła do kuchni, żeby przygotować Thomasowi coś do zjedzenia w samochodzie.

Thomas siedział przez dłuższą chwilę na brzegu łóżka; kręciło mu się w głowie, czaszkę rozsadał ból. Zwlókł się wreszcie, wyjął z biurka plastikową buteleczkę i udał się do łazienki. Potrząsnął buteleczką, z której wypadło kilka małych, trójkątnych, pomarańczowych tabletek. Połknął jedną z nich i popił wodą. Dopiero wtedy odważył się spojrzeć w lustro. Nie wyglądał tak źle, jak tego się obawiał, ani też jak się czuł. Połknął jeszcze jedną pastylkę i wszedł pod prysznic, odkręcając kran do oporu.

Cassi stała w oknie i patrzyła za Thomasem, który zniknął w garażu. Poprzez szyby słyszała głuchy warkot silnika porsche'a. Pomyślała, że hałas przeszkadza Patrycji, uprzytomniając sobie jednocześnie, że dotąd nie odwiedziła teściowej w jej mieszkaniu nad garażem, mimo iż upłynęły już trzy lata odkąd się tam wprowadziła.

Odprowadziła wzrokiem znikający we mgle samochód Thomasa. Jeszcze przez dłuższą chwilę dobiegał stopniowo zamierający w oddali szum motoru. W końcu zupełnie ucichł i Cassandrę ogarnęła cisza pustego domu.

Spostrzegła, że ma wilgotne dłonie. Początkowo pomyślała, że jest to uboczny efekt insuliny, później jednak doszła do wniosku, że to nerwy. Nosiła się z zamiarem wejścia do gabinetu Thomasa pod jego nieobecność. Zawsze uważała, że w małżeństwie konieczne jest wzajemne zaufanie i przestrzeganie prawa do prywatności, ale teraz musiała wyjaśnić, czy Thomas przypadkiem nie przyjmuje jakichś środków uspokajających lub narkotyków. Długo odpędzała od siebie wszelkie podejrzenia i miała nadzieję na poprawę ich wzajemnych stosunków. Teraz jednak nie wolno jej dłużej czekać!

Otworzywszy drzwi do gabinetu Thomasa, poczuła się jak pospolity włamywacz.

Najmniejszy szelest wprawiał ją w panikę.

- Mój Boże! - zawołała w pewnym momencie. - Jestem po prostu idiotką!

Własny głos podziałał uspokajająco. Jako żona Thomasa miała prawo wejść do każdego pomieszczenia w tym domu, wciąż jednak czuła się tu gościem.

W gabinecie panował nieporządek. Łóżko nie było posłane, kołdra i prześcieradła leżały na podłodze. Cassi skierowała się ku biurku, ale spojrzała na otwarte drzwi do łazienki.

Zajrzała do wiszącej na ścianie małej apteczki: wewnątrz znalazła przybory do golenia, kilka starych szczoteczek do zębów, trochę przeterminowanych antybiotyków i innych specyfików.

Przejrzała starannie wszystkie opakowania i buteleczki - nie znalazła nic podejrzanego.

Gdy już miała wyjść z łazienki, spostrzegła na posadzce coś kolorowego. Schyliła się i podniosła małą trójkątną tabletkę: SKF-E-19. Wyglądała jak coś znajomego, ale Cassi nie była w stanie określić, co to za specyfik. Postanowiła zajrzeć do „Informatora Lekarskiego”.

Nie znalazłszy go na półkach z książkami Thomasa, wróciła do siebie i sięgnęła po własny



egzemplarz. Teraz szybko zidentyfikowała tajemniczy medykament: była to deksedryna.

Trzymając pigułkę w palcach, Cassandra patrzyła na morze. Ćwierć mili od brzegu kołysała się na falach samotna żaglówka. Patrząc w dal Cassi usiłowała zebrać myśli.

Odczuwała jednocześnie ulgę i narastający niepokój. Źródłem niepokoju było potwierdzenie jej obaw - Thomas przyjmował narkotyki. Uczucie ulgi wynikało stąd, że była to tylko deksedryna. Nietrudno wyobrazić sobie człowieka pracującego tak ciężko jak Thomas, który od czasu do czasu usiłuje podtrzymać swoje siły przy pomocy takich właśnie środków.

Potrafiła zrozumieć, że w jego sytuacji łatwo było wpaść w nawyk przyjmowania pigułek w celu likwidacji skutków zmęczenia i zaostrzenia uwagi. Takie właśnie postępowanie było jak najbardziej zgodne z jego charakterem. Ale wszystkie próby samouspokojenia nie dawały rezultatu. Cassi zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa nadużywania deksedryny. Czy w jakimś stopniu ponosiła odpowiedzialność za ten stan rzeczy? Od jak dawna to trwa?

Położyła nieszczęsną pigułkę na biurko i odłożyła informator z powrotem na półkę.

Przez krótką chwilę żałowała, że weszła do gabinetu Thomasa i znalazła dowód rzeczowy; gdyby nie to, mogłaby dalej ignorować całą sprawę. Najprawdopodobniej jest to sytuacja przejściowa i gdyby o niej Thomasowi napomknęła, z pewnością byłby mocno niezadowolony.

- Jednak powinnaś coś uczynić - powiedziała do siebie, starając się odzyskać determinację. Faktem było, że jedyną osobą, która miała znaczny wpływ na Thomasa, była jego matka. Chociaż Cassi nie miała ochoty, żeby dzielić się z kimkolwiek swoim zmartwieniem, postanowiła uczynić wyjątek dla Patrycji, od której można było oczekiwać, że weźmie sprawę do serca. Zważywszy wszystkie argumenty, zdecydowała się na rozmowę z teściową. Jeśli Thomas, nie daj Boże, przez dłuższy czas nadużywał deksedryny, ktoś powinien mu na to zwrócić uwagę.

Przede wszystkim jednak musi się odpowiednio ubrać. Zdjęła z siebie szlafrok i nocną koszulę, po czym weszła pod prysznic.

Thomas lubił występować z odczytami w Grand Rounds. Obecny był cały personel lekarski interny i chirurgii, nie wyłączając stażystów i studentów. Sala była dosłownie nabita słuchaczami, którzy z braku wolnych miejsc siedzieli nawet na schodkach prowadzących na amfiteatr. Thomas zawsze przyciągał uwagę publiczności, nawet wtedy, gdy - jak dzisiaj - występował razem z George'em.

Kiedy zakończył swoje wystąpienie, w całości poświęcone operacyjnemu leczeniu choroby wieńcowej, cała sala zatrzęsa się od burzliwych oklasków. Ogrom wykonanej przez Thomasa pracy wystarczył, by wywrzeć wrażenie na słuchaczach, zwłaszcza że relacja została wsparta imponującymi danymi liczbowymi.

Kiedy Thomas poprosił zebranych o pytania, ktoś z górnych rzędów zawołał, iż chciałby wiedzieć, jaką dietę stosuje Thomas, że posiada tyle energii. Audytorium przyjęło pytanie śmiechem, jako przejaw poczucia humoru pytającego.

Kiedy śmiechy ucichły, Thomas zamknął swoje wystąpienie stwierdzeniem: - Jestem przekonany, że przedstawione przeze mnie dane nie pozostawiają cienia wątpliwości co do skuteczności operacyjnego leczenia choroby wieńcowej. Zebrał rozłożone na mównicy notatki i zajął miejsce za stołem prezydialnym obok doktora Shermana.

Temat wykładu George'a brzmiał: „Interesujący przypadek dla celów dydaktycznych”.

Thomas jęknął w duchu i zaczął smętnie spoglądać w stronę wyjścia. Od chwili przyjazdu do szpitala czuł nasilający się ból głowy. Taki śmieszny temat, myślał. Z narastającą irytacją obserwował George'a, który podszedł do mównicy i dmuchnął w mikrofon dla sprawdzenia jego sprawności. Jakby to jeszcze nie wystarczyło, postukał w

niego sygnetem. Zadowolony z wyniku zaczął mówić.

Interesującym przypadkiem okazał się dwudziestoosmioletni mężczyzna, Jeoffry

Washington, który w wieku dziesięciu lat nabawił się choroby reumatycznej i był przez dłuższy czas leczony w szpitalu. Gdy choroba rozwinęła się, u chłopca pojawił się głośny holosystoliczny szmer serca, wskazujący na poważne uszkodzenie zastawki mitralnej. W miarę upływu czasu problem narastał, aż w końcu zaistniała konieczność przeprowadzenia operacji.

W tym momencie Jeoffry Washington został wwieziony na wózku i przedstawiony audytorium. Był to szczupły, młody Murzyn o kanciastych rysach i dość jasnych oczach. Głowę miał nieco odgiętą do tyłu i patrzył prosto przed siebie. Kiedy już wyjeżdżał z sali, jego oczy spotkały się z oczami Thomasa. Jeoffry skinął głową i uśmiechnął się. Doktor odpowiedział mu tym samym. Nie współczuł temu człowiekowi;

jakkolwiek jego historia mogła się komuś wydawać tragiczna, nie była szczególnym wyjątkiem. Operował już setki pacjentów z podobnym życiorysem.

Kiedy Jeoffry opuścił salę, George wrócił na mównicę. - Pan Washington miał już wyznaczony termin operacji, ale podczas przygotowań ujawniono nowy, interesujący dla sprawy szczegół. Rok temu przeszedł zapalenie płuc, wywołane przez *Pneumocystis carinii*. Szmer podniecenia przebiegł przez salę.

- Przypuszczam - George starał się przekrzyczeć hałas - że nie muszę nikomu przypominać, iż fakt ten wskazuje na to, że pacjent jest chory na AIDS. Jak się okazało, pod względem seksualnych preferencji Jeoffry Washington zalicza się do homoseksualistów. Thomas dopiero teraz zorientował się, co George miał na myśli ostatniego popołudnia, podczas rozmowy w pokoju chirurgów. Zamknął oczy i usiłował opanować narastający gniew. Dla niego Jeoffry Washington był przykładem chorego, który zabierał tylko czas w

sali operacyjnej i łóżko na oddziale chirurgii serca. Thomas nie był bynajmniej osamotniony w swoich zastrzeżeniach. Jeden z internistów podniósł rękę i zabrał głos: - Mam poważne wątpliwości co do celowości przeprowadzania operacji serca na chorym na AIDS pacjencie - oświadczył.

- Bardzo istotna uwaga - stwierdził George. - Mogę na to odpowiedzieć tylko tyle, że system immunologiczny pacjenta niewiele odbiega od normalnego. Termin operacji wyznaczaliśmy na przyszły tydzień, ale będziemy uważnie śledzić wszelkie zmiany w jego organizmie. Doktor Sorenson z oddziału immunologii nie sądzi, aby AIDS w jakimkolwiek stopniu stanowiło przeciwwskazanie dla operacji.

Kilkanaście rąk uniosło się jednocześnie do góry, George zaczął więc wywoływać chętnych po kolei do mównicy. Ożywiona dyskusja przeciągnęła się poza planowany na konferencję czas. Nawet po oficjalnym zakończeniu tu i ówdzie widać było grupki żywo dyskutujących.

Thomas chciał natychmiast wyjść z sali, ale na przeszkodzie stanął mu promieniejący zadowoleniem Ballantine: - To była dobra konferencja - pochwalił.

Thomas skinął głową. W tej chwili pragnął tylko jednego: za wszelką cenę opuścić salę. Miał uczucie, jakby głowę ścisnęły mu kleszcze.

Z tyłu podszedł George Sherman i klepnął go w plecy. - Daliśmy towarzystwu dużo do myślenia. Zapracowaliśmy na uznanie.

Thomas powoli odwrócił się i spojrzał w roześmianą, zadowoloną twarz George'a. - Jeśli mam być szczery, to cała ta konferencja była jedną wielką farsą.

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Obaj mężczyźni mierzyli się spojrzeniami, stojąc pośrodku grupy lekarzy.

- W porządku - oświadczył w końcu George. - Każdy zostanie przy swoim zdaniu.

- Powiedz mi jedno. Czy ten biedny facet, Jeffery Washington, którego prezentowałeś na tej sali jak jakiegoś dziwoląga, zajmuje łóżko na oddziale chirurgii serca?

- Oczywiście - odpowiedział George czując wzbierający gniew. - A gdzie, twoim zdaniem, powinien się znajdować - w kafeterii?

- Uspokójcie się, proszę - próbował pohamować przeciwników Ballantine.

- Powiem ci, gdzie powinien się znajdować - kontynuował podniesionym głosem Thomas, szturchając jednocześnie George'a wskazującym palcem w pierś. - Powinien znajdować się na oddziale internistycznym, jeśli istnieje jakakolwiek możliwość wzmocnienia jego immunologicznego systemu. Chodzi o to, że może umrzeć, zanim zdążymy poddać go operacji.

George odsunął rękę Thomasa. - Jak już powiedziałem, masz prawo do własnego sądu. Ja nadal uważam, że Jeffery Washington jest interesującym przypadkiem dla celów dydaktycznych.

- Interesujący przypadek dla celów dydaktycznych - drwiąco powtórzył Thomas. - Ten człowiek jest chory na AIDS. Nie powinien zajmować łóżka na chirurgii serca. To łóżko jest potrzebne dla innych pacjentów. Czy ty tego nie rozumiesz? Przecież to absurd, że moi pacjenci muszą czekać na łóżko, pacjenci, którzy nie mają innych - poza sercem - dolegliwości i którzy są potrzebni naszemu społeczeństwu.

George ponownie odsunął rękę Thomasa: - Przestań mnie szturchać - wycedził.

- Dżentelmeni! - Ballantine rozdzielił obu adwersarzy.

- Nie jestem pewien, czy Thomas wie, co to słowo znaczy - ironicznie zauważył George.

- Słuchaj, zasrańcu - warknął Thomas wychylając się spoza Ballantine'a i zgarniając w dłoni koszulę na piersi George'a. - Robisz sobie kpiny z naszej pracy, wyszukując te swoje

interesujące przypadki, żeby wypełnić tak zwany program dydaktyczny.

- Lepiej puść natychmiast moją koszulę - ostrzegł George czerwieniejąc na twarzy.

- Dość tego - zawołał Ballantine, odsuwając rękę Thomasa.

- Naszym zadaniem jest walczyć o życie ludzkie - wycodził George przez zaciśnięte zęby - a nie wydawać sądy, kto z nas jest lepszy. Tę sprawę pozostawmy Bogu.

- Właśnie o to chodzi - stwierdził Thomas. - Jesteś na tyle głupi, że nawet nie uświadamiasz sobie, że to ty wydajesz sądy, kto powinien żyć, a kto nie. Ilekroć odmawiasz mi czasu w sali operacyjnej, tylekroć skazujesz na śmierć jednego z moich pacjentów.

Po tym dramatycznym oświadczeniu Thomas wykonał obrót na pięcie i wyszedł z sali.

George nabrał powietrza w płuca i poprawił zmiętą koszulę.

- Boże! Co za pyszałek!

- Zachował się arogancko - przyznał Ballantine. - Ale jest to cholernie dobry chirurg.

Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiedział George. - Muszę przyznać, że miałem już wielką ochotę go uderzyć. Obawiam się, że może nam sprawiać kłopoty. Mam nadzieję, że nic nie podejrzewa.

- W tym przypadku jego arogancja może okazać się pomocna.

- Mieliśmy szczęście. *A propos*, czy zauważyłeś, że trzęsa mu się ręce?

- Nie - odpowiedział zdumiony Ballantine. - Kiedy to spostrzegłeś?

- To zdarza mu się od czasu do czasu - rzekł George. - Po raz pierwszy to zauważyłem chyba przed miesiącem. Zwróciłem uwagę dlatego, że poprzednio był wyjątkowo opanowany. Dzisiaj można to było zauważyć podczas wykładu.

- Wielu ludzi denerwuje się, występując przed szeroką publicznością.

- Masz rację - zgodził się George - ale zauważyłem to również podczas rozmowy z nim o śmierci Wilkinsona.

- Wolałbym nie mówić o Wilkinsonie - powiedział Ballantine, spoglądając na pustoszejący amfiteatr. Uśmiechnął się ze zrozumieniem: - Thomas jest po prostu zbyt napięty.

- Być może - odpowiedział George nie przekonany. - Ja jednak uważam, że mogą z nim być kłopoty.

Cassi ubrała się bardzo starannie przed wizytą u Patrycji, tak jakby miała się z nią spotkać po raz pierwszy. Wybrała na tę okazję granatową wełnianą spódnicę i odpowiedni żakiet, spod którego widać było białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem. Kiedy już miała wyjść spostrzegła, w jak okropnym stanie są jej paznokcie. Zatrzymała się więc jeszcze, by poprawić manicure. Gdy lakier wysechł, doszła do wniosku, że nie podoba się jej fryzura. Opuściła włosy na ramiona, by po chwili znowu spiąć je do góry.

Po tych przygotowaniach wreszcie ruszyła przez dziedziniec ku garażowi. Było mroźno - z nosa i ust unosiła się mgielka pary. Cassi nacisnęła przycisk dzwonka - nie było żadnej odpowiedzi. Wspięła się na palce, zajrzała przez niewielki otwór w drzwiach, ale zobaczyła tylko pustą klatkę schodową. Nacisnęła na przycisk ponownie - tym razem dostrzegła schodzącą po schodach teściową. Patrycja podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz przez wizjer. - Co się stało, Cassandro? - zapytała.

Cassi milczała przez chwilę, zdziwiona, że Patrycja nie otwiera jej drzwi. Nie miała innego wyjścia niż podać powód swojej wizyty. - Chcę porozmawiać o Thomasie - zawołała głośno.

Widocznie to wyjaśnienie nie wystarczyło, gdyż Patrycja nie od razu wpuściła ją do środka. W końcu jednak zasuwę zgrzytnęły, drzwi się otworzyły, a obie kobiety stanęły oko w oko.

- O co chodzi? - zapytała Patrycja.

- Bardzo mi przykro, że sprawiam pani kłopot - zaczęła Cassi.

- Nie sprawiasz mi kłopotu.

- Czy mogę wejść do środka?

- Bardzo proszę - rzekła Patrycja, wstępując na prowadzące do góry schody. - I zamknij drzwi, proszę.

Cassi z przyjemnością weszła do ciepłego wnętrza, zostawiając za sobą wilgotny chłód listopadowego poranka. Idąc za Patrycja, znalazła się w małym, lecz wystawnie urządzone w stylu wiktoriańskim pokoju, bogato zdobionym czerwonym aksamitem i białą koronką.

- Ten pokój jest piękny - stwierdziła Cassi z uznaniem.

- Dziękuję - odparła Patrycja. - Czerwień jest ulubionym kolorem Thomasa.

Cassi uniosła ze zdziwieniem brwi, gdyż zawsze była przekonana, że Thomas preferuje błękit.

- Spędzam tutaj dużo czasu - wyjaśniła Patrycja - chciałam więc, żeby był miły i przytulny.

- I rzeczywiście jest taki - potwierdziła Cassi, zaskoczona widokiem konia na bieżniach, dziecinnych samochodów i innych zabawek.

Idąc za spojrzeniem Cassi, Patrycja wyjaśniła: - To są stare zabawki Thomasa, które teraz dobrze spełniają funkcję dekoracyjną, nie sądzisz?

- Rzeczywiście - odpowiedziała Cassi. Jednocześnie pomyślała, że zabawki, owszem, mogą mieć swój wyraz, ale tutaj stanowią dysharmonię.

- Czy napijesz się herbaty? - zaproponowała Patrycja.

W tym momencie Cassi uprzytomniła sobie, że matka Thomasa była tak samo skrupowana jak ona.



- Chętnie - odparła Cassi odzyskując rezon.

Kuchnię Patrycja urządziła skromnie, lecz praktycznie. Były tu białe metalowe szafki, stara lodówka i mała kuchenka gazowa. Patrycja nastawiła czajnik z wodą na kuchence i wydobyla z szafki porcelanowe filiżanki do herbaty. Z lodówki zdjęła drewnianą tacę.

- Z mlekiem czy z cytryną?

- Z mlekiem.

Patrząc na teściową, która szukała dzbanuszką na śmietankę, Cassi uprzytomniła sobie, jak rzadko ta stara kobieta podejmuje gości. Z głębokim poczuciem winy zastanawiała się, dlaczego dotąd nie zaprzyjaźniły się ze sobą. Nie wiedziała, w jaki sposób poruszyć temat Thomasa w rozmowie z kobietą, z którą dzieliło ją tak wiele. Dopiero kiedy usiadły za stołem z dymiącymi filiżankami herbaty na białym obrusie, zdobyła się na odwagę. - Przyszłam tutaj, żeby porozmawiać o Thomasie - zaczęła.

- Już to mówiłaś - zauważyła Patrycja sympatycznym tonem. Starsza pani nieco się rozchmurzyła i była wyraźnie zadowolona z wizyty.

Cassi westchnąwszy odstawiała filiżankę. - Martwię się o niego. Moim zdaniem za dużo pracuje i...

- Od dzieciństwa był bardzo aktywny - przerwała jej Patrycja. - Nie dawał ani chwili spokoju. Chcąc go utrzymać w ryzach, trzeba było bez przerwy nad nim czuwać. Jeszcze nie nauczył się dobrze chodzić, a już był nieposłuszny i niesforny. Od dnia, w którym przyniosłam go ze szpitala...

Przysłuchując się opowiadaniu Patrycji, Cassi uświadomiła sobie, że Thomas nadal był pępkiem świata dla starszej pani. Teraz dopiero rozumiała, dlaczego Patrycja - mimo osamotnienia, w jakim się znajdowała - nie chciała porzucić tego domu. Obserwując ją zwróciła uwagę na duże podobieństwo syna do matki. Aczkolwiek jej twarz była bardziej

szczupła i delikatna, oboje mieli arystokratyczne rysy.

Kiedy Patrycja odstawiła pustą filiżankę, Cassi obdarzyła ją wåtłym uśmiechem i

rzekła: - Wygląda na to, że od tamtej pory niewiele się zmienił.

- Uważam, że się w ogóle nie zmienił - rzekła Patrycja. Po czym po chwili dodała ze

śmiechem: - Jest dotąd tym samym chłopcem. Wymaga bardzo wiele troski.

- Przyszłam tu w nadziei - rzekła Cassi - że nie odmówi mi pani pomocy.

- Czyżby? - Patrycja uniosła brwi ze zdziwieniem.

Cassi uzmysłowiła sobie, że z takim trudem osiągnięta między nimi nic porozumienia

znów ustąpiła miejsca dawnej podejrzliwości. Mimo to kontynuowała podjęty temat: - Skoro

Thomas tak się z panią liczy...

- To oczywiste. Jestem przecież jego matką. Właściwie do czego zmierzasz,

Cassandro?

- Mam podstawy, aby podejrzewać Thomasa, że bierze narkotyki - oświadczyła Cassi.

Powiedziała to i poczuła ulgę, że w końcu zdobyła się na odwagę. - Podejrzewam go już od

kilku miesięcy, ale miałam nadzieję, że problem sam zniknie.

Niebieskie oczy Patrycji stały się zimne. - Thomas nigdy nie brał narkotyków.

- Proszę mnie właściwie zrozumieć. Ja go nie krytykuję, ja się o niego martwię i mam

nadzieję, że pani mi pomoże. On robi to, co mu pani każe.

- Jeśli Thomas potrzebuje mojej pomocy, powinien sam mnie o to poprosić. - Poza

tym wybrał przecież ciebie. - Patrycja wstała z miejsca, dając w ten sposób do zrozumienia,

że spotkanie jest skończone.

Wszystko jasne, pomyślała Cassi. Patrycja jest wciąż zazdrosna o to, że jej chłopiec w

końcu dorósł i ożenił się.

- Thomas nie wybrał mnie zamiast pani, Patrycjo - zauważyła spokojnie Cassi. -

Żeniąc się ze mną szukał innego rodzaju związku.

- Jeśli ten związek jest tak bardzo inny, to gdzie są wasze dzieci? Był to celny cios.

Cassi poczuła, że traci grunt pod nogami. Problem dzieci był drażliwym i bolesnym tematem.

W związku z cukrzycą ciąża stanowiła dla niej poważne zagrożenie. Spuściła oczy wbijając wzrok w stół i zdała sobie sprawę, że nie powinna była zaczynać tej rozmowy.

- Nie będzie żadnych dzieci - odpowiedziała Patrycja na własne pytanie. - I wiem dobrze dlaczego. Spowodowana twoją chorobą bezdzietność jest dla Thomasa tragedią.

Mówił mi, że ostatnio sypiacie oddzielnie.

Cassi uniosła głowę zaszokowana tym, że odsłaniał przed matką tak intymne sprawy. -

Wiem, że między mną a Thomasem istnieją problemy, ale nie o to mi chodzi. Obawiam się, że Thomas przyjmuje deksedrynę i robi to już od dłuższego czasu. Jeśli nawet bierze ją po to, żeby podtrzymać swoje siły i móc więcej pracować, w końcu okaże się to niebezpieczne i dla niego, i dla jego pacjentów.

- Czyżbyś oskarżała mojego syna o narkomanie?

- Nie - odparła Cassi, niezdolna do dalszych wyjaśnień.

- Mam nadzieję - oświadczyła Patrycja. - Prawie wszyscy przyjmują leki od czasu do czasu. W przypadku Thomasa jest to zupełnie zrozumiałe. Nawet w nocy jest zrywany z łóżka do pacjentów. Prawdziwym problemem są wasze wzajemne stosunki.

Cassi nie miała siły dłużej się spierać. Siedziała cicho i zastanawiała się nad tym, co usłyszała od Patrycji.

- Sądzę, że już czas, byś poszła. - Patrycja wyciągnęła rękę i sprzątnęła filiżankę.

Cassi bez słowa podniosła się z miejsca i wyszła.

Tymczasem Patrycja wyniosła filiżanki do kuchni. Kiedy Thomas planował to małżeństwo, próbowała mu tłumaczyć, że ten związek okaże się błędem. Zrobił jednak swoje.

Wróciła do pokoju, siadła przy telefonie i zadzwoniła do Thomasa. Zostawiła dla niego wiadomość, że chce z nim niezwłocznie rozmawiać.

Pacjenci Thomasa byli rozmieszczeni aż na trzech piętrach szpitala. Po zakończeniu konferencji w Grand Rounds Thomas udał się na obchód, zaczynając od najwyższego, osiemnastego piętra. Zwykle w soboty dokonywał obchodu przed konferencją i przed godzinami odwiedzin chorych przez krewnych. Dzisiaj przyszedł do szpitala późno i w rezultacie stracił dużo czasu na uspokajanie zdenerwowanych członków rodzin. Chodzili za nim krok w krok i wciąż o coś pytali, dopóki im nie przerwał, by przystąpić do zbadania następnego pacjenta. Po tym znów musiał odpowiadać na pytania.

Odetchnął dopiero wtedy, gdy znalazł się na piętrze intensywnej terapii, dokąd odwiedzających wpuszczano tylko w wyjątkowych wypadkach. Wchodząc do sali chorych, przypomniał sobie nieprzyjemny incydent z Shermanem. Bez względu na przyczyny, Thomas był z siebie niezadowolony.

Stan trzech pacjentów, których operował poprzedniego dnia, był zadowalający.

Wszyscy zostali rozintubowani i przyjmowali pokarm doustnie. EKG, ciśnienie i pozostałe wskaźniki były w normie, ustabilizowane. U Campbella kilkakrotnie wystąpił nieregularny rytm serca, ale szybko go opanowano dzięki wykryciu przez bystrego stażystę przyczyny - ostrej rozstrzeni żołądka. Thomas zanotował nazwisko lekarza - przy najbliższej okazji go pochwali.

Podszedł do łóżka Campbella. Chory uśmiechnął się słabo. Chciał coś powiedzieć.

Thomas pochylił się nad nim. - Co pan powiedział, panie Campbell?

- Chciałbym oddać mocz - rzekł cicho chory.

- Ma pan podłączony cewnik do pęcherza - rzekł Thomas.

- Chcę jednak oddać mocz - powtórzył Campbell.

Thomas poddał się i polecił pielęgniarce, żeby przekonała chorego.

Przed wyjściem spojrzał jeszcze na nieszczęśnika, który leżał na łóżku obok

Campbella. To była jedna z porażek Ballantine'a. Pacjent nabawił się zatoru powietrznego mózgu podczas operacji i obecnie skazany był na wegetację, a jego życie zależało całkowicie od aparatury. Biorąc pod uwagę wysokie kwalifikacje tutejszych pielęgniarek, mógł w ten sposób żyć jeszcze długo.

Thomas poczuł nagle ciężar czyjejś dłoni na ramieniu. Odwrócił się i ze zdziwieniem ujrzał George'a Shermana.

- Thomas - zaczął George. - Sądzę, że nie ma w tym nic złego, że się z sobą nie zgadzamy - to może nas tylko skłonić do dokładnej analizy stanowisk. Byłbym jednak bardzo zmartwiony, gdyby miało to prowadzić do wrogości między nami.

- Jest mi przykro, że tak się zachowałem - odparł Thomas; to, co powiedział, zabrzmiało niemal jak przeprosiny.

- Ja również trochę się zagalopowałem - przyznał George. Idąc za wzrokiem Thomasa, spojrzał na chorego, przy którego łóżku się znajdowali. - Biedny Harwick. Mówimy o braku łóżek. Tu mamy jeszcze jedno nie wykorzystane należycie.

Thomas uśmiechnął się mimo woli.

- Kłopot w tym - dodał George - że Harwick będzie je jeszcze długo zajmował, chyba że...

- Że co? - zapytał Thomas.

- Że wyciągniemy wtyczkę, jak to się zwykle mówi - roześmiał się George.

Thomas chciał wyjść, ale George zatrzymał go delikatnie. Zaczął się już zastanawiać, dlaczego ten człowiek ciągle się go czepia.

- Powiedz mi - zapytał George - czy znalazłbyś w sobie dość odwagi, żeby pociągnąć

za wtyczkę?

- Musiałbym najpierw odbyć rozmowę z Rodney'em Stoddardem - odpowiedział sarkastycznie Thomas. - A ty, George? Gotów jesteś chyba na wiele, żeby zdobyć więcej łóżek.

George roześmiał się i cofnął powstrzymujące Thomasa ramię. - Wszyscy mamy swoje sekrety. Nigdy nie spodziewałem się, że powiesz, iż musiałbyś porozmawiać z Rodney'em. To było dobre.

Jak zwykle George poklepał Thomasa na pożegnanie i odszedł skinąwszy głową pielęgniarce.

Thomas odprowadził go wzrokiem, a następnie raz jeszcze spojrzął na pacjenta zastanawiając się nad tym, co miały oznaczać uwagi George'a. Od czasu do czasu pacjentom odłączano podtrzymującą życie aparaturę, ale ani lekarze, ani pielęgniarki nie przyznawali się do tego.

- Doktor Kingsley?

Pracownik administracji szpitalnej zawiadamiał, że jest do niego telefon.

Thomas rzucił ostatnie spojrzenie na pacjenta Ballantine'a i przeszedł do pokoju biurowego, zastanawiając się po drodze, w jaki sposób można by było zmusić Ballantine'a do omówienia własnych „trudnych przypadków”. Thomas był głęboko przekonany, że te „nieoczekiwane” i „nieuniknione” tragedie nigdy by się nie zdarzyły, gdyby on przeprowadzał te operacje.

Podniósł słuchawkę telefonu z irytacją. Ilekroć podczas obchodu wywoływano go do telefonu, przekazywano mu złe wieści. Tym razem telefonistka powiadomiła go tylko, że powinien jak najszybciej zadzwonić do matki.

Zaskoczony Thomas niezwłocznie wykręcił numer matki, która nigdy nie niepokoiła

go w godzinach pracy, jeśli nie zdarzyło się coś ważnego.

- Przepraszani, że cię niepokoję, kochany - odezwała się Patrycja.

- Co się stało?

- Chodzi o twoją żonę.

Nastąpiła chwila milczenia. Czuł, że traci resztki cierpliwości.

- Mamo, ja naprawdę jestem bardzo zajęty.

- Twoja żona złożyła mi dziś rano wizytę.

Przez krótką chwilę Thomas myślał, że wizyta ta była związana z jego wczorajszą impotencją, rychło jednak sobie uprzytomnił, że był to pomysł absurdalny. To, co usłyszał od matki, okazało się jeszcze bardziej alarmujące.

- Przypuszcza, że jesteś swojego rodzaju narkomanem. Chyba mówiła o deksedrynie.

Thomas zaniemówił na chwilę z wściekłości.

- C... co jeszcze mówiła? - wyjąkał w końcu.

- Sądzę, że to powinno ci wystarczyć. Powiedziała, że nadużywasz narkotyków.

Ostrzegałam cię przed tą kobietą, ale nie chciałeś mnie słuchać. Ty, oczywiście, zawsze wiesz lepiej...

- Wrócimy do tej rozmowy dziś wieczorem - odparł Thomas i przerwał połączenie.

Trzymając wciąż słuchawkę w ręku, Thomas starał się opanować. Oczywiście, brał od czasu do czasu pigułki. Każdy robi to samo. Jak więc Cassi mogła zrobić z tego wielki problem i donieść o tym matce? On nadużywa narkotyków! Mój Boże, jakaś przypadkowa pigułka nie oznacza jeszcze narkomanii!

Odruchowo wykręcił domowy numer Doris. Za trzecim dzwonkiem podniosła słuchawkę zadyszana.

- Co byś powiedziała, gdybym ci zaproponował swoje towarzystwo?

- Kiedy? - zapytała z zapalem.

- Za kilka minut. Jestem w tej chwili w szpitalu.

- Z przyjemnością. Cieszę się, że mnie złapałeś. W tej chwili wróciłam do domu.

Thomas odłożył słuchawkę. Nurtowała go obawa, że z Doris przydarzy mu się to samo, co ubiegłej nocy spotkało go z Cassi. - Lepiej o tym nie myśleć - postanowił - i szybko skończył obchód.

Doris mieszkała niedaleko szpitala. Po drodze Thomas nie przestawał myśleć o Cassandrze. Dlaczego to zrobiła? Przecież to było bez sensu. Czy rzeczywiście sądziła, że się o tym nie dowie? Być może próbowała w taki właśnie nielogiczny sposób spowodować ponowne zbliżenie. Thomas westchnął. Nie tak sobie wyobrażał małżeństwo z Cassi. Sądził, że znajdzie w niej oparcie w dążeniu do sukcesu. Wszyscy byli nią zachwyceni, nawet George za nią szalał i chciał ją poślubić po zaledwie kilku randkach.

W domofonie rozległ się głos Doris. Był jeszcze na schodach, gdy usłyszał, jak otwiera drzwi.

- Co za miła niespodzianka - zawołała, gdy znalazł się już na półpiętrze. Była ubrana w komplet joggingowy, składający się z obcisłych szortów i sportowej koszulki, która ledwo przykrywała pępek. Rozpuszczone włosy wydawały się bujne i lśniące.

Gdy wprowadziła go do środka, Thomas rozejrzał się dokoła. Nie był tu już od miesięcy, ale nie dostrzegł żadnych zmian. Pokój, w którym się znajdował, był niewielki: naprzeciwko małego kominka stało pojedyncze łóżko, pod ścianą stolik z karafką i dwoma kieliszkami, po przeciwnej stronie - okno wykuszowe. Doris podeszła do Thomasa i przytuliła się do niego. - Czy chciałbyś mi coś podyktować? - przekomarzała się głaszcząc rękami jego plecy. Obawy Thomasa o potencję szybko się rozwiąły.

- Czy to nie za wcześnie na małą zabawę? - zapytała Doris, jeszcze mocniej



przytulając się do Thomasa, który nie krył podniecenia.

- Na Boga, nie - zaprotestował żywo, pociągając ją na łóżko. Szybko rozebrał Doris i z uczuciem głębokiej ulgi zagłębiał się w niej powoli. Zachowywał się jak w ekstazie. I wiedział już, że to, co się stało poprzedniej nocy, było wyłączną winą Cassi. Zapomniał tylko, że dziś jeszcze nie zdążył wziąć pigułki.

Pielęgniarki w oddziale intensywnej terapii wiedziały, że problemy szczególnej wagi potrafią się w tajemniczy sposób rozmnażać. Ta noc zaczęła się dość pechowo chwilowym zatrzymaniem pracy serca u jedenastoletniej dziewczynki, która była tego dnia operowana z powodu pęknięcia śledziony. Wszystko skończyło się szczęśliwie, gdyż serce szybko wznowiło pracę. Pielęgniarki były zdumione faktem, że tylu lekarzy zgłosiło się na „kod”.

Przez pewien czas było ich tak wielu, że sobie wzajemnie przeszkadzali.

- To interesujące, dlaczego tylu lekarzy jest na miejscu? - zaciekała się Andrea Bryant, kierownik dyżurującego zespołu. - Chyba po raz pierwszy zobaczyłam tutaj w sobotę doktora Shermana.

- Być może w sali operacyjnej mamy wiele nagłych przypadków - zauważyła Trudy Bodanowitz.

- Nic podobnego - odparła Andrea. - Rozmawiałam z dyżurną na sali: podobno są tylko dwa takie przypadki - atak serca i złamana kość biodrowa.

- Wobec tego nie rozumiem, co się dzieje - rzekła Trudy spoglądając na zegarek.

Właśnie minęła północ. - Czy macie już ochotę na pierwszą przerwę?

Dziewczęta załatwiały właśnie formalności związane z ostatnim chorym. Żadna z nich nie była przypisana do konkretnego pacjenta, wszystkie razem obsługiwały centralną stację nadzoru i wykonywały funkcje administracyjne.

- Nie jestem pewna, czy którakolwiek z nas powinna robić sobie teraz przerwę -

oświadczyła Andrea, omiatając wzrokiem duży stół w kształcie litery „U”. - Tutaj wszystko jest możliwe. Nie chciałabym, żeby podczas przerwy zdarzył się śmiertelny wypadek.

Pod względem wyposażenia elektronicznego stanowisko pielęgniarek na oddziale intensywnej terapii mogło z powodzeniem rywalizować z kabiną pilotów boeinga 747. Na stole, naprzeciwko dziewcząt, stały szeregiem monitory, na których w każdej chwili można było odczytać podstawowe dane o stanie poszczególnych pacjentów. Większość aparatów była nastawiona na alarm, gdyby te dane zbytnio odbiegały od normy. Właśnie podczas tej rozmowy na jednym z monitorów zaczął się zmieniać wykres EKG; jeszcze przed chwilą był miarowy, nagle stał się nierówny i kapryśny. Potem rozległ się alarm.

- O, do diabła! - zawołała Trudy i spojrzała na oscyloskopowy ekran, z którego rozlegało się przeciągłe bi-i-ip. Wstała z miejsca i uderzyła aparat ręką w nadziei, że to wina nieregularnego dopływu energii elektrycznej. Spostrzegła nieprawidłowy wykres EKG i przełączyła aparat na inny kanał, ciągle przypuszczając, że to problem natury technicznej.

- Kto? - czujnie spytała Andrea.

- Harwick - odpowiedziała Trudy.

Andrea spojrzała w stronę łóżka ofiary Ballantine'a. Nie było przy nim pielęgniarki, co nie było czymś niezwykłym, gdyż stan Harwicka w ciągu ostatnich tygodni był ustabilizowany.

- Wezwij chirurga - powiedziała Trudy. Zapis EKG Harwicka pogarszał się z minuty na minutę. - Spójrz, on chyba umiera.

Wskazała na ekran, na którym wykres EKG spłaszczwał się.

- Czy wywołać „kod”?

Obie kobiety wymieniły spojrzenia.

- Doktor Ballantine wyraźnie powiedział: „żadnego kodu” - rzekła Trudy.

- Wiem - potwierdziła Andrea.

- W takich sytuacjach czuję się okropnie - rzekła Trudy patrząc na monitor. -

Uważam, że nie powinno się nas stawiać w takiej sytuacji - to nie fair.

Wykres EKG uległ całkowitemu spłaszczeniu. Harwick zmarł.

- Wołaj lekarza - rzuciła gniewnie Trudy i obchodząc długi stół, podeszła do łóżka

Harwicka. Respirator bez przerwy pompował i wypompowywał powietrze z jego płuc, co sprawiało wrażenie, że pacjent wciąż żyje.

- Po takiej historii każdemu odeszłaby ochota zgodzić się na operację - powiedziała Andrea, odkładając słuchawkę telefonu.

- Co się mogło stać? Jego stan był ostatnio zupełnie zadowolający - dorzuciła Trudy.

Wyłączyła respirator. Monotonny świst aparatu urwał się, pierś Harwicka opadła i zastygła nieruchomo.

Andrea wyłączyła kroplówkę. - Nie jest już potrzebna.

## **Rozdział V**

Minęły dwa tygodnie od dnia, w którym Thomas dowiedział się o rozmowie między żoną a matką. Ponieważ starcie między nimi było krótkie, napięcie wciąż było dla obojga nieznośne. Coraz częściej sięgał po pigułki percodanu.

Gdy tego dnia przemierzał korytarz, spiesząc na comiesięczną konferencję w sprawie przypadków śmiertelnych, czuł przyspieszone tętno w skroniach.

Konferencja już się zaczęła. Jeden z lekarzy omawiał przypadek pacjenta z urazem, który zmarł wkrótce po przyjęciu na oddział intensywnej terapii. Przyjmujący go lekarz i stażysta nie zwrócili uwagi, że worek osierdziowy został uszkodzony i wypełniał się krwią. W sprawę nie był zaangażowany żaden z etatowych lekarzy, uczestnicy konferencji bez skrpułów mówili więc o popełnionych błędach.

Gdyby przy pacjencie był któryś z lekarzy prywatnie praktykujących, dyskusja potoczyłaby się prawdopodobnie zupełnie inaczej. W tych samych warunkach stwierdzono by, że diagnoza krwiała osierdzia była bardzo trudna i że lekarz uczynił to, co do niego należało.

Thomas już wcześniej uprzytomnił sobie, że celem tych konferencji jest raczej rozgrzeszanie niż karanie, chyba że podsądnym jest stażysta. Ludzie nie zorientowani mogliby sądzić, że konferencje były czymś w rodzaju bata, ale tak nie było. Następna sprawa tylko mogła potwierdzić tę opinię.

Na podium wszedł doktor Ballantine, żeby przedstawić przypadek Harwicka. Gdy skończył, stażysta z patologii szybko przedstawił wyniki sekcji zwłok posługując się przezroczami.

Następnie przedyskutowano sprawę zgonu Harwicka, nikt jednak nie wspomniał, że uraz mózgu był prawdopodobnie rezultatem źle przeprowadzonej operacji. Wśród lekarzy panowało ogólne przekonanie, że dobrze się stało, jak się stało, co było zresztą słuszne, ale tylko do pewnego stopnia. Thomasa najbardziej zaniepokoił fakt, że nikt nawet nie wspomniał o tym, iż pół roku temu Ballantine referował na tej samej sali identyczny przypadek. Zator powietrzny był groźną komplikacją, która mogła się zdarzyć każdemu chirurgowi, ale Ballantine'owi zdarzała się zbyt często i nie wolno było nad tym przechodzić do porządku dziennego.

Równie zdumiewający był fakt przemilczenia okoliczności zgonu Harwicka. Według Thomasa pacjent od dłuższego już czasu znajdował się w stabilnym stanie. Rozglądał się po audytorium i nie mógł zrozumieć, dlaczego nikt o tym nie mówi. Było to jeszcze jednym potwierdzeniem faktu, że biurokratyczne metody prowadzą donikąd.

- Jeśli nie ma chętnych do dalszej dyskusji - oświadczył Ballantine - proponuję przejść

do następnej sprawy. Pechowo się składa, że i tym razem znajdę się na ławie oskarżonych. -

Obdarzył audytorium wątlym uśmiechem. - Pacjent, o którym będziemy mówić, nazywał się Bruce Wilkinson. Biały, ukończył czterdzieści dwa lata, cierpiał na chorobę niedokrwienną serca i został zakwalifikowany do wykonania bypassu.

Thomas wyprostował się w krześle. Pamiętał dobrze Wilkinsona, a szczególnie noc, kiedy próbował dokonać jego reanimacji. Wciąż miał przed oczami tamtą surrealistyczną scenę przy łóżku zmarłego.

Ballantine mówił monotonię, nie unikał szczegółów. Głowa sąsiada Thomasa opadła na pierś, a jego głębokie i głośnie chrapanie dotarło chyba aż do podium. Na zakończenie Ballantine stwierdził, że stan Wilkinsona w ciągu pierwszych dni po operacji był bardzo dobry. Niestety, czwartego dnia nieoczekiwanie zmarł.

Ballantine uniósł głowę znad swoich notatek. Tym razem jego twarz głosiła wyzywająco: „Spróbujcie teraz wytknąć mi jakiś błąd”.

Szczupły, starannie ubrany stażysta z patologii podniósł się z pierwszego rzędu i wszedł na podium. Poprawił nerwowo mały mikrofon i pochylił się nad nim, chcąc mówić wprost do aparatu. Kiedy rozległ się przenikliwy dźwięk, cofnął się speszony, przepaszając. Thomas rozpoznał go natychmiast. To Robert Seibert, przyjaciel Cassi.

Gdy tylko zaczął mówić, jego zdenerwowanie całkowicie ustąpiło. Był niezłym mówcą, zwłaszcza w porównaniu z Ballantine'em. Był dobrze przygotowany, zaprezentował zebrany szereg przezroczy i wskazał, że pacjent w momencie zgonu był siny, choć jego drzewo oskrzelowe było drożne. Następnie pokazał zdjęcia mikroskopowe dowodząc, że w płucach zmarłego nie wykryto patologii dotyczącej pęcherzyków. Przy pomocy innej serii przezroczy dowiódł, że nie było także zatoru tętnicy płucnej ani też podwyższonego ciśnienia zarówno w lewym, jak i w prawym przedsionku serca. Ostatnia seria slajdów dowiodła, że

szwy zostały prawidłowo założone przez chirurga i że nie było także żadnych cech wcześniej przebytego zawału serca. Po skończonym pokazie na sali ponownie zapaliły się światła.

- Wszystko to dowodzi... - oświadczył Robert, robiąc krótką przerwę jakby dla zwiększenia efektu tego, co miał zamiar powiedzieć - że przyczyna zgonu w tym przypadku jest niewyjaśniona.

Audytorium było zaskoczone - takiego podsumowania nikt nie oczekiwał. Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, ktoś zapytał czy to nie jeden z tych przypadków, kiedy zmarli budzili się w kostnicy. Wybuchła nowa seria śmiechów.

- To musiał być udar - odezwał się ktoś za Thomasem.

- Prawidłowa sugestia - oświadczył Robert. - Udar, który zahamował oddychanie, podczas gdy serce nadal pompowało pozbawioną tlenu krew. To spowodowałoby głęboką sinicę. Ale to oznaczałoby także uszkodzenie mózgu. Zbadaliśmy dokładnie mózg i nic nie wykryliśmy.

Na sali znów zapadła cisza.

Robert czekał na kolejne uwagi, ale nikt ich nie zgłaszał. Wobec tego pochylił się nad mikrofonem i oznajmił: - Jeśli państwo pozwolą, chcę pokazać jeszcze jedno przeźrocze.

Thomas domyślał się, co teraz nastąpi.

Robert wyłączył światła i włączył projektor. Na ścianie widniał wykaz wszystkich siedemnastu przypadków, zawierający dane dotyczące wieku, płci i innych szczegółów historii choroby.

- Od pewnego czasu interesuję się takimi przypadkami, jak Wilkinsona - oświadczył. -

Jak widać, nie jest to przypadek odosobniony. Sam ustaliłem cztery takie w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Kiedy sięgnąłem do teczek, znalazłem trzynaście innych. Wszyscy przeszli operację serca. W każdym z tych przypadków nie udało się ustalić przyczyny zgonu.

Wszystkie oznaczyłem literami SSD - nagła śmierć pooperacyjna.

Na sali zapaliły się ponownie światła.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zaczerwieniony z gniewu Ballantine fuknął na Roberta.

W innych warunkach Thomas mógłby tylko współczuć Robertowi. Nieoczekiwana końcówka jego wystąpienia nie mieściła się w profilu konferencji.

Rozglądając się po sali, Thomas dostrzegł wiele twarzy wyrażających oburzenie.

Lekarze nie lubią, kiedy ktoś kwestionuje ich diagnozy i sami niechętnie je zmieniają.

- To jest konferencja poświęcona śmiertelnym przypadkom, a nie Grand Rounds - oświadczył Ballantine. - Nie przyszliśmy tutaj na wykład.

- Dyskutując nad przypadkiem Wilkinsona, myślałem, że będzie interesujące...

- Pan myślał - sarkastycznie powtórzył Ballantine. - Proszę przyjąć do wiadomości, że został pan tutaj poproszony w celu konsultacji. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w związku z tą listą nagłych śmiertelnych przypadków?

- Nie - przyznał Robert.

Chociaż Thomas wolał zwykle milczeć na tego rodzaju spotkaniach, tym razem jednak nie wytrzymał: - Przepraszam cię, Robercie - zawołał - czy we wszystkich tych siedemnastu przypadkach wystąpiła sinica?

Robert wyraźnie ucieszył się z pytania. - Nie - odpowiedział do mikrofonu. - Tylko w pięciu.

- To znaczy, że nie we wszystkich śmierć nastąpiła z tej samej fizjologicznej drgawki.

- To prawda - odparł Robert. - W sześciu przypadkach śmierć poprzedziły konwulsje.

- To był prawdopodobnie zator powietrzny - wtrącił inny chirurg.

- Nie sądzę - zaprzeczył Robert. - Przede wszystkim drgawki nastąpiły dopiero po

trzech lub więcej dniach po operacji. Byłoby niesłychanie trudno wyjaśnić to opóźnienie.

Zresztą podczas sekcji nie wykryto powietrza w mózgu.

- Mogło zostać wchłonięte - zauważył ktoś inny.

- Jeśli w mózgu znalazło się tyle powietrza, żeby spowodować śmierć, powinno być go wystarczająco dużo, żeby można je było zobaczyć - zareplikował Robert.

- A co z chirurgami? - zapytał siedzący za Thomasem lekarz. - Kto operował tych nieszczęśników?

- Aż ośmiu spośród nich - odparł Robert - to pacjenci doktora Shermana.

Szmer podniesionych głosów przetoczył się przez salę. George wściekły zerwał się z miejsca, gdy tymczasem Ballantine usiłował pozbyć się Roberta z podium.

- Jeśli nie ma więcej uwag... - rozejrzał się po sali.

Zabrał głos George: - Sądzę, że uwaga doktora Kingsley'a była bardzo istotna.

Sugerując, że we wszystkich tych przypadkach mechanizm śmierci nie był jednakowy, wykazał, że nie ma sensu zajmować się tą sprawą. - W tym miejscu spojrział w kierunku Thomasa.

- Rzeczywiście - potwierdził Thomas. Wolałby, co prawda, żeby George pływał lub tonął na własną odpowiedzialność, ale wywołany po imieniu do tablicy musiał coś odpowiedzieć. - Sądzę, że Robert powiązał ze sobą te wszystkie przypadki ze względu na pewne podobieństwo, które w nich dostrzegał, ale chyba nie miał racji.

- Podstawą do takiego powiązania - oświadczył Robert - jest fakt, że we wszystkich tych przypadkach śmierć nastąpiła w momencie, gdy pacjenci wracali do zdrowia i kiedy nie było żadnego anatomicznego ani też fizjologicznego powodu ich zgonu.

- Zgłaszam poprawkę - powiedział George. - Żadnego powodu ustalonego przez oddział patologii.



- To wychodzi na jedno.
- Niezupełnie. Być może inny oddział patologii te powody by ustalił. Myślę, że pan i pańscy koledzy powinni się jeszcze nad tą sprawą zastanowić. Stwierdzenie, że jest coś niezwykłego w serii pooperacyjnych tragedii, jest nieodpowiedzialne.
- Słuchajcie, słuchajcie - zawołał chirurg ortopeda i zaczął klaskać. Robert szybko opuścił podium. W sali panowało napięcie.
- Następną konferencja poświęcona śmiertelnym przypadkom odbędzie się za miesiąc, siódmego stycznia - oznajmił Ballantine, wyłączając mikrofon i zbierając ze stołu papiery. Zszedł z podwyższenia i zbliżył się do Thomasa.
- Zdaje się, że znasz tego smarkacza - powiedział. - Kto to jest, u diabła?
- Nazywa się Robert Seibert - rzekł Thomas. - Jest drugorocznym stażystą na patologii.
- Chętnie bym mu jaja powyrywał i trzymał je w formalinie. Co ten gówniarz sobie myśli, kim on jest, żeby nas pouczać?
- Ponad ramieniem Ballantine'a Thomas dostrzegł George'a. Był tak samo wściekły jak Ballantine.
- Znam już jego nazwisko - oznajmił głosem, który kipiał groźbą. Powiedział to takim tonem, jakby zawiadamiał o odkryciu wielkiej tajemnicy.
- My też wiemy, kto to jest - odrzekł Ballantine. - To tylko drugoroczny stażysta.
- Cudownie - stwierdził George. - Nie tylko musimy ścierpieć wśród nas filozofów, ale i przemądrzałych stażystów patologii.
- Słyszałem, że w tym miesiącu był również śmiertelny przypadek w rentgenie - zauważył Thomas. - Jak to się stało, że dziś nie było o nim mowy?
- Masz na myśli Sama Stevensa - odparł George, nerwowo odprowadzając wzrokiem

wychodzącego z sali Roberta. - Ponieważ zmarł podczas cewnikowania, nasi interniści postanowili omówić tę sprawę na własnej konferencji.

Widząc wściekłość Ballantine'a i George'a Thomas pomyślał, co by ci dwaj powiedzieli, gdyby im zakomunikował, że Cassi brała także udział w badaniach „sprawy SSD”. Miał jednak nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiedzą. Spodziewał się także, że Cassi wykaże dość rozsądku, żeby nie kontynuować kontaktów z Robertem - inaczej to wszystko może się zakończyć poważnymi kłopotami.

Cassi leżała na wznak w całkowicie zaciemnionym pokoju. Nic ją nie bolało, ale czuła się niewyraźnie. Musiała mieć cały czas otwarte oczy, podczas gdy kierownik okulistyki, doktor Martin Obermeyer świecił jej w lewe oko silnym strumieniem światła. Najgorsze jednak było oczekiwanie na diagnozę. Miała nadzieję, że doktor Obermeyer podzieli się z nią podczas badania jakimś uspokajającym komentarzem, ale milczał jak zaklęty.

Bez słowa przesunął strumień światła na prawe, zdrowe oko. Strumień płynął z aparaciku w kształcie lampki górniczej, umieszczonego na czole doktora, ale był silniejszy. Kiedy światło znalazło się w zdrowym oku, jego intensywność okazała się tak wielka, że Cassi przelękała się, że jej to zaszkodzi.

- Proszę cię, Cassi - odezwał się doktor, unosząc nieco aparat i spoglądając na nią niecierpliwie. - Proszę cię, nie zamykaj oczu jeszcze przez chwilę. - Przycisnął powiekę metalowym pręcikiem.

Łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły po policzkach. Bała się, że dłużej tego nie wytrzyma. Mimo woli chwyciła ręką nakrywające stół białe prześcieradło. Właśnie w tym momencie gdy sądziła, że przestaje już nad sobą panować, intensywne światło zgasło. Choć doktor Obermeyer włączył światła w gabinecie, wciąż widziała bardzo niewyraźnie. Lekarz był dla niej zaledwie ciemną plamą.

Nic nie mówił i był najwyraźniej rozdrażniony.

- Czy mogę usiąść? - zapytała z wahaniem Cassi.

- Nie rozumiem, dlaczego mnie o to pytasz, skoro i tak nie stosujesz się do moich zaleceń - odrzekł Obermeyer, nie patrząc nawet w jej stronę.

Cassi usiadła, opuszczając nogi na podłogę. Jej prawe oko powoli wracało do normy po chwilowym oślepieniu, chociaż wciąż odczuwała działanie kropli zapuszczonych do oczu w celu rozszerzenia źrenic. Przez chwilę patrzyła na plecy doktora, usiłując przetrwać jego odpowiedź. Liczyła się z tym, że będzie niezadowolony, iż zrezygnowała z ostatniej wyznaczonej przez niego wizyty, ale nie sądziła, że aż tak bardzo.

Dopiero gdy skończył pisać i odłożył na bok kartę choroby, odwrócił się do Cassi.

Siedział na niskim stołku na kółkach, wystarczyło więc, że wykonał obrót.

Ze swojej pozycji na stole Cassi widziała czubek jego głowy z przerzedzonymi włosami. Z grubymi rysami i głęboką bruzdą na czole doktor nie należał z pewnością do atrakcyjnych mężczyzn, niemniej całość nie była odpychająca. Jego twarz wyrażała inteligencję i otwartość - dwie cechy, które Cassi ceniła najbardziej.

- Sądzę, że powinienem być szczery - zaczął. - Nic nie wskazuje na to, by ilość krwi w lewym oku się zmniejszyła, a nawet mam wrażenie, że jest jej więcej.

Cassi usiłowała opanować narastający niepokój. Skinęła głową, tak jakby usłyszała informację dotyczącą innego pacjenta.

- Siatkówka jest ciągle przysłonięta - stwierdził doktor. - Co gorsza, nie potrafię powiedzieć, skąd bierze się krew i czy zmiana w oku jest do wyleczenia.

- Ale badanie ultradźwiękowe... - zaczęła Cassi.

- ...wykazało, że siatkówka nie odkleiła się, przynajmniej do tej pory, ale nie wykazało, skąd się wzięła krew.

- Być może musimy jeszcze poczekać.

- Jeśli to do tej pory się nie wyjaśniło, jest mało prawdopodobne, że jeszcze się wyjaśni. Tymczasem możemy utracić jedyną szansę wyleczenia. Obejrzałem dno twojego oka. Musimy wykonać zabieg.

Cassi odwróciła oczy. - Czy nie moglibyśmy jeszcze z tym poczekać miesiąc lub dwa?

- Nie - odpowiedział doktor stanowczo. - Zmusiłaś mnie już do odłożenia tej decyzji na dłużej, niż tego chciałem. Teraz znów samowolnie przełożyłaś termin wizyty. Nie jestem pewien, czy rozumiesz, o jaką stawkę tutaj chodzi.

- Rozumiem doskonale - odparła Cassi. - Po prostu ten termin nie jest dla mnie odpowiedni.

- Nigdy nie ma odpowiedniego terminu dla przeprowadzenia operacji. Proponuję, byśmy taki termin ustalili już teraz.

- Muszę najpierw omówić to z Thomasem - powiedziała Cassi.

- Co? - zapytał zdumiony Obermeyer. - Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałaś?

- Oczywiście że rozmawiałam - odparła szybko. - Ale nie o terminie.

- Kiedy więc zamierzasz ustalić to z Thomasem? - zapytał zrezygnowany.

- Już wkrótce. Dziś wieczorem. Przyrzekam, że jutro będę tu z powrotem. - Zsunęła się ze stołu.

Z ulgą wyszła z pokoju okulisty. Wiedziała, że miał rację - powinna się zgodzić na zabieg. Ale rozmowa z Thomasem będzie trudna. Cassi zatrzymała się w końcu korytarza na piątym piętrze budynku szpitalnego - tego samego budynku, w którym Thomas miał swój gabinet. Stała przed oknem, za którym rozciągał się grudniowy pejzaż miasta: długie ulice, wyznaczone gęstymi szeregami budynków i rzędami bezlistnych drzew.

W dół Commonwealth Avenue jechała na sygnale, z zapalonymi światłami, karetka

pogotowia. Cassi przymknęła prawe oko - cała sceneria natychmiast zniknęła, pozostała tylko bezkształtna plama światła. Przestraszona szybko otworzyła z powrotem oko. Musi coś zdecydować. Musi pomówić z Thomasem mimo napiętych z nim stosunków.

Gdyby mogła odwrócić bieg wydarzeń! Lub gdyby Patrycja nie zadzwoniła do Thomasa. Były to już jednak mrzonki. Cassi sądziła, że Thomas wróci do domu wściekły i była zdenerwowana, gdy nie wrócił w ogóle. Późnym wieczorem zadzwoniła do szpitala. Dowiedziała się, że jest zajęty w sali operacyjnej. Zostawiła wiadomość, że czeka na telefon. Czekala do drugiej w nocy, w końcu zasnęła nad książką przy stole. Thomas wrócił dopiero w niedzielę po południu - wprawdzie nie krzyczał na nią, ale też nie chciał w ogóle rozmawiać. Z demonstracyjnym spokojem przeniósł wszystkie swoje rzeczy do pokoju gościnnego. Dla Cassi ta milcząca wojna nerwów była nie do wytrzymania.

Najtrudniejsze były wspólne kolacje. Pod pretekstem bólu głowy Cassi kilkakrotnie zabierała tacę z kolacją do swojego pokoju.

Po tygodniu Thomas wreszcie nie wytrzymał i eksplodował atakiem wściekłości.

Pretekst był mało ważny. Cassi upuściła coś nad podłogę w kuchni. Thomas z furią zaczął krzyżeć, zarzucił jej, że jest fałszywa, że robi intrygi za jego plecami. Jak mogła oskarżyć go przed matką o używanie narkotyków?

- Oczywiście, biorę od czasu do czasu pigułkę - powiedział w końcu, zniżając głos. -

Wtedy, gdy chcę zasnąć lub też być przytomnym po nieprzespanej nocy. Pokaż mi choć jednego lekarza, który by nie zażył choć jednej pigułki!

Ponieważ sama czasem brała valium, nie mogła zaprzeczyć. Oprócz tego intuicja podpowiedziała jej, że powinna pozwolić mu się wykrzyżeć.

Nieco spokojniejszym już tonem zapytał ją, po co poszła do Patrycji. Przecież sama wie najlepiej, że matka i bez tak ekscytujących wiadomości ciągle go strofuje.

Widząc, że się już wykrzyczał, Cassi próbowała się tłumaczyć. Powiedziała, że znalazłszy deksedrynę była przerażona i pomyślała, że matka jest najbardziej odpowiednią osobą, która może pomóc Thomasowi. - I wcale się nie wyraziłam, że jesteś narkomanem. - Matka oświadczyła, że tak powiedziałaś - uciął Thomas. - Komu mam wierzyć? - Rozłożył ręce i na twarzy miał wypisany niesmak.

Cassi milczała, choć kusiło ją, żeby powiedzieć, iż jeśli tego nie wie po czterdziestu dwóch latach, to już nigdy się nie dowie. Zamiast tego przeprosiła go za pochopne posądzenie oraz za to, że poszła z tym do matki. Ze łzami w oczach oświadczyła, że go bardzo kocha i że bardziej przeraziła ją możliwość rozstania niż sprawa narkotyków. Pragnęła, by ich stosunki unormowały się. Jeśli to jej skargi na chorobę dały początek napięciu, postanowiła unikać tego tematu. Ale obecnie jej oko stało się problemem.

Przybycie kolejnej wyjącej karetki pogotowia przywróciło Cassi do rzeczywistości.

Chociaż nie chciała denerwować Thomasa, nie miała już wyboru. Nie mogła poddać się operacji nie powiadamiając go o tym. W złym nastroju nacisnęła guzik windy. Teraz, natychmiast musi rozmawiać z Thomasem. Obawiała się, że odkładając tę rozmowę do wieczora, nie odbędzie jej wcale.

Starając się nie myśleć o tym więcej, udała się do gabinetu Thomasa. Na szczęście w poczekalni nie było pacjentów. Doris spojrzała na nią znad maszyny do pisania, a następnie spokojnie wróciła do swojego zajęcia.

- Czy zastałam Thomasa? - zapytała Cassi.

- Tak - odpowiedziała Doris, nie przerywając pisania. - Ma u siebie ostatniego pacjenta.

Cassi usiadła na różowej kanapie. Nie mogła czytać, gdyż działanie kropli jeszcze nie ustało. Ponieważ Doris nie patrzyła na nią, Cassi obserwowała ją spod oka. Spostrzegła, że

pielęgniarka zmieniła sposób uczesania. Pomyślała, że Doris wygląda lepiej bez koka.

W drzwiach gabinetu Thomasa pojawił się pacjent. Promieniał radością, uśmiechał się do Doris. - Czuję się wspaniale - oznajmił. - Doktor mi powiedział, że jestem już zdrow.

Mogę robić to, na co mam ochotę.

Wkładając płaszcz, zwrócił się do Cassi: - Doktor Kingsley ma wielkie zdolności. Nie martw się o nic, młoda damo. - Następnie podziękował Doris, posłał jej całusa i wyszedł z poczekalni.

Cassi westchnęła podnosząc się z miejsca. Wiedziała dobrze, że Thomas jest wybitnym lekarzem. Gdyby zechciał ofiarować jej choć trochę tego serca, którym tak hojnie obdarzał swoich pacjentów...

Gdy Cassi weszła do gabinetu, Thomas coś dyktował. - Dziękuję ci, przecinek, Michael, przecinek, za ten interesujący przypadek, przecinek, jeśli tylko bym mógł coś pomóc jeszcze w jego sprawie, przecinek, dzwoń do mnie bez wahania. Kropka. Twój oddany, koniec tekstu.

Wyłączywszy aparat, Thomas obrócił się na krześle. Spojrzał na Cassi z rozmyślną obojętnością.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę? - zapytał.

- Wracam właśnie od okulisty - zaczęła Cassi, starając się panować nad głosem.

- Bardzo mi miło - powiedział.

- Muszę z tobą pomówić.

- Mów więc, ale krótko - powiedział spoglądając na zegarek. - Mam właśnie pacjenta we wstrząsie kardiogenym, muszę go zaraz zobaczyć.

Jej odwaga nagle stopniała. Bała się, że Thomas zareaguje irytacją, gdy zacznie mu mówić o swojej chorobie. Zachowywał się z agresywną nonszalancją. Robił wrażenie, jakby

chciał ją sprowokować do nie przemyślanych reakcji.

- Tak więc, o co chodzi? - zapytał.

- Przeszłam badanie oka - mówiła Cassi, klucząc wokół zasadniczej sprawy. -

Nastąpiło pewne pogorszenie. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli wcześniej wrócić do domu.

- Niestety, ja nie mogę - odparł Thomas, podnosząc się z miejsca. - Jestem pewien, że pacjent będzie wymagał natychmiastowej operacji. - Zdjął z siebie białą marynarkę i powiesił ją na drzwiach wiodących do pokoju, w którym przeprowadzał badania. - Wygląda na to, że będę musiał spędzić tę noc w szpitalu.

Nie wykazał najmniejszego zainteresowania jej okiem.

Cassi chciała mu powiedzieć o czekającej ją operacji, ale nie była w stanie. Zamiast tego wyszeptła: - Poprzednią noc także spędziłeś w szpitalu. Za dużo pracujesz, potrzebujesz więcej wypoczynku.

- Ktoś z nas musi pracować - stwierdził Thomas. - Nie wszyscy możemy być psychiatrami. - Zarzucił na siebie marynarkę od „cywilnego” garnituru, a następnie wrócił do biurka, żeby oderwać papier z przedyktowanym przed chwilą tekstem.

- Nie jestem pewna, czy moje oczy pozwolą mi dzisiaj prowadzić samochód - zauważyła Cassi. Zignorowała złośliwą uwagę o psychiatrach.

- Masz do wyboru: albo przeczekać działanie kropli i pojechać później, albo zostać na noc w szpitalu. - Zrobisz, jak uważasz. Mówiąc to ruszył do drzwi.

- Poczekaj jeszcze - zawołała Cassi. Czowała, że w ustach jej zaschło. - Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Czy nie uważasz, że powinnam poddać się operacji oka?

Nareszcie powiedziała, o co jej chodzi. Spojrzała na swoje ręce: palce były splecione ze sobą, dłonie zaciśnięte jedna na drugiej. Rozplotła je i nie wiedziała, co ma z nimi zrobić.

- Dziwię się, że jeszcze zależy ci na mojej opinii - odparł oschle Thomas. Uśmiech



znikł z jego ust. - Niestety, ja nie jestem chirurgiem okulistą. Nie mam pojęcia, czy powinnaś się poddać operacji oka. Dlatego skierowałem cię do Obermeyera.

Narastała w nim agresja, a tego właśnie Cassi obawiała się najbardziej. To, co mu powiedziała o swoim oku, tylko pogorszyło sytuację.

- Oprócz tego - ciągnął Thomas - mogłabyś wybrać lepszą porę na omawianie tego rodzaju sprawy. Mam w tej chwili na górze pacjenta, który umiera. Ze swoim okiem masz kłopoty już od wielu miesięcy. Przychodzisz do mnie teraz i chcesz o nim rozmawiać, gdy ja jestem bardzo zajęty. Mój Boże, Cassi! Pomyśl również o innych ludziach, choć przez chwilę, dobrze?

Stanowczym krokiem podszedł do drzwi, pchnął je energicznie i wyszedł.

Pod wieloma względami Thomas ma rację, myślała Cassi. Przychodząc do niego tutaj ze sprawą swojego oka, postąpiła wysoce niewłaściwie; Thomas to chyba miał na myśli, gdy wspomniał o umierającym pacjencie.

Z zaciśniętymi do bólu ustami opuściła biuro Thomasa. Doris udawała bardzo zajętą pisaniem na maszynie, Cassi jednak domyśliła się, że podsłuchiwała. Po drodze do windy postanowiła wrócić na Clarkson 2. Bała się pozostać sama ze swoimi myślami; ponadto zdawała sobie sprawę z tego, że - przynajmniej na razie - nie może prowadzić samochodu.

Wróciła na Clarkson 2, gdzie właśnie trwało popołudniowe zebranie zespołu.

Nie czuła się na siłach, by pójść na zebranie - postanowiła przez resztę dnia odpoczywać. Znalazłszy się wśród przyjaciół, może łatwo się rozkleić.

Nie zauważona przez nikogo wśliznęła się do swojego pokoju i szybko zamknęła drzwi. Obchodząc wokół szerokie niemal na cały pokój biurko, opadła na stare krzesło obrotowe. Cassi próbowała nieco ożywić ten pokój, zawieszając na ścianach reprodukcje impresjonistów kupione w Harvardzie. Niewiele to pomogło - fluoryzujące oświetlenie

sprawiało, że pokój wciąż wyglądał jak cela śledcza.

Skrzyżowała ręce na biurku, położyła na nich głowę, myślami błądząc bez przerwy wokół swoich małżeńskich problemów. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała ostre pukanie do drzwi. Nim zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wszedł William Bentworth.

- Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli usiądę? - zapytał Bentworth z nietypową dla siebie grzecznością.

- Nie - odpowiedziała Cassi, zdumiona nieoczekiwaną wizytą pułkownika. Był starannie ubrany w brązowe spodnie i świeżo wyprasowaną kraciastą koszulę. Buty miał wypucowane na wysoki połysk.

Uśmiechnął się. - Czy mogę zapalić?

- Proszę bardzo - odpowiedziała. W ten sposób zrobiła niecodzienne dla siebie ustępstwo, w nadziei, że to rozwiąże mu język. Zapalenie papierosa odbyło się z charakterystycznym ceremoniałem. Z papierosem w ręku Bentworth odchylił się w krzesło do tyłu i znowu uśmiechnął. Po raz pierwszy jego jasnoniebieskie oczy były ciepłe i serdeczne. Był przystojnym, o szerokich barach mężczyzną, miał bujne ciemne włosy i regularne rysy.

- Czy pani doktor czuje się dobrze? - zapytał pochylając się do przodu i przyglądając się jej wnikliwie.

- Doskonale. Dlaczego pan pyta?

- Wygląda pani na przygnębioną.

Cassi skierowała swój wzrok na reprodukcję Moneta, przedstawiającą małą dziewczynkę z matką wśród kwitnących maków. Starła się pozbierać myśli. Zdumiało ją, że pacjent jest tak spostrzegawczy.

- Z pewnością czuje się pani winna - zauważył Bentworth, starannie wydmuchując dym na bok.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Dlatego, że pani rozmyślnie mnie unika.

Cassi przypomniała sobie uwagę Jacoba o niekonsekwentnym sposobie zachowania się osób z pogranicza. W tej chwili konfrontowała jego obecny sposób bycia z poprzednią odmową rozmowy.

- Wiem, dlaczego mnie pani unika. Myślę, że przestraszyłem ją swoim poprzednim zachowaniem się. Bardzo panią za to przepraszam. Po tylu latach służby w wojsku, z nawykiem wydawania rozkazów, bywam często nieznośny.

Po raz pierwszy w swojej krótkiej karierze psychiatry zdarzyło się Cassi coś takiego, o czym wcześniej tylko czytała w literaturze specjalistycznej. Zdawała sobie jednak sprawę, że Bentworth w tej chwili pragnie po prostu pozyskać sobie jej życzliwość.

- Panie Bentworth... - zaczęła Cassi.

- Pułkowniku Bentworth - poprawił ją William z uśmiechem. - Jeśli ja panią tytułuję doktorem, to pani chyba powinna nazywać mnie pułkownikiem. W ten sposób wyrażamy sobie wzajemny szacunek.

- Jasne - odpowiedziała Cassi. - Prawda jest taka, że to pan właśnie uniemożliwił nas/ą wcześniejszą rozmowę. Ilekroć próbowałam ustalić z panem jakiś termin spotkania, pan zawsze miał wtedy inne zobowiązania. Rozumiem, że panu chodzi o coś więcej niż o towarzyską rozmowę prywatną, dlatego nie chciałabym się spieszyć. Jeśli pan ma ochotę na spotkanie ze mną, proponuję, byśmy teraz ustalili wspólnie jakiś termin.

- Z największą przyjemnością porozmawiałbym z panią - oświadczył Bentworth. -

Nawet w tej chwili. Mam właśnie trochę czasu. Co pani na to?

Kierując się ostrożnością, Cassi postanowiła się nie spieszyć. Nie była przygotowana na to spotkanie i wciąż czuła obawę przed Bentworthem, mimo jego nieoczekiwanej

przemiany.

- Co pan sądzi o spotkaniu jutro rano? Zaraz po odprawie. Pułkownik Bentworth wstał z miejsca i zgasił nie dopalonego papierosa w popielniczce. - Zgoda. A więc czekam na to spotkanie. Mam nadzieję, że to, co panią w tej chwili tak martwi, zakończy się pomyślnie. Po jego wyjściu Cassi jeszcze przez dłuższy czas oddychała zadymionym powietrzem i w swojej wyobraźni widziała pułkownika Bentwortha w mundurze. Bez trudu mogła go sobie wyobrazić jako szarmanckiego i zadziornego wojskowego, bez żadnych psychicznych obciążeń. Znając jednak ich powagę, była wstrząśnięta faktem, że tak łatwo dają się zakamuflować.

Nie upłynęło więcej niż pięć minut, gdy drzwi znowu się otworzyły i do środka weszła Maureen Kavanaugh. Maureen została miesiąc temu przyjęta na leczenie z powodu powtarzających się okresowo stanów depresji. Jej stan pogorszył się, kiedy pewnego dnia odwiedził ją mąż i pobił. Jej wizyta była dla Cassi nie mniejszą niespodzianką niż odwiedziny pułkownika Bentwortha. Czyżby ktoś rzucił urok na jej pacjentów?

- Zauważyłam pułkownika wchodzącego do pani pokoju, choć pamiętałam, że pani nie będzie dziś po południu. - Głos Maureen był beznamiętny i jakby drewniany.

- Zmieniłam plany - rzekła Cassi.

- Jeśli więc pani już tutaj jest, to czy mogę zabrać jej chwilę czasu? - lękliwie zapytała Maureen.

- Oczywiście - odrzekła Cassi. Bacznie obserwowała Maureen, gdy zbliżała się do biurka i zajmowała miejsce w krześle.

- Kiedy wczoraj rozmawialiśmy... - zaczęła z wahaniem Maureen i nagle urwała z oczami pełnymi łez.

Cassi podsunęła jej pudełko z bibułkowymi chusteczkami.

- Pani... zapytała mnie, czy chciałabym zobaczyć moją siostrę. - Maureen mówiła tak cicho, że Cassi z trudem ją rozumiała. Szybko skinęła głową zastanawiając się, co Maureen miała na myśli. Ostatnio była obojętna na wszystko. Na zebraniu zespołu proponowano Cassi zastosowanie szoku elektrycznego, ale jeszcze nie mogła się zdecydować. Najbardziej ją zdumiewało to, że Maureen umie analizować stan psychiczny, niestety zupełnie nie szło to w parze z możliwościami wpływania na jego poprawę.

Maureen potwierdziła swoją wrogość wobec matki, która porzuciła ją i młodszą siostrę, gdy były jeszcze dziećmi. Skrycie zazdrościła młodszej i ładniejszej siostrze, że wcześniej wyszła za męża, pozostawiając ją samą.

- Czy sądzi pani, że siostra zechce się ze mną zobaczyć? - zapytała w końcu Maureen, tonąc dosłownie we łzach.

- Przypuszczam, że tak - odparła Cassi - ale to będziemy wiedzieć wtedy, gdy ją o to zapytamy.

Maureen wytarła nos. Jej tłuste włosy dawno nie widziały wody. Twarz miała wychudłą - mimo leczenia ciągle traciła na wadze.

- Boję się ją o to spytać - przyznała. - Myślę, że nie zechce przyjść. Dlaczego miałyby to zrobić? Nie jestem tego warta. Nie, to nie ma sensu.

- Już samo pragnienie rozmowy z siostrą budzi nadzieję - zauważyła łagodnie Cassi.

Maureen westchnęła głęboko. - Nie mogę się zdecydować. Jeśli zadzwonię do niej, a ona nie zechce, wtedy będzie jeszcze gorzej.

Chciałabym, żeby to ktoś za mnie zrobił. Czy pani nie mogłaby zatelefonować?

Cassi zarumieniła się. Pomyślała o własnym niezdecydowaniu w stosunkach z

Thomasem. Zbyt dobrze знаła to uczucie zależności i bezradności, o którym teraz mówiła

Maureen. Ona też pragnęła, żeby ktoś inny podejmował za nią decyzje. Niezwykłym

wysiłkiem woli usiłowała się skoncentrować na siedzącej naprzeciw kobiecie.

- Tak do końca to nie jestem przekonana, czy to ja powinnam nawiązywać kontakt z

pani siostrą - oznajmiła Cassi z wahaniem. - Myślę, że powinniśmy to przedyskutować. Jeśli dobrze pamiętam, ma pani wyznaczony termin rozmowy jutro na drugą.

Maureen zgodziła się skwapliwie i wyszła z pokoju, zabierając kilka papierowych chusteczek. Drzwi pozostawiła otwarte.

Cassi siedziała przez chwilę nieruchomo, patrząc w otepieniu na przeciwległą ścianę.

Utożsamianie się z pacjentką nie było dobrym znakiem.

- Hallo, czemu nie przyszłaś na zebranie? - zawołała Joan Widiker, zaglądając przypadkowo z korytarza do pokoju Cassi.

Cassi nie odpowiedziała.

- Co się stało? - zapytała Joan. - Wyglądasz nieciekawie. - Weszła do środka i pociągnęła nosem. - Nie wiedziałam, że palisz.

- To nie ja - odparła Cassi. - To pułkownik Bentworth.

- Przyszedł do ciebie? - Joan uniosła brwi. - Jesteś chyba lepsza niż przypuszczasz. -

Przerwała i usiadła naprzeciwko Cassi.

- Chciałam ci powiedzieć, że miałam randkę z Jerrym Donovanem. Czy już z nim rozmawiałaś?

Cassi potrząsnęła przecząco głową.

- Nie skończyła się zbyt dobrze. Wszystko, czego chciał... - Joan przerwała w środku zdania. - Cassi, co się z tobą dzieje?

Z oczu Cassandry popłynęły łzy, znacząc wilgotne ślady na policzkach.

Tak jak się obawiała, obecność przyjaznej duszy osłabiła jej samokontrolę. Ukrywszy twarz w dłoniach, szlochała głośno i bez zahamowań.

- Nie znaczy to, że Jerry Donovan okazał się nie na poziomie - ciągnęła Joan w nadziei, że jej humor rozweseli Cassi. - To ja nie uległam. Wciąż jeszcze jestem dziewicą. Ciałem Cassi wstrząsnął głęboki szloch. Joan przeszła na drugą stronę biurka i objęła ramieniem przyjaciółkę. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Jako psychiatra nie reagowała negatywnie na czyjeś łzy - rozumiała, że Cassi musi się wypłakać.

- Przepraszam cię - odezwała się w końcu Cassi wycierając oczy papierową chusteczką, tak jak to czyniła niedawno Maureen. - Naprawdę nie chciałam płakać.

- Jednak chyba tego potrzebowałaś. Czy nie masz ochoty porozmawiać?

Cassi nabrała tchu w piersi. - Nie wiem. Wszystko wydaje mi się takie bez sensu. - W tym samym momencie uprzytomniła sobie, że niedawno to samo usłyszała od Maureen.

- Co jest bez sensu? - zapytała Joan.

- Wszystko - odpowiedziała Cassi.

- Na przykład? - prowokująco zapytała Joan. Cassi odjęła ręce od mokrej od łez twarzy.

- Byłam dziś u okulisty. Chce mnie operować, a ja nie wiem, czy powinnam się zgodzić.

- A co na to twój mąż? - zapytała Joan.

- To właśnie stanowi część problemu. - W miarę jak mówiła, zaczęła żałować swojej szczerości. Thomas przestrzegał, że nie powinna z nikim rozmawiać na temat swoich chorób.

Joan zdjęła rękę z pleców Cassi. - Myślę, że potrzebujesz przed kimś się wygadać.

Jako konsultant na oddziale psychiatrii jestem odpowiednią osobą. Opłaty pobierani niewysokie.

Cassi uśmiechnęła się słabo. Intuicyjnie ufała Joan. Musiała się przed kimś otworzyć i tylko Bóg jeden wie, jak bardzo jej to było potrzebne.

- Nie wiem, czy masz jakieś pojęcie o pracy Thomasa - zaczęła Cassi. - Ten człowiek pracuje więcej, niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Prawie nie wychodzi ze szpitala.

Poprzednią noc spędził w szpitalu. Dziś też zostaje na noc. Ma niewiele wolnego czasu...

- Poczekaj, Cassi - przerwała jej grzecznie Joan. - Bardzo nie lubię przerywać, ale oszczędź sobie długich wstępów. Czy rozmawiałaś z mężem o swojej operacji?

Cassi westchnęła. - Próbowałam kilka godzin temu, ale źle wybrałam i czas, i miejsce.

- Moja droga - rzekła Joan. - Rzadko robię tego rodzaju uwagi, ale na rozmowę o operacji własnego oka z własnym mężem nie ma nieodpowiedniego czasu ani też miejsca.

Cassi zastanowiła się nad tym, ale nie była pewna, czy Joan ma rację.

- I co ci powiedział? - zapytała Joan.

- Powiedział, że nie jest chirurgiem okulistą.

- Rozumiem, chce się uchylić od odpowiedzialności.

- Ależ nie - gorąco sprzeciwiła się Cassi. - To właśnie Thomas zatroszczył się o to, żebym poszła do najlepszego okulisty.

- Jednak zareagował raczej gruboskórnie.

Cassi spojrzała w dół na swoje ręce; rozmowa zmierzała w kierunku, którego się obawiała.

- Powiedz, Cassi - zapytała Joan - czy między tobą a Thomasem jest wszystko w porządku?

Łzy napłynęły ponownie do oczu Cassi. Starła się je powstrzymać, ale z miernym skutkiem.

- Rozumiem - zafrasowała się Joan na widok łez. - Czy masz ochotę porozmawiać na ten temat?

Cassi przygryzła drżącą dolną wargę. - Gdyby Thomas mnie opuścił - powiedziała -



nie wiem, co bym zrobiła. Moje życie straciłoby sens. Nie potrafię się bez niego obejść.

- Rozumiem - ponownie skonstatowała Joan. - Zdaję sobie także sprawę, że wolałabyś o tym nie rozmawiać. Czy mam rację?

Cassi skinęła głową. Czuła się rozdarta wewnętrznie między obawą przed Thomasem a poczuciem winy wobec Joan, której przyjazną dłoń odtrącała.

- W porządku - rzekła Joan - ale zanim sobie pójdę, chciałabym ci dać radę. Nie zrozum mnie źle, ale uważam, że powinnaś spróbować zmniejszyć nieco swoje uzależnienie od Thomasa i bardziej zaufać samej sobie. Takie uzależnienie na dłuższą metę szkodzi waszym wzajemnym stosunkom. Wybacz mi, że nie proszona radzę.

Wychodząc, zatrzymała się w drzwiach. - Mówiłaś, zdaje się, że Thomas ma zamiar spędzić tę noc w szpitalu?

- Przeprowadza w nocy pilną operację - Cassi znajdowała się pod wrażeniem rady udzielonej jej przez Joan. - Zwykle po takiej operacji przesypia resztę nocy w szpitalu.

- Doskonale! - zauważyła Joan. - Czemu wobec tego nie miałabyś spędzić tej nocy u mnie? Mam wolną kanapę w salonie i pełną lodówkę w kuchni.

- Do północy znałabyś wszystkie moje tajemnice - pół żartem, pół serio powiedziała Cassi.

- Masz moje słowo, że nie będę nawet próbowała ich poznać - oświadczyła Joan.

- Niestety, nie mogę skorzystać z twojego zaproszenia - oparła Cassi. - Jestem ci wdzięczna, ale gdyby Thomas na przykład nie operował, wtedy wróci do domu. Wolę więc być w domu, a my się nagadamy przy innej okazji.

Joan uśmiechnęła się życzliwie. - Zrobisz, jak zechcesz. Jeśli jednak zmieniałabyś zdanie, będę w szpitalu jeszcze około godziny. - Wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Cassi popatrzyła na Moneta, by sprawdzić, czy może już prowadzić samochód.

Stwierdziła z satysfakcją, że widzi znacznie lepiej: działanie kropli najwidoczniej ustąpiło.

Otwierając drzwi swego gabinetu Thomas spostrzegł, że drżą mu ręce. Włączył

światło: na zegarze stojącym na biurku Doris dochodziła dziewiąta trzydzieści. Na dworze

było już ciemno; o tej porze latem dopiero zaczynało zmierzchać. Zamknął za sobą drzwi i

wyciągnął przed siebie ramię: drżąca teraz, a zwykle spokojna ręka przerażała go. Jak Cassi może niepokoić go w sytuacji, gdy sam znajduje się w stanie takiego napięcia?

Podszedł do biurka, wyciągnął drugą szufladę i wyjął z niej jedną z małych

plastykowych buteleczek. Początkowo nie mógł sobie dać rady z jej otwarciem - z trudem

powstrzymał się przed rzuceniem jej na podłogę i rozdeptaniem. W końcu udało mu się

wydobyć żółtą tabletkę. Położył ją na języku i wszedł do łazienki, wciąż jeszcze pełnej

zapachu perfum Doris.

Nie znajdując pod ręką żadnego kubka, Thomas nachylił się nad umywalką i pił wodę

prosto z kranu. Przeszedł do gabinetu i usiadł przy biurku. Uczucie niepokoju wciąż go nie

opuszczało, a wręcz ciągle rosło. Szarpnął gwałtownie drugą szufladę i znów sięgnął po tę

samą buteleczkę. Tym razem szło mu jeszcze gorzej - nie umiał wydobyć tabletki.

Rozwścieczony uderzył buteleczką o biurko, ale osiągnął tylko tyle, że wyszczerbił ją nieco i

skaleczył palec.

Przymknął na chwilę oczy, starał się opanować. Kiedy je otworzył, uświadomił sobie,

że do otwarcia buteleczki niezbędne jest naprzeciwnie ustawienie obu strzałek na zakrętce.

Jednak nie wziął następnej pigułki. Nagle w jego wyobraźni pojawił się obraz Laury

Campbell. Nie chciał być sam. „Tak bardzo chciałabym coś zrobić dla pana. Cokolwiek bądź”

- powiedziała. W karcie ojca Laury powinien być numer jej telefonu. Na wypadek wyjątkowej

sytuacji. Jego sytuacja w tej chwili jest taka. Thomas uśmiechnął się. Gdyby ją wtedy źle

zrozumiał, zawsze znajdzie się jakieś wyjście z sytuacji.

Szybko odszukał kartę Campbella i wykręcił numer Laury; podniosła słuchawkę za drugim dzwonkiem.

- Mówi doktor Kingsley. Przepraszam, że panią niepokoję.

- Czy stało się coś złego? - zapytała z przerażeniem.

- Nie, nic podobnego. Pani ojciec czuje się doskonale. Przepraszam za tę jego żółtaczkę. To jedna z tych pechowych komplikacji. W każdym bądź razie sytuacja już się wyjaśniła i rychło będziemy mogli wypisać pani ojca ze szpitala. Właśnie w tej sprawie chciałem z panią porozmawiać.

- Ależ oczywiście, jestem gotowa - oświadczyła Laura. - Proszę mi tylko powiedzieć kiedy.

Thomas wyprostował przewód telefonu. - Właśnie dlatego dzwonię. Zdaje pani chyba sobie sprawę, jak bardzo jestem zajęty. Właśnie w tej chwili oczekuję na kolejną operację i jestem wolny - siedzę w swoim gabinecie w szpitalu. Czy pani nie zechciałaby wpaść tutaj do mnie?

- Czy nie będzie zbyt późno, jeśli się zjawię za trzydzieści minut? - zapytała Laura.

- Z pewnością nie - odpowiedział Thomas. Miał dzisiaj dużo czasu.

- Zaraz tam będę - zapewniła.

- Jeszcze jedna sprawa - dodał Thomas. - Żeby o tej porze dostać się do budynku, w którym się znajduję, musi pani przejść przez szpital. Tutaj drzwi są zamykane już o szóstej.

Thomas odłożył słuchawkę. Czuł się o wiele lepiej. Niepokój zastąpiło podniecenie.

Wysunął szufladę, wrzucił na miejsce buteleczkę z pigułkami i zadzwonił do laboratorium.

Przewidziane tam było cewnikowanie serca jego pacjenta i - jak się spodziewał - pacjent wciąż jeszcze oczekiwał na zabieg. W tej sytuacji Thomas miał przed sobą kilka wolnych

godzin.

Kingsley spotkał Laurę w progu swego biura i poprosił do środka. W jasnobezowej jedwabnej sukience wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Pod cienką materią widać było delikatny zarys majteczek.

Przez chwilę nic nie mówił i zachowywał się w niezobowiązujący sposób. Gdyby źle zrozumiał jej wcześniejsze intencje, zawsze miał możliwość wycofania się z kłopotliwej sytuacji. Zapewnił ją, że ojciec czuje się dobrze i czeka go rychły powrót do domu. Omówił przebieg długookresowej rekonwalescencji i pod pretekstem udzielenia praktycznych wskazówek napomknął o seksie.

- Pani ojciec pytał mnie o te sprawy przed operacją - uważnie obserwował twarz Laury. - Wiem, że pani matka nie żyje od kilku lat; jeśli jednak jest to krępujący temat...

- Absolutnie nie - oświadczyła Laura z uśmiechem. - Jestem przecież dorosła.

- Naturalnie - potwierdził Thomas omiatając spojrzeniem jej kształty. - To widać.

Laura znów się roześmiała i przyglądała na ramieniu swoje włosy, związane fantazyjnie w koński ogon.

- Taki mężczyzna jak pani ojciec ma jeszcze potrzeby seksualne - stwierdził Thomas.

- Jestem pewna, że jako lekarz wie pan o tym najlepiej - powiedziała Laura. Pochyliła się przy tym nieco do przodu i widać było, że nie nosi stanika.

Thomas wstał z krzesła i okrążył biurko. Był już pewien, że Laura nie przyszła tylko po to, by z nim porozmawiać o ojcu.

- To nie tylko punkt widzenia lekarza, lecz także mężczyzny; mam chronicznie chorą żonę - oświadczył.

Laura uśmiechnęła się. - Kiedy powiedziałam, że chciałabym coś dla pana uczynić, czy miał pan na myśli coś szczególnego? - Wstała i podeszła bliżej Thomasa.

Wziął ją za rękę i poprowadził do sąsiedniego pomieszczenia. Był to słabo oświetlony pokój, w którym przeprowadzał badania pacjentów. Powoli pomógł jej się rozebrać, a następnie zdjął z siebie ubranie, składając je równo na krześle. Kiedy się odwrócił, z przyjemnością stwierdził, że jest absolutnie gotów.

- Co o tym sądzisz? - zapytał wspierając dłonie na udach.

- Lubię to - odpowiedziała Laura ochryplym głosem, wyciągając po niego ramiona.

Mimo wcześniejszych obaw o skutki kropli, Cassi przyjechała do domu bez kłopotów.

Najbardziej przykrym odcinkiem okazała się droga z garażu do domu - w grudniu zmrok zapada bardzo wcześnie.

O tej porze dom był całkowicie ciemny, okna wyglądały jak prostokąty

wypolerowanego onyksu. Wewnątrz panowała absolutna cisza: na stole w jadalni Harriet zostawiła kartkę, w której wyjaśniała sposób odgrzania kolacji. Ilekroć Thomas nie wracał na noc, Harriet wychodziła wcześniej. Cassi bardzo nie lubiła pozostawać sama w domu. Szła korytarzami i włączała po kolei światła, ożywiając pustkę domu. Ten obszerny, pełen zakamarków budynek wydał się jej jak nigdy przedtem zimny i nieprzytulny; echo kroków pobrzmiwało w pustych korytarzach. Mimo iż dom był ogrzewany, z ust Cassi unosiła się mgielka pary.

W pokoju na górze było znacznie cieplej i niemal przytulnie. W sąsiedniej łazience znajdował się kwarcowy grzejnik, który natychmiast włączyła. Sprawdziła poziom cukru, zrobiła sobie zastrzyk insuliny i wzięła prysznic.

Próbowała nie myśleć zbyt wiele. Przeżycia minionego dnia wyczerpały ją, nie rozwiązując żadnego problemu. Joan miała rację określając jej stan jako uzależnienie.

Ponadto samopoczucie przypominało stan Maureen Kavanaugh. Tak jak i ona czuła się bezradna, onieśmielona i pełna wątpliwości, czy ma w sobie dość siły, by wziąć ciężar życia

w swoje ręce.

Z przerażeniem uprzytomniła sobie, że jedną z przyczyn, dla których podejrzewała Thomasa o przyjmowanie narkotyków, są jego źrenice. Często były tak małe, jak łebki szpilek. A przecież deksedryna powoduje rozszerzenie źrenic! Natomiast inne narkotyki działają odwrotnie - zmniejszają ich wielkość. Cassi nawet bała się myśleć o tych „innych”.

Czuła, że jej ręce są wilgotne. Nie wiedziała, czy z przerażenia, czy w rezultacie działania insuliny. Modląc się, by jej obawy były bezpodstawne, wstała z krzesła i skierowała się do gabinetu Thomasa.

Włączyła światło i stała przez chwilę w drzwiach, rozglądając się po pokoju. Mimo woli przypomniła sobie skutki poprzedniej wizyty w gabinecie Thomasa podczas jego nieobecności i przez moment walczyła z chęcią ucieczki.

W apteczce panował taki sam jak uprzednio nieporządek. Nic jednak nie budziło podejrzeń. Pod zlewem i w szafce z ręcznikami też nic nie zauważyła.

Czując lekką ulgę, Cassi wróciła do gabinetu. Oprócz biurka i obitego skórą fotela stała tutaj kanapa. Były też małe stoliki z lampkami, półki z książkami wzdłuż całej ściany, barek i staroświecka szyfoniera z nogami rzeźbionymi na kształt zwierzęcych pazurów.

Podłogę pokrywał ogromny dywan.

Cassi zbliżyła się do biurka. Był to imponujący mebel, niegdyś własność dziadka Thomasa. Gdy dotknęła ręką chłodnej powierzchni blatu, miała podobne uczucie jak wtedy, gdy jako dziecko zaglądała do sypialni swoich rodziców. Wysunęła środkową szufladę do samego końca - była wypełniona taśmami klejącymi, spinaczami i innymi drobiazgami. Nie zauważyła nic szczególnego. Uspokojona miała właśnie ją zamknąć, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole. Przez okno spostrzegła światła w oknach mieszkania Patrycji. Nie słyszała natomiast odgłosów samochodu, ale nie było w tym nic dziwnego: wszelkie dźwięki i odgłosy

z zewnątrz z trudem przedostawały się do środka poprzez podwójne szczelne okna. Drzwi do garażu były też zamknięte. Czy to ona je zamknęła? Chwilę później usłyszała kroki w hallu i ogarnął ją popłoch. Najwidoczniej Thomas wrócił. Nie powinien jej zastać w tym pomieszczeniu. Gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji, ale zanim zdążyła coś postanowić, w drzwiach gabinetu stała Patrycja.

Obie były jednakowo zdumione swoją obecnością. Z niedowierzaniem mierzyły siebie wzrokiem.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała wreszcie Patrycja.

- Miałam zamiar postawić to samo pytanie - odpowiedziała Cassi zza biurka.

- Zobaczyłam zapalone światła w gabinecie Thomasa. Myślałam, że mimo wszystko wrócił. Jestem jego matką, mam chyba prawo się z nim spotkać?

Cassi mimo woli skinęła potakująco głową. To nie jest w porządku, że Patrycja ma klucz do ich mieszkania i w każdej chwili może wejść bez najmniejszych skrępowań!

- To moje usprawiedliwienie. A co ty mi powiesz? - zapytała Patrycja.

Cassi mogła po prostu powiedzieć, że to jest jej dom i może wejść do każdego pokoju nie pytając nikogo o zgodę. Ale milczała w poczuciu winy.

- Domyślam się, dlaczego tu jesteś - stwierdziła Patrycja ze wzgardą - i pragnę z tego powodu wyrazić oburzenie. Penetrujesz jego szuflady, gdy on w tym czasie ratuje ludzkie życie! Co z ciebie za żona?

Pytanie Patrycji zawisło w powietrzu, gdyż Cassi nawet nie próbowała na nie odpowiedzieć. Zaczęła się zastanawiać nad tym, jaką jest żoną dla swojego męża.

- Powinnaś natychmiast opuścić ten pokój - syknęła Patrycja. Cassi nie sprzeciwiła się. Ze zwieszoną głową szła posłusznie za teściową. Nie spoglądając za siebie zeszła po schodach i skierowała się do kuchni. Trzasnęły frontowe drzwi - to wyszła Patrycja. Ta

kobieta wszystko powie Thomasowi!

Spojrzała z niesmakiem na kolację, pozostawioną dla niej na kuchence. Po zastrzyku z insuliny powinna była coś zjeść. Zmusiła się do zjedzenia nie odgrzanego posiłku, przeszukując w myślach gabinet Thomasa. Gdy już została schwytana na gorącym uczynku, nie musi się niczego więcej obawiać. Może szukać dalej.

Istniało co prawda prawdopodobieństwo wcześniejszego powrotu Thomasa, ale tym razem postanowiła uważnie nasłuchiwać, czy nie nadjeżdża jego porsche. Zasłoni też okna ciężkimi storami i skorzysta z latarki jak prawdziwy włamywacz.

Znalazłszy się znowu w gabinecie Thomasa, skierowała się najpierw do biurka.

Postanowiła przeszukać po kolei wszystkie szuflady. Nie musiała długo szukać: już w drugiej bocznej szufladzie, w pudełku za papeterią, znalazła całą kolekcję plastikowych buteleczek; niektóre były puste, inne jeszcze pełne. Wszystkie lekarstwa zostały przepisane przez tego samego lekarza, Allana Baxtera, w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Oprócz deksedryny Cassi znalazła dwa inne rodzaje pigułek - wzięła próbki.

Wypełniła puste miejsca w pudełku i zamknęła szufladę. Zgasiła latarkę, rozsunęła story i szybko wyszła z gabinetu. Gdy znalazła się w swoim pokoju, porównała znalezione pigułki z rycinami w książce. - O Boże! - wykrzyknęła głośno, gdy przekonała się, że jej podejrzenia były uzasadnione. - Deksedryna, środek na wyczerpanie - to jedno, ale percodan i talwin - to już zupełnie inna sprawa.

Po raz drugi tego dnia Cassi rozplakała się. Tym razem nawet nie próbowała wstrzymywać łez: rzuciła się na łóżko i szlochała bez opamiętania.

Przygoda miłosna z Laurą nie powstrzymała Thomasa przed randką z Doris. Był zawiedziony, że planowana operacja nie mogła się odbyć. Jego pacjent przeżył drugi atak serca. Mimo to postanowił nie psuć sobie reszty nocy długim powrotem do domu.



Doris wpuściła go natychmiast po naciśnięciu dzwonka. Gdy znalazł się już na piętrze, zdziwił się, że Doris ostrożnie wygląda przez uchylone drzwi, zanim je szeroko otworzyła. Gdy ją zobaczył, zrozumiał dlaczego. Doris miała na sobie jedynie przezroczysty czarny gorsecik, który zakrywał nie więcej niż skąpy kostium kąpielowy.

- Zrobiłam ci drinka - powiedziała wręczając Thomasowi szklaneczkę i obejmując go, zanim jeszcze zdążył zdjąć z siebie płaszcz.

Thomas trzymając w jednej ręce szklaneczkę, umieścił drugą na tyłeczku Doris.

Lampa naftowa w stylu skandynawskim napełniała pokój ciepłym, złotym blaskiem. Stolik był nakryty do kolacji; obok stała otwarta butelka wina.

Kiedy Doris wycofała się do kuchni, Thomas zatelefonował do szpitala. Dyżurującej informatorce pozostawił numer telefonu Doris, z zastrzeżeniem jednak, że wolno jej go udostępnić tylko w razie absolutnej konieczności. W razie gdyby miała jakiegokolwiek wątpliwości, sama ma do niego zadzwonić.

## **Rozdział VI**

- Przeprowadzam się dzisiaj - oznajmił Clark Reardon. - Żona powiedziała, że nie wolno mi się spóźnić. - Clark odsunął od łóżka Jeoffry'ego Washingtona metalowe krzesło.

- Cieszę się bardzo, że przyszedłeś - rzekł Jeoffry. - Naprawdę jest mi bardzo miło.

- Nie ma sprawy - odparł Clark, podnosząc się z miejsca. Wyciągnął dłoń i uścisnął mocno rękę Jeoffry'ego.

- Kiedy wreszcie stąd wyjdiesz? - zapytał.

- Już niedługo. Być może za kilka dni... Nie jestem pewien. Na razie podłączono mi kroplówkę. - Unosząc do góry lewą rękę, Jeoffry wskazał na skręcony, plastikowy wąż. - Po operacji przyplątało się jakieś zapalenie w nogach. Przynajmniej coś w tym rodzaju powiedział mi doktor Sherman. Musiałem więc przyjmować antybiotyki. Przez kilka dni

czułem się źle, ale teraz jest lepiej. Dobrze, że wreszcie zabrali ode mnie monitor. To ciągle

„bi-i-ip” doprowadzało mnie do szału.

- Jak dawno już leżysz tutaj?

- Dziewięć dni.

- To jeszcze nie tak źle.

- Teraz już nie. Ale początkowo byłem przerażony. I nie miałem żadnego wyboru.

Powiedzieli, że jeśli nie zostanę zoperowany, to wkrótce umrę. Więc co miałem zrobić?

- Nic! Przyjdę do ciebie jutro wieczorem i przyniosę zamówione książki. Chcesz może coś jeszcze?

- Owszem. Trochę trawki.

- Postaram się.

- Przecież tylko żartuję.

Kierując się ku drzwiom, Clark kiwnął ręką Jeoffry'emu i zniknął w korytarzu.

Jeoffry rozejrzał się po pokoju. Cieszył się, że wnet go stąd wypuszczą. Drugie łóżko

było wolne - współlokator został dziś wypisany, a na jego miejsce nikt nowy się nie pojawił.

Jeoffry bardzo nie lubił samotności - zaczęła mu dokuczać zwłaszcza teraz, gdy odszedł Clark

i otoczyła go cisza. Jego zdaniem szpital nie jest dobrym miejscem, żeby tu leżeć w

samotności; zbyt wiele tu groźnej aparatury i przykrych zabiegów.

Jeoffry włączył miniaturowy aparat telewizyjny, gdy do pokoju weszła jego

energiczna pielęgniarka, panna DeVries. Udając, że przyniosła coś smacznego do zjedzenia

nalegała, by zamknął oczy i otworzył usta. Zrobił to dla niej, wiedząc dobrze, że żartuje. Po

chwili okazało się, że miał rację: w ustach miał termometr.

Po dziesięciu minutach wymieniła mu termometr na pigułkę nasenną. Jeoffry popił

pigułkę wodą ze stojącej na stoliku szklanki, gdy tymczasem pielęgniarka zajęła się

odczytywaniem wskazań termometru.

- Czy mam temperaturę? - zapytał.

- Każdy ma temperaturę - odpowiedziała.

- Jak mogłem o tym zapomnieć - zauważył Jeoffry. Nie po raz pierwszy słyszał tę samą odpowiedź. - W porządku; wobec tego inaczej: czy mam gorączkę?

- Tego rodzaju informacja jest zastrzeżona - odparła panna DeVries.

Jeoffry nie mógł zrozumieć, dlaczego pielęgniarka nie może mu powiedzieć, jak wysoką ma temperaturę. Zawsze słyszał od niej odpowiedź, że tego rodzaju informacja należy do kompetencji doktora, co - jego zdaniem - nie miało sensu.

- A co będzie z tą kroplówką? - zapytał jeszcze, gdy była już przy drzwiach. - Kiedy wreszcie będę mógł wziąć prysznic?

- Na ten temat, niestety, nic nie wiem - odparła skinąwszy mu na pożegnanie ręką.

Jeoffry spojrział na butlę z kroplówką. Przez chwilę obserwował równomierne opadanie kropel, by następnie powrócić do oglądania telewizji, w której właśnie nadawano wieczorne wiadomości. To będzie dla niego wielka ulga, gdy zabiorą mu kroplówkę, myślał.

Jutro rano zapyta o to doktora Shermana.

Kiedy telefon zadzwonił po raz pierwszy, Thomas podniósł się i usiadł w łóżku, nie mogąc sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje. Po drugim dzwonku Doris odwróciła się do niego i w półmroku spojrzała pytająco.

- Czy odbierzesz telefon, czy chcesz, żebym ja to zrobiła? - zapytała zaspianym głosem. Uniosła się nieco i oparła na łokciu.

Thomas patrzył, jakby zaskoczony obecnością obcej kobiety. Wydawała mu się jakaś groteskowa z długimi, gęstymi włosami, wystającymi z jej głowy jak dziesiątki przewodów elektrycznych. Zamiast oczu miała ciemne oczodoły. Upłynęła chwila, zanim uprzytomnił

sobie, kim ona jest.

- Odbiorę - oświadczył Thomas wstając z łóżka. Głowa mu ciążyła jakby była z ołowiu.

- Aparat jest w kącie, tuż przy oknie - powiedziała Doris opadając z powrotem na poduszkę.

Z wyciągniętymi do przodu rękami Thomas posuwał się wzdłuż ściany, aż dotarł do otwartych drzwi łazienki. W salonie okno wykuszowe przepuszczało więcej światła.

- Doktor Kingsley? Tu Peter Figman - przedstawił się stażysta, gdy Thomas podniósł słuchawkę. - Przepraszam, że pana niepokoję o tej porze, ale pan prosił, żeby go powiadomić o każdym przypadku, wymagającym natychmiastowej operacji. Mamy tu pacjenta z raną od pchnięcia nożem w pierś. W ciągu godziny będzie gotów do operacji.

Thomas przybliżył usta do słuchawki. Panujący w saloniku chłód otrzeźwił go całkowicie. - Która godzina?

- Kilka minut po pierwszej.

- Dziękuję. Zaraz tam będę.

Kiedy Thomas wyszedł na ulicę, lodowaty wiatr przeszył go chłodem. Podniósł jak mógł najwyżej kłapy płaszcza i ruszył w stronę szpitala. Gwałtowne podmuchy wiatru były tak silne, że chwilami musiał się zatrzymywać w miejscu, gdyż zapierały mu dech, zasypując jednocześnie wirującymi w powietrzu papierami i innymi śmieciami. Toteż odetchnął z ulgą, gdy wreszcie skręcił za najbliższym rogiem i zobaczył przed sobą kompleks szpitalnych budynków.

Zbliżając się do głównego wejścia minął z lewej strony duży piętrowy parking.

Zbudowany z ogromnej ilości cementu, w dzień był zatłoczony, obecnie niemal całkowicie pusty. Kiedy spojrział w stronę swojego porsche'a, zauważył obok inny znajomy samochód.

Był to mercedes 300 w kolorze żółtawozielonym. Tylko jedna osoba w całym szpitalu miała taki zły gust - George Sherman, i do niego właśnie należał ten samochód.

Thomas znajdował się już praktycznie u wejścia do szpitala, gdy w jego rozważaniach o absurdalności posiadania tak dobrego samochodu w takim okropnym kolorze wtargnęła wątpliwość: co o tej porze robi tutaj George Sherman? Spojrzał jeszcze raz w stronę mercedesa - to był na pewno samochód George'a, nie mógł go pomylić z żadnym innym. Spojrzał na zegarek: była właśnie pierwsza piętnaście.

Thomas udał się wprost do przebieralni, następnie zajrzał do pokoju dla chirurgów; pielęgniarka robiła coś na drutach. Zapytał, czy George Sherman operował tej nocy. - Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała. - Nie było żadnego nagłego przypadku, z wyjątkiem pacjenta, którego pan będzie operował.

W przyległym do sali operacyjnej pokoju Thomas natknął się na Petera Figmana. Był to chudziutki młody lekarz o twarzy dziecka, sprawiający wrażenie, jakby jeszcze nie musiał się golić. Thomas spotykał go już wielokrotnie, dotąd jednak nie miał okazji z nim współpracować. Miał opinię zręcznego i pracowitego chirurga.

Kiedy zobaczył Thomasa, przedstawił mu sprawę szczegółowo. Pacjent został uderzony nożem podczas meczu hokejowego w Boston Garden, ale życiu jego na razie nie zagraża niebezpieczeństwo, choć początkowo były kłopoty z ciśnieniem. Ustalono grupę krwi i podjęto decyzję o transfuzji, której jeszcze nie wykonano. Prawdopodobnie nóż przebił jedno z dużych naczyń krwionośnych.

Słuchając uważnie przedstawianej mu relacji, Thomas wyjął z pudełka na półce nad zlewem maskę chirurgiczną. Wolał starego typu maski zawiązywane z tyłu za szyją i głową niż szablonowe, zabezpieczone z tyłu pojedynczą taśmą elastyczną. Dziś jednak leciały mu z rąk po kolei wiązadła, a w końcu upadła na podłogę sama maska. Thomas zaklął pod nosem i

wziął następną. Kiedy sięgnął do pudełka, Peter spostrzegł, że starszemu koledze trzęsą się trochę ręce. Przerwał swoją relację. - Czy pan się czuje dobrze, doktorze? - zapytał.

Z ręką w pudełku Thomas odwrócił do niego głowę. - Co pan ma na myśli, pytając, czy czuję się dobrze?

- Myślałem, że może jest pan trochę niezdrów - nieśmiało odparł Peter.

Thomas wyciągnął maskę z pudełka - razem z nią jeszcze inna wypadła do zlewu. - A dlaczego pan sądzi, że ja mogę być niezdrów?

- Nie wiem, po prostu tak pomyślałem - wymijająco odrzekł Peter. W tej chwili żałował, że w ogóle się odezwał.

- Do pańskiej wiadomości: czuję się teraz doskonale - oświadczył Thomas, nie próbując nawet ukryć irytacji. - Jednego natomiast nie toleruję u stażystów - zuchwałstwa. Mam nadzieję, że pan mnie należycie zrozumiał.

- Zrozumiałem - odrzekł Peter, chcąc jak najprędzej skończyć tę rozmowę.

Pozostawiwszy stażystę samemu sobie, Thomas pchnął drzwi wiodące do sali operacyjnej. - Na miłość boską - myślał tymczasem - czy temu gówniarzowi nie przychodzi do głowy, że wyrwał mnie z głębokiego snu; w tych warunkach każdy jest półprzytomny, dopóki się nie rozbudzi na dobre.

W sali operacyjnej panował ruch. Pacjent znajdował się już w narkozie, młodszy personel chirurgiczny był w trakcie otwierania klatki piersiowej. Thomas podszedł do stolika ze zdjęciami rentgenowskimi pacjenta. Korzystając z tego, że był odwrócony tyłem do sali, uniósł do góry rękę: drżała tylko nieznacznie. Bywało gorzej. - Poczekamy aż ten kogucik zacznie operować - z satysfakcją myślał Thomas.

Thomas ulokował się w końcu sali i uważnie obserwował przebieg operacji. Był gotów do interwencji, ale musiał przyznać, że Peter był dobrym chirurgiem. Zapytał obecnych

stażystów o możliwość wystąpienia krwaka osierdzia. Żaden z nich, nie wyłączając Petera, nie pomyślał o diagnozie, mimo że sprawa była dyskutowana na konferencji poświęconej śmiertelnym przypadkom. Kiedy był już pewien, że operacja będzie miała rutynowy przebieg i zakończy się pomyślnie, wstał i skierował się do wyjścia. - Jestem na miejscu, gdybym był potrzebny - rzucił za siebie. - Jak dotąd, operujecie bardzo dobrze.

Gdy za Thomasem zamknęły się drzwi, Peter Figman spojrzął na kolegów i szepnął: - Zdaje się, że doktor Kingsley wypił dziś wieczorem o jednego za dużo.

- Sądzę, że masz rację - przytaknął jeden z młodszych stażystów.

Jeszcze w sali operacyjnej Thomas poczuł nagły przypływ senności; właśnie obawa przed zaśnięciem wypędziła go z sali. W drodze do pokoju chirurgów nabrał więcej powietrza. Nie pamiętał już, ile kieliszków szkockiej wypił u Doris. W przyszłości powinien być bardziej ostrożny.

Na nieszczęście pokój chirurgów był zajęty przez dwie pielęgniarki, korzystające z przerwy na kawę. Miał zamiar wyciągnąć się na kanapie, ale ostatecznie postanowił położyć się na łóżku w przebieralni. Kiedy przechodził obok okna, wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł światło w jednym z pokoiów w przeciwległym budynku. Licząc od końca, uświadomił sobie, że było to okno gabinetu Ballantine'a. Spojrzał na zegar wiszący nad automatem do kawy: dochodziła druga! Czyżby dozorca zapomniał o wyłączeniu światła?

- Przepraszam - Thomas zwrócił się do pielęgniarek. - Będę w przebieralni, gdyby mnie szukano. Gdybym zasnął, proszę wejść i szturchnąć mnie mocno.

Idąc do przebieralni Thomas zastanawiał się, czy światło w oknie Ballantine'a ma coś wspólnego ze znajdującym się na parkingu samochodem Shermana. Jeśli tak, było w tym coś niepokojącego.

W pozbawionym okien pomieszczeniu nie było zupełnie ciemno: poprzez mały hall

przenikało tutaj światło z pokoju chirurgów. Jak zwykle oba łóżka były tutaj puste; Thomas podejrzewał, że jest jedyną osobą, która z nich korzysta.

Z kieszeni koszuli wyjął małą, żółtą pigułkę. Zręcznie przełamał ją na dwie połowy.

Jedną z nich położył na języku i trzymał tam przez chwilę, dopóki się nie rozpuściła. Drugą włożył z powrotem do kieszeni koszuli, na wypadek gdyby potrzebował jej później. Zanim zamknął oczy, zdążył zadać sobie pytanie, jak długo pozwolą mu spać.

Szpitalna klatka schodowa o godzinie drugiej czterdzieści pięć przypominała wnętrze olbrzymiego mauzoleum, a nie szpital. Głęboki, prostopadły szyb klatki - jak gardło tajemniczego molocha pochłaniający codziennie i wyrzucający na piętra setki ludzi i przedmiotów - był o tej porze przerażająco pusty i cichy; słychać było tylko jęk wiatru wydobywający się z samych wnętrzności budynku.

Nagle w drzwiach prowadzących z klatki na korytarz na osiemnastym piętrze pojawiła się postać; jednocześnie rozległ się świst, jaki wydaje powietrze wypełniające naczynie, które wcześniej było całkowicie opróżnione z gazów.

Ubrany w zwykły strój szpitalny mężczyzna nie zachowywał się lękliwie, ale najwyraźniej nie chciał być zauważony. Najpierw dokładnie sprawdził, czy korytarz na całej długości jest pusty, a potem dopiero zamknął za sobą drzwi.

Trzymając jedną rękę w kieszeni białego fartucha, mężczyzna podszedł po cichu do drzwi prowadzących do pokoju Jeoffry'ego Washingtona. Zatrzymał się pod nimi i nasłuchiwał przez chwilę. Z pobliskiego pokoju pielęgniarek nie dochodził nawet najmniejszy dźwięk - słychać było tylko odległe odgłosy monitorów i aparatów do oddychania.

W mgnieniu oka mężczyzna znalazł się w pokoju. Powoli zamknął za sobą drzwi.

Panował tu półmrok - tylko trochę światła przenikało zza uchylonych drzwi do łazienki.

Kiedy wzrok mężczyzny przyzwyczaił się do ciemności, wyjął on rękę z kieszeni; trzymał w



niej napełnioną strzykawkę. Zdjął z igły osłaniający kapturek i podszedł do łóżka chorego. I zamarł w miejscu. Łóżko było puste!

Jeoffry Washington ziewnął tak szeroko, że aż łzy napłynęły mu do oczu. Potrząsnął głową i rzucił na stojący obok stolik egzemplarz „Time’u” sprzed trzech tygodni. Siedział w świetlicy dla chorych, znajdującej się naprzeciwko jego pokoju. Wstał z fotela i poruszał się, popychając przed sobą stojak z kroplówką. Szedł w stronę pokoju pielęgniarek w nadziei, że taki spacer będzie dobrym lekarstwem na bezsenność. Nadzieja jednak nie sprawdzała się. Z pozbawionego drzwi pokoju obserwowała go Pamela Beckenridge. Zdążyła się już przyzwyczaić do wałęsania się pacjenta po korytarzu w ciągu ostatnich dwóch nocy. Ze względów oszczędnościowych nie korzystała z miejscowego baru, lecz przynosiła z domu kanapki. Właśnie miała zamiar zabrać się do jedzenia, kiedy zjawił się Jeoffry.

- Czy mogę dostać jeszcze jedną pigułkę nasenną? - zapytał.

Pamela najpierw przełknęła kęs, a następnie skinęła głową i poprosiła jedną z pielęgniarek, żeby dała mu żadaną pigułkę - miała na to zgodę doktora Shermana.

Jeoffry wziął pigułkę i popił ją wodą z małego papierowego kubka. Boże, ile by dał w tej chwili za trochę trawki. Powoli powlókł się korytarzem do swojego pokoju.

Na korytarzu zrobiło się jeszcze ciemniej, niż przed kilku zaledwie minutami. Na winylowej podłodze kładł się jego olbrzymi cień, rosnący w miarę jak szedł przed siebie.

Cień ramienia stojaka z kroplówką wyglądał na podłodze jak laska proroka. Żeby otworzyć drzwi do swojego pokoju, uderzył je kołem stojaka. Kiedy znalazł się już w środku, ostrożnie zatrzasnął drzwi nogą; jeśli miał jakąkolwiek szansę zasnąć, musiał unikać hałasu i światła przenikającego z korytarza.

Ustawił stojak z kroplówką obok łóżka, usiadł na nim z zamiarem wyciągnięcia się.

Nagle z trudem pohamował okrzyk przestrawu.

Z łazienki, jak widmo, wynurzyła się postać.

- Boże mój! - zawołał Jeoffry - pan naprawdę mnie przestraszył!

- Połóż się, proszę.

Jeoffry natychmiast wykonał polecenie. - Nie spodziewałem się pana o tej porze. - Z zainteresowaniem przyglądał się, jak niespodziewany gość wyjął strzykawkę i usiłował wpuścić jej zawartość do butelki z kroplówką. Nie szło mu to zrećnie; butelka kilkakrotnie zabrzęczała uderzając o stojak.

- Co to za lekarstwo? - zapytał z wahaniem Jeoffry.

- Witaminy - usłyszał odpowiedź.

Jeoffry pomyślał, że to dość dziwna pora na aplikowanie mu witamin, ale przecież szpital jest w ogóle osobliwym miejscem.

Tymczasem gość zrezygnował z dalszych prób przebicia nasady butelki, zamiast tego wbił igłę w plastikową rurkę tuż przy przegubie ręki Jeoffry'ego. To poszło mu znacznie łatwiej. Jeoffry widział, jak natychmiast podniósł się poziom płynu w rurce. Poczł nagle ból, ale pomyślał, że jest to rezultat wzrostu ciśnienia w kroplówce.

Ale ból nie ustępował, na odwrót - wzręgał się.

- Boże wielki! Moja ręka! Pan mnie zabija! - zawołał Jeoffry. Człł, że jakaś gorąca fala podnosi się coraz wyżej, wzdłuż podłączonego do kroplówki ramienia.

Gość chwycił go za rękę, starając się ją unieruchomić, a jednocześnie puścił kroplówkę tak szybko, że płyn spływał nieprzerwanym strumieniem.

Okropny, nie do zniesienia ból rozlewał się w piersi Jeoffry'ego jak rozpalona lawa.

Wolną rękę usiłował chwycić intruza za ramię.

- Nie dotykaj mnie, ty pedale!

Mimo bólu Jeoffry posłuchał. Nagle ogarnął go strach, okropny strach, że dzieje się

coś potwornego. Rozpaczliwie usiłował uwolnić swoje ramię ze śmiertelnego uścisku.

- Co pan robi? - wydusił z siebie. Próbował krzyżeć, ale tamten natychmiast zakrył mu szczelnie usta dłonią.

W tym samym momencie ciałem Jeoffry'ego wstrząsnął pierwszy spazm: wygiął się na łóżku w hak, gałki oczne wywróciły mu się do góry, zapadając jednocześnie w głąb oczodołów. Po pierwszych drgawkach nastąpiły kolejne - cała ich seria, jak przy ataku padaczki. Pod miotanym konwulsjami ciałem zakołysało się gwałtownie łóżko. Intruz puścił ramię Jeoffry'ego i odciągnął łóżko, żeby nie stukało w ścianę, a następnie wyrzwał na korytarz: był pusty. Wymknął się z pokoju i zniknął za drzwiami wiodącymi na klatkę schodową.

Tymczasem Jeoffry zwijał się w konwulsjach. Jego serce najpierw zaczęło bić nieregularnie, potem przez kilka sekund drgało jeszcze spazmatycznie i wreszcie zatrzymało się. W ciągu kilku minut mózg Jeoffry'ego przestał funkcjonować. Przez pewien jeszcze czas jego ciałem wstrząsały słabnące już konwulsje.

Thomas miał wrażenie, że dopiero co zasnął, gdy został nagle rozbudzony szarpnięciem za ramię.

Przewrócił się na wznak oszołomiony i otworzył szeroko oczy: pochylała się nad nim uśmiechnięta twarz pielęgniarki.

- Potrzebują pana w sali operacyjnej, doktorze.

- Zaraz tam będę - odparł niewyraźnie.

Począł chwilę, aż pielęgniarka wyjdzie z pokoju i zsunął nogi z łóżka. Przez kilka minut siedział nieruchomo usiłując oprzytomnieć. Czasem, myślał, spać zbyt krótko jest jeszcze gorzej niż w ogóle nie spać. W końcu wstał, przeciągnął się i powłókł do swojej szafki. Wydobył z niej deksedrynę i popił wodą z kranu. Następnie przebrał się w świeży,

biały strój szpitalny, wkładając do kieszeni na piersi zapasową połówkę pigułki.

Zanim dotarł do sali operacyjnej, dzięki deksedrynie całkowicie rozjaśniło mu się w głowie. Najpierw miał zamiar od razu przygotować się do operacji, ale przede wszystkim postanowił dowiedzieć się, po co go wezwano.

Stażyści stali zakłopotani wokół znajdującego się w narkozie pacjenta, trzymając wciąż ręce w sterylnym polu. Scena była raczej niepokojąca.

- O co... - zaczął Thomas ochryłym głosem; od chwili przebudzenia się powiedział zaledwie kilka słów do pielęgniarki. Przełknął ślinę. - O co chodzi?

- Pan miał całkowitą rację z tym krwiakiem osierdzia - rzekł z szacunkiem Peter. -

Nóż przebił osierdzie i skaleczył serce. Nie ma krwawienia, ale zastanawiamy się, czy nie powinniśmy założyć szwów na ranę.

Thomas poprosił pielęgniarkę o podanie mu wysokiego stołka, który ustawił tuż za Peterem. Ze stołka lepiej było widać wewnątrz otwartej klatki piersiowej. Peter wskazał ranę i odsunął się na bok.

Thomas odetchnął z ulgą - była nieznaczna, nie naruszyła żadnego większego naczynia krwionośnego.

- Radzę pozostawić to w spokoju - oznajmił. - Niewielkie korzyści, jakie możemy osiągnąć z założenia szwów, mogą okazać się niewarte powikłań, które mogą wystąpić.

- W porządku - oświadczył Peter.

- Proszę nie ruszać także osierdzia - ostrzegł Thomas - w ten sposób możemy uniknąć tamponady po operacji. W przypadku krwawienia będzie służyć jako miejsce sączenia.

W godzinę później Thomas znajdował się już w biurze. Czuł się nie najlepiej po zażyciu deksedryny. Jego myśli wciąż krążyły wokół podejrzanej obecności Ballantine'a i Shermana tej nocy w szpitalu. Było oczywiste, że chodzi tu o jakieś intrygi, które budziły w

nim coraz większy niepokój. Pomyślał, że chyba nie będzie dziś mógł zasnąć, jeśli nie przyjmie jakiejś pigułki.

Rzadko zdarzało się, żeby jedna tabletką deksedryny mogła wprowadzić go w stan takiego napięcia, najwidoczniej jednak tym razem był bardzo wyczerpany. Wydobyl z biurka następną pigułkę percodanu i połknął ją. Pomyślał, że rano może mieć trudności z przebudzeniem się, zadzwonił więc do Doris. Długo czekał, zanim podniosła słuchawkę. W wyobraźni odtwarzał sobie drogę, jaką musiała przebyć od łóżka do znajdującego się przy oknie telefonu. Powinna zainstalować sobie aparat tuż przy łóżku.

- Słuchaj - zwrócił się do Doris, gdy w końcu usłyszał jej głos w słuchawce - musisz przyjść do biura o szóstej trzydzieści.

- To przecież już za dwie godziny - usiłowała protestować.

- Chryste Panie - zawołał rozeźlony. - Nie musisz mi przypominać, która jest godzina.

Sądziysz, że nie wiem? Ja wykonuję dziś trzy bypassy i zaczynam o siódmej trzydzieści. Chcę, żebyś tutaj była i obudziła mnie, gdybym zasnął.

Rzucił wściekły słuchawkę. - Przeklęta, samolubna suka - powiedział głośno, uderzając dłonią w poduszkę.

## **Rozdział VII**

Cassi ocknęła się ze snu w ciemności. Było kilka minut po piątej. Budzik miał dzwonić dopiero za dwie godziny.

Przez chwilę leżała spokojnie nasłuchując. Początkowo sądziła, że obudził ją jakiś hałas, stopniowo jednak uprzytomniła sobie, iż impuls powodujący przebudzenie pochodził z jej wnętrza. Był to niemal klasyczny syndrom przeżywanej przez nią depresji.

Cassi przewróciła się na drugi bok i naciągnąwszy kołdrę na głowę próbowała jeszcze zasnąć, ale bezskutecznie. Sen nie wracał. Wstała z łóżka, mając pełną świadomość

czekającego ją wyczerpującego dnia, zwłaszcza że Thomas przyjął - również w jej imieniu - zaproszenie na wieczór do Ballantine'ów.

W domu panował przejmujący chłód, Cassi trzęsła się wprost z zimna, dopóki nie zarzuciła na siebie szlafroka kąpielowego. W łazience włączyła kwarcowy grzejnik i weszła pod prysznic.

Stojąc pod strumieniem wody, przypomniała sobie przyczynę swojego przygnębienia: odkrycie percodanu i talwinu w biurku Thomasa. Patrycja z całą pewnością powiadomi syna, że ona znowu myszkowała w jego gabinecie. Thomas domyśli się, że szukała narkotyków.

Wycierając się ręcznikiem zastanawiała się, co powinna zrobić. Powiedzieć Thomasowi, że znalazła u niego narkotyki i odbyć z nim rozmowę? Czy obecność takich środków w jego biurku jest wystarczającym dowodem narkomanii? A może da się jakoś inaczej wyjaśnić tę sprawę? Co do tego Cassi miała zasadnicze wątpliwości, zwłaszcza że pamiętała o jego zwężonych źrenicach. Chyba więc jednak Thomas przyjmuje percodan i talwin. Nie wiedziała tylko w jakich ilościach, nie miała więc pojęcia, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo.

W tej sytuacji powinna poszukać czyjejś pomocy. Ale nie wiedziała, kto mógłby jej pomóc. Z całą pewnością nie Patrycja; gdyby zaś zwróciła się do kogokolwiek z dyrekcji szpitala, mogłaby zrujnować karierę Thomasa. Cassi omal nie rozplakała się z rozpacz. Znajdowała się w sytuacji, z której nie widziała wyjścia. Cokolwiek by uczyniła - wszystko mogło się skończyć źle. Stawka była wysoka: w grę wchodziła przyszłość jej małżeństwa z Thomasem.

Z najwyższym trudem skończyła się ubierać i wyjechała do szpitala.

Ledwie zdążyła usiąść za biurkiem, uchyliły się drzwi jej pokoju i Joan wsunęła głowę do środka.

- Czujesz się dzisiaj lepiej? - zapytała pogodnie.

- Nie - odparła Cassi zmęczonym, cichym głosem.

Joan nie miała wątpliwości: stan, w jakim znajdowała się Cassi, był gorszy niż poprzedniego popołudnia. Nieproszona weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Cassi nie miała siły się sprzeciwić.

- Znasz chyba stare przysłowie o chorym doktorze - rzekła Joan: - „Ten kto nalega, aby sam się leczył, ma go za głupiego pacjenta”. Można to równie dobrze zastosować do sfery życia uczuciowego. Nie wyglądasz dobrze, moja droga. Przyszłam, żeby cię przeprosić za to, co wczoraj powiedziałam, ale teraz nabieram przekonania, że miałam rację. Co się z tobą dzieje?

Cassi zastygła w milczeniu. Rozległo się pukanie do drzwi.

Joan wyrzwała na korytarz i stanęła oko w oko z zapłakaną Maureen Kavanaugh.

- Przepraszam bardzo, ale doktor Cassidy jest w tej chwili zajęta. Zanim Maureen zdążyła się odezwać, zamknęła drzwi.

- Usiądź teraz, Cassi - zwróciła się do przyjaciółki stanowczym tonem.

Cassi usiadła. Konieczność podporządkowania się była tym, co odpowiadało stanowi jej ducha.

- Świetnie - powiedziała Joan. - A teraz posłuchaj, co ci powiem. Wiem, że bardzo przeżywasz kłopoty z okiem. Ale chyba chodzi o coś więcej.

Cassi miała okazję jeszcze raz przekonać się, jak łatwo rozwiązuje język umiejętnie prowadzona przez psychiatrę rozmowa. Joan budziła w niej zaufanie - co do tego nie miała najmniejszej wątpliwości. Cassi mogła być pewna jej dyskrecji. A jednocześnie czuła wielką potrzebę podzielenia się z kimś swoimi zmartwieniami - konieczność zrozumienia i wsparcia.

- Sądzę, że Thomas przyjmuje narkotyki - powiedziała Cassi tak cicho, że Joan ledwo

ją usłyszała. Ani jeden mięsień nie drgnął w jej twarzy.

- Co za narkotyki? - zapytała.

- Deksedrynę, percodan i talwin - przynajmniej o tych trzech wiem na pewno.

- Talwin jest dość popularny wśród lekarzy - stwierdziła Joan. - Jak często je przyjmuje?

- Nie wiem. W każdym bądź razie jego praca nie cierpi na tym w najmniejszym stopniu. Jak zwykle pracuje bardzo dużo.

- No, no... - kręciła głową Joan. - Czy Thomas zdaje sobie sprawę z tego, że wiesz o jego słabości?

- Wie, że podejrzewam go o deksedrynę. Nie ma pojęcia, że wiem również o pozostałych - przynajmniej tak było do niedawna. - Cassi sądziła, że Patrycja nie zdążyła uprzedzić Thomasa o jej ostatniej wizycie w jego gabinecie.

- Istnieje delikatne określenie tego rodzaju przypadłości - „lekarz upośledzony” - powiedziała Joan. - Niestety, tacy lekarze nie są u nas rzadkim zjawiskiem. Być może powinnaś coś niecoś przeczytać na ten temat: w literaturze medycznej pisze się o tym sporo, chociaż sami lekarze niechętnie zabierają głos w tej sprawie. Dam ci trochę wycinków prasowych. Powiedz mi jeszcze, czy w zachowaniu się Thomasa nastąpiły jakieś istotne zmiany - na przykład czy wprawia w zakłopotanie innych swoim sposobem bycia lub też nie zjawia się na umówione spotkania?

- Nic podobnego - oświadczyła Cassi. - Jak już powiedziałam, Thomas pracuje więcej niż kiedykolwiek przedtem. Przyznaje jednak, że obecnie czerpie z tego co robi mniej przyjemności niż dawniej. I chyba ostatnio przejawia mniej tolerancji.

- Tolerancji wobec czego?

- Wobec wszystkiego. Wobec ludzi, wobec mnie. Nawet wobec swojej matki, która



mieszka z nami.

Joan wzniosła do góry oczy. Niewiele tu mogła pomóc.

- Nie jest tak źle - zauważyła Cassi.

- Też tak sędzę - cynicznie stwierdziła Joan.

W ciągu kilku następnych minut obie kobiety obserwowały się wzajemnie, zachowując milczenie.

Wreszcie, jakby od niechcienia, Joan zapytała: - Jak wygląda wasze współżycie małżeńskie?

- Co masz na myśli? - Cassi odparła wymijająco.

Joan odchrząknęła. - Bardzo często lekarze używający narkotyków cierpią przejściowo na impotencję i nawiązują stosunki pozamałżeńskie.

- Thomas nie ma czasu na pozamałżeńskie stosunki - bez wahania zaprotestowała Cassi.

Joan skinęła ze zrozumieniem głową: Thomas wcale nie wyglądał na „lekarza upośledzonego”.

- Wiesz, Cassi - zauważyła Joan - twoje spostrzeżenia o nadmiernej pracowitości

Thomasa i o tym, że czerpie niewiele przyjemności z pracy, są ze sobą trochę sprzeczne.

Wielu chirurgów cechuje narcyzm, co odbija się na ich stosunku do otoczenia.

Cassi nie odpowiedziała; uwaga Joan nie była pozbawiona sensu.

- W porządku, to jest sprawa do przemyślenia - rzekła Joan. - To, że sukces Thomasa

może stać się problemem, jest nawet bardzo interesujące. Mężczyźni o narcystycznej

postawie zwykle dobrze funkcjonują w określonych układach - zwłaszcza w warunkach zawodowej rywalizacji.

- Thomas stwierdził, że nie ma tutaj z kim rywalizować - odparła Cassi.

W tym momencie zadzwonił telefon. Sposób, w jaki Cassi podniosła słuchawkę, świadczył, że jest już mniej przygnębiona. Dzwonił Robert Seibert.

Rozmowa trwała krótko. Po jej zakończeniu Cassi oznajmiła Joan, że Robert jest w siódmym niebie, ponieważ natrafił na kolejny przypadek SSD.

- To wspaniale - sarkastycznie stwierdziła Joan. - Jeśli masz zamiar zaprosić mnie na sekcję zwłok, to bardzo ci dziękuję, ale nie skorzystam.

Cassi roześmiała się. - Nie, ja też się na nią nie wybieram. Od samego rana jestem umówiona z pacjentami, ale mam się spotkać z Robertem przy obiedzie i porozmawiać o wynikach. - W tym momencie spojrzała na zegarek. - Och! Już jestem spóźniona na odprawę.

Odprawa przebiegała sprawnie. W nocy nic szczególnego się nie zdarzyło, nie przyjęto nowych pacjentów. Dyżurni stażyści mogli spać spokojnie przez okrągłe dziewięć godzin, co pozostali przyjęli z zazdrością. Cassi poruszyła sprawę siostry Maureen Kavanaugh; wszyscy byli zgodni, że Cassi powinna zachęcić Maureen do nawiązania osobistego kontaktu z siostrą. Zgodnie orzekli, że warto podjąć ryzyko wciągnięcia siostry pacjentki do procesu leczenia.

Cassi poinformowała także zespół o wyraźnej poprawie stanu pułkownika Bentwortha oraz o jego próbach pozyskania jej sobie. Jacob Levine uznał obie te okoliczności za nader interesujące, lecz jednocześnie przestrzegł Cassi przed wysnuwaniem z nich pochopnych wniosków.

- Pamiętaj, że ludzie z pogranicza bywają nieobliczalni - powiedział zdejmując z nosa okulary i wymachując nimi.

Odprawa zakończyła się wcześniej niż zwykle, gdyż wyczerpano rutynowe tematy.

Cassi nie przyjęła zaproszenia na kawę, bo nie chciała się spóźnić na rozmowę z pułkownikiem Bentworthem. Gdy wróciła do biura, czekał już na nią przed drzwiami.

- Dzień dobry - przywitała go jak potrafiła najpogodniej, otwierając drzwi biura.

Pułkownik w milczeniu wszedł za nią do pokoju i usiadł. Cassi umyślnie zajęła miejsce za biurkiem. Nie wiadomo dlaczego obecność pułkownika pozbawiała ją zawodowej pewności siebie, szczególnie gdy patrzył na nią przenikliwie niebieskimi oczami, które przypominały jej oczy Thomasa. Były tak samo zadziwiająco turkusowe.

Bentworth - podobnie jak ostatnim razem - wcale nie wyglądał na pacjenta. Był nienagannie ubrany i roztaczał wokół siebie władczą atmosferę. O tym, że jest to ta sama osoba, którą Cassi przyjęła do szpitala przed kilkoma tygodniami, świadczyły jedynie oparzenia na przedramieniu.

- Nie wiem, jak zacząć - odezwał się Bentworth.

- Niech pan zacznie od tego, dlaczego zmienił pan swoje zapatrywania na rozmowę ze mną. Do tej pory nie chciał pan brać udziału w indywidualnej terapii.

- Mam być szczery?

- Chyba tak będzie najlepiej.

- Powiem więc prosto z mostu: chodzi mi o przepustkę na weekend.

- Decyzja o przepustce podejmowana jest przez grupę. Terapia grupowa była obecnie głównym środkiem stosowanym wobec Bentwortha.

- To prawda - odparł pułkownik - ale te cholerne sukinsyny nie zgadzają się. Wiem o tym, że pani ma prawo nie brać pod uwagę ich decyzji.

- A dlaczego miałabym zignorować ludzi, którzy pana znają najlepiej?

- Oni mnie wcale nie znają! - zawołał Bentworth, uderzając dłonią w stół.

Cassi drgnęła przestraszona, ale zachowała spokój. - Taki sposób zachowania z pewnością panu nie pomoże - oświadczyła.

- Jezu Chryste! - zawołał Bentworth zrywając się na nogi. Zaczął przemierzać pokój

wielkimi krokami w tę i z powrotem. Gdy Cassi nie zareagowała, rzucił się z powrotem na krzesło. Widać było pulsującą tętniczkę na jego skroni.

- Czasami myślę, że najlepiej byłoby się poddać - stwierdził.

- Dlaczego pańska grupa uważa, że nie powinien pan otrzymać przepustki? - zapytała Cassi. Nie miała najmniejszego zamiaru uwierzyć teatralnym gestom.

- Nie wiem - odparł pułkownik.

- Nawet nie domyśla się pan?

- Nie lubią mnie. Czy to nie wystarcza? To są skończone ofiermy. Inteligenci, pożał się Boże.

- Czyżby ich pan nienawidził?

- Tak, nienawidzę ich wszystkich.

- To są ludzie podobni do pana i mają podobne problemy. Bentworth nie od razu odpowiedział, a Cassi tymczasem usiłowała sobie przypomnieć, czego się dowiedziała z lektury o leczeniu ludzi z pogranicza. Rzeczywistość była bardziej skomplikowana, niż najlepsza nawet teoria. Z podręczników wiedziała, że to ona - jako lekarz - powinna odgrywać „konstruktywną” rolę w procesie leczenia, ale w tej chwili nie miała pojęcia, co to ma oznaczać.

- Paradoksalne jest to, że ich potrzebuję, choć jednocześnie nienawidzę - Bentworth potrząsnął przy tym głową, jakby był speszony tym, co mówi. - Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale ja nie lubię być sam - nie ma dla mnie nic gorszego niż samotność. Gdy jestem sam, muszę pić, a alkohol mnie oszołamia. Nic na to nie poradzę.

- Co się wtedy dzieje? - zapytała Cassi.

- Wtedy zawsze otrzymuję jakąś propozycję. To reguła. Jakiś goguś mnie spostrzeże i domyśla się, że jestem pedałem, więc podchodzi i zaczyna rozmowę. Wszystko kończy się

tak, że biję gości na miazgę. Umiem robić użytek ze swoich rąk - jedyna rzecz, której się nauczyłem w wojsku.

Cassi pamiętała z lektury, że osoby z pogranicza pragną zazwyczaj uchronić się przed homoseksualnymi kontaktami. Homoseksualizm stanowił niewątpliwie interesującą dziedzinę, do której miała zamiar wrócić w następnych rozmowach, ale w tej chwili nie czuła się jeszcze do tego przygotowana.

- A co z pańską pracą? - zapytała, pragnąc zmienić temat.

- Jeśli mam być szczerzy, wojsko mnie już zmęczyło, mam go dość. Początkowo bawiło mnie tam współzawodnictwo. Obecnie jestem już pułkownikiem, więc nie mam z kim rywalizować. O generalskie szlify nie mam zamiaru się ubiegać - zazdrozczono by mi ich. Nie mam już o co się starać - pozostało uczucie pustki.

- Uczucie pustki? - jak echo powtórzyła Cassi.

- Tak, pustki. Takie samo jak po kilku miesiącach współżycia z tą samą kobietą.

Początkowo wszystko jest piękne i podniecające, po kilku jednak miesiącach powszednieje, a wtedy pojawia się to uczucie. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. Cassi zagryzła wargę.

- Idealne stosunki z kobietą - ciągnął Bentworth - mogą trwać najwyżej jeden miesiąc.

Potem nasza ukochana znika, a na jej miejsce pojawia się inna. To najlepsze rozwiązanie.

- A jednak był pan żonaty.

- Tak, byłem żonaty. Małżeństwo trwało rok. Omal jej nie zabiłem. Cały czas tylko narzekała.

- A czy teraz pan żyje z jakąś kobietą?

- Nie. Dlatego znajduję się tutaj. W przeddzień awantury w barze opuściła mnie.

Znałem ją zaledwie od kilku tygodni, ale poznała innego i wyprowadziła się do niego.

Właśnie z tego powodu chcę wyjść na przepustkę. Ona ma klucz do mojego mieszkania i boję

się, że mnie okradnie.

- Dlaczego więc nie zadzwoni pan do kogoś z przyjaciół i nie poprosi o wymianę zamka? - zapytała Cassi.

- Ja nikomu nie ufam - oświadczył Bentworth, podnosząc się z miejsca. - Proszę mi w końcu powiedzieć, czy ma pani zamiar wydać mi tę przepustkę, czy niepotrzebnie tracimy czas?

- Tę sprawę poruszę na następnej odprawie - oświadczyła Cassi. - Musimy ją najpierw przedyskutować.

Bentworth pochylił się nad biurkiem. - Jednego nauczyłem się w tym szpitalu: nienawidzić wszystkich psychiatrów. Wydaje się im, że są cholernie mądrzy, ale to nieprawda. Są o wiele bardziej zwariowani niż ja.

Cassi spojrzała mu w oczy i przeraziła się - tak bardzo stały się lodowate. Przyszło jej do głowy, że pułkownik Bentworth powinien być oddany pod nadzór. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że właśnie tu znajduje się pod nadzorem.

Cassi zapukała do drzwi ciasnego biura Roberta. Siedział zajęty nad cytoskopem; gdy ją ujrzał, twarz rozpromienił mu uśmiech. Zerwał się tak energicznie, by uściskać Cassi, że odrzucony do tyłu fotel na kółkach potoczył się pod samą ścianę.

- Źle wyglądasz - stwierdził przyglądając się jej badawczo. - Czy coś się stało?

Cassi odwróciła się. Miała już dość rozmów na ten temat.

- Jestem po prostu zmęczona. Sądziłam, że na psychiatrii będzie łatwiej.

- To może wrócisz na patologię? - zapytał żartobliwie podsuwając jej krzesło. Pochylił się do przodu i położył ręce na jej kolanach. Gdyby to uczynił inny mężczyzna, poczułaby się skrępowana, ale w przypadku Roberta ten gest miał pokrzepiającą wymowę.

- Czego się napijesz? Kawy? Soku pomarańczowego? A może czegoś innego?

Cassi potrząsnęła odmownie głową. - Gdybyś mógł mi podarować trochę snu! Jestem wyczerpana, a muszę wieczorem jechać na przyjęcie do Ballantine'ów, do Manchester.

- To cudownie! - paplał dalej Robert. - Co włożysz na siebie? Cassi podniosła oczy do góry z udaną rozpaczą. Była zmuszona wyjaśnić Robertowi, że przysłała do niego nie po to, by rozmawiać o swojej garderobie - o której zresztą miał niezłe pojęcie - ale o wynikach sekcji zwłok.

Robert udał bardzo obrażonego: - Zawsze przychodzisz do mnie tylko w interesach. A ja pamiętam, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi!

Cassi wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć serdecznie dłoń Roberta, ten jednak uchylił się i cofnął swój fotel. Oboje roześmieli się. Cassi westchnęła uświadamiając sobie, że poczuła się nagle znacznie lepiej. Robert działał na nią krzepiąco.

- Czy twój mąż powiedział ci, że mnie wsparł na ostatniej konferencji chirurgów?

- Nie - odparła zdziwiona. Nigdy nie wspominała nikomu o niechęci, jaką Thomas żywił do Roberta; zdawała sobie sprawę, że obaj musieli przy jakichś okazjach spotkać się ze sobą chociaż kilka razy.

- Popęlniłem duży błąd. Nie wiem dlaczego przyszło mi do głowy, że ucieszę bardzo kardiochirurgów, jeśli im powiem o SSD, i postanowiłem wstępnie przedstawić sprawę na wczorajszej konferencji. Okazało się, że nie mogłem nic gorszego zrobić. Wyniki moich badań potraktowali jako swoisty rodzaj krytyki ich pracy. Kiedy skończyłem mówić, Ballantine zaczął wytrząsać się nade mną, dopóki Thomas mu nie przerwał, zadając inteligentne pytanie. Po tym padło jeszcze kilka innych i w ten sposób uniknąłem totalnej porażki. Dziś rano dostałem „wycisk” od szefa oddziału. Zdaje się, że George Sherman poprosił go, aby na przyszłość trzymał mnie w

ryzach.

Zaskoczona Cassi poczuła wdzięczność do Thomasa za interwencję. Zastanawiała się, czemu Thomas jej o tym nie wspomniał, w końcu jednak uprzytomniła sobie, że nie miał okazji; podczas ostatniego spotkania rozmawiali tylko o jej oku.

- Być może będę zmuszony odwołać nieprzyjemne rzeczy, które powiedziałem o twoim mężu - dodał Robert.

Nastąpiła kłopotliwa cisza. Cassi nie miała ochoty mówić w tej chwili o swoich uczuciach.

- Więc dobrze - powiedział Robert zacierając ręce z zapalem. - Do roboty! Jak ci już powiedziałem przez telefon, zdaje się, że znalazłem kolejny przypadek SSD.

- Czy również sinica, tak jak ostatnio? - zapytała Cassi rada ze zmiany tematu.

- Nic podobnego - odparł Robert. - Chodź ze mną, coś ci pokażę. Zerwał się z fotela i pociągnął Cassi za sobą do znajdującej się obok sali, gdzie na stole z nierdzewnej stali leżały zwłoki młodego Murzyna. Rutynowe cięcie w kształcie litery „Y” było spięte dużymi szwami.

- Poprosiłem, żeby zwłoki jeszcze zostawiono, gdyż chciałem ci coś pokazać - oznajmił Robert.

Podszedł do zwłok i włożywszy kciuk w usta Jeoffry'ego Washingtona, odciągnął w dół jego dolną szczękę. - Spójrz tutaj.

Z rękami założonymi do tyłu Cassi pochyliła się nad trupem i zajrzała mu w usta.

Język był pogryziony jak kawałek mięsa.

- Pogryzł własny język - zauważył Robert. - Najwidoczniej miał atak padaczki.

Cassi wyprostowała się wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Jeśli to był również przypadek SSD, to tym razem dotknął człowieka zupełnie młodego.



- Sądzę, że bezpośrednią przyczyną zgonu była arytmia serca - rzekł Robert - choć nie jestem tego zupełnie pewien, gdyż mózg nie został jeszcze zbadany. Muszę ci powiedzieć, że mając do czynienia z takimi jak ten przypadkami, nie mogę się wyzbyć niepokoju przed własną operacją. - W tym momencie spojrzał z obawą na Cassi.

- Kiedy masz zamiar się jej poddać? - zapytała. Ze słów Roberta wywnioskowała, iż sprawa została już ostatecznie przesądzona.

Robert uśmiechnął się. - Mówiłem ci, że mam zamiar z tym skończyć, ale ty nie chciałaś wierzyć. Od jutra już będę pacjentem. A co z tobą?

Cassi potrząsnęła głową. - Nie ustaliłam jeszcze terminu.

- Ach, ty tchórze - z poczuciem wyższości powiedział Robert. - Dlaczego byś nie miała wyznaczyć terminu na pojutrze - moglibyśmy składać sobie wizyty w okresie rekonwalescencji.

Cassi nie chciała nic mówić Robertowi, że nie może się w tej sprawie porozumieć z Thomasem. Niechętnie odwróciła oczy i skierowała je na zwłoki.

- Ile miał lat? - zapytała mając na myśli zmarłego.

- Dwadzieścia osiem - odpowiedział Robert.

- Boże, taki młody - powiedziała. - A minęły zaledwie dwa tygodnie od ostatniego przypadku.

- To fakt - potwierdził Robert.

- Im więcej myślę o tej sprawie, tym bardziej budzi we mnie niepokój.

- Z tego samego powodu zająłem się jej badaniem - oświadczył Robert.

- Ze wzrostem liczby tych przypadków, jak również ich częstotliwości, coraz trudniej określać je jako przypadkowe.

- Zgadzam się z tobą - rzekł Robert. - Coraz bardziej nurtuje mnie podejrzenie, że

między nimi istnieje jakiś związek. Jedyne kłopot w tym, że przyjąwszy taką tezę, należałoby szukać jakiegoś łączącego je specyficznego wspólnego czynnika, a - jak słusznie zwrócił uwagę twój mąż - wszystkie te śmiertelne przypadki są różne pod względem fizjologicznym. W ten sposób fakty nie pasują nam do teorii.

Cassi obeszła stół i znalazła się z prawej strony Jeoffry'ego. - Czy to - twoim zdaniem - nie jest opuchnięte? - zauważyła wiodąc ręką wzdłuż przedramienia zmarłego.

Robert nachylił się, żeby lepiej widzieć. - Nie wiem. Gdzie?

Cassi wskazała palcem. - Czy pacjent miał kroplówkę?

- Chyba tak - odparł Robert. - Sądzę, że brał antybiotyki przeciw zapaleniu żył.

Cassi uniosła lewe ramię Jeoffry'ego i przyjrzała się miejscu, w którym była podłączona kroplówka - było czerwone i opuchnięte. - Czy nie można by - choćby tylko dla zaspokojenia ciekawości - dokonać sekcji żyły w miejscu podłączenia kroplówki?

- Oczywiście, jeśli skłoni cię to do odwiedzenia patologii. Cassi ułożyła z powrotem ramię Jeoffry'ego, tak jakby wciąż jeszcze należało do kogoś żywego.

- Czy wszystkie ofiary SSD miały podłączoną kroplówkę? - zapytała.

- Nie wiem, ale mogę to ustalić - odparł Robert. - Domyślam się, o co ci chodzi, ale nie sądzę, byś miała rację.

- Mam jeszcze inną sugestię - powiedziała Cassi. - Proponuję sporządzić zestawienie przypuszczalnych fizjologicznych mechanizmów śmierci we wszystkich tych przypadkach i spróbować ustalić, czy jest między nimi coś wspólnego. Wiesz, co mam na myśli.

- Wiem - potwierdził Robert. - Mogę to zrobić jeszcze dzisiaj. Będę miał także przekroje żyły, ale musisz mi obiecać, że przyjdiesz je obejrzeć.

- Zgoda - odpowiedziała Cassi.

Gdy Cassandra naciskała przycisk windy, uświadomiła sobie, że myśli z obawą o

zbliżającej się rozmowie z Maureen Kavanaugh. Bez wątplenia stan depresyjny Maureen pogarszał jej własne samopoczucie. Chociaż Joan stwierdziła jednoznacznie, że Cassi ma powody do przygnębienia, bynajmniej nie ułatwiało jej to sytuacji.

Myśl o spotkaniu z Maureen dręczyła ją tym bardziej, że musiała przyznać, iż jako psychiatra jest w stanie posługiwać się wyłącznie własnym systemem wartości. W innych dziedzinach medycyny, jeśli ma się do czynienia z pacjentem, którego się nie lubi, można ograniczyć kontakty z nim do minimum i skoncentrować się na jego chorobie; w psychiatrii, niestety, nie ma takiej możliwości.

Gdy dotarła do swojego biura, Maureen na szczęście jeszcze nie czekała. Cassi zdawała sobie sprawę, że będzie jej trudno skoncentrować się na pacjentce. Decyzja Roberta o poddaniu się operacji pobudziła ją do myślenia o własnej. Robert ma rację - musi jak najprędzej podjąć decyzję. Podniosła słuchawkę i wybrała numer biura Thomasa. Niestety, był na sali operacyjnej.

- Nie mam pojęcia, kiedy stamtąd wyjdzie - oświadczyła Doris. - Wiem tylko, że nieprędko, gdyż polecił mi odwołać popołudniowe godziny przyjęć.

Cassi podziękowała i odłożyła słuchawkę. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na reprodukcję Moneta. Nagle przypomniało jej się, co Joan powiedziała o „upośledzonych lekarzach” anulujących zaplanowane spotkania. Zaraz jednak odsunęła tę myśl. Thomas najwidoczniej odwołał swoje godziny przyjęć z powodu pilnej operacji.

Pukanie do drzwi przerwało jej tok myślenia. W drzwiach pojawiła się apatyczna twarz Maureen.

- Proszę wejść - rzekła Cassi, przywołując na usta uśmiech. Pomyślała z ironią, że przez najbliższe pięćdziesiąt minut ślepy będzie prowadził kulawego.

Nie Thomas, ale Doris zadzwoniła po południu do Cassi, żeby jej powiedzieć, iż

doktor Kingsley będzie na nią czekał dokładnie o szóstej u frontowego wejścia do szpitala.

Nalegała, by Cassi się nie spóźniła ze względu na udział w wieczornym przyjęciu. Cassi była przy wejściu punktualnie, toteż zaczęła się niepokoić, gdy zegar nad punktem informacyjnym wskazywał szóstą dwadzieścia, a Thomasa wciąż nie było.

O tej porze było tu tłoczno: jedni wychodzili, drudzy wchodzili. Wychodzili przede wszystkim pracownicy - głośno rozmawiając i śmiejąc się - radzi, że ich dzień pracy się skończył; przychodzili przeważnie odwiedzający, którzy - przygnębieni i zastraszeni - ustawiali się w kolejce do punktu informacyjnego.

Na obserwowaniu jednych i drugich upłynęło Cassi kolejne dziesięć minut; gdy spostrzegła, że jest już szósta trzydzieści, postanowiła zadzwonić do biura Thomasa, ale w tej samej chwili dostrzegła go wśród tłumu. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Był nie ogolony i miał cienie pod oczami.

Niepewna jak ją powita, Cassi nie odezwała się. Gdy zauważyła, że Thomas nie tylko nie ma ochoty na prowadzenie rozmowy, ale nawet nie ma zamiaru choćby na chwilę się zatrzymać, ujęła go pod ramię i dała się ponieść fali tłumu.

Na ulicy padał deszcz ze śniegiem - płatki śniegu topniały niemal natychmiast po zetknięciu się z ziemią. Zawiesiwszy torbę na ramieniu, Cassi zasłoniła ręką twarz od wiatru i powlokła się za Thomasem do garażu.

Dopiero w garażu przy samochodzie Thomas zatrzymał się i stwierdził: - Okropna pogoda.

- Jak zwykle o tej porze roku - odparła Cassi, w której obudziła się nadzieja, że

Thomas nie jest w najgorszym humorze; być może Patrycja nie powiedziała mu nic o wizycie w jego gabinecie.

Silnik porsche'a zagrzmiał w garażu jak grom. Podczas gdy Thomas zajęty był

samochodem, Cassi starannie zapięła swój pas bezpieczeństwa. Miała ochotę upomnieć

Thomasa, żeby uczynił to samo, ale gdy przypomniła sobie jego poprzednią reakcję na taką uwagę, szybko poniechała tego zamiaru.

Kiedy w Bostonie pada śnieg, jazda samochodem zamienia się w ślimaczy ruch. Jadąc w kierunku wschodnim na Storrow Drive, Cassi i Thomas więcej stali w korku niż jechali.

Cassi chciała nawiązać z mężem rozmowę, ale lękała się odezwać pierwsza.

W końcu Thomas przerwał milczenie: - Czy rozmawiałaś dzisiaj z Robertem Seibertem? - zapytał.

Cassi odwróciła głowę w jego stronę. Mimo iż samochód stał w rzece innych pojazdów, Thomas miał wzrok utkwiony w jezdnię. Wyglądał jak zahipnotyzowany rytmicznym odgłosem wydawanym przez wycieraczki.

- Tak, rozmawiałam dziś z Robertem - potwierdziła zdziwiona pytaniem. - Skąd o tym wiesz?

- Słyszałem, że zmarł jeden z pacjentów George'a Shermana. Śmierć nastąpiła w sposób nieoczekiwany, jestem więc ciekaw, czy twój przyjaciel wciąż jeszcze interesuje się serią tych śmiertelnych przypadków.

- Jak najbardziej - oświadczyła Cassi. - Wstąpiłam do niego po sekcji zwłok. Przy okazji Robert mi powiedział, że wybawiłeś go z opresji na konferencji. To bardzo ładnie z twojej strony.

- Wcale mi na tym nie zależało - stwierdził Thomas. - Po prostu byłem ciekawy, co on ma na ten temat do powiedzenia. Zachował się głupio na konferencji i uważam, że zasłużył sobie na kopniaka.

- Zdaje się, że go dostał - zauważyła Cassi.

Z bladym uśmiechem na twarzy Thomas zręcznie manewrował wśród stopniowo

rzedniejszego potoku pojazdów, by w końcu wyprowadzić swojego porsche'a na autostradę.

- Czy ta ostatnia śmierć również budzi podejrzenia? - zapytał przyspieszając jazdę. Z

rękami na kierownicy migał wściekle długimi światłami, gdy tylko znalazł się za wolniej jadącym pojazdem.

- Robert uważa, że tak - odparła, mimo woli splatając palce u rąk; sposób jazdy

Thomasa zawsze wywoływał w niej lęk. - Nie miał jeszcze wyników badania mózgu. Sądzi, że pacjent miał drgawki przed samą śmiercią.

- A więc śmierć w tym przypadku wyglądała inaczej niż poprzednie? - dopytywał się Thomas.

- Inaczej. Ale Robert jest zdania, że podobieństwo leży w sytuacjach. - Świadomie nic nie wspomniała o swojej roli w dyskusji z Robertem na ten temat. - Większość pacjentów, zwłaszcza tych, którzy zmarli w ostatnich latach, przeszła pomyślnie poważną operację.

Dzisiaj Robert zwrócił dodatkowo uwagę na fakt, że prawdopodobnie we wszystkich tych przypadkach pacjenci mieli podłączoną kroplówkę - obecnie sprawdza, czy było tak w rzeczywistości. To może być bardzo istotne dla sprawy.

- Dlaczego ta okoliczność miałaby mieć jakieś znaczenie? - zapytał Thomas wyraźnie porażony tą wiadomością.

- Po prostu zrobił takie spostrzeżenie - odparła Cassi. - Podobna seria śmiertelnych wypadków miała miejsce w New Jersey, gdzie pacjentom podano coś w rodzaju kurary.

- To prawda, ale tam u wszystkich zmarłych wystąpiły takie same symptomy.

- Sądzę, że Robert rozważy wszystkie możliwości - stwierdziła Cassi. - To zabrzmiało może nieco dziwnie, ale na jego stosunek do sprawy wpływa fakt, że on sam w najbliższym czasie ma się poddać operacji.

Korzystając z tego wątku, Cassi miała zamiar zacząć mówić o operacji oka.

- A co się stało Robertowi?

- Będą mu usuwać wkliniwane zęby mądrości, a ponieważ jako dziecko cierpiał na reumatyczną chorobę serca, musi mieć podawane antybiotyki w postaci dożylniej.

- Byłby głupcem, gdyby się nie poddał - zauważył Thomas. - Chociaż - moim zdaniem

- Robert zdradza pewne skłonności samobójcze. Inaczej nie potrafię wytłumaczyć jego zachowania na konferencji. Cassi, proszę cię bardzo, abyś trzymała się jak najdalej od tych tak zwanych badań nad SSD, szczególnie gdy przybierają one charakter absurdalnych wprost oskarżeń. Nie życzę sobie dodatkowych kłopotów.

Samochód Thomasa wyprzedzał kolejno jadące przed nim pojazdy, które Cassi odprowadzała wzrokiem. Monotonny ruch wycieraczek działał na nią obojętniająco - nie mogła znaleźć w sobie dość odwagi, żeby podjąć rozmowę na temat oczekującej ją operacji. Obiecywała sobie, że zacznie o niej mówić, gdy tylko zrównają się z żółtym samochodem; gdy jednak żółty samochód został daleko w tyle, ona dalej milczała. Potem zaczęli dopędzać autobus; dawno go wyprzedzili, a Cassi wciąż nie mogła zebrać się na odwagę. W końcu zrozpaczona poddała się, oczekując, że Thomas sam zacznie o tym mówić.

Zmęczyło ją to napięcie. Przyjęcie u Ballantine'ów wcale jej nie pociągało. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Thomas przyjął to zaproszenie. Przecież tak bardzo mierziły go stosunki międzyludzkie w szpitalu. A może zrobił to dla niej? Gdyby to była prawda - byłby śmieszny.

Cassi marzyła w tej chwili tylko o jednym: o czystych prześcieradłach i wygodnym łóżku.

Zdecydowała się wreszcie to powiedzieć.

- Czy rzeczywiście masz ochotę pójść dziś wieczorem na to przyjęcie? - zapytała z wahaniem.

- Dlaczego pytasz? - Thomas zboczył nieco w prawo, a następnie przyspieszył, starając się wyprzedzić samochód, który zignorował jego sygnały dawane długimi światłami.

- Jeśli idziemy tam ze względu na mnie - to jestem zmęczona i wolałabym zostać w domu.

- Do diabła! - zawołał Thomas uderzając dłonią w kierownicę. - Czy nie potrafisz choć na chwilę przestać myśleć tylko o sobie!

Już kilka tygodni temu mówiłem ci, że będą tam członkowie zarządu szpitala i dziekani uczelni medycznej. W szpitalu dzieją się dziwne rzeczy, a ja nie mogę się nic dowiedzieć. Chyba nie sądzisz, że to nie ma znaczenia?

Podczas gdy Thomas czerwieniał ze złości, Cassi skuliła się w fotelu. Cokolwiek powie, wszystko zostaje źle przyjęte.

Thomas zapadł w ponure milczenie. Jeszcze bardziej przyspieszył jazdę, gdy mijali słone błota. Mimo iż Cassi była przymocowana pasem bezpieczeństwa, to na zakrętach rzucało ją na wszystkie strony. Odetchnęła, gdy w końcu znaleźli się na miejscu.

Zanim samochód zdążył podjechać pod frontowe drzwi, Cassi pogodziła się z myślą o udziale w dzisiejszym przyjęciu. Przeprosiła Thomasa, tłumacząc, że nie zdawała sobie sprawy z implikacji, jakie spowodowałyby ich nieobecność. Łagodnie dodała: - Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

- Dziękuję! Doceniam twoją troskę! - sarkastycznie odparł Thomas i wszedł pierwszy na schody.

- Słuchaj - odezwała się zdesperowana, widząc, że nawet jej troskę przyjął jak obrazę.

- Czy między nami tak musi być?

- Sądziłem, że ci to odpowiada. Cassi usiłowała zaprotestować.

- Tylko bez żadnych scen, proszę! - wrzasnął. Po chwili już bardziej opanowanym głosem powiedział: - Za godzinę odjeżdżamy. W tej chwili wyglądasz okropnie. Włosy masz w kompletnym nieładzie. Mam nadzieję, że coś z nimi zrobisz.



- Zrobię - odparła Cassi. - Nie mam ochoty walczyć z tobą. Nawet myśl o tym mnie przeraża.

- Nie mam zamiaru kontynuować tego rodzaju dyskusji - uciął Thomas. -

Przynajmniej nie teraz. Bądź gotowa za godzinę.

Gdy znalazł się u siebie, przede wszystkim wszedł do łazienki, mruczając coś pod nosem o egoizmie Cassi. Przecież wcześniej powiedział jej wyraźnie, dlaczego to przyjęcie było dla niego takie ważne, ale ona po prostu zapomniała, bo była zmęczona! - Dlaczego ja muszę znosić to wszystko - mówił, gładząc dłonią brodę.

Wydobył przyrządy do golenia, umył, a następnie namydlił twarz. Cassi stała się dla niego nie tylko źródłem irytacji - stała się po prostu ciężarem. Najpierw problemy z jej okiem, potem podejrzenia o narkotyki, a teraz jej powiązanie z „badaniami” prowadzonymi przez Seiberta.

Zirytowany do najwyższego stopnia golił się krótkimi, energicznymi pociągnięciami brzytwy. Miał wrażenie, że wszyscy są przeciwko niemu - i w domu, i w szpitalu. W szpitalu głównym jego przeciwnikiem był George Sherman, który bez przerwy kopał pod nim dołki. Na myśl o tym Thomasa ogarnęła taka wściekłość, że z całą siłą rzucił brzytwą w ścianę; odbiła się o płytki i upadła na podłogę.

Nie facygując się, by ją podnieść, Thomas wszedł pod prysznic. Strumień wody zawsze działał na niego kojąco. Kiedy po kilku minutach wycierał się ręcznikiem, czuł się już znacznie lepiej. W pewnym momencie usłyszał, że drzwi do gabinetu się otwierają. Gdy w końcu znalazł się w gabinecie, ze zdziwieniem zobaczył siedzącą w fotelu Patrycję.

- Czy nie słyszałeś, że weszłam? - zapytała.

- Nie - odparł Thomas. Łatwiej było skłamać niż tłumaczyć się. Podszedł do szafki między półkami na książki, w której trzymał czystą bieliznę i odzież.

- Pamiętam, że dawniej zabierałeś mnie na przyjęcia - zauważyła z pretensją.

- Chętnie i tym razem cię zabiorę - odparł.

- Dziękuję, nie skorzystam. Gdyby ci zależało na mojej obecności, nie musiałabym się wpraszać.

Thomas postanowił nie odpowiedzieć. Kiedy Patrycja miała taki nastrój, lepiej było nic nie mówić.

- Ostatniej nocy zobaczyłam światło w twoim gabinecie i pomyślałam, że jednak wróciłeś do domu. Kiedy tu przyszedłam, zastałam Cassandrę.

- W moim gabinecie? - dopytywał się Thomas.

- Siedziała za twoim biurkiem - podkreśliła Patrycja.

- Co tu robiła?

- Nie wiem. Nie pytałam. - Patrycja wstała z fotela, najwyraźniej z siebie zadowolona.

- Mówiłam ci, że będziesz miał z nią kłopoty. Ale ty wiedziałeś lepiej - powiedziała i spokojnym krokiem opuściła gabinet.

Thomas odrzucił czyste ubranie na sofę i podszedł do biurka. Odetchnął, gdy zobaczył, że narkotyki znajdują się na tym samym miejscu w szufladzie, tuż za papeterią.

Mimo to Cassi przyprawiała go o wściekłość. Ostrzegwał, żeby się trzymała z daleka od jego rzeczy. Poczuł, że zaczyna się trząść jak w febrze. Instynktownie sięgnął do szuflady i wyjął dwie pigułki: percodan od bólu głowy, który zaczynał pulsować mu w skroniach, i deksedrynę na pobudzenie. Na przyjęciu powinien być przytomny.

Cassi od razu wyczuła ogromną zmianę na gorsze, gdy już jechali na przyjęcie.

Słyszała Patrycję i domyśliła się, że była u Thomasa. Z pewnością wszystko mu powiedziała, a ponieważ nie miał dziś dobrego humoru, nie mogła wybrać gorszej pory na przekazanie mu swoich rewelacji.

Cassi zrobiła wszystko, żeby wyglądać jak najlepiej. Po przyjęciu wieczornej dawki insuliny wykąpała się i umyła włosy. Następnie włożyła jedną z polecanych jej przez Roberta kreacji. Była to stylowa sukienka z brązowego aksamitu, miała bufiaste rękawy i obcisły stanik.

Na jej widok Thomas nie odezwał się ani słowem. Prowadził samochód z brawurową prędkością. Bardzo pragnęła, żeby miał życzliwego sobie przyjaciela - niestety, miał niewielu przyjaciół. Przyszło jej na myśl ostatnie spotkanie z pułkownikiem Bentworthem, potem pomyślała o Maureen Kavanaugh - nie, to przecież oczywista bzdura porównywać swojego męża z osobą z pogranicza; co innego samej się z nią identyfikować. Żeby przestać myśleć o tamtych sprawach, postanowiła obserwować krajobraz. Była ciemna, ponura noc.

Dom Ballantine'ów - podobnie jak Thomasa - był zwrócony frontem do oceanu. Ale na tym kończyło się podobieństwo między obu budynkami. Była to duża, zbudowana z kamienia rezydencja, znajdująca się w posiadaniu rodziny Ballantine'ów już od około stu lat. Aby zdobyć pieniądze na utrzymanie domu, doktor Ballantine sprzedał część parceli; mimo to z okien domu nie było widać żadnego innego budynku, dzięki czemu jego mieszkańcy mogli mieć wrażenie, że znajdują się na wsi.

Kiedy wyszli z samochodu Cassi spostrzegła, że Thomas ma dreszcze, a jego ruchy podczas wchodzenia po schodach są trochę nieskoordynowane. O Boże, czego on się znowu nałykał?!

Zachowanie Thomasa uległo radykalnej zmianie, gdy znalazł się wśród uczestników przyjęcia. Cassi ze zdumieniem podziwiała tę niezwykłą przemianę, choć już nieraz mogła się przekonać, z jaką łatwością - mimo złego nastroju - Thomas potrafił stać się miły i ujmujący. Gdyby tylko zechciał stać się taki w stosunku do niej! Doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli go zostawi samego. Zaczęła się rozglądać za czymś do zjedzenia, gdyż po wstrzyknięciu

insuliny nie wolno było długo odkładać posiłku. Jadalnia znajdowała się po prawej stronie salonu, tam więc skierowała przede wszystkim kroki.

Thomas był zadowolony. Tak jak oczekiwał, na przyjęcie przybyła większość członków zarządu szpitala i dziekani uczelni medycznej. Przyłączywszy się do pierwszej napotkanej grupy gości, wypatrywał ich w zatłoczonej sali. Chodziło mu szczególnie o przewodniczącego zarządu. Z kieliszkiem w ręku zaczął sobie właśnie torować przejście wśród tłumu gości, gdy na jego drodze stanął Ballantine.

- Ach, to ty - Ballantine zdążył już sporo wypić, w rezultacie czego cienie pod jego oczami zaostrzyły się, przydając mu podobieństwa do jamnika. - Cieszę się, że cię widzę tutaj.

- Wspaniałe przyjęcie - zauważył Thomas.

- Nie uwierzysz - powiedział Ballantine z wymownym przymrużeniem oka - jakie niezwykle rzeczy dzieją się dziś w naszym starym szpitalu. Boże, jakie to zadziwiające.

- O czym właściwie mówisz? - zapytał Thomas, cofając się o krok. Ballantine strzykał śliną, kiedy po kilku kieliszkach wymawiał Ballantine przysunął się bliżej. - Chciałbym ci to powiedzieć, ale nie mogę - szepnął. - Być może jednak już niedługo będziesz mógł się do nas przyłączyć. Czy nie zastanawiałeś się nad moją propozycją przyznania ci profesury?

Thomas czuł, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Nie miał nawet ochoty słuchać o swojej profesurze. Nie miał pojęcia, co Ballantine miał na myśli mówiąc o rzeczach, które „się dzieją”, ale mu się to nie podobało. Jego zdaniem, każda zmiana *status quo* była niepożądana. Nagle przypomniał sobie światło w biurze Ballantine’a o drugiej nad ranem.

- Co robiłeś w swoim biurze dziś w nocy? - zapytał. Twarz Ballantine’a spochmurniała. - Dlaczego o to pytasz?

- Po prostu z ciekawości - odparł Thomas.

- To jest jakieś dziwne pytanie: ni stąd, ni zowąd - zauważył Ballantine.

- Byłem w szpitalu tej nocy i widziałem światło w twoim biurze.

- Może to sprzątaczką - obojętnie wyjaśnił Ballantine. Popatrzył na swój kieliszek. -

Wydaje mi się, że wymaga uzupełnienia.

- Zauważyłem również samochód Shermana w garażu - ciągnął Thomas. - Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

- Ach, samochód - Ballantine machnął ręką. - George ma kłopoty ze swoim samochodem - chyba instalacja elektryczna. Czy nie masz ochoty na następnego drinka? Masz już prawie pusty kieliszek.

- Czemu nie? - rzekł Thomas. Był pewien, że Ballantine kłamie. Gdy ten skierował się w stronę baru, Kingsley ruszył na poszukiwania przewodniczącego. Dla niego to było ważniejsze niż rozmowa z Ballantine'em.

Cassi spędziła trochę czasu przy bufecie. Jadła i rozmawiała z innymi paniami. Kiedy upewniła się, że ma już wystarczającą dla zrównoważenia insuliny liczbę kalorii, postanowiła odnaleźć Thomasa. Nie miała pojęcia, jakie przyjął narkotyki, i martwiła się o niego. W drodze do salonu natknęła się na George'a Shermana.

- Jesteś jak zwykle piękna - zauważył z ciepłym uśmiechem.

- Ty też dobrze się prezentujesz - odparła Cassi. - Wolę cię w smokingu, niż w starym welwetowym garniturze.

George uśmiechnął się nieśmiało.

- Chciałem cię zapytać, jak się czujesz na psychiatrii. Byłem zaskoczony, gdy dowiedziałem się o twojej decyzji przejścia na ten oddział. Pod pewnymi względami zazdroszczę ci.

- Nie próbuj mnie przekonać, że przywiązujesz wagę do psychiatrii - zresztą jak każdy

chirurg.

- Moja matka cierpiała na ciężką depresję poporodową, kiedy przyszedł na świat mój młodszy brat. Jestem przekonany, że psychiatrzy ocalili jej życie. Wybrałbym psychiatrię jako swoją specjalność, gdybym był pewien, że będę dobry w tej dziedzinie. Brak mi chyba wrażliwości, która tutaj jest niezbędna.

- Mówisz głupstwa - stwierdziła Cassi. - Wrażliwości wcale ci nie brakuje.

Przeszkodziła ci raczej bierność.

George milczał przez chwilę, a Cassi przyglądając mu się nagle pomyślała, że warto byłoby skojarzyć go z Joan: oboje są tak mili...

- Czy byłbyś zainteresowany spotkaniem w tych dniach z atrakcyjną kobietą?

- Jestem zawsze zainteresowany atrakcyjnymi kobietami. Niestety, żadna nie dorównuje tobie.

- Nazywa się Joan Widiker. Jest trzecioroczną stażystką na psychiatrii.

- Poczekaj chwileczkę - rzekł George. - Nie jestem pewny, czy dałbym sobie radę z psychiatrą. Wyobrażam sobie, że musiałbym udzielić jej odpowiedzi na wiele trudnych pytań. A ja jestem bardzo nieśmiały - jeszcze bardziej niż wtedy, gdy ciebie poznałem. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

Cassi roześmiała się. Jak mogłaby zapomnieć? Podczas kolacji George niezręcznie potracił jej rękę, tak że wylała wino na kolana. Potem, chcąc jej pomóc wytrzeć sukienkę, potracił i wylał na to samo miejsce szklanekę z sokiem, która stała na stole.

- Nie mam jednak zamiaru zlekceważyć twojej propozycji - oświadczył George. -

Jestem ci wdzięczny za zainteresowanie i - oczywiście - zadzwonię do Joan. Ale teraz, Cassi, chcę z tobą porozmawiać o poważniejszej sprawie.

Nadstawiła uszu, zastanawiając się, o co George'owi chodzi.

- Jako dobry kolega Thomasa martwię się o niego.

- Tak? - odezwała się Cassi tonem, który miał świadczyć, iż nie przywiązuje uwagi do tego, co może usłyszeć.

- Pracuje cholernie dużo. Co innego znaczy pracować z oddaniem, co innego mieć obsesję na punkcie pracy. Spotykałem już takich ludzi. Latami pracują ponad siły, by w końcu wykorkować. Mówię z tobą o tej sprawie po to, żebyś mu poradziła, by nieco zwolnił tempo, wziął może jakiś urlop. Jest ciągle napięty jak sprężyna. Mówi się, że miał już kilka spięć ze stażystami i pielęgniarkami.

Cassi czuła napływające łzy, ale usiłowała nad nimi zapanować przygryzając wargę.

- Gdybyś była w stanie namówić go na urlop, mógłbym, w razie potrzeby, zastępować go w szpitalu. - George ze zdumieniem patrzył w wypełniane się łzami oczy Cassi.

Odwróciła się od niego, chowając twarz.

- Nie miałem zamiaru sprawić ci przykrości - powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Już wszystko w porządku - odparła, starając się opanować. - Nic mi nie jest - spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

- Rozmawiałem z doktorem Ballantine'em o twoim mężu - ciągnął George. - Chętnie mu pomożemy. Obaj sądzimy, że jeśli ktoś pracuje tak dużo jak Thomas, to musi się liczyć, że przyjdzie mu za to zapłacić zdrowiem.

Cassi skinęła głową ze zrozumieniem. Pogłaskała rękę George'a.

- Jeśli ci trudno rozmawiać na ten temat ze mną, to może zgodzisz się na rozmowę z doktorem Ballantine'em? Może zapiszesz sobie jego prywatny telefon w szpitalu?

Cassi unikała życzliwego spojrzenia George'a. Z torebki wyjęła mały notesik i ołówkiem zapisała podany numer. Kiedy podniosła oczy, jej serce zamarło. Patrzyła prosto w twarz Thomasa, który nie spuszczał z nich wzroku. Od razu zrozumiała, że jest na nią

wściekły. Spoczywająca na jej ramieniu ręka George'a stała się natychmiast ciężka jak ołów.

Szybko przeprosiła George'a, kierując się ku drzwiom, ale zanim do nich dotarła,

Thomas zdążył już zniknąć.

Dawno nie był tak wściekły. Coś podobnego zdarzyło mu się, kiedy był studentem

pierwszego roku i jeden z jego kolegów umówił się na randkę z jego dziewczyną. Nic

dziwnego, że George zachowywał się wobec niego tak dziwnie. Najwidoczniej postanowił

odnowić swój romans z Cassi, a ona na oczach wszystkich nie kryje swojego nim

zainteresowania. Lodowaty strach przed ośmieszeniem ścisnął jego wnętrzności. Ręka trzęsła

mu się tak bardzo, że niemal rozlał alkohol. Szybko odstawił kieliszek i przez francuskie

drzwi wyszedł na werandę, gdzie otrzeźwiło go ostre morskie powietrze.

Gorączkowo szukał po kieszeniach pigułki. Wieczór zaczął się dla niego źle od

samego początku. Członek zarządu, który już kilkakrotnie odwiedzał bar, zatrzymał go, żeby

mu złożyć gratulacje w związku z przyjęciem przez szpital nowego programu nauczania. Gdy

Thomas w odpowiedzi zmierzył go obojętnym spojrzeniem, tamten wymamrotał jakieś

przeprosiny i szybko wycofał się z sali. Thomas zaczął się rozglądać za Ballantine'em, żeby

zażądać od niego wyjaśnień, i wtedy właśnie spostrzegł Cassi w towarzystwie George'a.

Boże, jaki był głupi. Przecież to jasne, że tych dwoje łączy romans. Nic dziwnego, że

nigdy nie narzekała, gdy nie wracał na noc ze szpitala. Może pod jego nieobecność spotykali

się z sobą w domu? Podpowiadany mu przez wyobraźnię obraz George'a w ich sypialni

przyprawiał go o szaleństwo. Jakaś para stała w drzwiach prowadzących na werandę, śmiejąc

się i o czymś żywo rozprawiając; w Thomasie nagle ocknęła się obawa, że ci ludzie wiedzą o

jego małżeńskiej porażce i właśnie o nim rozmawiają. Szybko wyjął kolejną pigułkę, połknął

ją i wszedł do wewnątrz, aby znów się napić.

Gorączkowo rozglądając się za Thomasem, Cassi torowała sobie drogę wśród



słoczonych w salonie gości.

Tuż przy wejściu do baru natknęła się na doktora Obermeyera.

- Co za spotkanie! - zawołał. - Moja pacjentka, która sprawia mi najwięcej kłopotu!

Cassi roześmiała się nerwowo. Przypomniała sobie, że nie dotrzymała obietnicy i nie zadzwoniła dziś do doktora.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, miałaś dzisiaj ze mną ustalić termin operacji - powiedział doktor Obermeyer. - Rozmawiałaś już z Thomasem?

- Czy nie mogłabym przyjść w tej sprawie jutro rano do biura? - wymijająco zapytała Cassi.

- A może ja porozmawiam z twoim mężem - rzekł doktor. - Czy jest również tutaj?

- Nie - odparła Cassi. - To znaczy przyszedłmy razem, ale sądzę, że nie jest to odpowiednia pora...

Nagle straszliwy krzyk wstrząsnął ścianami domu. Wszyscy obecni zastygli w miejscu i zamilkli zaskoczeni. Cassi natychmiast rozpoznała ten głos: to Thomas! Rzuciła się w kierunku jadalni, skąd dobiegł krzyk, za nim nastąpił drugi, po czym rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Torując sobie drogę wśród gości, Cassi zobaczyła wreszcie Thomasa. Stał przy bufecie z płonąca gniewem twarzą; u jego stóp leżały rozbite talerze. Naprzeciwko, z wyrazem zdumienia i przerażenia w oczach, stał George Sherman z kieliszkiem w jednej ręce i kanapką w drugiej.

W tej chwili, już na oczach Cassi, George poklepał Thomasa po ramieniu i powiedział: - Nie masz racji, Thomas.

Thomas wściekłym ruchem odtrącił rękę George'a. - Nie dotykaj mnie! - wrzasnął. - I żebyś nigdy nie śmiał dotknąć mojej żony, rozumiesz? - krzyczał, mierząc zakrzywionym

palcem w twarz George'a.

- Thomas! - bezradnie zawołał George.

Tymczasem Cassi wpadła między obu mężczyzn. - Co się z tobą dzieje, Thomas? -

zawołała, chwytając go za klapy marynarki. - Panuj nad sobą!

- Mam panować nad sobą? - Thomas zwrócił się do niej. - Sądzę, że powinnaś raczej

odnieść to do siebie! - Odepchnął jej rękę, odwrócił się i skierował ku wyjściu. Ballantine,

który to zauważył, pobiegł za nim wołając, by zawrócić.

Cassi szybko przeprosiła George'a i również odeszła. Odprowadzały ją zaciekawione

spojrzenia.

Tymczasem Thomas zdążył już włożyć płaszcz i zdenerwowany tłumaczył

Ballantine'owi: - Bardzo cię przepraszam za to wszystko, ale dowiedzieć się, że żona ma

romans z jednym z kolegów - to ponad moje siły.

- Nie mogę w to uwierzyć - odparł Ballantine. - Czy jesteś tego pewien?

- Całkowicie - odparł i chwycił za klamkę drzwi, żeby je otworzyć i wyjść. W tym

momencie dopadła go Cassi, która zawisała u jego ramienia.

- Thomas, co ty wyprawiasz? - wołała walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Thomas nic nie odpowiedział. W dalszym ciągu usiłował otworzyć drzwi.

- Thomas, odezwij się! Co się właściwie stało?

Thomas odepchnął ją od siebie z taką siłą, że omal nie upadła na ziemię. Bezradnie

patrzyła, jak wypadł na zewnątrz.

W ostatniej chwili usiłowała zatrzymać go jeszcze na podeście schodów.

- Thomas, jeśli wyjeżdżasz, to jadę razem z tobą. Wezmę tylko płaszcz z szatni.

Thomas zatrzymał się na moment. - Nie chcę, żebyś ze mną jechała. Zostań i dalej

sobie romansuj.

Z rozpaczą odprowadzała go wzrokiem. - Romansować? To przecież był twój pomysł, żeby tu przyjechać!

Thomas nic nie odpowiedział. Cassi uniosła nieco swoją długą suknię i wybiegła za nim. Gdy dopadła porsche'a, trzęsa się jak w gorączce, nie wiadomo czy z zimna, czy z przeżywanych emocji.

- Czemu mnie tak traktujesz? - szlochała.

- Wiele można o mnie powiedzieć, ale jednego na pewno nie: że jestem głupi - uciał, zatraskując przed nią drzwi samochodu. Rozległ się warkot uruchamianego silnika.

- Thomas, Thomas! - wołała Cassi jedną ręką waląc w szybę samochodu, drugą usiłując otworzyć drzwi. Nie zważając na nią ruszył i gdyby w porę się nie cofnęła, samochód by ją potracił. Oniemiała z rozpaczy patrzyła, jak porsche coraz szybciej się oddala i ginie w ciemności nocy.

Otępiała z bólu wolnym krokiem wróciła do rezydencji. Chciała się ukryć w jakimś pokoju na górze, zanim przyjedzie taksówka. Gdy znalazła się w hallu, odetchnęła, widząc, że goście bawią się i rozmawiają, jakby nic się nie zdarzyło. Tylko George i Ballantine czekali na nią przy wejściu.

- Przepraszam za wszystko - powiedziała z zażenowaniem.

- Nie masz za co - stwierdził Ballantine. - Wiem, że George rozmawiał z tobą.

Martwimy się o Thomasa - sądzymy, że jest przepracowany. Mamy plany odciążenia go w pracy, ale ostatnio jest tak rozdrażniony, że do tej pory nie udało się nam o nich porozmawiać.

Ballantine i George wymienili spojrzenia.

- Tak jest - potwierdził George. - Moim zdaniem, ten niefortunny epizod najlepiej świadczy, że mamy rację.

Cassi była zbyt roztrzęsiona, żeby cokolwiek powiedzieć.

- George wspominał również - rzekł Ballantine - że dał ci numer mojego prywatnego telefonu w szpitalu. Będę rad, jeżeli zechcesz mnie odwiedzić, Cassi. *A propos*: czy nie mogłabyś przyjść jutro rano? A teraz może wrócisz do gości lub może wolisz, żebym cię odwiózł do domu?

- Woląabym wrócić do domu - odrzekła Cassi, wycierając oczy wierzchem dłoni.

- W porządku. Poczekaj chwilkę, proszę. - To mówiąc zaczął wchodzić po schodach prowadzących na drugie piętro.

- Bardzo cię przepraszam za wszystko - Cassi zwróciła się do George'a, gdy zostali sami. - Nie mam pojęcia, co wstąpiło w Thomasa.

George potrząsnął głową. - Gdyby on wiedział, Cassi, co ja czuję do ciebie, miałby wszelkie podstawy do zazdrości. A teraz uśmiechnij się. Po prostu chciałem ci powiedzieć coś miłego. Patrzył na nią z czułością, dopóki syn Ballantine'a nie zajechał po Cassi samochodem.

Kiedy Cassi przekręcała klucz w drzwiach domu, nie miała pojęcia, co ją może czekać za drzwiami. Była zaskoczona, gdy spostrzegła, że w salonie pali się światło. Jeśli Thomas nie pojechał do szpitala i był w domu, mogła się spodziewać, że zamknie się w swoim gabinecie. Nerwowo przemierzała korytarz poprawiając włosy, żeby wyglądać jak najlepiej.

Nie Thomas czekał na nią w salonie, ale teściowa. Patrycja siedziała w fotelu w skąpym świetle lampy. Z góry dochodził szum wody w łazience.

Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. Potem Patrycja sztywno uniosła się z fotela, ze zwieszonymi, jakby pod wielkim ciężarem, ramionami. Wychudłą twarz podkreślały głębokie bruzdy w okolicy ust. Podeszła do Cassi i spojrzała jej w oczy. Cassi nie spuściła wzroku.

- Jestem wstrząśnięta - odezwała się w końcu Patrycja. - Jak mogłaś to zrobić? Gdyby

Thomas nie był moim jedynym dzieckiem, może nie zabolaloby mnie to tak bardzo.

- O czym pani mówi, na Boga? - zapytała Cassi.

- Romansować z człowiekiem - ciągnęła Patrycja, nie zwracając uwagi na pytanie

Cassi - który ciągle stara się podkopać jego pozycję? Jeśli chciałaś go zdradzić, czemu nie poszukałaś sobie kogoś spoza środowiska?

- Nie mam żadnego romansu - z rozpaczą protestowała Cassi. - Przecież to jeden wielki absurd. O Boże, to Thomas nie jest obecnie sobą!

Bezskutecznie szukała na twarzy teściowej choćby śladu zrozumienia, ale wzrok Patrycji wyrażał jedynie smutek i gniew.

Cassi wyciągnęła do niej ramiona. - Błagam, Thomas jest w niebezpieczeństwie.

Dlaczego mi pani nie pomoże?

Patrycja była niewzruszona.

Z ramionami opuszczonymi w geście bezradności Cassi patrzyła, jak Patrycja powoli wlecze się ku drzwiom. Robiła wrażenie, jakby nagle się postarzała o co najmniej dziesięć lat. Gdyby tylko chciała ją wysłuchać! Ale Cassi nareszcie rozumiała, że Patrycja gotowa jest raczej uwierzyć w każde kłamstwo, niż dopuścić do siebie straszną prawdę, że Thomas jest narkomanem i że dzieje się z nim coś niedobrego.

Po jej wyjściu Cassi długo jeszcze siedziała nieruchomo w półmroku. Przez ostatnie dwie doby wypłakała więcej łez niż w ciągu całego życia. Jak Thomas mógł wymyślić jej romans z George'em? Sama myśl o tym wydała jej się niedorzeczna.

Wolno i ociężale wchodziła po schodach: postanowiła dzisiaj odbyć rozmowę z Thomasem, inaczej nie mogłaby zasnąć. Musi spróbować wszystko wyjaśnić. Przez chwilę wahała się pod drzwiami jego gabinetu, po czym delikatnie zapukała.

W gabinecie panowała cisza.

Zapukała ponownie, tym razem głośniej. Kiedy znów nie usłyszała odpowiedzi, nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się zamknięte. Zdecydowana odbyć z nim rozmowę, weszła do pokoju gościnnego, a stamtąd przez łazienkę do jego gabinetu.

Siedział nieruchomo w fotelu, patrząc przed siebie otępiałym wzrokiem. Nie drgnął nawet, gdy weszła. Tylko lekki uśmiech wygiął kąciki jego ust. Nie poruszył się także, gdy Cassi uklękła i przycisnęła jego rękę do swojego policzka.

- Thomas - odezwała się cicho. Nareszcie na nią spojrzął.

- Thomas, uwierz mi: ja nigdy nie miałam romansu z George'em. Od chwili naszego pierwszego spotkania nigdy nie spojrzałam na żadnego mężczyznę. Kocham cię. Błagam cię, pozwól mi sobie pomóc.

- Nie wierzę ci - odparł Thomas, z trudem wymawiając poszczególne słowa. I w tej chwili zasnął, pozostawiając swoją rękę w dłoniach Cassi. Próbowwała przeprowadzić go na sofę, ale nie pozwolił. Siedziała obok niego jeszcze chwilę, potem wróciła do swojego pokoju. Chciała się położyć i spróbować zasnąć.

## **Rozdział VIII**

Następnego dnia rano Cassi wstała i ubrała się na długo przedtem, zanim usłyszała budzik w gabinecie Thomasa. Dzwonił bez przerwy. Zaniepokojona wpadła do gabinetu:

Thomas spał w fotelu, tak jak go zostawiła w nocy.

- Thomas - zawołała potrząsając nim.

- C-co? - wyszeptał.

- Jest już za kwadrans szósta. Czy operujesz dziś rano?

- Myślałem, że idziemy na przyjęcie do Ballantine'ów - mruknął półgębkiem.

- Byliśmy tam już wczoraj wieczorem. Może zadzwoń, że jesteś chory! Nigdy nie brałeś wolnego dnia. Pozwól mi zadzwonić do Doris i zaproponować, żeby spowodowała

odłożenie twoich operacji.

Chwiejąc się na nogach i trzymając za oparcie fotela, Thomas z trudem się podniósł.

- Nie trzeba, czuje się dobrze. - Mówił trochę niewyraźnie. - W rezultacie

zmniejszenia mojego limitu godzin w sali operacyjnej nie będę w stanie wykonać wszystkiego w ciągu wielu tygodni. Niektórzy moi pacjenci już teraz zbyt długo czekają na operację.

- Wobec tego pozwól... - Uniósł rękę do góry tak szybko, że Cassi pomyślała, że ma zamiar ją uderzyć, ale on tylko gwałtownym ruchem rzucił się do łazienki, zatrzaskując za sobą drzwi. Po chwili usłyszała szum wody z prysznica. Kiedy pojawił się na dole w jadalni, był już w znacznie lepszej formie. Z pewnością połknął znów deksedrynę, pomyślała Cassi.

Szybko wypił szklankę soku pomarańczowego i filiżankę kawy, po czym ruszył w stronę garażu.

- Jeśli w ogóle wrócę do domu, to z pewnością bardzo późno, dlatego lepiej weź własny samochód - rzucił przez ramię.

Cassi jeszcze długo siedziała przy stole, zanim wyjechała do szpitala. - Po raz pierwszy - pomyślała - martwię się przede wszystkim o pacjentów Thomasa. Nie jestem pewna, czy w obecnym stanie w ogóle powinien operować.

Zanim dotarła do szpitala, podjęła decyzje w trzech sprawach, które zamierzała załatwić natychmiast po zakończeniu odprawy. Przede wszystkim musi ustalić termin operacji oka, następnie wziąć niezbędny urlop na czas operacji i rekonwalescencji, i wreszcie spotkać się z doktorem Ballantine'em w sprawie Thomasa. Ta ostatnia sprawa dotyczy nie tylko jej małżeństwa, ale i pracy całego szpitala.

Joan spostrzegła niezwykle zaaferowanie Cassi, ale zanim miała okazję o to zapytać,

Cassi powiedziała coś o wizycie u okulisty i wyszła pośpiesznie przed zakończeniem

odprawy.

Doktor Obermeyer przerwał natychmiast swoje zajęcia, gdy tylko usłyszał, kto się pojawił. Wyszedł z gabinetu z nieodstępną lampką u czoła, żeby przywitać Cassi.

- Mam nadzieję, że podjęłaś właściwą decyzję? - zapytał. Cassi skinęła głową twierdząco. - Chciałabym, żeby operacja odbyła się jak najszybciej. Im wcześniej, tym lepiej, gdyż lękam się, że mogę zmienić zdanie.

- Byłem przekonany, że to usłyszę - westchnął. - Muszę się przyznać, że sam zaplanowałem już twoją operację na pojutrze: czy nie masz nic przeciwko temu?

Cassi poczuła suchość w ustach, ale skinęła posłusznie głową.

- A więc wspaniale - powiedział Obermeyer z uśmiechem. - Nie przejmuj się niczym, wszystko będzie dobrze. Jutro już będziesz leżała w szpitalu.

- Jak długo nie będę mogła pracować? Muszę przecież coś powiedzieć swojemu szefowi.

- To zależy od tego, co się okaże w czasie operacji, ale myślę, że nie dłużej niż tydzień do dziesięciu dni.

- Tak długo? - jęknęła z zawodem Cassi. Myślała z zmartwieniem, co podczas jej nieobecności będzie się działo z jej pacjentami.

Po powrocie do biura Cassi zadzwoniła do doktora Ballantine'a - nie chciała odkładać tego spotkania w obawie, że opuści ją odwaga. Ballantine oświadczył, że za pół godziny będzie wolny i chętnie z nią porozmawia.

Po załatwieniu zwolnienia na czas choroby Cassi postanowiła wpaść jeszcze na patologię. Chciała powiadomić Roberta, że zdecydowała się na operację; spotkania z nim zawsze działały na nią kojąco. Nie zastała go jednak i powiedziano jej, że Robert już się położył do szpitala i oczekuje na operację. Przyjdzie jeszcze na krótko, żeby coś zjeść i będzie



to prawdopodobnie jego ostatni posiłek w tym tygodniu.

Stojąc już przy windzie, przypomniała sobie sprawę Jeoffry'ego Washingtona.

Wróciła do laboratorium i zapytała laborantkę o przezrocza. Odnalazła bez trudu negatywy, ale wyjaśniła, że tylko połowa slajdów została wykonana i że potrzebuje jeszcze przynajmniej dwóch dni. Dopiero jutro będzie mogła udostępnić jej cały zestaw. Cassi oznajmiła, że interesują ją tylko slajdy z przekrojem żyły, a te prawdopodobnie są już gotowe.

Tak było w istocie - leżały na samym wierzchu w teczce Jeoffry'ego Washingtona.

Cassi umieściła jeden z preparatów pod okularom mikroskopu Roberta. Widać było wyraźnie małą, pierścieniową załamana strukturę wewnątrz różowej tkanki. Nawet przy niewielkim powiększeniu okularu mogła zauważyć coś dziwnego. Przyjrzała się lepiej i dostrzegła liczne małe, białe punkciki wypełniające wnętrze żyły. Przyjrzała się dokładnie ściankom żyły - wyglądały zupełnie normalnie. Nigdzie najmniejszego nawet śladu komórek powodujących zapalenie. Zastanawiała się, czy te małe białe plamki nie mogły powstać podczas sporządzania preparatu - niestety, to pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi. Sprawdziła pozostałe slajdy i stwierdziła w nich obecność tych samych białych punkcików-plamek.

Cassi pokazała je laborantce, która również była tym zaskoczona. Postanowiła powiedzieć o nich Robertowi przy najbliższym spotkaniu. Gdy spojrzała na zegarek, uprzytomniła sobie, że już pora na rozmowę z Ballantine'em.

Doktor właśnie jadł kanapki, zapytał więc, czy Cassi życzy sobie, by sekretarka przyniosła jej coś z bufetu. Potrząsnęła głową przecząco: podekscytowana tematem rozmowy, nie miała na nic apetytu.

Zaczęła od gorących przeprosin za scenę na przyjęciu, ale doktor Ballantine przerwał jej oświadczając, że przyjęcie okazało się wielkim sukcesem i nikt już z pewnością nie

pamięta o tamtym drobnym incydencie. Chciałaby mu wierzyć - niestety wiedziała, że tego rodzaju skandale towarzyskie głęboko zapadają w pamięć.

- Dziś rano rozmawiałem kilkakrotnie z Thomasem - powiedział Ballantine. -

Widziałem się z nim przed operacją.

- Jak się zachowywał? - zapytała. Miała wciąż przed oczami obraz nieprzytomnego

Thomasa w fotelu, a następnie potykającego się, gdy szedł do łazienki.

- Nienagannie. Zdaje się, że był w dobrym nastroju. Cieszę się, że wszystko wróciło do normy.

Niespodziewanie oczy Cassi napelniły się łzami: wcześniej obiecywała sobie, że się to już więcej nie powtórzy.

- No, no - uspokajał ją Ballantine. - Każdemu może się zdarzyć taka historia. To na skutek napięcia nerwowego. Nie przywiązuj zbyt wielkiej wagi do tego incydentu.

Okoliczności, w jakich miał miejsce, tłumaczą go całkowicie. Być może nie usprawiedliwiają, ale na pewno tłumaczą. Wszyscy mówią, że zbyt wiele nocy spędza w szpitalu. Powiedz mi, moja droga, czy Thomas w domu zachowuje się zupełnie normalnie?

- Nie - odparła Cassi, opuszczając wzrok na spoczywające nieruchomo na kolanach ręce. Gdy raz zaczęła mówić, słowa popłynęły z jej ust potokiem. Opowiedziała, jak Thomas zareagował na wiadomość o oczekującej ją operacji oka i wyznała, że ich stosunki ostatnio były napięte, choć nie sądzi, by przyczyną była jej choroba. Thomas wiedział o jej cukrzycy jeszcze przed ślubem, a oprócz kłopotów z okiem stan jej zdrowia od tamtej pory nie uległ zmianie; nie uważa więc, by właśnie jej zdrowie było źródłem ostatnich nieporozumień.

Przerwała na chwilę; czuła, że oblewa się potem ze zdenerwowania.

- Jestem przekonana, że przyczyną nienormalnego zachowania się Thomasa jest fakt, że zaczął brać narkotyki. Zdaję sobie sprawę z tego, że ludzie biorą od czasu do czasu

deksedrynę lub tabletki nasenne, ale Thomas stanowczo ich nadużywa. - Przerwała, patrząc jakie wrażenie jej słowa wywarły na doktorze.

- Słyszałem o tym raz czy dwa - powiedział w zamyśleniu Ballantine. - Niedawno jeden ze stażystów zwrócił uwagę, że Thomasowi trzęsą się ręce; gdy o tym mówił, nie zauważył, że stoję obok i wszystko słyszę. O jakie właściwie narkotyki chodzi?

- Deksedrynę dla pobudzenia i percodan albo talwin - dla uspokojenia.

Doktor Ballantine podszedł do okna i spojrzął w kierunku znajdującego się naprzeciwko pokoju chirurgów. Gdy ponownie odwrócił się do Cassi, odchrząknął i odezwał się ciepłym głosem:

- Dostępność narkotyków stanowi wielką pokusę dla każdego lekarza, zwłaszcza jeśli jest tak przepracowany jak Thomas. - Powiedziawszy to, Ballantine cofnął się za biurko i usadowił w fotelu.

- Ale dostępność to tylko jedna strona medalu. Drugą stanowi fakt, że wielu lekarzy uważa przyjmowanie narkotyków za rzecz naturalną. Przez cały dzień troszczą się o innych, sądzą więc, że zasługują na wsparcie i pokrzepienie sił; tego właśnie szukają w narkotykach lub alkoholu. To zwykła historia. Ponieważ przyzwyczajeni są decydować samodzielnie, nie szukają pomocy u innych lekarzy i leczą się sami.

Słuchając Ballantine'a, który przyjął jej rewelacje o Thomasie z takim spokojem Cassi czuła, jak ciężar spada jej z serca. Po raz pierwszy od kilku dni poczuła przebłysk optymizmu.

- Najważniejsze, żeby to wszystko, o czym mówiliśmy, pozostało wyłącznie między nami - oświadczył Ballantine. - Wszelkie plotki mogą zaszkodzić zarówno twojemu mężowi, jak i szpitalowi. Zamierzam przeprowadzić dyplomatyczną rozmowę z Thomasem, a potem zobaczymy co dalej. W oparciu o swoje doświadczenie życiowe mogę cię zapewnić, że problemy Thomasa nie są tak groźne, jak sądzisz. Jest po prostu trochę przepracowany.

- Czy pan nie obawia się o jego pacjentów? - zapytała Cassi. - Czy obserwował go pan ostatnio podczas operacji?

- Nie - przyznał Ballantine. - Ale gdyby coś było nie tak, z pewnością bym o tym wiedział.

Nie było to zbyt przekonywujące.

- Znam Thomasa już od siedemnastu lat - dalej uspokajał Cassi Ballantine. - Gdyby coś się działo, doniesiono by mi o tym.

- W jaki sposób ma pan zamiar podjąć ten temat? - zapytała. Ballantine wzruszył ramionami. - Mam wyostrzony słuch.

- Oczywiście, pan nikomu nie wspomni o naszej rozmowie? - upewniła się Cassi.

- Wykluczone - oświadczył Ballantine.

Z bukietem zakupionych w szpitalnej kwiaciarni irysów Cassi szła korytarzem na osiemnastym piętrze, szukając pokoju 1847. Drzwi były uchylone. Lekko zastukała i zajrzała do środka. W pokoju było tylko jedno łóżko, a na nim leżał ktoś po oczy przykryty prześcieradłem: widać było, że trzęsie się ze strachu.

- Robercie! - roześmiała się Cassi. - Co u licha...

Robert wyskoczył z łóżka ubrany w piżamę. - Zauważyłem wcześniej, że idziesz - tłumaczył. Spostrzegłszy kwiaty, zapytał: - To dla mnie?

Cassi podała mu bukiet. Włożył go do dzbana z wodą i postawił na nocnej szafce przy łóżku.

Rozglądając się po pokoju spostrzegła, że stoi tu już około tuzina bukietów.

- Kwiatów jak na pogrzebie - zauważył Robert.

- Nie lubię tego rodzaju dowcipów - powiedziała Cassi ściskając go. - Kwiatów nigdy nie za dużo. Świadczą o tym, że masz wielu przyjaciół. - Usiadła w nogach łóżka.

- Nigdy dotąd nie byłem pacjentem w szpitalu - rzekł Robert, przysuwając sobie krzesło jakby to on był gościem. - Nie podoba mi się to. Czuję się tu bezbronny.
- Musisz się przyzwyczać - stwierdziła Cassi. - Mnie czeka to samo.
- Chodzi o to, że ja za dużo wiem o tym wszystkim - tłumaczył Robert. - Muszę ci wyznać, że jestem przerażony. Z pewnością przed operacją będę musiał otrzymać podwójną dawkę środków nasennych, inaczej nie zasnę.
- Jeszcze kilka dni temu dziwiłbyś się, gdyby ktoś tak mówił.
- Łatwo się dziwić, kiedy się jeszcze nie leży na szpitalnym łóżku - Robert uniósł do góry rękę z umocowaną plastikową tabliczką. - Teraz jestem tylko numerem statystycznym.
- Być może będzie ci rażniej, gdy powiem, że mnie też zachęciłeś. Od jutra również będę pacjentką tego szpitala.

Na twarzy Roberta odmalowało się współczucie. - Jestem rzeczywiście bardzo niemądry. Boję się usunięcia dwóch zębów, kiedy ciebie oczekuje operacja oka.

- Operacja zawsze jest operacją - zauważyła Cassi.
- Sądzę, że postąpiłaś bardzo słusznie. Mam przecucie, że twoja operacja zakończy się stuprocentowym sukcesem.
- A jak wyglądają twoje szanse? - zapytała Cassi.
- Hm... *fifty-fifty* - odparł Robert ze śmiechem. - Słuchaj, chcę ci coś pokazać.

Wstał, podszedł do nocnej szafki, wyjął papierową teczkę i usiadł na łóżku obok Cassi. - Przy pomocy komputera zestawilem dane dotyczące wszystkich przypadków SSD. Na ich podstawie doszedłem do kilku interesujących wniosków. Przede wszystkim stwierdziłem - zgodnie z twoim przypuszczeniem - że wszystkie dotyczą pacjentów, którzy mieli podłączoną kroplówkę. Dalej, że w ciągu ostatnich dwóch lat chodziło wyłącznie o pacjentów, których stan nie budził obaw - innymi słowy, których śmierci nikt nie oczekiwał.

- O Boże! - zawołała Cassi. - I co jeszcze?

- Spośród wszystkich przypadków SSD wyodrębniłem przy pomocy komputera kilka, w których pacjenci nie przechodzili wcześniej operacji, w ich liczbie przypadek Sama Stevensa. Ten ostatni zmarł nieoczekiwanie podczas cewnikowania serca. Był niedorozwinięty umysłowo, ale znajdował się w dobrej kondycji fizycznej.

- Czy on również miał kroplówkę? - zapytała Cassi.

- Tak - potwierdził Robert.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Wreszcie - ciągnął Robert - komputer wskazał, że zdecydowana większość przypadków śmiertelnych dotyczy mężczyzn i - co jest wręcz kuriozalne - o skłonnościach homoseksualnych!

Cassi uniosła wzrok znad papierów, które przeglądała i spojrzała z zainteresowaniem na Roberta. Dotąd między nimi nie było nawet wzmianki o homoseksualizmie; nie miała ochoty podejmować tego tematu.

- Byłam dziś rano na oddziale patologii - powiedziała zmieniając temat. - Nie zastałam już tam ciebie, ale przy okazji obejrzałam kilka slajdów dotyczących Jeffry'ego Washingtona. Na preparatach żyły, do której była podłączona kroplówka, spostrzegłam małe białe punkciki. Najpierw pomyślałam, że są to artefakty, ale potem stwierdziłam, że występują na wszystkich slajdach z wyjątkiem jednego. Czy sądzisz, że to może mieć jakieś znaczenie?

Robert zwilżył wargi językiem. - Nie - odpowiedział w końcu. - To niczego nie wyjaśnia. Można myśleć o jednym: do roztworu dwuwęglanu przypadkowo dostało się trochę wapnia, co spowodowało powstanie osadu, który jednak powinien być widoczny w butelce, a nie w żyłę. Oczywiście, osad mógł się dostać do żyły z butelki, ale wtedy byłby widoczny w

butelce gołym okiem. Być może przyjdzie mi jeszcze coś innego do głowy, gdy sam zobaczę preparaty. Ale dajmy już spokój tym przykrym sprawom. Powiedz mi lepiej coś o wczorajszym przyjęciu. Co włożyłaś na siebie?

Cassi opisała ubiegły wieczór w samych superlatywach. Przemilczała wszystkie przykre wydarzenia. Ale dlaczego Robert nie zauważył jej zaczerwienionych oczu? Zawsze był taki spostrzegawczy! Ale to chyba rozumiałe - miał uwagę zaprzątniętą operacją. Obiecała, że odwiedzi go nazajutrz i wyszła, zanim uległa pokusie zwierzenia się ze swych kłopotów.

Larry Owen czuł się jak struna fortepianu napięta do ostatnich granic. Thomas Kingsley spóźnił się nieco tego ranka, a w dodatku był wściekły, że Larry czekał z otwarciem klatki piersiowej pacjenta na jego przybycie. I choć Larry wykonał swoje zadanie z rekordową szybkością, zły humor Thomasa nie uległ poprawie. Wszystko go denerwowało: Larry nie powinien był czekać z otwarciem chorego, pielęgniarki podawały mu nie te instrumenty, stażyści nie przygotowali należycie operacji, a anestezjolog okazał się niekompetentnym sukinsynem. Kiedy podano mu niewłaściwe pudełko z igłami, rzucił je o ścianę z taką siłą, że przełamało się na pół.

Larry już wcześniej przewidywał taką sytuację. Od początku zorientował się, że Thomas jest dzisiaj w złej formie z powodu skrajnego wyczerpania. Nie miał zwykłej płynności ruchów, formułował błędne konkluzje. I co najważniejsze - trzęsły mu się ręce. Larry sam omal nie dostał ataku serca, gdy obserwował, jak Thomas pochylony nad sercem z ostrą jak brzytwa igłą próbował przyszyć maleńki kawałek żyły odpiszczelowej do drobnutkiego naczynia wieńcowego.

Nie spełniły się oczekiwania Larry'ego, że drzenie rąk chirurga ustąpi w miarę upływu czasu. Na odwrót - wzrastało coraz bardziej.

- Może ja to zeszyję? - proponował kilkakrotnie. - Z mojego miejsca mam chyba

lepszą widoczność.

- Jeśli będę potrzebował pańskiej pomocy, sam o nią poproszę - ciągle odpowiadał

Kingsley.

W ten sposób przebrnęli przez dwa bypassy, wykonane w miarę prawidłowo. Trzecim

pacjentem tego dnia był trzydziestoosmioletni mężczyzna, ojciec dwojga małych dzieci. Larry

otworzył klatkę piersiową pacjenta i czekał, aż Thomas przyjdzie z pokoju chirurgów. Czuł

narastanie własnego pulsu, zaczął się pocić. Kiedy w końcu Kingsley pojawił się w drzwiach

sali, Larry poczuł ścisk żołądka.

Początkowo wszystko szło w miarę gładko, chociaż drzenie rąk operującego nie

ustępowało, a stopień opanowania był nawet niższy. Cały zespół, rozgrzany sukcesem

poprzednich dwóch operacji, czuwał nad przebiegiem tej trzeciej. Najtrudniejsze zadanie

przypadło w udziale Larry'emu, który usiłował wyprzedzać każdy błędny ruch Thomasa i

robić za niego wszystko, na co mu tamten pozwalał. Prawdziwy problem powstał dopiero

wtedy, gdy przystąpili do przyszywania bypassów. Larry nie mógł już na to patrzeć, odwrócił

więc głowę, gdy Thomas przybliżył igłę do serca.

- Do diabła! - zawołał Thomas.

Larry poczuł nagle, że żołądek podchodzi mu do gardła, gdy zobaczył jak chirurg

odrywa rękę od operowanego miejsca z igłą wbitą we wskazujący palec. Jednocześnie

odruchowo szarpnął jeden z cewników odprowadzających krew pacjenta do płucoserca. Rana

natychmiast wypełniła się krwią, która nasączyła sterylne tampony i zaczęła kapać na

podłogę. Desperackim ruchem Larry zanurzył rękę w ranie i zaczął szukać na ślepo klamry

szwu spinającego główną żyłę. Na szczęście trafił na nią od razu. Delikatnie wzmocnił jej

ucisk, zmniejszając upływ krwi.



- Gdyby wszystko zostało należycie przygotowane, coś takiego nie mogłoby się zdarzyć - wściekał się Thomas, wyciągając igłę z palca i rzucając ją na podłogę.

Odszedł od stołu operacyjnego i zajął się swoim palcem.

Tymczasem Larry'emu udało się usunąć krew z rany. Włączając ponownie cewnik płucoserca zastanawiał się, co teraz należy uczynić. Thomas nie powinien już dalej operować, jeśli nie miał zamiaru popełnić zawodowego samobójstwa. Wreszcie Larry poczuł, że dłużej nie wytrzyma napięcia. Zabezpieczywszy operowane miejsce, odszedł od stołu operacyjnego i zwrócił się do Thomasa, któremu pielęgniarka pomagała założyć rękawice.

- Przepraszam pana, doktorze Kingsley - oświadczył tonem nie znoszącym sprzeciwu

- to był dla pana bardzo trudny dzień. Nie jesteśmy już na balu. Jest pan bardzo zmęczony.

Przejmuję tę operację od pana. Proszę nie zakładać rękawic.

Przez chwilę Larry'emu zdawało się, że Thomas ma zamiar go uderzyć - mówił

jednak dalej: - Pan wykonał tysiące takich operacji. Nikt pana nie będzie obwiniał za to, że na skutek zmęczenia jednej z nich pan nie skończy.

Thomas zaczął drżeć, po czym - ku zdziwieniu i uldze Larry'ego - rzucił rękawice i wyszedł.

Larry westchnął i wymienił spojrzenia z panną Goldberg. - Zaraz wracam - zwrócił się

do operującego zespołu. Z rękawicami na dłoniach wyszedł z sali. Miał nadzieję, że spotka

któregoś z chirurgów serca i odetchnął, gdy ujrzał George'a Shermana wychodzącego właśnie z sali numer 6. Larry wziął go na stronę i wszystko mu spokojnie opowiedział.

- Chodźmy - powiedział George. - To, co się tu wydarzyło, nie powinno się wydostać

poza salę operacyjną. To mogło się przydarzyć każdemu z nas, a gdyby ludzie dowiedzieli się o tym, byłaby to katastrofa nie tylko dla Kingsleya, ale i dla całego szpitala.

- Jasna sprawa - odparł Larry.

Thomas był bardziej rozgniewany niż kiedykolwiek przedtem. Jak Larry śmiał powiedzieć, że on jest zbyt zmęczony, żeby kontynuować operację? To, co się wydarzyło, wydawało mu się koszmarem. Właśnie w obawie przed tego rodzaju sytuacją wziął wcześniej tabletkę nasenną. Był całkowicie pewien, że jest w stanie operować i gdyby nie to, że tak bardzo wstrząsnęła nim niewierność Cassi, nie musiałby opuścić sali operacyjnej przed czasem. Jak oszalały wpadł do pokoju chirurgów i chwycił słuchawkę telefoniczną.

Zadzwoił do Doris, żeby upewnić się, że nie ma do niego pilnych spraw, i poprosić o przełożenie wszystkich dzisiejszych wizyt popołudniowych na dzień następny.

Czuł, że nie byłby dziś w stanie rozmawiać z pacjentami. Doris już miała odłożyć słuchawkę, gdy nagle przypomniała sobie, że dzwonił doktor Ballantine i prosił, aby Thomas do niego wstąpił.

- Czy wiesz, czego chciał? - dopytywał się Thomas.

- Nic mi nie powiedział - odrzekła Doris. - Pytałam go, o jaką sprawę chodzi, na wypadek gdybyś musiał zabrać z sobą teczkę jakiegoś pacjenta: odpowiedział, że po prostu chciałby się z tobą zobaczyć.

Thomas uprzedził dyżurną pielęgniarkę, że gdyby był do niego telefon, będzie u doktora Ballantine'a. Dla uspokojenia, a także w związku z rosnącym bólem głowy, wziął kolejną tabletkę percodanu. Narzucił na siebie biały fartuch laboratoryjny i udał się do szefa oddziału, zastanawiając się po drodze, czego może od niego chcieć. Nie przypuszczał, żeby chodziło o scenę z Shermanem na przyjęciu, ani o epizod z Larrym Owenem. Sprawa musi dotyczyć oddziału kardiochirurgii w ogóle. Przypomniał sobie dziwną uwagę członka zarządu szpitala na przyjęciu i doszedł do wniosku, że Ballantine prawdopodobnie chce go wprowadzić w swoje plany. Być może myśli już o odejściu na emeryturę i pragnie z nim omówić przekazanie mu spraw oddziału.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział Ballantine, kiedy Thomas już usadowił się naprzeciwko niego w fotelu. Robił wrażenie skrępowanego, Thomas pochylił się więc ku niemu.

- Sądzę, że powinniśmy porozmawiać ze sobą szczerze - zaczął w końcu Ballantine. - Mogę cię zapewnić, że nic nie wydobędzie się poza ściany tego pokoju.

Thomas założył nogę na nogę; spoczywająca na podłodze noga zaczęła wybijać rytmiczne tempo.

- Mówi się w szpitalu, że nadużywasz narkotyków.

Noga Thomasa zastygła w bezruchu. Ból głowy stał się nie do zniesienia. Mimo narastającego gniewu, jego twarz pozostała nadal pokerowa.

- Chciałbym, żebyś mnie zapewnił, że sprawa nie wykracza poza przyjęte zwyczajowo granice - oświadczył Ballantine.

- Jakich to narkotyków podobno nadużywam? - zapytał Thomas, usiłując za wszelką cenę nad sobą zapanować.

- Chodzi o deksedrynę, percodan i talwin - odparł Ballantine. - Specyfiki raczej dość pospolite.

Mrużąc oczy, Thomas obserwował twarz Ballantine'a. Nie znosił protekcyjnego sposobu bycia szefa. Fakt, że ten ograniczony bufon występował w tej chwili w roli sędziego, doprowadzał go do szału. Na szczęście przyjęty przed spotkaniem percodan zaczął już działać uspokajająco.

- Chciałbym wiedzieć, kto rozpowiada o mnie takie kłamstwa - zapytał z pozornym spokojem.

- To nie jest ważne. Jakie to ma znaczenie...

- Dla mnie to ważne - przerwał mu Thomas. - Jeśli ktoś zajmuje się tego rodzaju

złośliwymi plotkami, powinien ponieść za to odpowiedzialność. Spróbuję zgadnąć: George Sherman.

- Na pewno nie - odparł Ballantine. - Ale przypomniałeś mi coś: rozmawiałem z George'em o tym godnym pożałowania incydencie podczas przyjęcia. Był zaszokowany twoimi oskarżeniami.

- Wiem dobrze, co mówię - stwierdził Thomas. - Wszystkim wiadomo, że George chciał się żenić z Cassi, zanim ja ją poznałem. Potem oboje korzystali z tego, że wiele nocy spędzałem w szpitalu...

Ballantine przerwał mu stanowczo: - To, co mówisz, nie brzmi wcale przekonująco.

Czy nie sądzisz, że przesadziłeś w tej sprawie?

- Ani trochę - odparł Thomas zdejmując nogę z kolana i stawiając energicznie stopę na podłodze. - Sam miałeś okazję zobaczyć ich razem na przyjęciu.

- Widziałem tylko piękną kobietę, zainteresowaną wyłącznie swoim mężem. Jesteś szczęściarzem, Thomas. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Cassi jest wyjątkowa.

Thomas miał ochotę wstać z fotela i wyjść, ale Ballantine nie przestawał mówić.

- Uważam, że zbyt dużo pracujesz. Co w ten sposób chcesz osiągnąć? Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz brałeś wolny dzień.

Thomas chciał coś powiedzieć, ale Ballantine nie pozwolił mu dojść do słowa.

- Każdy potrzebuje trochę wypoczynku. Poza tym masz przecież określone zobowiązania wobec swojej żony. Wiem, że czekają operacja oka. Z pewnością potrzebuje, byś poświęcił jej więcej uwagi.

Thomas był już pewien, że Ballantine rozmawiał z Cassi. Chociaż to niewiarygodne, musiała mu się zwierzyć ze swoich podejrzeń. Nie dość, że zaalarmowała matkę, poszła też do jego zwierzchnika. Nagle uświadomił sobie, że Cassi może go zniszczyć. Może zburzyć

jego z trudem budowaną karierę, której poświęcił całe życie.

Na szczęście dla Thomasa jego instynkt zachowawczy był silniejszy niż gniew - dzięki temu potrafił zachować trzeźwość umysłu. Tymczasem Ballantine kończył swój wywód.

- Proponuję, żebyś wziął teraz urlop, na który uczciwie zapracowałeś.

Najwidoczniej szefowi chodziło o pozbycie się go na pewien czas ze szpitala, żeby ułatwić zadanie tym, którzy chcą objąć jego limit czasu w sali operacyjnej. Nie zdradzając swoich prawdziwych uczuć, Thomas spróbował się uśmiechnąć.

- Cała ta sprawa jest jednym wielkim nieporozumieniem - spokojnie zaprotestował. -

Być może pracowałem trochę za dużo, ale to dlatego, że pracy jest wiele. Co się tyczy Cassandry, mam zamiar poświęcić jej więcej czasu, gdy już będzie leżała w szpitalu. Ale wyłącznie od Obermeyera zależy sposób rozwiązania problemu jej siatkówki.

Tym razem Ballantine chciał coś wtrącić, ale Thomas ciągnął nie przerywając:

- Ja wysłuchałem ciebie do końca, teraz ty mnie wysłuchaj - powiedział. - Jeśli chodzi o zarzut, że nadużywam narkotyków, to wiesz dobrze, że nie piję kawy. Za to od czasu do czasu biorę deksedrynę, która wcale nie działa silniej. Tyle tylko, że nie można rozpuścić jej w mleku ani w śmietance. Zgadzam się, że społeczne implikacje przyjmowania deksedryny mogą być szkodliwe, zwłaszcza jeśli ktoś ją traktuje jako ucieczkę od życia, w moim jednak przypadku chodzi wyłącznie o zachowanie sprawności psychofizycznej podczas pracy. Co się tyczy z kolei percodanu i talwinu - tak, biorę je czasem, dlatego że od młodości miewam migreny. Nie zdarza się to często, ale jeśli już, to najbardziej skutkują percodan albo talwin. I jeszcze chcę coś zaproponować: byłbym rad, gdybyś ty lub ktoś z personelu rejestrował co, komu i w jakich ilościach przepisuję.

Thomas usiadł i założył ręce, bo wciąż mu drżały.

- Muszę przyznać - odezwał się Ballantine z widoczną ulgą - że to, co mówisz, brzmi bardzo rozsądnie.

- Wszyscy dobrze wiemy, że każdy z nas bierze pigułkę od czasu do czasu - dodał Thomas.

- To prawda - zauważył Ballantine - źle jednak, kiedy lekarz traci rachubę przyjętych tabletek.

- Wtedy rzeczywiście można mówić o nadużywaniu narkotyków - stwierdził Thomas.

- Jeśli chodzi o mnie, biorę nie więcej niż dwie na dobę, i to tylko w dni, kiedy mam migrenę.

- Prawdę mówiąc, trochę odetchnąłem. Muszę ci wyznać, że byłem zaniepokojony.

Zbyt dużo pracujesz i nalegam, żebyś wziął urlop.

Wiem, o co tu chodzi naprawdę, myślał Thomas.

- I zawsze pamiętaj - kontynuował Ballantine - że cały nasz oddział życzy ci jak najlepiej. Jesteś przecież jego filarem.

- To brzmi uspokajająco - stwierdził Thomas. - Przyznaj, że to Cassandra powiedziała ci o tych pigułkach - zauważył rzeczowym tonem.

- Nieważne, kto to uczynił - odparł Ballantine podnosząc się z fotela. - Szczególnie w sytuacji, gdy rozproszyłeś moje obawy.

Teraz Thomas nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to sprawka Cassi. Musiała zajrzeć do biurka i znaleźć fiołki. Czuł narastającą wściekłość.

Zacisnął pięści i wstał. Bezgranicznie pragnął samotności. Podziękował

Ballantine'owi za troskę i pożegnał się, a następnie szybko wyszedł z gabinetu.

Ballantine patrzył w ślad za Thomasem. Był teraz spokojniejszy o niego, choć nie do

końca przekonany. Wciąż miał przed oczami scenę na wczorajszym przyjęciu. No i te uparcie powtarzane plotki wśród personelu szpitalnego. A on nie chciał mieć kłopotów z Thomasem,

przynajmniej obecnie. Obawiał się, że mogą zniszczyć wszystkie jego plany.

Kiedy otwarły się drzwi do poczekalni, Doris szybko schowała powieść do szuflady, zamykając ją jednym sprawnym ruchem. Na widok Thomasa zebrała z biurka notatki z przeprowadzonych w ciągu dnia rozmów telefonicznych i podniosła się z fotela. Spędziła całe popołudnie w samotności, była więc szczęśliwa, że przyszedł.

Tymczasem Thomas zachowywał się jakby Doris była jednym z mebli. Ku jej zdumieniu nawet się nie odezwał. Chciała go ująć za ramię, ale nie zdążyła - przeszedł obok niej jak lunatyk. Podążyła za nim do gabinetu.

- Dzwonił doktor Obermeyer i...

- Nie chcę o niczym słyszeć - głos jego kipiał gniewem. Doris przestąpiła przez próg - chciała koniecznie przekazać Thomasowi wszystkie informacje.

- Wynoś się stąd! - wrzasnął. Przerażona cofnęła się, a Thomas z całej siły trzasnął drzwiami przed jej nosem.

Nareszcie mógł wyładować wściekłość, którą cały czas hamował podczas rozmowy z Ballantine'em. Rozejrzał się po gabinecie, szukając odpowiedniego przedmiotu. Chwycił z biurka wazon - prezent od Cassi z okazji zaręczyn - i roztrzaskał go o podłogę. Widok skorup trochę go rozluźnił. Wyciągnął z biurka szufladę, chwycił fiolkę z percodanem: wydobył z niej kilka pigułek, zażył jedną, resztę włożył z powrotem; wyszedł do łazienki po szklanę wody.

Po powrocie schował fiolkę do szuflady. Powoli zaczął się uspokajać, ale nielojalność Cassi nie dawała mu spokoju. Czyżby nie rozumiała, że uprawianie zawodu chirurga jest dla niego tym, co najbardziej w życiu ceni? Jak mogła być tak okrutna i narazić jego karierę zawodową? Najpierw poszła do jego matki - jedynej osoby, z którą się bardzo liczy, potem był George, a teraz Ballantine, szef oddziału. Tego nie może tolerować. Bardzo ją kochał, gdy

się pobrali. Była słodka, subtelna i taka mu oddana. Dlaczego teraz postanowiła go zniszczyć?

Nie może do tego dopuścić. Musi...

Nagle Thomasa olśniła myśl, że to wszystko jest chyba na rękę Ballantine'owi. Przez pewien czas miał uczucie, że Ballantine i Sherman coś knują. Być może, wszystko to stanowi część planu unicestwienia go.

Znowu poczuł przypływ strachu. Powinien coś uczynić... ale właściwie co?

Najpierw powoli, a potem coraz szybciej zaczął układać pewien plan. Teraz już wiedział, co uczyni.

Wciąż pod wrażeniem rozmowy z Thomasem, Ballantine postanowił zajrzeć do sali operacyjnej z nadzieją, że spotka tam George'a. Na pewno Sherman nie posiada talentu Thomasa, jest jednak zdolnym chirurgiem i sprawnym administratorem. Był lubiany przez personel szpitala i Ballantine zastanawiał się nawet, czy to nie on właśnie powinien zostać jego następcą. Co prawda zarząd szpitala przez dłuższy czas widział na tym stanowisku Kingsleya, ale teraz Ballantine miał wątpliwości co do słuszności takiego wyboru.

Niestety, George był zajęty przy stole operacyjnym, co zdziwiło Ballantine'a. Miał nadzieję, że nic złego się nie stało. Wiedział, że tego ranka George ma tylko jedną operację i fakt, że o tej porze jeszcze się tu znajduje, nic dobrego nie wróżył.

Ballantine postanowił więc odwiedzić Cassi na Clarkson 2. Nie był całkowicie pewien rezultatu rozmowy z Thomasem, chciał ją jednak choć trochę uspokoić.

Od wielu lat pracował w tym szpitalu, jednak nigdy dotąd nie był w tej jego części.

Miał wrażenie, że otacza go zupełnie inny świat.

Pod wielu względami oddział psychiatrii przypominał nie szpital, a raczej hotel drugiej kategorii. Z sali klubowej dochodziły dźwięki fortepianu i głos spikera telewizyjnego.

Nie słyhać było typowych odgłosów szpitalnych, takich jak syczenie respiratora czy



charakterystyczny brzęk butelki z kroplówką. Najbardziej jednak niezwykle było to, że wszyscy byli ubrani w swoje „cywilne” stroje, w rezultacie czego Ballantine nie był w stanie odróżnić personelu szpitalnego od pacjentów. Chciał odszukać Cassi, lecz obawiał się, że trafi na kogoś innego. Jedynym miejscem, którego autentyczności mógł być pewien, był pokój pielęgniarek; tam więc skierował kroki.

- Czym mogę służyć? - zapytała go wysoka i elegancka czarna dziewczyna; z identyfikatora na piersi mógł odczytać jej imię: „Roxane”.

- Szukam doktor Cassidy - odpowiedział nieśmiało.

Zanim Roxane zdążyła odpowiedzieć, Cassi pojawiła się w drzwiach sąsiedniego pokoju.

- Doktor Ballantine! Co za niespodzianka! - zdziwiła się. Ballantine miał znowu okazję podziwiać jej delikatnie rzeźbioną twarz. Trzeba być niespełna rozumu, żeby mając taką żonę spędzać noce w szpitalu, pomyślał o Thomasie.

- Czy masz chwilę czasu? - zapytał.

- Oczywiście. Może pójdziemy do mojego biura?

- Możemy porozmawiać tutaj - powiedział Ballantine, wskazując pusty pokój obok.

Cassi odsunęła na bok leżące na biurku papiery. - Właśnie byłam zajęta pisaniem informacji o moich pacjentach dla lekarzy, którzy mnie będą zastępowali - wyjaśniła.

Ballantine skinął głową. - Wpadłem tutaj, żeby ci powiedzieć, że rozmawiałem już z Thomasem, chyba z pozytywnym skutkiem. Wyjaśniliśmy coś sobie wzajemnie; przyznał, że bierze od czasu do czasu deksedrynę dla podtrzymania sprawności umysłu, a jednocześnie przekonał mnie, że inne środki przyjmuje tylko w przypadku migreny.

Cassi wysłuchiwała go w milczeniu. Wiedziała, że od lat chłopięcych Thomas nigdy nie cierpiał na migrenę.

- A więc głowa do góry - stwierdził sentencjonalnie Ballantine. - Zajmij się teraz wyłącznie swoim okiem i nie martw się o męża. Zaproponował nawet, żeby ktoś z personelu prowadził rejestr jego recept.

Wstał z miejsca i poklepał Cassi po ramieniu.

Cassi bardzo chciała podzielać jego optymizm, ale to ona, a nie doktor widziała zwężone źrenice Thomasa i jego chwiejny chód. Doktor nie odczuwał też skutków humorów jej męża.

- Mam nadzieję, że ma pan rację - powiedziała z westchnieniem.

- Oczywiście, że mam rację - stwierdził Ballantine nieco zirytowany, że jego wywody nie odniosły należytego skutku. Odwrócił się ku wyjściu.

- Mam także nadzieję, że nie wspomniał mu pan o naszej rozmowie? - dorzuciła jeszcze, dostrzegając zniecierpliwienie doktora.

- Oczywiście, że nie. Niezależnie od wszystkiego, widząc jaki jest zazdrosny, sędzę, że musi cię uwielbiać. I nie bez powodu - roześmiał się Ballantine.

- Dziękuję za odwiedzin.

- Nie ma o czym mówić - odparł skinąwszy ręką na pożegnanie. Rad był, że opuszcza już Clarkson 2. Nigdy nie mógł zrozumieć, co psychiatrzy widzą w swej specjalności.

Już w windzie zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo niewdzięczne okazało się jego pośrednictwo. Chciał pomóc im obojgu, starał się uspokoić Cassi, ale ona jakby go nie słuchała. Po raz pierwszy zwątpił w jej obiektywizm.

Po wyjściu z windy postanowił sprawdzić, czy George zakończył już operację.

Spotkał go na korytarzu otoczonego przez personel. Gdy George zauważył Ballantine'a, przeprosił wszystkich i podszedł do szefa.

- Miałem dziś rano kłopotliwą rozmowę z żoną Kingsleya - powiedział Ballantine,

przechodząc od razu do sedna. - Sądziłem, że chce się ze mną spotkać, by przeprosić za incydent na przyjęciu. Chodziło jej jednak o coś innego. Martwi się, że Thomas nadużywa narkotyków.

George już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zawahał się.

Przed chwilą właśnie stażyści dyskutowali o zachowaniu się Kingsley'a dziś rano w sali operacyjnej. Gdyby o tym powiedział szefowi, Kingsley mógłby mieć poważne kłopoty. A może wypił tylko za dużo poprzedniego wieczora? Postanowił więc na razie zachować to dla siebie.

- Czy wierzysz Cassi? - zapytał.

- Nie jestem pewien. Rozmawiałem z Thomasem, coś niecoś mi wyjaśnił, ale zauważyłem, że jest bardzo niespokojny - westchnął Ballantine. - Zawsze mówiłeś, że nie interesuje cię stanowisko szefa, ale jeśli nawet Kingsley zgodzi się w końcu przejść na etat, nie sądzę, żeby był odpowiednim kandydatem, zwłaszcza po reorganizacji oddziału. Z pewnością oponowałby przeciwko przyjmowaniu nowych pacjentów dla celów dydaktycznych.

- Masz rację - odparł George. - Na pewno nie byłby gotów zaakceptować planu podjęcia operacji osób umysłowo niedorozwiniętych z myślą o szkoleniu nowych kadr medycznych.

- Jego punkt widzenia nie jest pozbawiony racji. Nowe i kosztowne metody operowania powinny być przede wszystkim stosowane wobec pacjentów, którzy mają największe szansę na produktywne życie po przebytej operacji. Ale stażystom rzadko powierza się takich pacjentów. Przecież nie kto inny niż lekarze mają decydujące zdanie o tym, którzy pacjenci przedstawiają największą wartość dla społeczeństwa. A my jesteśmy tylko ludźmi, nie Bogiem, jak to kiedyś słusznie zauważyłeś.

- Sądzę, że on w końcu się uspokoi - powiedział George. - Jeśli nasze plany zostaną zaakceptowane, będziemy go potrzebowali w zespole.
- Miejmy nadzieję - zgodził się Ballantine. - Radziłem mu, żeby wziął urlop i zajął się żoną. Nawiasem mówiąc uważam, że jego oskarżenia pod twoim adresem to czysta paranoja.
- Niestety tak. Muszę ci jednak powiedzieć, że gdybym miał jakąkolwiek szansę, to nawet i teraz walczyłbym o nią. Moim zdaniem, jest najbardziej uroczym zjawiskiem, jakie w swoim życiu spotkałem.
- Nie wytrącaj już więcej z równowagi naszego geniusza skalpela - ze śmiechem dodał Ballantine. - *A propos*, czy uważasz, że powinienem przeglądać recepty Thomasa?
- Nie zaszkodzi, chociaż istnieje wiele innych sposobów zdobycia narkotyków przez lekarzy - odparł George, mając w pamięci niedyspozycję Thomasa w sali operacyjnej.
- Miejmy nadzieję, że weźmie urlop, a po nim wróci do równowagi.
- Słusznie - zgodził się George, chociaż osobiście nigdy nie przepadał za Thomasem.

## **Rozdział IX**

Cassi była wprost zaszokowana - nie mogła uwierzyć w przemianę, jaka się dokonała w Thomasie. Zadzwonił do niej około piątej po południu, oświadczając, że planowana na ten wieczór operacja została odwołana i jest już wolny. Zaproponował, że ją zawiezie do domu swoim porsche, wobec czego mogła zostawić swój samochód w szpitalu.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy przy kolacji panowała miła atmosfera. Thomas znowu był tym dawnym czarującym mężczyzną. Przyjmował z humorem narzekania Patrycji, a wobec Cassi zachowywał się jak kochający, czuły mąż.

Cassi była tą zmianą bezgranicznie uszczęśliwiona, ale jednocześnie trochę ją to peszyło. Trudno jej było uwierzyć, że Thomas zapomniał o wydarzeniach z poprzedniego wieczora. Wręcz z osłupieniem patrzyła jak troskliwie odprowadza matkę do jej mieszkania

nad garażem. Po powrocie nalał Cassi wina, sobie koniaku, po czym oboje usadowili się na kanapie stojącej naprzeciw kominka.

- Miałem wiadomość od doktora Obermeyera - powiedział sącząc powoli koniak. -

Kiedy do niego zadzwoniłem, już go nie zastałem. Jak się mają sprawy z twoim okiem?

- Rozmawiałam dzisiaj z doktorem. Jeśli nie będzie poprawy, muszę być operowana.

- Kiedy? - głos Thomasa był niemal aksamitny.

- Jak najszybciej - odparła z wahaniem.

Ponieważ Thomas słuchał spokojnie i z uwagą, Cassi nie przerywała: - Domyślam się,

że doktor Obermeyer starał się z tobą skontaktować, żeby uzgodnić termin mojej operacji,

która - jeśli nie masz nic przeciwko temu - odbędzie się pojutrze.

- Dlaczego miałbym się sprzeciwiać? - zapytał Thomas. - Twój wzrok jest zbyt ważną sprawą, żeby się spierać o termin operacji.

Cassi odetchnęła z ulgą. Z niepokojem oczekiwała na odpowiedź Thomasa.

- Choć wiem, że to będzie tylko niewielki zabieg, jednak bardzo się go boję.

Thomas pochylił się i objął ją ramieniem. - Rozumiem twoje obawy - stanowią

zupełnie naturalną reakcję. Ale Martin Obermeyer jest doskonałym lekarzem. Będiesz w

bardzo dobrych rękach - wręcz trudno o lepsze.

- Wiem - odpowiedziała Cassi i prawie się uśmiechnęła.

- A ja podjąłem dziś pewną decyzję - mówił Thomas przygarniając ją do siebie. - Gdy

tylko Obermeyer da ci zielone światło, weźmiemy urlop i wyjedziemy. Na przykład na

Karaiby. Ballantine przekonał mnie, że powinienem wypocząć; chyba najlepiej wtedy, gdy ty będziesz wracała do zdrowia? Co na to powiesz?

- To brzmi wprost cudownie - chciała go pocałować, ale w tym momencie zadzwonił telefon.

Thomas podszedł do aparatu. Cassi drżała z obawy, by nie wezwano go przypadkiem do szpitala.

- Miło mi pana słyszeć, panie Seibert - powiedział Thomas do słuchawki.

Cassi pochyliła się i ostrożnie postawiła swój kieliszek na stoliku. Robert nigdy dotąd nie dzwonił do niej do domu. Ten telefon mógł Thomasa wytrącić z równowagi.

Tymczasem Thomas mówił zupełnie spokojnie: - Jest tutaj, obok mnie. Nie, jeszcze nie jest późno...

Z uśmiechem przekazał słuchawkę Cassi.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem, telefonując do ciebie do domu - mówił Robert - ale udało mi się wymknąć na oddział patologii i obejrzeć przekroje żyły Jeoffry'ego Washingtona. Kiedy wróciłem do pokoju, przypomniałem sobie, gdzie już wcześniej widziałem tego rodzaju biały osad. Robiłem kiedyś sekcję zwłok robotnika, który zginął w wypadku przy pracy. Nieostrożnie wysypał na siebie koncentrat fluorku sodu i chociaż szybko go splukał, ilość trucizny, która przedostała się do organizmu, okazała się dawką śmiertelną. W jego żyłach znalazłem taki sam biały osad.

Cassi zniżyła głos, odwracając się plecami do Thomasa - nie chciała, żeby domyślił się, że wciąż jeszcze interesuje się badaniami nad SSD. - Ale przecież fluorek sodu nie jest używany w charakterze leku.

- Używa się go w stomatologii - stwierdził Robert.

- Ale nie jest podawany do wewnątrz - szepnęła Cassi. - I z całą pewnością nie przez kroplówkę.

- To prawda - rzekł Robert. - Ale pozwól mi powiedzieć, w jaki sposób zmarł ten robotnik. Miał atak padaczki, a następnie dostał ostrej arytmii serca. Czy ci to czegoś nie przypomina?

Cassi pamiętała, że aż sześciu pacjentów z serii SSD miało takie same symptomy, ale nic nie powiedziała. Niekoniecznie śmierć spowodował fluorek sodu, wszelkie przedwczesne wnioski mogły być zbyt pochopne.

- Gdy tylko wrócę do pracy - zdecydował Robert - dokonam analizy chemicznej tego osadu. Przekonam się, czy to jest fluorek sodu. Wyobrażasz sobie, jakie to będzie miało znaczenie, jeśli przypuszczenie się potwierdzi?

- Chyba tak - burknęła niechętnie Cassi.

- Oznacza to, że popełniono morderstwo - stwierdził Robert.

- O czym rozmawialiście? - zapytał Thomas, gdy Cassi wróciła już na kanapę przed kominkiem. - Czyżby Robert zakomunikował ci jakieś rewelacje dotyczące serii SSD? - Ku zdziwieniu Cassi w jego głosie słychać było tylko ciekawość, nie zdenerwowanie. Pomyślała więc, że warto mu coś powiedzieć o postępie w badaniach Roberta.

- Robert ciągle nad tym pracuje - powiedziała. - Zajął się zestawianiem danych.

Otrzymał wydruk komputerowy, z którego wynikają niezwykle ciekawe wnioski.

- Na przykład? - interesował się dalej Thomas.

- Są pewne ewentualności - wymijająco odparła Cassi. - Trudno cokolwiek wykluczyć

- mam na myśli to, co się może zdarzyć w szpitalu. Pamiętasz tę historię w New Jersey, gdzie pacjentom podano kurarę?

- Robert chyba nie podejrzewa morderstwa? - pytał Thomas.

- Nie, nie - Cassi złąkla się, że może powiedziała zbyt wiele. - Po prostu w rezultacie ostatniej sekcji zwłok zauważył dziwny osad, który chce sprawdzić. - Thomas skinął głową, jakby trochę zamyślony. Żeby poprawić mu humor, Cassi dodała: - Robert rzeczywiście jest ci bardzo wdzięczny za to wystąpienie na konferencji.

- Rozumiem - rzekł Thomas, uśmiechając się. - Co prawda nie o Roberta wtedy mi

chodziło, ale jeśli on to inaczej odczytał, to cała przyjemność po mojej stronie. A teraz sądzę, że czas nam już do łóżka.

Gdy prowadził ją troskliwie po schodach na górę, Cassi zastanawiała się, co właściwie kryje się w jego niezwykle niebieskich oczach. Nie była pewna, czy ogarniające ją drżenie jest wyłącznie wynikiem oczekiwania na wspólną noc.

## **Rozdział X**

Od czasu studiów Cassi nie występowała w roli pacjenta. Teraz, po ukończeniu medycyny i po pierwszych miesiącach stażu, taka rola była dla niej całkowicie nowym przeżyciem. Znajomość kulis szpitalnego leczenia wcale nie ułatwiała tej roli i budziła tym większe obawy.

Tego dnia przyjechała do szpitala razem z Thomasem. Było jeszcze za wcześnie, by załatwić sprawę w izbie przyjęć. Powiedziano jej, że musi poczekać, aż pojawią się właściwi pracownicy. Protestowała tłumacząc, że w nagłych przypadkach szpital przyjmuje pacjentów bez przerwy, nawet w nocy, mimo to kazano jej przyjść o dziesiątej.

Trzy godziny spędziła nerwowo w bibliotece przeglądając „Psychology Today”, po czym ponownie udała się do izby przyjęć. Mimo że właściwi urzędnicy już się pojawili, sprawa nie posunęła się wcale do przodu. Na każdym kroku pojawiały się jakieś utrudnienia. Okazało się, że nie ma karty szpitalnej, a bez niej nie może być przyjęta. Poradzono jej, żeby udała się do biura ID na trzecim piętrze.

Po pół godzinie uzbrojona w dokument, który przypominał kartę kredytową, wróciła do izby przyjęć. Tutaj znowu napotkała przeszkodę nie do pokonania. Cassi w szpitalu posługiwała się panięńskim nazwiskiem „Cassidy”, gdyż tak opiewał jej dyplom. Z kolei Thomas ubezpieczył ją pod nazwiskiem „Kingsley”, urzędniczka domagała się więc przedstawienia świadectwa ślubu. Cassi oświadczyła, że nie posiada takiego dokumentu. Nie



przyszło jej nawet do głowy, że świadectwo ślubu może być potrzebne, żeby zostać przyjętą do szpitala. Chciała, aby urzędniczka zadzwoniła do biura Thomasa i wyjaśniła sprawę. Ta jednak z uporem nalegała, że komputer musi otrzymać wymagany dokument; ona tu nie ma nic do powiedzenia, jest tylko osobą obsługującą aparaturę. W końcu problem został rozwiązany przez kogoś z kierownictwa i udało się „skłonić” komputer do przyjęcia informacji o małżeństwie. Ostatecznie Cassi skierowano do pokoju na siedemnastym piętrze. Odprowadzała ją sympatyczna dziewczyna w zielonym uniformie z napisem: „Memorial Volunteer”.

Nie od razu poszły na siedemnaste piętro. Najpierw udały się na drugie, do gabinetu rentgenologicznego. Tam Cassi oświadczyła, że przed sześcioma tygodniami miała robione prześwietlenie, wobec czego nie potrzebuje nowego zdjęcia. Prześwietlenia klatki piersiowej wymagał anestezjolog ze względu na narkozę. Trzeba było całej godziny, żeby Cassi udało się dotrzeć do kierownika anestezjologii, który zadzwonił do doktora Obermeyera, ten zaś z kolei - do Jacksona, kierownika szpitalnej radiologii. Po sprawdzeniu starego zdjęcia Jackson oddzwonił do Obermeyera, a ów - do kierownika anestezjologii, który z kolei powiadomił urzędnika radiologii, że pacjentka nie potrzebuje nowego zdjęcia klatki piersiowej. Potem już wszystko poszło gładko, włącznie z wizytą w laboratorium. Trzeba było oddać krew i mocz do analizy. W końcu Cassi została umieszczona w dwuosobowym pomalowanym na niebiesko pokoju. Jej sąsiadką okazała się sześćdziesięcioletnia kobieta z zabandażowanym lewym okiem.

- Nazywam się Mary Sullivan - oznajmiła, gdy Cassi już się jej przedstawiła. Bez protezy w ustach wyglądała na więcej niż sześćdziesiąt jeden lat. Cassi zaciekała się, jakiego rodzaju operację oka przeszła ta kobieta.

- Odkleiła mi się siatkówka - rzekła Mary, jakby odgadując myśli Cassi. - Musieli mi

wyjąć oko i przykleić ją z powrotem za pomocą strumienia laserowego.

Cassi roześmiała się mimo woli. - Nie sędzę, żeby wyjmowali pani oko.

- A jednak. Kiedy po raz pierwszy zdjęli mi bandaż z oka, widziałam wszystko podwójnie i pomyślałam, że siatkówkę przykleili mi krzywo.

Cassi nie miała ochoty się spierać. Rozpakowała swoje rzeczy, starannie układając ampułki z insuliną i strzykawki w szufladzie nocnej szafki. Wieczorem - jak zwykle - powinna sobie zrobić zastrzyk, ale potem - aż do odwołania - będzie to za nią robił jej internista, doktor McInery.

Cassi przebrała się w piżamę. Trochę to było głupie zakładać piżamę w biały dzień, ale takie były przepisy. Pacjent w łóżku jest bardziej zdyscyplinowany: w piżamie była już tylko pacjentką.

Kiedy wyszła z pokoju bez lekarskiego fartucha, czuła się nieswojo, jakby uczyniła coś niewłaściwego, a gdy znalazła się na osiemnastym piętrze, dokąd się wybrała, żeby odwiedzić Roberta, miała wrażenie, że jest tutaj intruzem.

Zastukała do drzwi pokoju 1847 - nie usłyszała odpowiedzi. Cichutko otworzyła drzwi:

Robert leżał na plecach lekko pochrapując. W kąciu jego ust widać było na wpół już zaschniętą kropelkę krwi. Najwidoczniej wciąż jeszcze znajdował się w stanie narkozy.

Powodowana profesjonalnym odruchem spojrzała na kroplówkę. Płyn spływał wolno, równomiernie. Cassi pocałowała koniuszek swojego wskazującego palca i dotknęła nim czoła Roberta. Na stojącej obok łóżka nocnej szafce spostrzegła plik wydruków komputerowych.

Leżąca na samym wierzchu karta - jak się tego spodziewała - zawierała dane dotyczące serii SSD. Przez chwilę wahała się, czy nie zabrać ich ze sobą, ale bała się, że Thomas mógłby je u niej znaleźć. Ostatecznie postanowiła je obejrzeć razem z Robertem. Pomyślała także, że jeśli ma potraktować poważnie jego domysły o morderstwie, tego rodzaju dokumenty nie powinny

znajdować się u niej na dzień przed jej operacją.

Thomas otworzył drzwi do poczekalni i skinąwszy głową oczekującym go pacjentom przeszedł szybko do swojego gabinetu nie zatrzymując się. Przeklinał w myślach architekta, który nie zaprojektował oddzielnego wejścia do gabinetu, tak żeby można było dostać się do niego niepostrzeżenie. Doris uśmiechnęła się, gdy przechodził, ale nie wstała: wczorajszy epizod trochę ją przestraszył. Podała mu notatki o odebranych pod jego nieobecność telefonach.

W gabinecie Thomas włożył biały fartuch, który lubił mieć na sobie, kiedy przyjmował pacjentów: fartuch narzucał im nie tylko respekt, ale i posłuszeństwo. Usiadł przy biurku i szybko przebiegł oczami notatki od Doris. Zatrzymał się przy notatce o telefonie od Cassi: dzwoniła z pokoju 1740. Thomas zmarszczył czoło: był to dwuosobowy pokój, znajdujący się naprzeciwko pokoju pielęgniarek.

Nagłym ruchem podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer kierownika izby przyjęć, Grace Peabody.

- Proszę pani - odezwał się głosem pełnym irytacji. - Właśnie dowiedziałem się, że moja żona została przyjęta do dwuosobowej sali. Chciałbym bardzo, żeby miała swój własny pokój.

- Rozumiem pana, ale obecnie brakuje wolnych jedynek.

- Jestem pewien, że znajdzie pani dla niej oddzielny pokój. Jest to dla mnie bardzo ważna sprawa. W przeciwnym wypadku będę zmuszony interweniować u dyrektora szpitala.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy, doktorze Kingsley - odparła tonem, który wskazywał na najwyższą irytację.

- Zależy mi na tym - zakończył rozmowę Thomas, rzucając słuchawkę na aparat.

- Do diabła! - zaklął. Nienawidził ich, tych biurokratów o ptasich mózdkach. Żonie

najlepszego chirurga nie dano osobnego pokoju!

Zapoznając się z wykazem spraw do załatwienia, który mu Doris położyła na biurku,

Thomas masował skronie. Czuł, jak zaczyna mu pulsować w głowie.

Po krótkim wahaniu wysunął szufladę biurka. Po trzech bypassach i przed

załatwieniem dwunastu znajdujących się w wykazie spraw należy mu się małe pokrzepienie.

Wydobył jedną pigułkę koloru brzoskwini i połknął ją, po czym nacisnął przycisk interkomu i poprosił Doris o pierwszego oczekującego pacjenta.

Godziny przyjęć upłynęły Thomasowi lepiej, niż się tego spodziewał. Dwie

pooperacyjne wizyty zajęły mu po dziesięć minut. Szybko podpisał dokumentację związaną z

pięcioma bypassami i jedną wymianą zastawki. Pozostali czterej pacjenci nie byli

przewidziani do operowania i nie powinni byli być skierowani do Thomasa. Pozbył się ich szybko.

Na koniec, po podpisaniu kilku listów, ponownie zadzwonił do panny Peabody.

- Czy panu odpowiada pokój 1752? - zapytała wyniośle.

Był to jednoosobowy, narożny pokój przy końcu korytarza - jego okna wychodziły na

zachód i północ, z pięknym widokiem na rzekę Charles. Był przyjemny, czego Thomas nie

omieszkał głośno zauważyć. Panna Peabody odłożyła słuchawkę bez słowa pożegnania.

Thomas przebrał się w swoje ubranie i oznajmiwszy Doris, że jeszcze się z nią dziś

zobaczy, wyszedł do sektora administracyjnego. Po drodze zatrzymał się na krótko w

rentgenie, żeby obejrzeć niektóre zdjęcia jeszcze przed pójściem do Cassi.

Na siedemnastym piętrze ze zdziwieniem dowiedział się, że Cassi wciąż jeszcze

znajduje się w pokoju 1740. Wszedł do środka bez pukania.

- Dlaczego się jeszcze nie przeniosłaś? - zapytał.

- Dlaczego się nie przeniosłam? - powtórzyła zmieszana. Właśnie rozmawiała z Mary

o dzieciach.

- Załatwiłem dla ciebie osobny pokój - oświadczył zirytowany.

- Nie potrzebuję osobnego pokoju, Thomasie. Jestem zadowolona z towarzystwa Mary.

Cassi chciała przedstawić Thomasa Mary, ale ten nacisnął już dzwonek.

- Moja żona powinna być odpowiednio traktowana w tym szpitalu - powiedział wyglądając na korytarz w oczekiwaniu na nadejście pielęgniarki. - Jeśli ktokolwiek z członków rodzin tych podobno tak niezbędnych pracowników administracji leczy się w szpitalu, zawsze otrzymuje do dyspozycji osobny pokój.

Thomasowi udało się bezbłędnie zrobić wielkie zamieszanie wokół Cassi i wprawić ją tym w zakłopotanie. Czują się z Mary zupełnie dobrze i nie miała najmniejszej ochoty sprawiać dodatkowego kłopotu. Tymczasem Thomas w ciągu pół godziny postawił na nogi cały personel pielęgniarski, zatrudniając go przy przenosinach Cassi do nowego pokoju.

Kiedy w końcu znaleźli się sami, Thomas rozejrzał się po pokoju i stwierdził z zadowoleniem: - To jest zupełnie co innego.

Musiała przyznać, że pokój jest bardzo ładny. Z łóżka mogła oglądać, jak zimowe słońce zniża się ku zachodowi, osiągając stopniowo Unię horyzontu. Choć była niezadowolona z zamieszania, to jednak poczuła wdzięczność do Thomasa za ten oczywisty dowód jego troski.

- Teraz mam dla ciebie kilka dobrych wiadomości - powiedział siadając na skraju łóżka. - Rozmawiałem z Martinem Obermeyerem - jest zdania, że już po tygodniu będziesz się czuć doskonale. Wobec tego, działając z wyprzedzeniem, zarezerwowałem dla nas pokój w małym hotelu na wybrzeżu Martyniki. I co na to powiesz?

- To wspaniale! - zawołała Cassi. Perspektywa wyjazdu na urlop we dwoje budziła w

niej nieklamany zachwyty.

Rozległo się pukanie do drzwi, zza których wychyliła się głowa Joan Widiker.

- Wejdz, proszę - zaprosiła ją do środka Cassi, a następnie przedstawiła Thomasowi.

- Bardzo mi przyjemnie - oświadczyła Joan. - Dużo o panu słyszałam od Cassi.

- Joan jest już trzeci rok stażystką na psychiatrii - wyjaśniła Cassi. - Bardzo mi pomogła w zaadaptowaniu się w nowym oddziale.

- Bardzo mi miło - powiedział Thomas, który z miejsca poczuł do niej niechęć. Nie lubił niewiast, które swoją kobiecość traktowały jako tytuł do przywilejów.

- Bardzo przepraszam za to wtargnięcie - oznajmiła Joan - ale wpadłam tylko na krótko, by powiedzieć Cassi, że wszyscy jej pacjenci znajdują się pod dobrą opieką. Wszyscy życzą jej dobrego zdrowia, nawet pułkownik Bentworth. Co jest najdziwniejsze - mówiła ze śmiechem - to fakt, że twoja choroba wywarła bardzo pozytywny wpływ terapeutyczny na nich wszystkich. Być może wszyscy psychiatrzy powinni przechodzić jakieś operacje od czasu do czasu?

Cassi roześmiała się patrząc jednocześnie na męża, który wstał z miejsca.

- Muszę już iść - powiedział. - Teraz czeka mnie obchód. - Pocałował Cassi w policzek. - Będę u ciebie jutro rano tuż przed operacją. Wszystko będzie dobrze, śpij spokojnie.

- Ja też nie mogę zostać z tobą dłużej - oświadczyła Joan po wyjściu Thomasa. -

Muszę pójść na konsultację. Mam nadzieję, że nie wypłoszyłam twojego męża.

- Thomas jest teraz wprost cudowny - rozpromieniła się Cassi. - Jest delikatny i opiekuńczy. Razem wyjeżdżamy na urlop. Chyba jednak nie miałam racji z tymi narkotykami.

Znając wpływ Thomasa na Cassi, Joan miała wątpliwości co do obiektywizmu tej

oceny. Powstrzymała się jednak od uwag i wyraziła zadowolenie, że sprawy układają się dla Cassi tak pomyślnie. Zanim opuściła salę, życzyła jej szybkiego powrotu do zdrowia. Po wyjściu Joan Cassi leżała spokojnie w łóżku, podziwiając zmiany barwy nieba za oknem: raz było bladopomarańczowe, to znów srebrnofioletowe. Ciągle nie mogła się nadziwić, że Thomas stał się nagle taki miły. Jakikolwiek był powód tej przemiany, była mu za nią bezgranicznie wdzięczna.

Gdy się już zaczęło ściemniać, Cassi pomyślała o Robercie. Nie chciała do niego telefonować, aby go przypadkiem nie obudzić. Postanowiła odwiedzić go w pokoju. Klatka schodowa przylegała do pokoju Cassi, szybko więc znalazła się na osiemnastym piętrze. Drzwi do pokoju Roberta zastała zamknięte. Delikatnie zastukała. Zaspianym głosem zaprosił ją do środka.

Robert wciąż jeszcze był półprzytomny. Oświadczył, że czuje się zdecydowanie dobrze. Narzekał tylko na obolałą jamę ustną, żartując że odbył się w niej mecz hokejowy. - Czy podano ci już coś do jedzenia? - zapytała Cassi. Zauważyła, że wydruki komputerowe zniknęły z nocnej szafki.

- Chyba żartujesz? - zapytał. Uniósł do góry rękę z podłączoną kroplówką. - Jestem na diecie z płynnej penicyliny.

- Jutro rano będę operowana - oznajmiła nagle Cassi.

- Życzę przyjemnych wrażeń - powiedział Robert walcząc z ogarniającą go sennością.

Cassi roześmiała się, pogładziła delikatnie jego rękę i wyszła.

Ból był tak intensywny, że Thomas omal nie zaczął krzyczeć. Potknął się o stary kufer, który stał przy łóżku Doris. W półmroku poszukiwał swojej bielizny. Nie troszcząc się, że może obudzić Doris, zapalił wreszcie lampkę. Nic dziwnego, że nie mógł znaleźć swoich niewymownych - Doris rzuciła je w drugi koniec pokoju i zawisły na gałce od komody.

Po odszukaniu wszystkich części garderoby Thomas wyłączył światło, przeszedł na palcach do saloniku i tam szybko się ubrał. Wyszedł z mieszkania, cichutko zamykając za sobą drzwi. Gdy już był na ulicy, spojrzął na zegarek: dochodziła pierwsza.

W szpitalu poszedł wprost do przebieralni, włożył chirurgiczne ubranie, zawiązał na twarzy maskę i udał się do sali operacyjnej. Anestezjolog wyjaśnił mu, że pacjent cierpi na tętniaka rozwarstwiającego, w związku z czym po południu przeprowadzono cewnikowanie.

Thomas podszedł do stołu operacyjnego. - Ciężki przypadek? - zagadnął prowadzącego operację chirurga. Jednocześnie próbował zajrzeć w głąb cięcia.

Doktor odwrócił się do Thomasa: - Straszliwie - odparł. - Nie jesteśmy w stanie określić, jak wysoko sięga tętniak. Być może obejmuje cały odcinek piersiowy aorty. Jeśli tak, to Bóg nam pana zesłał. Czy można na pana liczyć?

- Oczywiście - zapewnił Thomas. - Spróbuję zdrzemnąć się w przebieralni. W razie potrzeby proszę mnie obudzić.

Po wyjściu z sali operacyjnej zajrzał jeszcze do pokoju chirurgów i zastał tam trzy pielęgniarki. Właśnie odpoczywały po dopiero co zakończonej operacji. Skinął im ręką i udał się do przebieralni.

Wieczór upłynął Cassi dość przyjemnie. Wstrzyknęła sobie insulinę, zjadła kolację, wzięła prysznic i spędziła trochę czasu przed telewizorem. Próbowała także zagłębić się w lekturze czasopisma poświęconego psychiatrii, w końcu jednak dała sobie spokój, widząc, że nie może się skoncentrować. O dziesiątej przyjęła pigułkę nasenną, mimo to nie mogła zasnąć. Zastanawiała się nad wnioskami wynikającymi z ustaleń Roberta. Jeśli w żyłach Jeoffry'ego Washingtona rzeczywiście wykryto fluorek sodu, ktoś w tym szpitalu jest mordercą. Nie dawało jej to spokoju, zwłaszcza w kontekście jutrzejszej operacji, po której wróci do pokoju półprzytomna i bezbronna.



Przewracała się z boku na bok, gdy nagle usłyszała jakiś odgłos. Nie była pewna, ale to chyba było skrzypnięcie drzwi.

Nie poruszała się, wstrzymując oddech. Wokół panowała cisza, ale Cassi miała wrażenie, że ktoś oprócz niej jest jeszcze w pokoju. Strach nie pozwolił jej odwrócić się i spojrzeć w tamtą stronę. Wtem usłyszała zupełnie wyraźnie, że ktoś stawia szklany wazon na stoliku przy jej łóżku, ktoś stoi obok niej!

Nagle wydała przytłumiony okrzyk, gdy ujrzała nad sobą ciemną sylwetkę w białym fartuchu. Równocześnie w panice sięgnęła do lampki i ją zapaliła.

- Boże wielki! Bardzo mnie przestraszyłaś! - odezwał się George Sherman, przyciskając w teatralnym geście rękę do piersi. - Cassi, zabrałaś mi dziesięć lat życia!

Wzrok Cassi zatrzymał się na ogromnym bukietcie ciemnoczerwonych róż. Stał w wazonie na nocnym stoliku z przyczepioną białą kopertą zaadresowaną „Cassi”.

- Przepraszam bardzo. Zdaje się, że przestraszyliśmy się wzajemnie. Nie mogę zasnąć, więc słyszałam jak wszedłeś.

- Sądziłem, że śpisz w najlepsze i nie chciałem cię obudzić.

- Czy te piękne róże są dla mnie?

- Tak, chciałem je nawet przynieść wcześniej, ale byłem zajęty niemal do ostatniej chwili. Zamówiłem je dziś po południu i przyniosłem sam, żeby mieć pewność, że je otrzymałaś.

Cassi uśmiechnęła się. - To bardzo miłe z twojej strony - powiedziała.

- Słyszałem, że jutro rano będziesz operowana. Mam nadzieję, że to będzie pomyślna operacja. - Nagle uprzytomnił sobie, że Cassi siedzi w łóżku w nocnej koszuli. Poczzerwieniał, bąknął szybko „dobranoc” i zrejterował z pokoju.

Cassi roześmiała się mimo woli. Przypomniała sobie, jak George wylał wino na jej

kolana. Wyjęła kopertę z bukietu i wydobyła z niej kartkę z napisem: „Wszystkiego najlepszego od cichego wielbiciela”. Uśmiechnęła się. George jest jednak bardzo staromodny. Z drugiej strony chyba miał rację nie podpisując się. Po tej okropnej scenie, jaką Thomas urządził u Ballantine’a...

Dwie godziny później Cassi wciąż jeszcze nie spała. Zdesperowana odrzuciła na bok przykrycie i wstała z łóżka. Obok na krześle leżała jej sukienka - włożyła ją na siebie i postanowiła odwiedzić Roberta. Jeśli Robert również nie śpi, rozmowa z nim pewnie by ją uspokoiła.

Jeśli Cassi wczoraj po południu czuła się nieswojo w stroju pacjentki, to w tej chwili czuła się jak prawdziwy przestępca. Korytarze szpitala były opustoszałe, na klatce schodowej panowała absolutna cisza. Przekradała się do pokoju Roberta mając nadzieję, że nie spotka na drodze nikogo, kto by ją mógł skarcić i nakazać powrót.

Zajrzała do zaciemnionego pokoju. Światło paliło się tylko w łazience, do której drzwi były lekko uchylone. Do uszu Cassi dochodził regularny oddech Roberta. Podeszła do łóżka i spojrzała na twarz leżącego: był pogrążony w głębokim śnie.

Miała już wyjść, gdy spostrzegła, że komputerowe wydruki znów pojawiły się na nocnej szafce. Zgarnęła je jak najciszej i zabrała z sobą; zanim jednak wyszła, zaczęła rozglądać się za ołówkiem, który widziała dziś po południu: palcami wymacała w ciemności najpierw szklankę, potem zegarek na rękę, w końcu wreszcie pióro. Weszła do łazienki i na oderwanym od kartki pasku papieru napisała: „Nie mogłam zasnąć. Pożyczyłam sobie materiały SSD. Statystyka zawsze mnie usypiała. Z wyrazami sympatii - Cassi”.

Kiedy wróciła z łazienki, z trudem trafiła do nocnej szafki. Położyła na szklance swoją karteczkę i miała zamiar wyjść, gdy spostrzegła, że drzwi do pokoju powoli się otwierają. Omal nie krzyknęła z przestachu, ujrzawszy intruza. - Wielki Boże, co ty tutaj robisz?

- wyszeptała, a kilka kartek wypadło jej z rąk.

Wciąż stojąc w drzwiach, Thomas gestem nakazał Cassi spokój. Światło z korytarza padało prosto na twarz Roberta, ten jednak ani drgnął. Upewniwszy się, że Robert śpi twardo, Thomas pochylił się, żeby pomóc Cassi w zbieraniu kartek.

Kiedy oboje już się wyprostowali, Cassi znowu zapytała: - Co ty, u licha, tutaj robisz?

Zamiast odpowiedzi Thomas wyprowadził ją po cichu na korytarz, zamykając ostrożnie drzwi. - Czemu jeszcze nie śpisz? - zapytał. - Przecież jutro rano będziesz operowana! Zajrzałem do twojego pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku i zastałem łóżko puste. Nietrudno było się domyślić, gdzie możesz się znajdować.

- Bardzo mi to pochlebia, że przyszedłeś mnie odwiedzić - szepnęła Cassi z uśmiechem.

- To nie są żarty, moja droga - powiedział poważnie Thomas. - O tej porze powinnaś już spać. Co tutaj robisz o drugiej nad ranem?

Ruchem głowy wskazała komputerowe wydruki. - Ponieważ nie mogłam zasnąć, postanowiłam się czymś zająć.

- To, co mówisz, jest niepoważne. Już od kilku godzin powinnaś spać! - skarcił ją, prowadząc jednocześnie w kierunku schodów.

- Pigułka nasenna wcale nie poskutkowała - usiłowała się tłumaczyć.

- Powinnaś poprosić o drugą. Słowo daję, Cassi, zasłużyłaś na burę.

Cassi zatrzymała się pod drzwiami swojego pokoju i spojrzała na Thomasa z poczuciem winy. - Masz rację, Thomas. Przepraszam bardzo. Nie pomyślałam.

- Już trudno - stwierdził Thomas. - Kładź się do łóżka. Zaraz przyniosę ci drugą tabletkę.

Przez chwilę Cassi odprowadzała wzrokiem Thomasa, zmierzającego w kierunku

pokoju pielęgniarek, a następnie weszła do pokoju. Położyła materiały SSD na nocnym stoliku, zdjęła sukienkę, przewiesiła ją przez poręcz krzesła i zrzuciła z nóg pantofle. Czując nad sobą opiekę Thomasa, uspokoiła się.

Gdy wrócił z pigułką, stanął przy jej łóżku i patrzył, jak ją połyka. Przekomarzając się, zajrzał jej do ust, sprawdzając czy nie ukryła pigułki.

- To stanowi pogwałcenie wolności osobistej - protestowała Cassi odsuwając twarz.

- Dzieci należy traktować jak dzieci - zażartował.

Wziął ze stolika komputerowe wydruki, podszedł do szafki pod ścianą i wrzucił je do jednej z szuflad. - Dość już tych bzdur na dzisiaj. Masz niezwłocznie spać.

Przysunął krzesło do łóżka, usiadł na nim, wyłączył światło i ujął Cassi za rękę.

Zaczął jej mówić o urlopie, który ich czeka. Malowniczo opisywał złote, gorące piaski, krystaliczną wodę morską i pałace, tropikalne słońce.

Cassi słuchała go z rozkoszą. Ogarniało ją przemożne uczucie ciszy i spokoju. Powoli pogrążała się we śnie.

Robert miał straszliwy sen: był uwięziony między dwoma ścianami, między którymi przestrzeń nieubłaganie się kurczyła. Robiło mu się coraz duszniej, nie miał czym oddychać.

Przebudzenie było efektem niemal rozpaczliwego wysiłku. Sen się skończył, ściany się rozstały, ale pozostało okropne uczucie duszenia się. Mogło się wydawać, że w pokoju nagle zabrakło powietrza.

Ogarnięty paniką usiłował usiąść, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Za wszelką cenę starał się znaleźć przycisk sygnału dla pielęgniarki, rzucał więc rękami na lewo i prawo.

W pewnym momencie dotknął kogoś, kto stał obok milcząc w ciemnościach. Dzięki Bogu, nadeszła pomoc!

- Ze mną dzieje się coś złego - wydusił z siebie, rozpoznając przybysza. - Proszę mi

pomóc, ja się duszę!

Tymczasem przybysz popchnął dźwigającego się z łóżka Roberta tak gwałtownie, że niemal upuścił trzymaną w dłoni pustą strzykawkę. Robert usiłował znowu się unieść, chwytając marynarkę mężczyzny, kopiąc jednocześnie nogami metalowe pręty łóżka, które wydawały przy tym charakterystyczny dźwięk. Próbował krzyczeć, ale zamiast tego z gardła wydobył mu się przytłumiony, nieartykułowany bulgot. Mężczyzna nachylił się, żeby zakryć mu usta ręką; nagle kolano Roberta uderzyło go w podbródek; przyciął sobie zębami koniuszek języka.

Rozwścieczony, przygniótł go całym swoim ciężarem, wciskając mu twarz w poduszkę. Kilka minut Robert bezsilnie kopał i wierzgał nogami, aż w końcu przestał się ruszać. Mężczyzna wyprostował się, zwalniając z uścisku jego głowę. Robert przestał oddychać, a jego twarz zrobiła się sina.

Mężczyzna poczuł się wyczerpany nagłym wysiłkiem. Wszedł do łazienki i wypłukał krew z ust. Ilekroć wysyłał pacjenta na tamten świat, czynił to z przekonaniem, że robi słuszną rzecz. Kto daje życie, ma je prawo też zabierać. Śmierć, którą zadawał, miała przynieść w swoich skutkach dobro.

Przypomniawszy sobie pierwszą śmierć, za którą wziął odpowiedzialność. Nigdy nie wątpił, że postąpił wtedy słusznie. Było to wiele lat temu, kiedy jako początkujący stażysta pracował na oddziale chirurgii klatki piersiowej. Na sali intensywnej terapii powstała sytuacja bez wyjścia: wszystkie łóżka były zajęte przez pacjentów z pooperacyjnymi komplikacjami. Nikogo nie można było wypisać, w związku z czym wstrzymano operacje. Barney Kaufman, szef stażystów, chodził codziennie od łóżka do łóżka, szukając kogo by tu można przenieść - wciąż bez rezultatu. I każdego dnia zatrzymywał się przy pacjencie, którego nazywał Frankiem Gorkiem. Podczas operacji uwolniono mu materiał zatorowy ze zwapniałej

zastawki sercowej i pozostawiono w stanie, w którym mózg praktycznie przestał już funkcjonować. Leżał na intensywnej terapii już przeszło miesiąc. To, że jeszcze żył w takim sensie, że jego serce wciąż jeszcze biło i pracowały wciąż jeszcze nerki, zawdzięczał wyłącznie staraniom pielęgniarek.

Pewnego popołudnia Kaufman spojrzał na Franka i zapytał: - Panie Gork, my tu wszyscy pana bardzo kochamy, ale czy pan nie ma zamiaru opuścić tego hotelu? Wiem dobrze, że przecież nie z powodu dobrej kuchni pan tutaj ciągle jeszcze mieszka.

Wszyscy parsknęli śmiechem oprócz pewnego stażysty, który długo patrzył w nic nie wyrażającą twarz Franka. Późną nocą stażysta ten wszedł na salę intensywnej terapii i skierował się prosto do łóżka Franka Górka ze strzykawką wypełnioną chlorkiem potasu. W ciągu kilku sekund regularny dotąd rytm pracy serca uległ zakłóceniu, a następnie stopniowemu zanikowi. Ten sam stażysta ogłosił „kod”, ale zespół reanimacyjny nie był w stanie już nic wskórać.

W gruncie rzeczy wszyscy byli zadowoleni, zaczynając od pielęgniarek, kończąc na opiekującym się chorym chirurgu. Stażysta musiał wręcz uważać, by przypadkiem nie przypisać sobie zasługi.

Musiał jednak przyznać, że odebranie życia Robertowi Seibertowi było zupełnie czymś innym. W tej chwili nie czuł tak dobrze znanej sobie euforii, wynikającej z przekonania, że zrobił to, co należało zrobić i że był jednym z niewielu, którzy mieli odwagę to uczynić. A jednak Robert Seibert musiał umrzeć; nie powinien był grzebać się w tej tak zwanej serii SSD.

Po wyjściu z łazienki szybko przeszukał pokój, szukając materiałów związanych z prowadzonymi przez Roberta badaniami; nic nie znalazłszy, ostrożnie uchylił drzwi. Ogarnęło go przerażenie, gdy spostrzegł pielęgniarkę z małą metalową tacą w ręku.

Odetchnął, kiedy weszła do innej sali.

Z bijącym sercem wysliznął się na korytarz. Nikt nie powinien go zobaczyć teraz na tym piętrze. Kiedy był jeszcze stażystą, zawsze mógł znaleźć uzasadnienie dla swojej obecności w tej części szpitala - obecnie już nie. Musiał być bardziej ostrożny.

Na klatce schodowej ogarnęła go panika. Wielkimi susami pokonał kilka pięter i zbiegł w dół. Odetchnął dopiero na dwunastym piętrze. Teraz zwolnił nieco, ale zatrzymał się dopiero na piątym. Oparł się plecami o betonową ścianę ciężko oddychając. Zdawał sobie sprawę, że musi się za wszelką cenę opanować.

Po chwili, nabrawszy tchu w piersi, otworzył w końcu drzwi wiodące na korytarz.

Teraz poczuł się bezpieczny, ale jego umysł wciąż pracował gorączkowo. Ciągłe myślał o materiałach SSD - z pewnością wyjściowe materiały znajdują się w biurze Roberta.

Westchnął i postanowił natychmiast udać się na patologię, zanim jeszcze śmierć Roberta zostanie ujawniona. Potem jedynym problemem będzie tylko Cassi: nie wiadomo, jak wiele Robert zdążył jej powiedzieć.

## **Rozdział XI**

Cassandra drgnęła odzyskując świadomość. Pochylała się nad nią uśmiechnięta twarz laborantki, powtarzającej głośno już po raz trzeci: - Doktor Cassidy!

- Ależ pani twardo śpi - powiedziała spostrzegłszy, że Cassi otwarła w końcu oczy.

Cassi zastanawiała się, dlaczego wciąż czuje się półprzytomna - potem przypomniała sobie, że wzięła drugą pigułkę nasenną.

- Muszę od pani pobrać krew - usprawiedliwiała się laborantka.

- W porządku - odparła obojętnie Cassi. Podała laborantce lewe ramię, pamiętając, że przez następne kilka dni kto inny będzie jej wstrzykiwał insulinę.

I rzeczywiście, kilka minut później pojawiła się pielęgniarka z kroplówką i butelką

D5W, zawierającą dziesięć jednostek insuliny. Podłączyła kroplówkę do lewego ramienia

Cassi i podała jej przedoperacyjny środek wzmacniający.

- To pani dobrze zrobi - powiedziała. - Proszę się teraz odprężyć. Zaraz tu będą po panią.

Podczas transportu do windy Cassi odczuwała dziwną obojętność, jakby to wszystko, co się działo, jej nie dotyczyło. Kiedy znalazła się w pokoju obok sali operacyjnej, miała już tylko połowiczną świadomość faktu, że jest w samym centrum uwagi otaczających ją lekarzy i pielęgniarek. Początkowo nawet nie poznała Thomasa; dopiero gdy pochylił się i pocałował ją, powiedziała mu - w każdym bądź razie tak jej się przynajmniej zdawało - że wygląda śmiesznie w roboczym stroju chirurga.

- Wszystko będzie dobrze - mówił uspokajająco, głaszcząc jej rękę. - Cieszę się, że zdecydowałaś się na operację - to była rozsądna decyzja.

Po lewej stronie Cassi pojawił się doktor Obermeyer. - Powierzam żonę twojej opiece!

- doszło jeszcze do jej uszu. Potem już stopniowo zapadała w sen. Pamiętała jeszcze moment wwożenia do sali operacyjnej - nie czuła najmniejszego strachu przed tym, co ją czekało.

- Chcę jeszcze dać pani coś, żeby pani zupełnie zasnęła - powiedział anestezjolog. - Ja już śpię - szepnęła, śledząc wzrokiem spływające do jej żył krople. Po chwili już twardo spała.

Zespół operacyjny działał szybko i sprawnie. O ósmej zero pięć mięśnie oka zostały izolowane i opasane taśmami. Kiedy oko zostało unieruchomione, doktor Obermeyer wykonał cięcia w twardówce i wprowadził tnące i ssące instrumenty. Przy pomocy specjalnego mikroskopu poprzez rogówkę i źrenicę zajrzał do zakrwawionej szklistki. O ósmej czterdzieści pięć zaczął oglądać siatkówkę. O dziewiątej piętnaście odkrył źródło krwawienia, którym okazał się węzeł dodatkowego naczynia krwionośnego, wychodzącego z



tarczy nerwu wzrokowego. Doktor troskliwie spowodował koagulację i uniedrożnienie. Był bardzo zadowolony, gdyż teraz miał pewność, że nie tylko usunął przyczynę schorzenia, ale także uniemożliwił jego nawrót. Cassi naprawdę miała szczęście.

Thomas zakończył swój jedyny tego dnia bypass wieńcowy - pozostałe dwa odwołał.

Na szczęście operacja przebiegała stosunkowo gładko, chociaż znowu miał trudności z przyszyciem anastomozy. Jednak tym razem dotrwał do końca; za to gdy tylko przekazał pacjenta Larry'emu Owenowi, natychmiast poszedł się przebrać w „cywilne” ubranie. Zwykle czekał, aż Larry zakończy zszywanie i przekaze pacjenta pod opiekę pielęgniarek, ale tego ranka nie mógł wytrzymać na miejscu. Przed wyjściem ze szpitala wstąpił jeszcze na salę operacyjną, żeby upewnić się, że zabieg przebiega normalnie.

- Wszystko w porządku - zawołał Larry, nie odwracając głowy od pacjenta. - W tej chwili go zszywamy.

- Pięknie. Ja zostałem wezwany do nagłego wypadku.

- Tu kontrolujemy całkowicie sytuację.

Thomas rzadko wychodził ze szpitala w ciągu dnia pracy. Wsiadł do swojego porsche'a i zapalił silnik: warkot samochodu wprowadził go w stan podniecenia. Po frustracjach przeżytych w szpitalu samochód dostarczał mu poczucia niezwyklej swobody. Na jezdni czuł się panem sytuacji.

Po krótkiej jeździe Thomas zatrzymał się na terenie niedozwolonym do parkowania, naprzeciwko dużej apteki, ufny że tabliczka MD\* uchroni go przed mandatem. W aptecę podszedł do okienka, w którym realizowano recepty.

Farmaceuta ubrany w tradycyjny uniform z wysokim kołnierzykiem pojawił się natychmiast w okienku:

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Dzwoniłem do was wcześniej w sprawie kilku narkotyków.

- Zgadza się. Przygotowałem je dla pana - farmaceuta wskazał małe kartonowe opakowanie.

- Czy mam wypisać receptę? - zapytał Thomas.

- Nie ma potrzeby. Wystarczy okazanie legitymacji lekarskiej. Thomas wyjął

\* MD - medicine doctor

legitymację z portfela; farmaceuta zerknął na nią przelotnie i zapytał: - Czy to już wszystko, czy pan sobie jeszcze czegoś życzy?

Thomas skinął głową potakująco, chowając jednocześnie portfel do kieszeni.

- Rzadko mamy do czynienia z tak dużym zapotrzebowaniem - stwierdził farmaceuta.

- Nie wątpię - odrzekł Thomas biorąc paczuszkę.

Cassandra ocknęła się z narkozy nie mając pojęcia, co się z nią dzieje. Głosy

dochodziły z oddali, słyszała je, ale nie mogła zrozumieć. W końcu uświadomiła sobie, że ktoś ją woła.

Spróbowała otworzyć oczy, ale jakoś nie mogła. Nagle ogarnęło ją uczucie paniki, chciała usiąść, ale czyjaś ręka ją powstrzymała.

- Spokojnie, wszystko jest w porządku - odezwał się jakiś głos tuż obok.

Ale ona czuła, że nie wszystko jest w porządku, gdyż nic nie widziała. Co się stało? I

wtedy nagle przypomniała sobie narkozę i operację. - Boże! Jestem ślepa! - zawołała podnosząc ręce do oczu. Ktoś przytrzymał jej ręce.

- Spokojnie. Masz na oczach opatrunki.

- Dlaczego opatrunki? - krzyczała.

- Po to, żeby twoje oczy mogły odpocząć - usłyszała spokojną odpowiedź. - Musisz

być cierpliwa dzień lub dwa. Operacja przebiegła pomyślnie. Doktor powiedział, że masz

szcęście. Doprowadził do koagulacji krwi w kłopotliwym naczyniu, ale żeby krwawienie się nie powtórzyło, trzeba zachować spokój.

Cassi trochę się uspokoiła, ale ciemność, która ją otaczała, była przerażająca. - Czy nie mogłabym choć na małą chwilkę popatrzeć? - prosiła.

- Nie wolno, takie jest polecenie lekarza. Nie wolno nam dotykać twoich opatrunków.

Ale mogę na ciebie skierować strumień światła - jestem przekonana, że go dostrzeżesz.

Zgoda?

- Oczywiście - odrzekła Cassi. Dlaczego jej o tym nie powiedziano przed operacją?

Czuła się oszukana.

- Zaraz wracam - usłyszała głos. Po chwili rozległo się pstryknięcie i światło pojawiło się w oczach Cassi, co najważniejsze - w obu. - Widzę - zawołała podniecona.

- Jasne, że musisz widzieć - odparł głos. - Szybko wracasz do zdrowia. Czy czujesz jakiś ból?

- Żadnego - odparła Cassi. Światło zostało wyłączone.

- Wobec tego odpoczywaj. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała - zadzwoń.

Do pogrążonej w ciemnościach Cassi dochodziły głosy krzątających się wokół innych pacjentów pielęgniarek. Domyśliła się, że znajduje się na sali.

Ciekawa była, czy Thomas przyjdzie ją odwiedzić.

O drugiej dziesiątej Thomasowi pozostał już tylko jeden pacjent, z którym był umówiony na drugą trzydzieści. Korzystając z krótkiej przerwy między jednym a drugim pacjentem sprawdził, który z chirurgów klatki piersiowej miał tej nocy dyżur. Gdy dowiedział się, że doktor Burges, zadzwonił do niego i wyjaśnił, że tę noc chce spędzić w szpitalu, aby być blisko swojej chorej żony, może więc go z powodzeniem zastąpić. Doktor Burges może mu odwzajemnić przysługę przy najbliższej okazji.

Po skończeniu rozmowy stwierdził, że zostało mu jeszcze piętnaście minut, postanowił więc w tym czasie odwiedzić Cassi. Znajdowała się już w swoim pokoju - leżała spokojnie z grubymi opatrunkami na twarzy, przyklejonymi elastycznymi taśmami. Miała podłączoną kroplówkę do lewego ramienia. Trudno było powiedzieć, czy śpi w tej chwili, czy nie.

Thomas podszedł cicho do łóżka.

- Cassi? - szepnął. - Śpisz?

- Nie - odparła. - To ty, Thomas? Thomas ujął jej rękę. - Jak się czujesz, kochanie?

- Doskonale. Tylko te opatrunki; dlaczego doktor Obermeyer nic mi o nich nie powiedział?

- Rozmawiałem z nim - odrzekł. - Zadzwoił do mnie po operacji i powiedział, że wszystko poszło lepiej, niż tego oczekiwał. Zabieg ograniczył się do jednego naczynia krwionośnego. Zajął się nim, ale ponieważ było dość duże, musiał nałożyć opatrunki.

- Nie czuję się z nimi najlepiej.

- Wyobrażam sobie - powiedział współczująco.

Spędził z nią jeszcze dziesięć minut, a następnie oświadczył, że musi wracać do swojego biura. Pogładził jej rękę i kazał jak najwięcej spać.

Ku swojemu zdumieniu Cassi zasnęła i obudziła się dopiero późnym popołudniem.

- Cassi? - usłyszała jakiś głos.

Cassi drgnęła, zaskoczona jego bliskością.

- To ja, Joan. Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

- Nie szkodzi, Joan. Po prostu nie słyszałam jak weszłaś.

- Powiedziano mi, że twoja operacja udała się - rzekła Joan, przysuwając sobie krzesło do łóżka.

- Podobno tak - odparła Cassi. - Poczuję się jednak znacznie lepiej wtedy, kiedy mi zdejmą z oczu te opatrunki.

- Słuchaj, Cassi - odezwała się Joan. - Mam dla ciebie złą wiadomość. Całe popołudnie zastanawiałam się, czy powinnam ci ją przekazać.

- Co takiego? - z niepokojem zapytała Cassi. Natychmiast przyszło jej do głowy, że może któryś z jej pacjentów popełnił samobójstwo. Było to przedmiotem ciągłych obaw na Clarkson 2.

- To jest bardzo zła wiadomość.

- Domyślam się z tonu twojego głosu.

- Czy znajdziesz w sobie dość siły, żeby jej wysłuchać? Czy może wolałabyś poczekać?

- Musisz mi zaraz powiedzieć, o co chodzi - inaczej będę wciąż niespokojna.

- Chodzi o Roberta Seiberta.

Joan zamilkła na chwilę, obserwując z obawą twarz Cassi.

- Co masz mi do powiedzenia o Robercie? - dopytywała się Cassi. - Do licha, Joan, nie trzymaj mnie już dłużej w niepewności. - Przeczuwała w tej chwili najgorsze.

- Robert umarł tej nocy - oznajmiła Joan, ujmując jednocześnie Cassi za rękę.

Cassi nawet nie drgnęła. Upływały minuty, a ona wciąż trwała w bezruchu. Jedyne przyspieszony oddech i siła, z jaką ścisnęła dłoń Joan, świadczyły o tym, że żyje. Był to desperacki uścisk. Joan nie bardzo wiedziała, jak się zachować. - Czy dobrze się czujesz, Cassi? - zapytała w końcu.

Wiadomość o śmierci Roberta poraziła Cassi. Oczywiście, każdy kto poddaje się operacji, musi się liczyć również z możliwością jej niepowodzenia, nikt jednak nie traktuje tego zbyt poważnie. Jeśli kupujesz los na loterii, zawsze robisz to z myślą o wygranej.

- Czy dobrze się czujesz, Cassi? - powtórzyła Joan.

Cassi westchnęła ciężko. - Opowiedz mi, jak to się stało - poprosiła.

- Nikt nie wie tego dokładnie - odparła Joan, rada, że Cassi zaczęła mówić. - Nie znam szczegółów tego, co się zdarzyło. Chyba umarł podczas snu. Pielęgniarki mówiły, że prawdopodobnie był chory na serce, czego nikt wcześniej nie podejrzewał. Przypuszczam więc, że umarł na atak serca, chociaż nie jestem tego pewna.

- O Boże! - zawołała Cassi walcząc ze łzami.

- Przepraszam, że przyszłam z tak złą wiadomością - rzekła Joan. - Wolałam jednak sama ci o tym powiedzieć, niż żeby miał to uczynić ktoś inny.

- Był wspaniałym człowiekiem - rzekła Cassi. - I potrafił być takim dobrym przyjacielem. - Czuła się zdruzgotana.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - troskliwie zapytała Joan.

- Nie, dziękuję.

Zapanowała kłopotliwa cisza. - Czy jesteś pewna, że czujesz się dobrze? - dopytywała się Joan.

- Zupełnie dobrze, Joan.

- Czy masz ochotę na rozmowę?

- Nie teraz - odparła Cassi. - Muszę najpierw pozbierać myśli. Joan poczuła, że Cassi chce zostać sama. Zastanawiała się, czy słusznie uczyniła przychodząc do niej z tą wiadomością, ale to się już stało. Przez chwilę jeszcze siedziała obejmując rękę Cassi swoimi dłońmi, a następnie wyszła życząc przyjaciółce dobrej nocy.

W drodze powrotnej wstąpiła do pokoju pielęgniarek, gdzie oświadczyła, że jest przyjaciółką doktor Cassidy, która jest teraz w stanie depresji, wywołanej wiadomością o śmierci doktora Seiberta. W związku z czym prosi, by na chorą zwrócono szczególną uwagę.

Tymczasem Cassi leżała długo w bezruchu. Nie protestowała, gdy Joan wychodziła, ale potem poczuła się strasznie nieszczęśliwa. Z chwilą śmierci Roberta odżyły jej dawne obawy przed osamotnieniem. Pamiętała, że gdy była dzieckiem, bała się, że matka może ją odesłać do szpitala w zamian za inne, zdrowe dziecko.

Czując, jak ogarnia ją uczucie paniki, nacisnęła dzwonek.

- O co chodzi, doktor Cassidy? - zapytała pielęgniarka, wchodząc po chwili do pokoju.

- Boję się czegoś - rzekła Cassi. - Proszę o zdjęcie opatrunków z oczu.

- Pani wie, że nie wolno nam tego uczynić - mamy wyraźny zakaz - odpowiedziała

pielęgniarka. - Jedyne, co mogę dla pani zrobić - to wezwać doktora. Czy zgadza się pani?

- Wszystko mi jedno, co pani robi - wiem tylko, że nie chcę tych opatrunków -

domagała się Cassi.

Pielęgniarka wyszła, a Cassi znów pozostała sama w ciemnościach. Czas włókł się nieznośnie. Tylko od czasu do czasu do uszu Cassi docierały z korytarza kroki i głosy przechodzących pod drzwiami pokoju osób.

Wreszcie doczekała się powrotu pielęgniarki. - Rozmawiałam z doktorem

Obermeyerem - oświadczyła najwidoczniej z siebie zadowolona. - Powiedział, że wkrótce

panią odwiedzi. Oznajmił także, że operacja pani oka poszła znakomicie i że teraz trzeba

koniecznie wypoczywać. Polecił zrobić pani zastrzyk uspokajający, proszę się więc położyć na boku.

- Ja nie chcę zastrzyku! Chcę, by mi zdjęto z oczu te opatrunki.

- Chwileczkę - pielęgniarka podeszła do łóżka i zsunęła z Cassi przykrycie.

Z największym trudem Cassi przezwyciężyła ogarniającą ją przekorę i podporządkowała się pielęgniarce.

- Już po wszystkim - stwierdziła pielęgniarka po wykonaniu zastrzyku. - Teraz pani z

pewnością poczuje się lepiej.

- Co to było takiego? - zapytała Cassi.

- Proszę o to zapytać doktora. A tymczasem proszę leżeć spokojnie i wracać do zdrowia. Może włączyć pani telewizor? - Nie czekając na odpowiedź, włączyła aparat i wyszła z pokoju.

Głos telewizyjnego spikera działał uspokajająco. Zaczął również działać zastrzyk i Cassi zasnęła. Obudziła się na krótko, gdy odwiedził ją doktor Obermeyer, żeby jej opowiedzieć o przebiegu operacji. Oświadczył, że oczekuje, iż Cassi będzie widziała lewym okiem niewiele gorzej niż prawym, ale ponieważ o wszystkim zadecydują najbliższe dni, powinna jeszcze uzbroić się w cierpliwość. Nadmienił także, że w razie potrzeby zawsze może poprosić o zastrzyk uspokajający, gdyż wydał w tej sprawie polecenie.

Czując się już znacznie lepiej, Cassi znowu pogrążyła się we śnie. Kiedy obudziła się po kilku godzinach, usłyszała szepty w swoim pokoju. Jeden z nich wydawał się znajomy.

- Thomas? - zapytała.

- Jestem tutaj, kochanie - wziął ją za rękę.

- Boję się - powiedziała, czując z przerażeniem, że spod opatrunku płyną jej łzy.

- Czemu płaczesz, Cassi?

- Sama nie wiem - odparła, pamiętając o śmierci Roberta. Chciała coś powiedzieć, ale rozplakała się tak bardzo, że nie była w stanie mówić.

- Musisz panować nad sobą. To bardzo ważne dla twojego oka.

- Czuję się taka osamotniona.

- Mówisz bzdury. Przecież ja jestem przy tobie. Masz tyle troskliwych pielęgniarek, leczysz się w najlepszym szpitalu. Spróbuj się odprężyć.

- Nie mogę - odparła.



- Myślę, że potrzebujesz więcej środków uspokajających - powiedział.

Słyszała, jak rozmawiał z kimś innym.

- Nie chcę zastrzyków - prosiła Cassi.

- Ja tu jestem doktorem, a ty jesteś pacjentką - stwierdził Thomas. Potem Cassi była mu wdzięczna, że jej nie posłuchał. Czuła jak stopniowo pogrąża się w dobrotliwym śnie, podczas gdy Thomas mówi coś do niej bez przerwy.

Gdy zasnęła, Thomas wezwał pielęgniarkę i wydał jej polecenie: - Proszę dać chorej dziś wieczorem dwie tabletki nasenne. Ostatniej nocy po zażyciu jednej błąkała się po korytarzach nie mogąc zasnąć. Nie chcę, żeby historia dziś się powtórzyła.

Po wyjściu pielęgniarki Thomas czekał jeszcze przez chwilę, żeby się upewnić, iż Cassi zasnęła. Po kilku minutach, gdy jej usta rozchyliły się lekko i dało się słyszeć gardłowe chrapanie, Thomas podszedł do drzwi, zawahał się, a następnie zawrócił. Podszedł do szafki i wysunął szufladę. Tak jak się spodziewał, materiały SSD leżały w niej nietknięte. Nie życzył sobie, by Cassi po zdjęciu opatrunków zaraz do nich zajrzała.

Szybko zgarnął wydruki i umieścił je pod pachą. Jeszcze raz ogarnął spojrzeniem śpiącą Cassi i wyszedł z pokoju, kierując się wprost do pokoju pielęgniarek. Zapytał o kierowniczkę, pannę Bright.

- Obawiam się, że moja żona źle znosi chorobę - powiedział jakby przepraszająco.

Panna Bright uśmiechnęła się do doktora Kingsley'a. Znała go dobrze od strony zawodowej. Była zaskoczona jego uprzejmością. Ogarnęło ją coś w rodzaju współczucia do tego człowieka: niewątpliwie choroba żony musiała być dla niego trudnym przeżyciem.

- Zapewnimy jej najlepszą opiekę - obiecała.

- Nie jestem lekarzem żony i nie chciałbym się wtrącać do leczenia, ale uważam, iż ze względów psychologicznych należy jej zapewnić jak najwięcej spokoju.

- Będę o tym pamiętała - odparła. - I proszę się o nic nie martwić.

Cassi nie pamiętała, czy jadła dziś kolację, chociaż pielęgniarka, która jej przyniosła pigułki nasenne, zapewniała, że tak.

- W ogóle nie mogę sobie przypomnieć - poskarżyła się.

- Nie świadczy to najlepiej o szpitalnej kuchni - odparła pielęgniarka. - Ale nie o mnie.

Ja panią nakarmiłam.

- A co z moją cukrzycą? - dopytywała się Cassi.

- Żadnych problemów. Dajemy pani trochę insuliny po każdym posiłku, a poza tym wszystko jest tutaj. - Pielęgniarka stuknęła kciukiem w butelkę kroplówki, tak żeby Cassi usłyszała brzęknięcie. - A tutaj mam dla pani pigułki nasenne.

Cassi posłusznie wyciągnęła rękę i podniosła je do ust. Potem poprosiła o szklankę wody.

- Czy chce pani przyjąć również zastrzyk?

- Nie sądzę, żeby był potrzebny - odparła Cassi. - Czuję się tak, jakbym przespała cały dzień.

- To dobrze. Pani nocny stolik znajduje się tutaj. Pielęgniarka odebrała szklankę od Cassi, a następnie poprowadziła jej rękę po stoliku od szklanki do dzbanka, do aparatu telefonicznego i dzwonka.

- Czy pani życzy sobie czegoś jeszcze? Czy może coś panią boli? - pytała pielęgniarka.

- Nie, dziękuję bardzo - odparła Cassi. Sama była tym zaskoczona, że nic jej po operacji nie dolegało.

- Może wyłączyć telewizor?

- Nie, nie trzeba. - Z włączonym telewizorem było jej przyjemniej.

- W porządku, tutaj znajduje się wyłącznik. - Pielęgniarka poprowadziła rękę Cassi do znajdującego się obok łóżka przycisku. - Życzę dobrego snu, a jeśli by pani czegoś potrzebowała, proszę nas wezwać.

Po wyjściu pielęgniarki Cassi zaczęła badać po omacku otoczenie. Najpierw dotknęła stolika; pielęgniarka odsunęła go nieco od ściany, żeby znajdował się całkowicie w zasięgu jej ręki. Z trudem udało jej się wysunąć metalową szufladę i odszukać w niej swój zegarek. Był to prezent od Thomasa; zastanawiała się, czy Thomas nie powinien go zabrać do domu. Następnie natrafiła na buteleczki z insuliną i na kilka strzykawek. Zegarek umieściła pod strzykawkami - tam będzie bardziej bezpieczny.

Schowała rękę pod nakrycie. Poczuła, że pigułki zaczynają działać i nagle zrozumiała, dlaczego ludzie chętnie ich nadużywają. Rzeczywistość jakby się od niej oddaliła. Wszystkie problemy stały się odległe. Mogła myśleć o Robertcie, nie odczuwając bólu po jego stracie. Przypomniała sobie, jak spokojnie spał ostatniej nocy. Miała nadzieję, że śmierć miał równie spokojną.

Nagle Cassi uprzytomniła sobie, że była chyba ostatnią osobą, która widziała Roberta żywego. Wzdrygnęła się i oprzytomniała - sen się ulotnił. Zaczęła się zastanawiać, kiedy dokładnie Robert umarł. Gdyby wtedy przy nim została, mogłaby mu pomóc. Thomas z pewnością by go ocalił.

Cassi patrzyła przed siebie w otaczającą ciemność. Przypomniała sobie spotkanie z Thomasem w pokoju Roberta i strach, który nią wstrząsnął na jego widok. Thomas powiedział wtedy, że gdy nie znalazł jej w pokoju, domyślił się, że jest u Roberta. Wtedy to wyjaśnienie jej wystarczyło, ale teraz zrodziło się pytanie, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi: dlaczego Thomas postanowił odwiedzić ją w środku nocy?

Była ciekawa także, co wykazała sekcja zwłok Roberta, a szczególnie, czy udało się

ustalić przyczynę zgonu. Nie chciała myśleć o tym wszystkim, ale mimo woli prześladowały ją pytania: czy Robert był siny i czy miał konwulsje przed śmiercią. Coraz bardziej narastała w niej obawa, że Robert jest jeszcze jednym kandydatem do badań, które sam rozpoczął, że jest przypadkiem numer dwadzieścia. A może ostatnim człowiekiem, który widział Roberta żywego, był Thomas? Może wrócił do pokoju Roberta po wyjściu od niej? Może nagła przemiana w zachowaniu się Thomasa miała inne ukryte powody?

Cassi zaczęła się trząść jak w gorączce. Na próżno usiłowała przekonać samą siebie, że są to tylko urojenia, że przecież znajduje się w stanie wielkiego napięcia nerwowego i że przyjęła wyjątkowo dużą dawkę środków uspokajających, co nie mogło się nie odbić na jej zdolności do logicznego myślenia. W żaden sposób nie potrafiła opędzić się przed niepokojącymi ją myślami. Mimo woli uprzytomniła sobie, że pierwszy przypadek SSD wydarzył się wkrótce po tym, jak Thomas przyszedł na staż do szpitala. Trzeba będzie także sprawdzić, czy śmiertelne przypadki nie miały miejsca właśnie w te noce, które Thomas spędzał w szpitalu.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę z własnej bezsilności i bezbronności. Leży sama w pokoju pod kroplówką, nic nie widzi i jest oszołomiona środkami uspokajającymi. Każdy może wejść do pokoju bez jej zgody i wiedzy. Nikomu w niczym nie mogła przeszkodzić. Chciała krzyknąć o pomoc, ale była sparaliżowana strachem. Zwinęła się w kłębek na łóżku. Minuty, sekundy płynęły powoli. Przypomniła sobie, że może zadzwonić na pielęgniarkę. Ostrożnie wyciągnęła rękę w kierunku sygnału, drżąc z lęku, czy przypadkiem nie natknie się na nieznanego wroga. W końcu odszukała plastikowy przycisk i z całej siły nacisnęła go kciukiem.

Nikt nie nadchodził. Oczekiwanie przedłużało się w wieczność. Zwolniła przycisk, a następnie nacisnęła go kilkakrotnie w krótkich odstępach, ponaglając w ten sposób

pielęgniarkę. Zdawało jej się, że w każdej chwili może nadejść nieszczęście.

- O co chodzi? - szorstko zapytała pielęgniarka, odsuwając rękę Cassi od przycisku. -

Należy dzwonić tylko raz, a potem czekać. Proszę nie zapominać, że mamy pod opieką wielu pacjentów, i są oni bardziej chorzy niż pani.

- Chcę zmienić pokój - poprosiła Cassi. - Proszę mnie przenieść do dwuosobowego pokoju.

- Proszę pani - odezwała się pielęgniarka z widocznym rozdrażnieniem. - Proszę nie zapominać, że mamy w tej chwili głęboką noc.

- Nie chcę być sama! - krzyczała Cassi.

- W porządku, proszę się tylko uspokoić. Przyjdę do pani nieco później - zobaczymy, co się da zrobić.

- Chcę rozmawiać ze swoim lekarzem - oświadczyła Cassi.

- Czy pani wie, która jest teraz godzina?

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę rozmawiać z moim lekarzem.

- Dobrze. Obiecuję, że do niego zadzwonię, proszę tylko mi przyrzec, że pani będzie leżała spokojnie.

Cassi pozwoliła wyprostować sobie nogi.

- Teraz pani powinna poczuć się lepiej. Proszę odpoczywać, a ja tymczasem zadzwonię do doktora Obermeyera.

Po wyjściu pielęgniarki czuła się już bardziej spokojna. Uprzytomniła sobie, że zachowuje się nieznośnie, dużo gorzej niż jej pacjenci. Zabłądziwszy myślami na Clarkson 2, przypomniała sobie o Joan - jedynej chyba osobie, która może ją zrozumieć i która nie rozgniewa się na nią, gdy ją obudzi ze snu wśród nocy. Odszukała aparat telefoniczny, przeniosła go na łóżko i połączyła się z centralą szpitala. Przedstawiła się telefonistce i

poprosiła o połączenie z doktor Widiker.

Czekała dłuższą chwilę i już zaczęła się obawiać, że nie zastała Joan w domu. Chciała odłożyć słuchawkę, gdy w końcu usłyszała jej głos.

- Dzięki Bogu, że cię zastałam - ucieszyła się Cassi.

- O co chodzi, Cassi?

- Boję się, Joan.

- Czego się boisz?

Cassi milczała przez chwilę. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo nedorzeczne są jej obawy. Thomas był najbardziej szanowanym chirurgiem serca w całym mieście.

- Czy ma to związek ze śmiercią Roberta? - zapytała Joan.

- Częściowo - odparła Cassi.

- Posłuchaj, Cassi. - To zrozumiałe, że jego śmierć tobą wstrząsnęła. Umarł twój przyjaciel, a ty przeszłaś operację. Masz zabandażowane oczy i nic nie widzisz. Puściłaś wodze swojej wyobraźni. Poproś pielęgniarkę o pigułkę nasenną.

- Już dość nałykałam się środków uspokajających - odrzekła Cassi.

- Albo za mało, albo też były nieodpowiednie. Nie udawaj bohaterki. Czy chcesz, żebym zadzwoniła do doktora Obermeyera?

- Nie.

- Czy mogę dla ciebie coś zrobić?

- Powiedz mi, czy Robert był siny, gdy go znaleziono i czy istnieją dowody na to, że przed śmiercią miał konwulsje?

- Cassi, ja nie wiem tego! I nie uważam, że tym się teraz właśnie powinnaś zajmować. Robert nie żyje. Zajmij się teraz sobą.

- Masz chyba rację, Joan - zgodziła się Cassi. - Poczekaj chwileczkę, bo ktoś właśnie

do mnie przyszedł.

- Jestem Randall - przedstawiła się pielęgniarka. - Doktor Obermeyer nie może się do pani dodzwonić.

Cassi podziękowała Joan i odłożyła słuchawkę. Po chwili rozległ się dzwonek telefonu.

- Dzwoniła do mnie pielęgniarka, że wciąż jesteś niespokojna, Cassi - mówił doktor Obermeyer. - Nie wiem jak mam cię przekonać, że wszystko jest w największym porządku.

Twoja operacja przeszła wyjątkowo pomyślnie. Również z cukrzycą nie mamy żadnych problemów. Powinnaś być zupełnie odprężona i spokojna.

- To chyba z powodu tych opatrunków na oczach - tłumaczyła się Cassi. - Czuję się strasznie osamotniona. Chciałabym zostać przeniesiona do dwuosobowego pokoju, żeby mieć towarzystwo. Niezwłocznie.

- Sądzę, że zbyt wiele wymagasz od pielęgniarek, Cassi. Jutro pomyślimy o zmianie pokoju, ale teraz chciałbym, żebyś się przede wszystkim uspokoiła. Prosiłem pielęgniarkę, aby ci zrobiła zastrzyk.

- Pielęgniarka jest właśnie u mnie - odrzekła Cassi.

- To dobrze. Każ sobie zrobić zastrzyk i śpij. Mogłem się spodziewać takiej reakcji.

Lekarze i ich żony są zwykle najbardziej kłopotliwymi pacjentami, a ty jesteś jednocześnie i jednym, i drugim.

Cassi pozwoliła sobie zrobić zastrzyk, po czym pielęgniarka wyszła z pokoju. Znowu pozostała sama, ale tym razem środek uspokajający zrobił swoje. Twardo zasnęła.

Obudziła się z głębokiego, choć niespokojnego snu. Słaby pulsujący ból w lewym oku przypomniał jej natychmiast, że znajduje się w szpitalu.

Przez chwilę leżała w bezruchu nasłuchując. Przed jej oczyma roztańczyły się ostre

kolory, wywołane prawdopodobnie uciskiem opatrunków. Do uszu Cassi docierały jedynie odległe, przytłumione odgłosy pogrążonego we śnie szpitala. Nagle poczuła coś raz i drugi: wyraźnie drgnęła plastikowa rurka od kroplówki. A może tylko jej się tak zdawało? Serce zaczęło bić w jej piersi przyspieszonym rytmem.

- Kto tu jest? - zapytała głośno. Żadnej odpowiedzi.

Cassi uniosła prawą rękę i przesunęła nią po lewej stronie łóżka. Nikogo ani niczego nie napotkała. Sięgając niżej natrafiła na taśmę, którą rurka kroplówki została przymocowana do jej ramienia. Pociągnęła lekko za rurkę: odniosła to samo wrażenie, co przed chwilą! W ciemnościach ktoś musiał dotykać rurki!

Usiłując zapanować nad narastającym strachem, Cassi zaczęła gorączkowo poszukiwać przycisku sygnału. Ręką natrafiła kolejno na dzbanek, telefon i szklankę, ale przycisku nie znalazła. Zataczała ręką coraz szersze kręgi - wszystko bezskutecznie. Przycisk zniknął.

Poczuła się sparaliżowana własną wyobraźnią. Ktoś oprócz niej znajdował się w pokoju. Czowała jego obecność. Do jej świadomości docierał znajomy zapach wody Yves St. Laurent.

- Thomas? - odezwała się głośno. Unosząc się lekko na prawym łokciu, powtórzyła: - Thomas!

Nie było odpowiedzi.

Nagle ciało Cassi pokryło się obfitym potem. Przyspieszone bicie serca zamieniło się w łomotanie. Od razu zorientowała się, co się stało: dawniej też to się jej zdarzało, nigdy jednak z taką siłą. Miała reakcję insulinową!

Zrozpaczona chwyciła za opatrunki, usiłując wsunąć palce pod ich przyklejone do skóry brzegi. Lewa ręka, poprzednio unieruchomiona przez kroplówkę, również rwała



bandaże.

Próbowała krzyknąć, ale nie była w stanie wydać z siebie głosu. Poczowała zawrót głowy. Ponad poręczą łóżka usiłowała jeszcze raz odszukać przycisk sygnału, w rezultacie wsparła się nieostrożnie o stolik, który przechylił się, i spadło z niego wszystko, co się na nim znajdowało: aparat telefoniczny, dzbanek z wodą i szklanka. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Ale Cassi już nic nie słyszała, a jej ciało skręcały drgawki.

Odległy brzęk rozbitego szkła doszedł do uszu Carol Aronson, pielęgniarki dyżurującej na siedemnastym piętrze. Przez chwilę wahała się, ale wymieniwszy spojrzenia z obsługującą kartotekę inną pielęgniarką - Lenorą, wyszła w jej towarzystwie sprawdzić, co się stało. Obie odniosły wrażenie, jakby ktoś wypadł z łóżka. Jeszcze na korytarzu usłyszały szcęk metalowych poręczy łóżka dochodzący z pokoju Cassi.

Gdy wpadły do środka, Cassi wciąż jeszcze miała drgawki, tłukąc rękami o poręczę łóżka.

Carol, która wiedziała o cukrzycy Cassi, natychmiast domyśliła się, co się stało.

- Lenorą! Nadaj „kod” i przynieś mi ampułkę pięćdziesięcioprocentowej glukozy, strzykawkę i świeżą butelkę z D5W.

Pielęgniarka wybiegła z pokoju.

Tymczasem Carol zdjęła ręce Cassi z poręczy, a następnie usiłowała - wprawdzie bez powodzenia - wcisnąć szpatułkę między zaciśnięte zęby. Odłączyła także nadmiernie odkręconą kroplówkę i chroniła głowę pacjentki przed uderzeniami o metalowe wezglowie.

Gdy wróciła Lenorą, Carol natychmiast wymieniła butelki z D5W, odstawiając starą butelkę obok, aby lekarz mógł sprawdzić poziom insuliny. Następnie otworzyła kroplówkę i napełniła dużą strzykawkę pięćdziesięcioprocentową glukozą. Przez chwilę się wahała, gdyż w zasadzie powinna była czekać na lekarza. Tak często miała jednak do czynienia z równie

krytycznymi sytuacjami, że dobrze wiedziała, iż w tych warunkach chorej trzeba jak najszybciej podać glukozę, i że to z pewnością pacjentce nie zaszkodzi. Postanowiła więc zrobić zastrzyk. Duża ilość potu na skórze Cassi wskazywała na ciężką reakcję insulinową. Carol wbiła igłę strzykawki w kroplówkę i nacisnęła na tłoczek. Nie zdążyła nawet wypchnąć całej zawartości, gdy spostrzegła, że Cassi się uspokoiła i jakby zaczęła odzyskiwać przytomność: jej usta się rozchyliły, jakby chciała coś powiedzieć.

Poprawa stanu chorej nie trwała długo. Cassi ponownie straciła przytomność i chociaż już nie miała konwulsji, to jednak poszczególne mięśnie ciągle jeszcze drżały.

Kiedy przybył zespół pogotowia, Carol przedstawiła sytuację. Lekarz zbadał Cassi i zaczął wydawać polecenia.

- Proszę pobrać krew do analizy na zawartość wapna, gazów krwi tętniczej i cukru - zwrócił się do młodszego kolegi. - A pan niech sprowadzi tutaj aparat EKG - polecił studentowi medycyny. - Co pani sądzi, panno Aronson, o jeszcze jednej ampułce glukozy dla chorej?

Tymczasem Lenora zajęła się uprzątnięciem pokoju; podniosła przede wszystkim przewrócony stolik i ustawiła na nim aparat telefoniczny. Nogą zepchnęła odłamki szkła do kąta. Wsunęła na miejsce szufladę, która wypadła ze stolika; przy tej okazji spostrzegła kilka pustych ampułek po insulinie. Zaniepokojona podała je Carol, a ta z kolei przekazała je lekarzowi.

- Mój Boże - odezwał się zaskoczony - czyżby z opatrunkami na oczach robiła sobie zastrzyki insuliny?

- Oczywiście że nie - odparła Carol. - Miała insulinę w kroplówce, a ponadto otrzymywała dodatkowe ilości insuliny, stosownie do zawartości cukru w moczu.

- Dlaczego więc jeszcze sama robiła sobie zastrzyki? - dopytywał się lekarz.

- Nie mam pojęcia - wyznała Carol. - Być może była tak oszołomiona środkami uspokajającymi, że zrobiła sobie zastrzyki w sposób automatyczny. Naprawdę nie wiem dlaczego.

- Czy była w stanie zrobić je z opatrunkami na oczach?

- Oczywiście że tak. Proszę nie zapominać, że robiła je dwa razy dziennie w ciągu dwudziestu lat. Nie była w stanie wymierzyć na ślepo odpowiedniej dawki, ale na pewno mogła zrobić sobie zastrzyk. Oprócz tego istnieje jeszcze inna możliwość.

- Jaka?

- Być może zrobiła to umyślnie. Dzienna pielęgniarka przekazała nam, że pacjentka znajduje się w depresji, a jej mąż stwierdził, że zachowuje się dziwnie; sądzę, że pan wie, kim jest jej mąż.

Lekarz skinął głową twierdząco. Nie lubił przypadków, w których mogło zachodzić podejrzenie popełnienia samobójstwa na tle choroby psychicznej.

Tymczasem Carol wręczyła mu strzykawkę wypełnioną glukozą. Lekarz natychmiast wstrzyknął jej zawartość. Chora - podobnie jak poprzednio - odzyskiwała na chwilę przytomność, by ją po kilku minutach znowu utracić.

- Kto jest jej lekarzem? - zapytał, odbierając trzecią strzykawkę z glukozą z rąk pielęgniarki.

- Okulista, doktor Obermeyer.

- Ktoś powinien do niego zadzwonić - stwierdził. - To nie jest przypadek na miarę lekarza stażysty.

Telefon dzwonił bez przerwy już od dłuższej chwili, gdy w końcu półprzytomny

Thomas podniósł słuchawkę. Przed snem przyjął dwie pastylki percodanu i teraz miał trudności z koncentracją.

- Niełatwo pana obudzić - zauważyła z humorem telefonistka z centrali. - Doktor

Obermeyer chce z panem rozmawiać. Prosił o natychmiastowe połączenie, ale powiedziałam, że pan zostawił specjalne zlecenia. Czy mam podać jego numer?

- Tak! - odparł Thomas szukając ołówka na biurku.

Zapisał numer i zaczął wybierać cyfry; po chwili jednak zaniechał. Spojrzał na zegarek: oczywiście, telefon musiał dotyczyć Cassi. Wszedł do łazienki i obmył twarz zimną wodą, by szybko oprzytomnieć.

Czekał jeszcze przez pewien czas, dopóki nie przeszło mu narkotyczne oszołomienie.

- Dzisiejszej nocy mieliśmy pewne komplikacje z Cassi - oznajmił doktor Obermeyer.

- Komplikacje? - zapytał Thomas niespokojnie.

- Tak - odparł doktor Obermeyer. - Coś, czego nie oczekiwałem. Cassi przedawkowała sobie insulinę.

- Czy dobrze się teraz czuje? - zapytał Thomas.

- Tak, teraz jest już wszystko w porządku. Thomas był ogłuszony tą wiadomością.

- Rozumiem, że jesteś wstrząśnięty - ciągnął doktor Obermeyer. - Ale w tej chwili nie ma już żadnego niebezpieczeństwa. Doktor McInery znajduje się przy niej; jego zdaniem, dzięki natychmiastowej pomocy pielęgniarki, Cassi szybko przyjdzie do siebie. Na razie umieściliśmy ją na oddziale intensywnej terapii.

- Dzięki Bogu - rzekł Thomas; czuł, że po przeżyciach tej nocy kręci mu się w głowie.

- Zaraz tam będę.

W sali intensywnej terapii Thomas ruszył wprost do łóżka, na którym leżała jego żona.

Wyglądała jakby spokojnie odpoczywała. Zauważył, że nie ma już opatrunku na prawym oku.

- Śpi, ale jest bardzo roztrzęsiona - odezwał się głos obok. Thomas odwrócił się: obok niego stał doktor Obermeyer. - Czy chcesz może z nią rozmawiać? - zapytał wyciągając

jednocześnie rękę z zamiarem rozbudzenia Cassi.

Thomas schwycił go za ramię. - Nie, pozwól jej spać spokojnie.

- Wiem, że przeżyła wstrząs tej nocy - mówił Obermeyer ze skruchą. - Kazałem jej podać dodatkowe środki uspokajające. Nie spodziewałem się czegoś podobnego.

- Była w bardzo złym nastroju, kiedy z nią rozmawiałem - powiedział Thomas. -

Poprzedniej nocy zmarł jej przyjaciel - bardzo przeżyła tę śmierć. Nie chciałem nic o tym mówić, ale niestety zrobiła to lekarka z oddziału psychiatrii.

- Czy uważasz, że to mogła być próba samobójstwa? - zapytał Obermeyer.

- Nie umiem odpowiedzieć - odparł Thomas. - Mogła się po prostu pomylić. Była przyzwyczajona do robienia zastrzyków dwa razy dziennie.

- Co sądzisz o zasięgnięciu opinii psychiatry? - zapytał Obermeyer.

- Jesteś jej lekarzem, rób jak uważasz. Mnie nie stać na obiektywizm. Na twoim miejscu jednak bym poczekał. Ona jest tutaj całkowicie bezpieczna.

- Zdjąłem opatrunek z prawego oka - napomknął Obermeyer. - Obawiam się, że bandaż na oczach źle wpływają na jej samopoczucie. Z ogromną satysfakcją stwierdziłem, że jej lewe oko jest wciąż czyste. Biorąc pod uwagę wstrząs, jaki przeżyła, a który był niezwykle surową próbą dla wykonanej przeze mnie koagulacji naczynia krwionośnego, sądzę, że nie musimy się więcej martwić o nawrót krwawienia.

- A jak wygląda jej poziom cukru? - zapytał Thomas.

- W tej chwili jest zupełnie normalny, ale chora wymaga wnikliwej obserwacji.

Zaaplikowała sobie wręcz uderzeniową dawkę insuliny.

- Niestety, w przeszłości zachowywała się czasem bez troski - zauważył Thomas. -

Zawsze starała się bagatelizować swoją chorobę. Tym razem jednak była to więcej niż lekkomyślność. Obawiam się, że ona nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

Thomas podziękował doktorowi Obermeyerowi i powoli wyszedł z sali.

Pielęgniarki odprowadziły go wzrokiem do drzwi. Nigdy jeszcze nie widziały doktora Kingsley' a tak roztrzęsionego i niespokojnego.

## **Rozdział XII**

Cassi odzyskała przytomność rano, około piątej. Spojrzała przede wszystkim na zegar ścienny, znajdujący się nad stanowiskiem pielęgniarek - pomyślała, że jest w sali pooperacyjnej. Czuła straszny ból głowy, który przypisywała operacji oka. Ilekroć próbowała rozejrzeć się po sali, czuła ostry ból w lewym oku. Delikatnie dotknęła ręką opatrunku.

- Dzień dobry pani! - usłyszała miły głos. Powoli odwróciła głowę i ujrzała nad sobą uśmiechniętą twarz pielęgniarki. - Witamy panią wśród żywych. Nie ma co, napędziła nam pani strachu.

Cassi, zupełnie zdezorientowana, odpowiedziała uśmiechem. Odczytała identyfikator pielęgniarki: „Panna Stevens, Intensywna Terapia” i poczuła się jeszcze bardziej speszona.

- Jak się pani czuje? - zapytała panna Stevens.

- Jestem głodna - odparła Cassi.

- To dlatego, że ma pani niski poziom cukru we krwi. Zresztą poziom glikemii wciąż u pani skacze jak gumowa piłka.

Cassi poruszyła się trochę na łóżku i poczuła nieprzyjemne pieczenie między nogami.

Zrozumiała, że poddano ją cewnikowaniu.

- Czy były jakieś kłopoty z poziomem cukru podczas operacji?

- Podczas operacji - żadnych - odparła z uśmiechem panna Stevens - ale za to następnej nocy, jak się wszyscy domyślają, wzięła pani dodatkową porcję insuliny.

- Czyżby? - zapytała Cassi. - Jaki dzień dziś mamy?

- Piątek, piąta rano.

Cassi poczuła się niepewnie. Brakowało jej jednego dnia.

- Gdzie ja jestem? Czy to jest sala pooperacyjna? - pytała.

- Nie, to jest sala intensywnej terapii. Znalazła się pani tutaj, gdyż wystąpiło u pani niedocukrzenie spowodowane przedawkowaniem insuliny. Czy pani nie pamięta, co działo się wczoraj?

- Chyba nie - odparła niepewnie Cassi. Zakamarki pamięci odnotowały niewyraźne wspomnienie przeżytego strachu.

- Wczoraj rano przeszła pani operację i została odwieziona do swojego pokoju. Czują się pani zupełnie dobrze. Czy pani naprawdę nic nie pamięta?

- Nie - odpowiedziała Cassi bez przekonania. Jak z głębokiej mgły zaczęły się wynurzać obrazy przeżytych chwil. Wracała pamięć o straszliwym uczuciu zagrożenia i bezbronności. I o paralizującym strachu. Strachu, ale przed czym?

- A teraz - zwróciła się panna Stevens do Cassi - proszę wypić trochę mleka. Potem niech pani spróbuje znowu zasnąć.

Kiedy obudziła się ponownie, było już po siódmej. Przy łóżku stał Thomas. Oczy miał podpuchnięte i zaczerwienione.

- Wróciła do przytomności przed dwiema godzinami - zdawała relację panna Stevens.

- Poziom cukru we krwi ma nieco za niski, ale w miarę stabilny.

- Cieszę się, że czujesz się już lepiej - powiedział Thomas spostrzegłszy, że Cassi się obudziła. Byłem u ciebie koło pomocy, ale jeszcze spałaś. Jak się teraz czujesz?

- Nieźle - odparła Cassi. Zapach wody toaletowej męża skojarzył jej się natychmiast z koszmarem, który niedawno przeżyła; Thomas również używał wody Yves St. Laurent. Cassi pamiętała, że ilekroć wystąpiło u niej niedocukrzenie spowodowane przedawkowaniem insuliny, zawsze miała koszmarne sny. Ale tym razem czuła niepokój, że to nie koniec

koszmaru.

Serce Cassi biło coraz szybciej, a głowa pękała z bólu. Nie była w stanie odróżnić sennych wizji od rzeczywistości. Odetchnęła, kiedy Thomas skierował się ku wyjściu, oświadczając: - Mam teraz operację, ale po jej zakończeniu natychmiast wrócę.

Około południa chorą odwiedzili doktor Obermeyer i internista. Obaj podjęli decyzję o przeniesieniu Cassi do jej pokoju na końcu korytarza, ona jednak sprzeciwiła się temu tak stanowczo, że w końcu zgodzili się na umieszczenie jej w pokoju wieloosobowym, naprzeciwko pokoju pielęgniarek. Miała tutaj trzy współlokatorki: dwie na wyciągach, po złamaniu nóg, trzecia zaś po operacji woreczka żółciowego.

Cassi wymogła na lekarzach jeszcze jedno ustępstwo: zabrano kroplówkę. Wprawdzie doktor McInery usiłował ją przekonać, Cassi wysłuchiwała go grzecznie, lecz nie ustąpiła. Kroplówkę usunięto.

Po południu poczuła się znacznie lepiej. Ból głowy stał się całkiem znośny, słuchała więc z zainteresowaniem opowiadań swoich współ-mieszkanek o trapiących je dolegliwościach. W trakcie takiego monologu do pokoju weszła Joan.

- Dowiedziałam się, co ci się przydarzyło - powiedziała z głębokim zatroskaniem. - Jak się teraz czujesz?

- Dobrze - odparła Cassi ucieszona widokiem Joan.

- Dzięki Bogu! Słyszałam, że przedawkowałaś sobie insulinę.

- Jeśli nawet to rzeczywiście zrobiłam, nie mogę sobie przypomnieć - odrzekła Cassi.

- Jesteś pewna? - zapytała Joan. - Wiem, że byłaś bardzo wstrząśnięta śmiercią

Roberta...

- Co takiego? - zapytała Cassi. Zanim Joan była w stanie cokolwiek powiedzieć, w świadomości Cassi nastąpił nagły przeblýsk - przypomniała sobie o niespodziewanej śmierci



przyjaciela.

- Czyżbyś nic nie pamiętała? - zapytała Joan ze zdziwieniem. Cassi opadła bezwładnie na łóżko. - Tak, wiem, Robert nie żyje. - Spojrzała na Joan wzrokiem, w którym można było wyczytać błaganie, by przyjaciółka zaprzeczyła, by zapewniła ją, że nawet myśl o śmierci Roberta jest tylko płodem jej chorej wyobraźni.

- Robert nie żyje - potwierdziła z powagą Joan. - I choć prawda ta sprawia ci ból, nie możesz przed nią uciec.

- Masz rację, ale nie o to mi chodzi. - Podwójnie okrutne było to, że musiała to sobie uświadomić po raz drugi. Jak to się mogło stać? Czy jej świadomość sama wyeliminowała go z pamięci, czy też stało się to pod wpływem przedawkowania insuliny?

- Powiedz mi jedno - rzekła Joan przysuwając krzesło do łóżka chorej, tak żeby nikt ich nie słyszał - jeśli sama nie wstrzyknęłaś sobie dodatkowej insuliny, to w jaki sposób mogła się znaleźć w twoim organizmie?

Cassi potrząsnęła stanowczo głową. - Nie jestem typem samobójcy, jeśli to miałaś na myśli stawiając pytanie.

- Chcę usłyszeć od ciebie całą prawdę - nalegała Joan.

- A więc powiem ci prawdę - szepnęła Cassi. - Nie sądzę, żebym to ja sama wstrzyknęła sobie dodatkową dawkę insuliny. Tę dawkę zaaplikował mi ktoś inny.

- Przypadkowo? Przez pomyłkę?

- Bynajmniej - zupełnie rozmyślnie.

Joan przyglądała się z uwagą przyjaciółce. Ze stwierdzeniem, że w szpitalu może stać się pacjentowi krzywda spotykała się już wcześniej, ale po raz pierwszy usłyszała o tym od przyjaciółki. - Jesteś tego pewna? - zapytała.

- Po tym, co przesłałam ostatnio, trudno jest być pewnym czegokolwiek.

- Kto więc - twoim zdaniem - mógł to uczynić? Przysłaniając usta dłonią, Cassi

wyszeptała: - Myślę, że to zrobił Thomas.

Joan była wstrząśnięta. Nie lubiła Thomasa, ale to, co usłyszała, trąciło czystą paranoją. Nie wiedziała jak zareagować. Było oczywiste, że Cassi potrzebowała pomocy psychiatry, a nie rady przyjaciółki. - Dlaczego podejrzewasz Thomasa? - zapytała w końcu.

- Gdy obudziłam się wtedy w środku nocy, poczułam zapach jego wody toaletowej.

Gdyby Joan żywiła choć najmniejszą obawę, że Cassi jest schizofreniczką, nie podejmowałaby z nią żadnej dyskusji, była jednak głęboko przekonana, iż jej przyjaciółka jest osobą zupełnie normalną, która znalazła się w ekstremalnej sytuacji. Czowała, że nie powinna jej pozwolić na konstruowanie opartego na fałszywych przesłankach stosunku do otoczenia. -

Moim zdaniem, Cassi, zapach wody kolońskiej jest bardzo mizernym dowodem winy.

Cassi próbowała jej przerwać, ale Joan poprosiła, żeby pozwoliła jej skończyć.

- Uważam, że po prostu mieszasz swoje koszmarne sny z rzeczywistością.

- Joan, wierz mi, brałam tę możliwość pod uwagę.

- Jak wiadomo - ciągnęła Joan - reakcja po nadmiarze insuliny wywołuje koszmary -

wiesz o tym lepiej niż ja. Sądzę, że przeżyłaś stan ostrej psychozy. Znajdowałaś się w stanie wielkiego napięcia psychicznego, spowodowanego operacją oka i nieoczekiwaną śmiercią Roberta. Jest całkiem możliwe, że w tym stanie zrobiłaś sobie zastrzyk, po czym miałaś halucynacje, które teraz traktujesz jako rzeczywistość.

Cassi słuchała uważnie. Faktycznie, w przeszłości miała niejednokrotnie kłopoty z oddzieleniem snów wywołanych insuliną od rzeczywistości.

- Ciągle jednak nie mogę uwierzyć, żebym to ja sama mogła przedawkować sobie insulinę - powiedziała.

- To mogła być zupełnie normalna dawka. Po prostu wtedy pomyślałaś, że jest już

czas na wieczorny zastrzyk.

Było to dość przekonujące wyjaśnienie, łatwiejsze do zaakceptowania niż myśl, że

Thomas chciał ją zabić.

- W tej chwili - ciągnęła Joan - martwię się o to, czy depresja już ci minęła.

- Niezupełnie, głównie z powodu Roberta. Powinnam być szczęśliwa, że operacja okazała się tak pomyślna, ale w tych warunkach nie bardzo potrafię. Mogę cię jednak zapewnić, że nie mam skłonności samobójczych. Poza tym zabrano mi moją insulinę.

- Wierzę ci - oświadczyła Joan podnosząc się z krzesła. Teraz była już przekonana, że Cassi nie ma żadnych zadatków na samobójcę. - Niestety, muszę już iść, czekają mnie konsultacje. Uważaj na siebie i dzwoń do mnie w razie potrzeby. Obiecujesz?

- Obiecuję - odparła Cassi. Uśmiechnęła się do Joan: była z pewnością dobrą przyjaciółką i równie dobrym lekarzem. Ufała jej.

- Czy ta pani jest psychiatrą? - zapytała jedna ze współmieszkanek Cassi.

- Tak - odrzekła Cassi - podobnie jak ja, ale ma o wiele większe doświadczenie.

Kończy swój staż wiosną.

- Czy ona podejrzewa panią o obłąd? - dopytywała się kobieta. Pytanie, które padło, nie było całkowicie pozbawione sensu, myślała Cassi. Joan musi ją podejrzewać o przejściową utratę zmysłów. - Ona uważa, że znajduję się w stanie szoku - stwierdziła Cassi.

Eufemizm łatwiej przeszedł jej przez gardło. - Sądzi, że mogłam w tym stanie zrobić sobie krzywdę. Mam prośbę: jeśli zacznę robić coś od rzeczy, wezwijcie natychmiast pielęgniarkę, dobrze?

- Proszę się nie martwić: będę krzyczała na cały głos. Przysłuchujące się rozmowie dwie kobiety skwapliwie przyłączyły się do tej obietnicy.

Cassi miała nadzieję, że nie przestraszyła zbytnio swych współ-towarzystek, a

jednocześnie była zadowolona, że odtąd będzie przez nie uważnie obserwowana. Jeśli to była prawda, że sama przedawkowała sobie insulinę, to taki nadzór może być jej bardzo potrzebny. Ciekawa była, kiedy odbędzie się pogrzeb Roberta - miała nadzieję, że będzie mogła wziąć w nim udział. Potem przyszły jej na myśl badania nad SSD, które Robert prowadził - zastanawiała się, co się z nimi stanie. Przypomniała sobie o komputerowych wydrukach, które zabrała z pokoju Roberta i postanowiła sprawdzić, gdzie się w tej chwili znajdują. Poprosiła pielęgniarkę o odszukanie ich w jej poprzednim pokoju: po upływie pół godziny dowiedziała się, że choć przeszukała cały pokój, żadnych materiałów nie znalazła.

Być może i materiały SSD były tylko halucynacją, pomyślała Cassi. Jak przez mgłę przypomniała sobie o wizycie w pokoju Roberta, o tym że zabrała ze sobą jego materiały i wychodząc spotkała się z Thomasem. Ale - być może - wszystko to jej się tylko śniło. Zastanawiała się, w jaki sposób może to sprawdzić: najłatwiej było zapytać Thomasa, ale na to nie miała ochoty.

Rozglądając się po pokoju zauważyła, że jej współmieszkancki szykują się do kolacji. Z nimi czuła się bezpiecznie.

Thomas zatrzymał samochód tuż za mostkiem nad błotnistym zakolem zatoki.

Wyłączył silnik i sprawdził, czy ktoś za nim nie jedzie; otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Wrócił na drewniany mostek, który pod jego krokami wydawał głuchy odgłos.

Był czas odpływu i wokół podtrzymujących mostek pali tworzyły się gwałtowne wiry.

Chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Dwie pigułki talwinu, które zażył przed wyjazdem ze szpitala, niewiele poprawiły jego samopoczucie. Nigdy jeszcze nie był tak bardzo zaniepokojony. Piątkowa konferencja była dla niego jedną wielką katastrofą. Jednak największym problemem były narastające kłopoty z Cassi.

Prawie pół godziny Thomas stał samotnie na wilgotnym, zimnym wietrze, który

przenikał go chłodem do szpiku kości. Ten chłód działał orzeźwiająco, pobudzał do myślenia.

Musi coś uczynić - inaczej Ballantine i jego sojusznicy zniszczą to, co w ciągu tylu lat z takim mozołem budował. Trzymał w ręku fiolkę z narkotykiem z zamiarem wrzucenia jej do wody.

Zabrakło mu jednak siły woli i po chwili wsunął ją z powrotem do kieszeni płaszcza.

Nagle poczuł się lepiej. Przyszła mu do głowy pewna myśl, która stopniowo nabierała realnych kształtów. Uśmiechnął się zdziwiony, że wcześniej o tym nie pomyślał. Czując przyływ energii, wrócił do samochodu, włączył silnik i ruszył w kierunku domu.

Gdy samochód znalazł się w garażu, Thomas biegiem pokonał odległość między garażem a rezydencją. Przed zdjęciem płaszcza przełożył do kieszeni marynarki fiolkę z narkotykiem, po czym udał się na powitanie matki.

- Cieszę się, że tym razem się nie spóźniłeś - powiedziała Patrycja. - Harriet właśnie stawia na stół kolację. Zauważył, że była w dobrym nastroju, gdyż miała go wyłącznie dla siebie. Niemniej, zanim położyła sobie na talerz kawałek pieczeni z półmiska, zapytała grzecznie o Cassi.

- Czy sprawy w szpitalu układają się już lepiej? - spytała Patrycja, gdy Harriet wyszła do kuchni.

- Nie bardzo - odparł Thomas, nie zdradzając chęci rozmowy na ten temat.

- Czy rozmawiałeś z Georgem Shermanem? - zapytała z wyraźnym niesmakiem.

- Mamo, nie mam ochoty rozmawiać w domu o sprawach szpitala.

Przez kilka minut jedli w milczeniu, jednak Patrycja nie mogła pohamować ciekawości.

- Wyobrażam sobie, że wiedziałbyś, co zrobić z tym człowiekiem, gdybyś został jego szefem.

Thomas odłożył widelec na bok.

- Mamo, czy nie można rozmawiać na inne tematy?

- Nie potrafię milczeć o sprawie, która ci sprawia tyle przykrości. Thomas usiłował zachować spokój, ale Patrycja dostrzegła, że jego ręce drżą.

- Spójrz na siebie, jak bardzo jesteś napięty - wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać jego ramię, ale w tym samym momencie Thomas odsunął krzesło i zerwał się z miejsca.

- Ta sytuacja doprowadza mnie do szału - przyznał.

- Jak myślisz, kiedy w końcu zostaniesz mianowany szefem? - pytała Patrycja, patrząc na syna, który przemierzał jadalnię jak zamknięty w klatce lew.

- Boże, gdybym ja to wiedział - odparł Thomas przez zaciśnięte zęby. - Jednak jeśli to nie nastąpi w najbliższym czasie, będzie miało fatalne skutki dla oddziału kardiochirurgii.

Stworzony przeze mnie program leczenia jest systematycznie niszczone przez moich przeciwników. A przecież tylko dzięki mnie i mojemu zespołowi szpital osiągnął obecną pozycję. Zamiast stwarzać mi dogodne warunki do dalszego rozwoju działalności, ograniczają mój czas w sali operacyjnej. Dziś dowiedziałem się o kolejnych limitach. A wiesz dlaczego się to robi? Dlatego że Ballantine chce zyskać dostęp do dużego instytutu zdrowia psychicznego w zachodniej części stanu. Sherman już tam był i twierdzi, że to kopalnia złota dla rozwoju chirurgii serca. Zapomniał jednak dodać, że przeciętny wiek tych pacjentów wynosi mniej niż dwa lata. Niektóre z tych dzieci to fizyczne potworki. To wszystko wywołuje we mnie wściekłość!

- Nie rozumiem jednak, dlaczego ci to tak bardzo przeszkadza, dlaczego sam nie miałbyś w tym uczestniczyć? - zapytała Patrycja.

- Mamo, przecież tu chodzi o małe, opóźnione w rozwoju dzieci, poza tym Ballantine chce zatrudnić na pełnym etacie dziecięcego kardiochirurga.

- Chyba tobie nie powinno to w niczym zaszkodzić.

- Ależ tak, mammo - krzyczał Thomas - to musi mi zaszkodzić, gdyż będę musiał ograniczyć swój czas w sali operacyjnej. - Thomas czuł, że jego wściekłość nasila się. - Moi pacjenci będą musieli albo bardzo długo czekać na operację, albo poszukać sobie innego chirurga.

- Z pewnością twoi pacjenci zawsze będą mieli pierwszeństwo, mój drogi.

- Mammo, ty nic a nic nie rozumiesz - jęknął Thomas, usiłując zachować spokój. -

Szpital wcale nie dba o to, że ja operuję pacjentów, którzy nie tylko mają szansę na przeżycie, ale również będą przydatni społeczeństwu. Dla Ballantine'a najważniejsza jest dobra reputacja szpitala jako ośrodka kształcącego kadry medyczne i dla niej gotów jest limitować mój czas w sali operacyjnej. I tu jest sedno sprawy. Żeby nie dopuścić do tego, powinienem zostać szefem oddziału kardiochirurga.

- Jeszcze jednego nie rozumiem - rzekła Patrycja. - Jeśli oni nie chcą ci iść na rękę, to dlaczego nie miałbyś odejść do innego szpitala? No i czemu wreszcie nie usiądziesz i nie skończysz kolacji?

- Ja nie mogę odejść do innego szpitala - krzyczał Thomas.

- Thomas, uspokój się!

- Chirurgia serca to sprawa całego zespołu. Czy tego nie rozumiesz? - Thomas rzucił swoją serwetkę na talerz z nie dojedzoną kolacją.

- Zawsze wyprowadzasz mnie z równowagi! - krzyczał. - Przyjeżdżam do domu, żeby zaznać trochę spokoju, a ty mnie denerwujesz! - Wypadł jak burza z jadalni, pozostawiając matkę w stanie niepewności, co też takiego powiedziała, że syn tak bardzo się zdenerwował.

Już na korytarzu do uszu Thomasa dotarł szum wzburzonego morza. Fale muszą mieć od półtora do dwóch metrów wysokości. Thomas lubił ten szum - przypominał mu dzieciństwo.

Zapaliwszy światło w pokoju Cassi rozejrzał się naokoło. Białe meble stwarzały chłodną, nieprzytulną atmosferę. Był niezadowolony ze sposobu urządzenia tego pokoju: mimo koronkowych zasłon i kwiecistych poduszek było w nim coś nieprzyjemnego. Po krótkiej chwili przeszedł do swojego gabinetu. Trzęsącymi się rękami odszukał percodan. Przez moment zastanawiał się, czy nie wrócić do miasta, do Doris. Wnet jednak percodan zaczął działać, Thomas poczuł się spokojniejszy i zamiast wyprawić się z ciepłego domu w lodowatą noc, nalał sobie whisky.

### **Rozdział XIII**

Cassi miała nadzieję, że rychło przyzwyczai się do światełka okulisty, ale badanie zawsze sprawiało jej przykrość. Minęło już pięć dni od operacji oka i jeśli nie brać pod uwagę śpiączki poinsulinowej, proces leczenia pooperacyjnego można było uznać za nadzwyczaj pomyślny. Każdego dnia doktor Obermeyer przychodził do niej, oglądał chore oko i oświadczał, że wszystko jest w porządku. Dzisiaj, w dniu wypisu ze szpitala, Cassi przyszła do gabinetu Obermeyera na ostatnią „gruntowną” - jak doktor sam określił - kontrolę.

- Wszystko w porządku, Cassi - rzekł lekarz. - Naczynie krwionośne, które nam sprawiło tyle kłopotu, już nie krwawi. Wzrok poprawił się radykalnie. Chciałbym jeszcze poddać cię badaniom fluoresceinowym, w przyszłości będziesz może potrzebowała leczenia laserem. Na razie wszystko jest w porządku i możemy cię wypisać.

Aczkolwiek Cassi nie miała pojęcia na czym polega leczenie laserem, jednak nie było to w stanie zakłócić jej radości. Była głęboko przekonana, że wszystkie obawy związane z Thomasem były płodem jej nadmiernie pobudzonej wyobraźni, i że nieporozumienia między nimi zostały w znacznej części zawinione przez nią. Teraz pragnęła jak najszybciej wrócić do domu i uporządkować swoje małżeństwo.

Mimo iż mogła sama, bez niczyjej pomocy, poruszać się i chodzić, drogę powrotną do



swojego pokoju musiała odbyć na wózku, popychanym przez salową w zielonym kitlu.

Posługaczka miała już około siedemdziesiątki i strasznie przy tym sapała z wysiłku. Nie było jednak rady - Cassi musiała się zgodzić na tę podróż w wózku, choć ją to bardzo żenowało.

Spakowała się, usiadła obok łóżka i czekała cierpliwie na formalny wypis. Tego dnia

Thomas odwołał swoje przyjęcia w biurze po to, by zabrać ją do domu między pierwszą a drugą. Przez cały czas leczenia pooperacyjnego otaczał ją troskliwą opieką. Mimo nawału pracy odwiedzał ją po kilka razy dziennie, często jedli obiad razem ze współmieszkankami

Cassi, które były oczarowane jej mężem. Mówił ciągle o przygotowaniach do urlopu; po

wypisaniu Cassi ze szpitala mieli niezwłocznie, z błogosławieństwem doktora Obermeyera, wyjechać na półtora tygodnia.

Myśl o wspólnym urlopie była dla Cassi źródłem niezwykłej radości. Z wyjątkiem

spędzonego w Europie miesiąca miodowego, podczas którego Thomas operował i miał

wykłady w Niemczech, nigdy nie byli ze sobą razem nawet przez kilka dni. Cassi czekała

teraz na ten urlop, jak dziecko na święta Bożego Narodzenia.

Nawet doktor Ballantine odwiedził Cassi w jej pokoju. Przedawkowanie insuliny

bardzo go zaniepokoiło; zastanawiał się, czy nie czuje się za to odpowiedzialny, mając na

względnie ich rozmowy o Thomasie. Kiedy jednak próbowała poruszyć ten temat, nie podjął

go.

Ale przede wszystkim Thomasowi zawdzięczała to, że pobyt w szpitalu upłynął jej w

miarę przyjemnie. W ciągu ostatnich pięciu dni był tak miły, że Cassi mogła z nim rozmawiać

nawet o Robercie. Zapytała kiedyś, czy rzeczywiście spotkała go w nocy w pokoju Roberta,

czy też się jej tylko przyśniło. Thomas roześmiał się i potwierdził, że istotnie znalazł ją tam

tej nocy przed jej operacją. Wyglądała na bardzo oszołomioną lekami i zachowywała się tak,

jakby nie bardzo wiedziała, co robi.

Cassi odetchnęła, że nie wszystko tamtej nocy było halucynacjami. Wciąż jednak nie potrafiła sobie wytłumaczyć niektórych niejasnych wspomnień, zrodzonych - jak sądziła - na gruncie rozbudzonej w czasie choroby wyobraźni, zwłaszcza odkąd Joan zwróciła jej uwagę na potęgę podświadomości.

- Nareszcie mam wszystko w komplecie - zawołała panna Stevens, wpadając do pokoju Cassi. - Tutaj są lekarstwa dla pani, tutaj - krople do zapuszczania w ciągu dnia, a tu maść do smarowania na noc. Przyniosłam także trochę opatrunków na oko. Czy może ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Żadnych - odparła Cassi, podnosząc się do wyjścia.

Było dopiero kilka minut po jedenastej, gdy Cassi zniosła swoją walizkę na dół do hallu i zostawiła ją w informacji. Musiała czekać na Thomasa jeszcze przeszło dwie godziny, postanowiła więc w tym czasie wpaść na patologię. Nie miała ochoty rozmawiać z Thomasem o materiałach SSD, a była ich bardzo ciekawa.

Na dziewiątym piętrze skierowała się wprost do pokoju Roberta, który - jak się okazało - należał już do kogoś innego. Na drzwiach błyszczała metalowa tabliczka z nazwiskiem nowego lokatora: „Doktor Percey Frazer”. Cassi delikatnie zastukała - w odpowiedzi na zaproszenie weszła do środka.

Pokój przedstawiał diametralnie inny obraz. Wszędzie walały się stosy książek, czasopism medycznych i slajdów mikroskopowych. Podłoga była zaśmiecona zmiętymi kartkami papieru. Z tym tłem harmonizował wygląd samego doktora, który miał długie, nie uczesane włosy i rozwichrzoną brodę.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał, dostrzegając negatywną reakcję Cassi na ten niezwykle bałagan. Głos miał obojętny, bezbarwny.

- Robert Seibert był moim przyjacielem - zaczęła Cassi.

- Ach tak - odezwał się Frazer, przechylając się do tyłu i zakładając ręce na tył głowy.

- Taka tragedia.

- Czy pan przypadkowo wie może coś o jego notatkach? - zapytała. - Pracowałam razem z nim nad pewnym tematem. Chciałabym zobaczyć te papiery.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Kiedy otrzymałem ten pokój, był już wysprzątnany.

Radzę pani zwrócić się do szefa oddziału, doktora...

- Znam go dobrze - odparła Cassi. - Kiedyś byłam tu stażystką.

- Przykro mi bardzo, ale nie mogę pani w niczym pomóc. - Doktor Frazer przysunął się znowu do biurka, by zająć się przerwana pracą.

Cassi zwróciła się ku wyjściu, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie o czymś jeszcze. - Czy pan się może orientuje, jakie są wyniki sekcji zwłok Roberta?

- Słyszałem, że był ciężko chory na serce.

- A co było przyczyną zgonu?

- Tego nie wiem. Czekamy jeszcze na wyniki sekcji mózgu.

- Czy po śmierci był siny?

- Chyba tak. Ale lepiej niech pani zapyta o to wszystko szefa - ja jestem tutaj zupełnie nowy.

- Ma pan rację. Dziękuję.

Doktor Frazer wykonał pożegnalny gest i zamknął cicho drzwi za Cassi, która udała się na poszukiwanie szefa, ten jednak - jak się okazało - był na jakimś zebraniu w mieście. W tej sytuacji postanowiła poczekać na Thomasa w jego biurze. Spotkanie z nowym lekarzem w pokoju Roberta uprzytomniło jej śmierć przyjaciela z całą brutalnością. Ponieważ nie była na jego pogrzebie, czasem zapominała, że on już odszedł - po tej wizycie chyba to się nie powtórzy.

Kiedy znalazła się pod drzwiami biura Thomasa, stwierdziła, że są zamknięte.

Spojrzała na zegarek: było kilka minut po dwunastej. Doris najwidoczniej wyszła na obiad.

Cassi otworzyła drzwi własnym kluczem i usiadła na różowej kanapie w poczekalni.

Zajęła się przeglądaniem starych numerów „New Yorker’a”, ale nie potrafiła się skoncentrować. Spostrzegła, że drzwi do gabinetu Thomasa są uchylone. W ciągu minionego tygodnia myśl o narkotykach ciągle nie dawała jej spokoju. Chciała wierzyć, że Thomas się zmienił całkowicie, ale gdy znalazła się sama w jego biurze, ciekawość zwyciężyła: wstała i weszła do gabinetu.

Do tej pory była tu zaledwie kilka razy: na półkach regału rozstawione były zdjęcia

Thomasa i innych wybitnych chirurgów, nie zauważyła natomiast nigdzie swojej fotografii.

Za to zdjęcie Patrycji widniało na półce.

Pełna nerwowego napięcia usiadła za biurkiem. Niemal automatycznie jej ręka

powędrowała w kierunku szuflady drugiej z prawej strony. Gdy ją wysuwała, czuła się jak

zdrajczyni. W ciągu ostatniego tygodnia Thomas był taki miły i troskliwy... W szufladzie

odkryła miniaturową apteczkę: percodan, demerol, valium, morfina, talwin i deksedryna. Tuż

za pudełkiem z fiolkami leżała sterta formularzy pocztowych zamówień, adresowanych do

firmy produkującej środki pobudzające: „Generic Drugs”. Zamawiającym był doktor Allan

Baxter - to samo nazwisko widniało na fiolkach znalezionych w domu.

Nagle trzasnęły drzwi w poczekalni. Z trudem opanowała panikę - powoli zamknęła

szufladę, po czym wyszła z gabinetu do poczekalni.

- Boże! - zawołała przestraszona Doris. - Nie wiedziałam, że pani jest tutaj.

- Wypisano mnie wcześniej za dobre sprawowanie - z uśmiechem odrzekła Cassi.

Zaskoczona Doris po ochłonięciu powiedziała Cassi, że całe wczorajsze popołudnie

spędziła na odwoływaniu wizyt pacjentów, po to, aby doktor mógł ją dzisiaj odebrać ze

szpitala. Cały czas mówiąc, rzuciła okiem na otwarte drzwi gabinetu, a następnie je starannie zamknęła.

- Kim jest doktor Allan Baxter? - zapytała nie zwracając uwagi na to, że Doris próbowała dać do zrozumienia, iż Cassi jej wyraźnie przeszkadza.

- Doktor Baxter był kardiologiem i zajmował pokój obok naszego biura. Teraz jest to pomieszczenie, w którym doktor Kingsley przeprowadza badania chorych.

- Kiedy doktor Baxter się wyprowadził?

- On się nie wyprowadził, on umarł - odrzekła Doris siadając do maszyny. Nie patrząc na Cassi, dorzuciła jeszcze: - Jeśli pani ma ochotę tu poczekać, proszę bardzo - doktor z pewnością zaraz nadejdzie. - Włożyła kartkę czystego papieru do maszyny i zaczęła pisać.

- Poczekaam w gabinecie doktora - rzekła Cassi. Gdy przechodziła obok biurka, Doris powiedziała z przekąsem: - Doktor nie lubi, gdy ktokolwiek pod jego nieobecność wchodzi do gabinetu.

- To zrozumiałe - odparła Cassi - ale ja nie jestem „kimkolwiek” - jestem jego żoną.

Cassi wróciła do gabinetu zamykając drzwi: początkowo obawiała się, że Doris pójdzie za nią, ale po chwili usłyszała stukanie maszyny.

Szybko wyjęła z biurka jeden z formularzy zamówień pocztowych, na którym znalazła interesujący ją numer telefonu. Używając telefonu z bezpośrednimi połączeniami, wykręciła numer. Słuchawkę podniosła sekretarka, Cassi się przedstawiła, a następnie poprosiła o informację o pewnym lekarzu.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli panią połączę z jednym z naszych inspektorów - oświadczyła sekretarka.

Cassi czekała na linii. Serce jej biło mocno, ręce drżały. W końcu odezwał się inspektor. Cassi znów się przedstawiła nadmieniając przy tym, że pracuje w Boston

Memorial. Inspektor był nadzwyczaj uprzejmy i zapytał, w czym może jej pomóc.

- Potrzebuję pewnej informacji - rzekła. - Interesuje mnie, czy przestrzegacie zawsze obowiązującego trybu składania indywidualnych zamówień przez lekarzy.

- Oczywiście - odparł inspektor. - Posiadamy komputerowe rejestry lekarzy uprawnionych do składania takich zamówień. Jeśli jednak panią interesują szczegółowe informacje, to muszę uprzedzić, że są zastrzeżone.

- Są dostępne wyłącznie dla was, czy dobrze rozumiem?

- Tak jest, szanowna pani doktor. Oczywiście nie kwestionujemy żadnych indywidualnych zamówień, dopóki nie otrzymamy sygnału o nieprawidłowościach od zarządów, inspektorów medycyny lub też od komitetów etyki lekarskiej. Wyjątek stanowi sytuacja, kiedy w ciągu krótkiego czasu zamówienia te bardzo wzrastają - wtedy komputer automatycznie wyrzuca nazwisko takiego lekarza.

- Rozumiem - stwierdziła Cassi - że nie mam żadnych możliwości sprawdzenia zamówień określonego lekarza.

- Obawiam się, że nie. Jeśli pani chce zapytać o konkretnego lekarza, radzę zwrócić się do Izby Lekarskiej. Liczę na wyrozumiałość, iż nic więcej dla pani nie mogę uczynić.

- Dziękuję bardzo - rzekła Cassi.

Już odkładała słuchawkę, gdy inspektor jeszcze dorzucił:

- Jeśli pani sobie życzy, mogę powiedzieć, czy taki lekarz jest u nas zarejestrowany i czy przyjmujemy od niego zamówienia aktualnie, nie mogę jednak podać wielkości zamówień. Czy to panią satysfakcjonuje?

- Owszem - odparła Cassi. Podała swojemu rozmówcy nazwisko doktora Allana Baxtera i jego numer.

- Proszę poczekać - powiedział inspektor. - Łączę się z komputerem.

W tym samym momencie Cassi usłyszała, jak do poczekalni otwierają się drzwi i rozlega się głos Thomasa. Szybko wsunęła formularz zamówienia do kieszeni. W momencie gdy Thomas pojawił się w drzwiach gabinetu, w słuchawce ponownie odezwał się inspektor. Cassi uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Doktor Baxter posiada ważny numer i składa u nas zamówienia na leki.

Cassi nic nie odpowiedziała. Po prostu odłożyła słuchawkę.

W drodze do domu Thomas był rozmowny i opiekuńczy. Jeśli nawet był niezadowolony, że zastał Cassi w swoim gabinecie, potrafił to ukryć za mnóstwem pytań o jej samopoczucie.

Cassi była wdzięczna za troskliwość, ale nie przestawała myśleć o tym, czego się przed chwilą dowiedziała. Przez większą część drogi milczała pogrążona w myślach. Teraz już wiedziała, w jaki sposób Thomas zaopatruje się w narkotyki. Podszycwał się pod Allana Baxtera i korzystał z jego rejestracji i uprawnień. Musiał tylko co roku wypełnić formularz i przesłać pięciodolarową opłatę. Posiadając numer Baxtera i pojęcie o tym, w jakich ilościach zamawiał środki odurzające zanim umarł, mógł się zaopatrywać w narkotyki bez trudności w większych ilościach, niż był w stanie skonsumować.

Fakt, że dopuścił się takiego oszustwa świadczył, że problem narkomanii Thomasa był poważniejszy, niż przedtem sądziła. Jednak jego zachowanie w ciągu ostatniego tygodnia pozwalało mieć nadzieję, że się opamiętał.

- Mam złą nowinę - Thomas przerwał jej rozmyślenia. Spojrzał na nią jakby chciał się upewnić, że go uważnie słucha.

- Przed wyjazdem do domu odebrałem telefon ze szpitala na Rhode Island. Mają dla nas pacjenta, który dziś w nocy musi być operowany. Próbowałem znaleźć zastępstwo, by ci dotrzymać towarzystwa, ale bez rezultatu. Myślę jednak, że czujesz się dobrze i będę mógł

dzisiaj wrócić do szpitala.

Cassi nie odpowiedziała. Właściwie była rada, że Thomas wróci na noc do szpitala - będzie miała czas na dokładne przemyślenie sprawy. Być może uda się jej ustalić ilość narkotyków, jaką przyjmuje Thomas. Może jeszcze jest szansa na ocalenie go od nałogu.

- Czy rozumiałaś? - zapytał Thomas. - Niestety, nie miałem wyboru.

- Rozumiem - odparła.

Thomas zajechał przed dom, wyszedł z samochodu i pomógł wsiąść Cassi. Tak uprzedzająco grzeczny był tylko na początku ich znajomości.

Gdy znaleźli się już w domu, nalegał, aby Cassi udała się wprost do swojego pokoju.

- Gdzie jest Harriet? - zapytała Cassi idącego za nią z dzbanem zimnej wody

Thomasa.

- Wzięła wolne popołudnie, żeby odwiedzić ciotkę - wyjaśnił. - Ale jestem pewien, że przygotowała nam coś do jedzenia.

Cassi mogła sama przyrządzić sobie kolację, ale brakowało jej zwykłej krzątaniny Harriet.

- Z troszczyłem się o wszystko - oznajmił Thomas. - Chodzi mi o to, żebyś miała dobre warunki do wypoczynku.

Cassi położyła się na kanapie, a Thomas okrył ją natychmiast wełnianym szalem.

Miała duże zaległości w literaturze dotyczącej psychiatrii.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? - zapytał Thomas. Cassi potrząsnęła przecząco głową.

Pochylił się nad żoną, pocałował ją w czoło i położył na kolanach folder: w środku były dwa bilety na samolot American Airlines.

- To dla ciebie, żeby ci uprzyjemnić moją nieobecność. Śpij dobrze.



Wyciągnęła ramiona i objęła go za szyję, przytulając z całej siły do siebie.

Thomas wszedł do łazienki, zamykając za sobą starannie drzwi. Słychać było spuszczenie wody w toalecie. Kiedy wrócił, jeszcze raz ją pocałował obiecując, że zadzwoni natychmiast po operacji, jeśli tylko nie będzie zbyt późno.

Przed wyjazdem zajrzał na chwilę do swojego gabinetu, do salonu i kuchni. Gdy Cassi znajdowała się już w domu, po raz pierwszy od kilku dni czuł się znacznie lepiej. Był teraz nawet w stanie myśleć o czekającej go operacji, która - jak przypuszczał - nie będzie łatwa. Zanim jednak wyruszył z domu, musiał zobaczyć się z matką.

Nacisnął przycisk dzwonka i czekał aż zejdzie. Ucieszyła się na jego widok, ale trwało to tylko chwilę, dopóki nie oświadczył, że wraca natychmiast do szpitala.

- Przywiozłem do domu Cassi - oznajmił.

- Wiesz, że Harriet nie ma w domu, a chyba nie oczekujesz, że będę ją pielęgnować.

- Ona czuje się dobrze, mamó. Proszę tylko, żebyś ją zostawiła w spokoju. Chciałbym, żebyś nie chodziła do niej dziś wieczorem i nie denerwowała jej niepotrzebnie.

- Gdzie cię proszą, bywaj rzadko, gdzie nie proszą, nie chodź wcale - odparła sentencjonalnie Patrycja.

Thomas odszedł, nie mówiąc więcej ani słowa. Po kilku minutach siedział już w samochodzie i wytarłszy ręce w ściereczkę, którą trzymał pod przednim siedzeniem, włączył silnik i ruszył przed siebie. Na drodze do Bostonu o tej porze ruch był niewielki, mógł więc jechać z dużą szybkością.

Kiedy zajechał przed szpital, z przyjemnością stwierdził, że tuż obok budki wartownika było wolne miejsce, na którym mógł zaparkować. Zawołał głośno „hallo” i wyszedł z samochodu. Wszedł do środka budynku i pojechał windą na chirurgię serca.

W zimowy wieczór zapadał powoli zmrok, ale Cassi nie zapaliła światła w pokoju.

Wpatrywała się we wzburzone morze, które stopniowo zmieniało barwę: było to bladogranatowe, to szarostalowe. Na jej kolanach wciąż leżały bilety lotnicze pozostawione przez Thomasa. Może w czasie urlopu wyjaśni sobie wszystkie problemy i wątpliwości. Uczciwą rozmową można załatwić więcej niż połowę kwestii. Z zamkniętymi oczami wyobrażała sobie długie z Thomasem dysputy na dalekiej plaży. W końcu zasnęła zmęczona tym, co przeżyła w szpitalu.

Gdy się obudziła, było już zupełnie ciemno. Podmuchy wiatru tłukły wściekle deszczem o szyby. Cassi włączyła stojącą lampę. Przez chwilę światło ją oślepiło - była zmuszona przysłonić oczy, żeby odczytać godzinę na swoim zegarku. Zdumiona stwierdziła, że dochodzi już ósma. Niezadowolona wstała i zarzuciła szal. Nie lubiła spóźniać się z wstrzykiwaniem insuliny.

W łazience stwierdziła, że poziom cukru w jej moczu wynosi dwa plus. Wróciła do pokoju i wyjęła z lodówki lekarstwa. Rozłożyła sprzęt na biurku, skrupulatnie odmierzyła dwadzieścia jednostek krótko działającej i dziesięć jednostek insuliny Lente. Delikatnie zrobiła sobie zastrzyk w lewe udo.

Po zabiegu złamała igłę i wyrzuciła wraz ze zużytą strzykawką do kosza na śmieci. Insulinę z powrotem umieściła w lodówce. Żeby nie pomylić z sobą obu rodzajów insuliny, trzymała je na dwóch różnych półkach. Zdjęła opatrunek z lewego oka i zapuściła do niego krople. Już w drodze do kuchni poczuła pierwszy zawrót głowy.

Zatrzymała się na chwilę, sądząc, że to szybko minie. Tak się nie stało. Cassi poczuła, że zaczyna się pocić. Zdziwiona, że krople do oka mogą mieć tego rodzaju uboczne działania, wróciła do pokoju, żeby sprawdzić etykietkę. Jak słusznie przypuszczała, był to antybiotyk. Odłożywszy na bok lekarstwa, Cassi wytarła ręce; były wilgotne. Całe jej ciało zaczęło się gwałtownie pocić, a jednocześnie dokuczał jej wprost niewiarygodny głód.

Teraz już wiedziała, że to nie krople do oczu zawiniły - miała kolejne niedocukrzenie, spowodowane nadmierną ilością insuliny. Pierwszym odruchem było sprawdzić, czy właściwie odczytała pojemność strzykawki. W tym celu wyjęła ją z kosza - wszystko jednak było w porządku. Sprawdziła jeszcze buteleczki po insulynie - z tym samym rezultatem. Cassi nie mogła zrozumieć, w jaki sposób mogła zostać tak głęboko zakłócona jej glikemia lub poziom cukru.

Odkrycie przyczyny reakcji było w tej chwili mniej ważne, niż jej leczenie. Przede wszystkim należało niezwłocznie dobrze się najeść. Była w połowie drogi do kuchni, gdy poczuła, że pot spływa z niej strumieniami, a jednocześnie serce zaczyna tłuc się wściekle w piersi. Na próżno próbowała sprawdzić puls - ręce jej drżały. To nie była łagodna reakcja! Jej siła przypominała dramatyczny epizod z insuliną w szpitalu.

Ogarnięta paniką rzuciła się z powrotem do swojego pokoju.

Otworzyła szafę: gdzieś tu musi być jej lekarska torba, którą otrzymała jeszcze na uczelni. Musi ją znaleźć! Wykonując desperackie ruchy odsuwała na bok suknie, żeby osiągnąć znajdujące się z tyłu półki. Jest!

Cassi wyjęła torbę, pobiegła z nią do biurka i wysypała zawartość. Drżącymi rękami odszukała pojemnik z glukozą w płynie i zrobiła sobie zastrzyk. Niemal żadnego efektu.

Coraz bardziej dygotała, coraz gorzej widziała.

Gorączkowo chwyciła kilka małych buteleczek dożylnych, pięć-dziesięcioprocentowej glukozy, które także znalazła w torbie. Z największym trudem założyła sobie opaskę uciskową na lewym ramieniu. Kurczowym ruchem wbiła igłę w żyłę lewej ręki. Krew popłynęła z końca igły, ale Cassi nie zwracała na to uwagi. Rozluźniła nieco opaskę, podłączyła do igły rurkę z butelki. Podczas gdy trzymała butelkę nad głową, jasny, przejrzysty płyn wtłoczył płynącą krew z powrotem do żyły, a następnie popłynął swobodnie.

Odczekała chwilę. Teraz poczuła się lepiej, zaczęła również lepiej, prawie normalnie widzieć. Przyciskając głową do ramienia butelkę z glukozą, usiłowała przymocować kilka kawałków taśmy klejącej w miejscu, w którym igła została wbita w żyłę. Z powodu wycieku krwi, nie najlepiej jej się to udało. Przełożyła butelkę do prawej ręki i pobiegła do sypialni, gdzie znajdował się telefon. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer 911.

Oczekując, aż się ktoś odezwie, lękała się, że w każdej chwili może stracić przytomność. W końcu usłyszała: - Tu 911, pogotowie.

- Proszę natychmiast przysłać karetkę... - zaczęła Cassi, ale głos na drugim końcu linii wciąż powtarzał: - Halo, halo!

- Czy pan mnie słyszy? - zapytała Cassi.

- Halo, halo!

- Czy pan mnie słyszy? - krzyczała do słuchawki.

Głos na drugim końcu linii powiedział coś do znajdującej się obok osoby, po czym w słuchawce zapadła cisza.

Cassi zadzwoniła ponownie - z tym samym rezultatem. Potem połączyła się z telefonistką - to samo. Dobrze słyszała swoich rozmówców, lecz oni nie słyszeli jej.

Chwyciwszy jedną butelkę dożylniej glukozy w lewą rękę i trzymając nad głową drugą, Cassi pobiegła na uginających się nogach do gabinetu Thomasa.

Ku jej przerażeniu tu również telefon nie był czynny. Słyszała głos z drugiej strony uporczywie powtarzający „halo”, ale jej nikt nie słyszał. Wybuchnęła głośnym szlochem, rzuciła słuchawkę na aparat i wzięła ponownie do ręki butelkę z glukozą.

Czuła jak narasta w niej uczucie paniki. Uważając, by nie upaść, zeszła na dół, chcąc spróbować zadzwonić z aparatów telefonicznych w salonie i w kuchni - wszystko na próżno.

Wybiegła do hallu; na stoliku pod ścianą leżały kluczyki do jej samochodu. Schwyciła

je, ściskając w rękę razem z zapasową butelką dożylną glukozy. Pierwszym jej odruchem było pojechać do najbliższego, znajdującego się w odległości nie większej niż dziesięć minut jazdy, szpitala. Z podłączoną do ręki glukozą miała szansę pokonać tę odległość.

Żeby otworzyć drzwi wyjściowe, musiała na chwilę odłożyć butelkę z glukozą - w rurce natychmiast pojawiła się krew, ale cofnęła się, gdy Cassi ponownie uniosła butelkę ponad głowę.

Zimna, deszczowa noc ożywiła ją nieco. Biegła do garażu. Żonglując butelką ponad głową, otworzyła drzwi samochodu i wśliznęła się na siedzenie za kierownicą. Zawiesiwszy butelkę z glukozą na lusterku, przekręciła kluczyk w stacyjce.

Silnik wykonał kilka obrotów: raz, drugi i trzeci, ale nie zapalił. Cassi wyjęła kluczyk i zamknęła oczy. Trzęsła się jak w febrze. Dlaczego silnik nie chce zapalić! Spróbowała jeszcze raz - z tym samym rezultatem. Butelka z glukozą nad jej głową była już niemal pusta.

Drżącymi rękami sięgnęła po zapasową. Nawet w ciągu tych kilku minut, których potrzebowała na wymianę butelek, poczuła natychmiastowe pogorszenie. Zdawała sobie sprawę, że kiedy zabraknie glukozy, grozić jej będzie utrata przytomności.

Jedyną szansą, jaka jej pozostała, był telefon Patrycji. Zataczając się na nogach wyszła z garażu i okrążywszy budynek znalazła się pod drzwiami mieszkania teściowej. Wciąż trzymając butelkę z glukozą ponad głową, nacisnęła przycisk dzwonka.

Patrycja powoli zeszła na dół po schodach, a następnie ostrożnie wyjrzała przez wizjer. Rozpoznała Cassi, spostrzegła butelkę nad jej głową i natychmiast otworzyła drzwi.

- Wielki Boże! - zawołała widząc bladą, pokrytą kroplami potu twarz synowej. - Co się stało?

- Mam reakcję insulinową - wydusiła z siebie Cassi. - Muszę zadzwonić po pogotowie.

Twarz Patrycji wyrażała najwyższe zaskoczenie i zaniepokojenie, jednak nie od razu usunęła się z przejścia.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś od siebie? - zapytała.

- Wszystkie telefony są nieczynne. Proszę, wpuść mnie. - Powiedziawszy to zrobiła krok naprzód, nacierając na Patrycję, która zaskoczona ustąpiła na bok. Cassi nie miała czasu na dalsze wyjaśnienia - jak najprędzej potrzebowała telefonu.

Patrycja była wściekła. Nawet jeśli była chora, nie musiała zachowywać się nieuprzejmie. Ale Cassi nie zwracała najmniejszej uwagi na Patrycję. Gdy ta weszła do salonu, zastała Cassi już przy telefonie. Z ulgą stwierdziła, że dyżurny w pogotowiu słyszy ją doskonale. Jak mogła najspokojniej podała mu wszystkie dane, prosząc jednocześnie o natychmiastowe przysłanie ambulansu. Otrzymała zapewnienie, że karetka natychmiast wyjedzie.

Drżącą ręką odłożyła słuchawkę. Czuła, że powoli opuszcza ją napięcie, a wraz z nim resztkę sił. Wyczerpana opadła na kanapę patrząc na skonfundowaną Patrycję, która usiadła obok synowej. Obie kobiety w milczeniu oczekiwały na sygnał ambulansu. Trwający przez lata antagonizm utrudniał im porozumienie, ale gdy wreszcie karetka nadjechała, Patrycja pomogła wpół nieprzytomnej już Cassi zejść do samochodu.

Oprowadzając wzrokiem odjeżdżającą karetkę, Patrycja przez krótką chwilę poczuła dla synowej coś w rodzaju współczucia. Wróciła do salonu i zadzwoniła do syna, był jednak zajęty na sali operacyjnej. Poprosiła, by mu przekazano, żeby zadzwonił do matki.

Thomas spojrział na zegarek: trzydzieści cztery minuty po północy.

o jedenastej piętnaście powiadomiono go o telefonie matki. Była bardzo zdenerwowana, gdy oddzwonił; ze szczegółami zrelacjonowała mu przebieg wypadków.

Miała pretensję, że pozostawił Cassi samą i zobowiązała go, żeby jak najprędzej pojechał do

szpitala, do którego ją zabrano.

Thomas natychmiast zatelefonował do Essex General: dyżurująca pielęgniarka potwierdziła przyjęcie Cassi, ale nie była w stanie mu powiedzieć, jak się chora czuje.

Thomasa nie trzeba było ponaglać - chciał się jak najszybciej dowiedzieć, co się dzieje z Cassi.

Nie zatrzymał się nawet na czerwonym świetle kilkadziesiąt metrów przed szpitalem, ale podjechał z piskiem opon wprost przed wejście. W portierni nie zastał nikogo; za to u góry nad okienkiem odczytał napis świetlny: „Informacja na ostrym dyżurze”. Biegiem puścił się we wskazanym przez strzałkę kierunku.

Wnet się znalazł w niewielkiej poczekalni, oddzielonej szybą od stanowiska dyżurującej pielęgniarki, która popijając spokojnie kawę oglądała telewizję. Thomas zastukał w szybę.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała z wyraźnym bostońskim akcentem.

- Szukam swojej żony - nerwowo odparł Thomas. - Przywieziono ją tutaj karetką.

- Proszę usiąść i poczekać.

- Czy ona jest tutaj? - dopytywał się niecierpliwie Thomas.

- Jeśli pan usiądzie, poproszę lekarza. Lepiej, jeśli pan z nim porozmawia.

Mój Boże, pomyślał Thomas siadając posłusznie. Na szczęście nie musiał długo czekać. Rychło pojawił się mężczyzna o orientalnym typie, w białym, wymiętym fartuchu.

Oślepiiony ostrym, jarzeniowym światłem, mrugając oczami przedstawił się: - Jestem Chang.

Przepraszani bardzo, ale pańska żona już nas opuściła.

Przez chwilę Thomas sądził, że doktor powiadamia go o zgonie Cassi, ale ten spokojnie informował go dalej: Cassi wypisała się ze szpitala na własne żądanie.

- Niemożliwe! - zawołał Thomas.

- Pańska żona jest także lekarzem - usprawiedliwiał się doktor Chang.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Thomas z trudem hamując wściekłość.

- Cierpiała na przedawkowanie insuliny. Podaliśmy jej glukozę i wszystko wróciło do normy. Potem postanowiła się wypisać.

- A wy na to pozwoliliście.

- Ja nie chciałem się zgodzić. Odradzałem, ale pańska żona nalegała. Wypisała się wbrew mojemu stanowisku i potwierdziła to podpisem - mogę go panu pokazać.

Thomas chwycił go z pasją za ramię. - Jak pan mógł pozwolić jej opuścić szpital!

Przecież ona znajduje się w szoku! Z pewnością nie wiedziała nawet, co robi!

- Podpisując formularz dla opuszczających szpital była zupełnie przytomna.

Oświadczyła, że udaje się do Boston Memorial. Niewiele mogłem uczynić w tej sytuacji. Nie jestem specjalistą od leczenia cukrzycy.

- W jaki sposób stąd wyjechała? - zapytał jeszcze Thomas.

- Wezwała taksówkę.

Thomas wybiegł na korytarz, a stamtąd na szpitalny dziedziniec. Musi ją jak najszybciej znaleźć!

Prowadził samochód brawurowo - na szczęście ruch na drodze był niewielki. Wpadł na krótką chwilę do domu, a potem pędził dalej, aż do Bostonu. Gdy znalazł się na parkingu obok szpitala, dochodziła druga. Udał się wprost na oddział nagłych wypadków.

W przeciwieństwie do Essex General, zastał tutaj tłum pacjentów. Niestety, w rejestracji powiedziano mu, że doktor Cassidy tutaj nie ma. Po sprawdzeniu w komputerze urzędnik oświadczył: - Pańska żona opuściła szpital dziś rano.

Thomas poczuł mdłości. Gdzie ona mogła się podziać? Mogła jeszcze tylko pójść na Clarkson 2.



Nie zastanawiał się nigdy dlaczego, ale nie lubił chodzić na oddział psychiatrii. Nie czuł się tam dobrze. Źle działało na niego nawet skrzywienie ciężkich, przeciwpożarowych drzwi, które zamykały się z hermetyczną dokładnością za każdym przychodzącym.

Idąc ciemnym korytarzem, słyszał głośnie echo własnych kroków. Minął pustą zupełnie salę klubową z włączonym telewizorem. W znajdującym się obok pokoju siedząca przy biurku pielęgniarka czytała spokojnie czasopismo medyczne. Gdy podszedł do niej, spojrzała na niego jak na jednego z pacjentów.

- Jestem Kingsley, doktor Kingsley - oznajmił. Pielęgniarka skinęła głową.

- Szukam żony, doktor Cassidy. Czy pani jej nie widziała?

- Nie, panie doktorze. O ile mi wiadomo, jest na zwolnieniu.

- Ma pani rację, ale myślałem, że może przyszła tutaj.

- Nie widziałam jej dzisiaj, ale jeśli tylko ją spotkam, powiem, że pan jej szuka.

Thomas podziękował i postanowił pójść do biura: tam się zastanowi, co dalej robić.

W swoim gabinecie przede wszystkim podszedł do biurka i wyjął z szuflady kilka pastylek talwinu. Przełknął je, popijając szkocką, i usiadł w fotelu. Odczuwał przenikliwy ból tuż pod mostkiem - czy to przypadkiem nie wrzód żołądka? Z bólem da się żyć - najgorszy jest ciągły, dręczący niepokój. Miał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozpaść na drobne kawałki. Musi odszukać Cassi - od tego, czy ją znajdzie, zależy jego życie.

Sięgnął po słuchawkę telefonu. Mimo późnej godziny zadzwonił do doktora

Ballantine'a. Ponieważ Cassi rozmawiała z Ballantine'em przedtem, niewykluczone, że i tym razem zwróciła się do niego.

Ballantine, wyrwany ze snu, odezwał się zaspanym głosem już po drugim dzwonku.

Thomas przeprosił go i zapytał, czy rozmawiał dzisiaj z Cassi.

- Nie rozmawiałem - odparł Ballantine. - A niby dlaczego miałbym z nią rozmawiać?

- Nie wiem - wyznał Thomas. - Dziś wypisano ją ze szpitala, pojechaliśmy więc do domu. Sam wróciłem do szpitala, gdyż miałem nagły przypadek. Kiedy zakończyłem operację, dowiedziałem się, że szuka mnie matka. Zadzwoiłem do niej i dowiedziałem się, że Cassi znowu przedawkowała insulinę i pogotowie zabrało ją do miejscowego szpitala. Zanim zdążyłem się tam pojawić, okazało się, że już się stamtąd wypisała, a ja w tej chwili nie mam najmniejszego pojęcia, co się z nią dzieje. Jestem niemal chory ze zmartwienia.

- Przepraszam, Thomas, jeśli tylko do mnie zadzwoni, dam ci natychmiast znać. Gdzie cię szukać?

- Dzwon do szpitala, oni mają zawsze mój numer.

Gdy tylko Ballantine odłożył słuchawkę, jego żona przewróciła się na drugi bok i zapytała, o co chodzi. Do Ballantine'a, który był szefem oddziału, rzadko dzwoniono w nocy.

- Dzwonił Thomas Kingsley - odparł patrząc w ciemność. - Jego żona najwyraźniej jest niezrównowazona, a on boi się, że może popełnić samobójstwo.

- Biedny człowiek - zauważyła pani Ballantine, czując, że mąż podnosi się z łóżka. -

Po co wstajesz, kochanie?

- Bez określonego celu. Śpij, moja droga.

Doktor Ballantine włożył szlafrok i wyszedł z sypialni. Miał przykre uczucie, że sprawy biegną nie po jego myśli.

## **Rozdział XIV**

Cassi obudziła się z okropnym bólem głowy, takim samym, jaki miała na oddziale intensywnej terapii. Tym razem jednak potrafiła myśleć zupełnie przytomnie i pamiętała wszystko, co się stało poprzedniej nocy. Po wypisaniu się z Essex General kazała się zawieźć do Bostonu, gdzie miała zamiar zwrócić się do doktora McNery. Kiedy dotarła do szpitala, okazało się, że już nie potrzebuje pomocy lekarza. Bardzo natomiast potrzebowała snu, by

wypocząć, zanim zdecyduje się cokolwiek uczynić po koszmarnych przeżyciach ostatniej nocy; weszła do pustej separatki na Clarkson 2 i wyciągnęła się na łóżku.

Zanim zasnęła, długo myślała, że musi z kimś porozmawiać o Thomasie. Czy to jemu zawdzięcza kolejne przedawkowanie insuliny? A jeśli tak, to w jaki sposób udało mu się to zrobić, przecież sama wstrzykiwała sobie lekarstwo? Ale fakt, że wszystkie telefony w domu były nieczynne, oprócz telefonu Patrycji, nie mógł być przecież dziełem przypadku. Również jej samochód zawsze dotąd był niezawodny. Co będzie, jeśli jej obawy, że Thomas ma coś wspólnego z serią SSD, są słuszne? Jeśli to on właśnie jest odpowiedzialny za śmierć Roberta?

Jeśli to wszystko jest prawdą, Thomas musi być psychicznie chory. Doktor Ballantine obiecał, że uczyni wszystko, żeby mu pomóc, kiedy zajdzie potrzeba. Cassi postanowiła, że właśnie do niego zwróci się rankiem następnego dnia. Tymczasem jest tutaj zupełnie bezpieczna.

Po sprawdzeniu poziomu cukru w moczu położyła się spać.

Obudziła się przed świtem, gdy szpital był jeszcze pogrążony w ciszy nocnej. Umyła się jak mogła najlepiej w tych warunkach, a następnie poszła do laboratorium, gdzie poprosiła zaspanego technika o pobranie krwi na próbę cukru; niestety, kierownik nocnej zmiany w laboratorium odmówił na to zgody, gdyż nie miała przy sobie swojej karty szpitalnej. Nie wdając się w spór, Cassi zostawiła próbkę krwi, oświadczając, że kierownik formalista uczyni z nią, co mu podyktuje sumienie, a ona wpadnie tu jeszcze później. Z laboratorium udała się wprost do biura Ballantine'a, siadając tuż przy jego drzwiach.

Minęło półtorej godziny, zanim Ballantine się pojawił. Dostrzegł Cassi już z daleka.

- Jeśli pan ma chwilę czasu, chciałabym porozmawiać - poprosiła.

- Oczywiście, proszę wejść - odpowiedział otwierając drzwi do biura i zapraszając

Cassi do środka; zachowywał się tak, jakby się jej spodziewał.

Cassi weszła i unikając spojrzenia Ballantine'a skierowała swój wzrok w okno, na James River. Miała wrażenie, że doktor z jakiegoś nieznanego powodu jest niezadowolony z jej wizyty.

- Cóż więc mogę dla pani uczynić? - zapytał, gestem ręki zapraszając ją, żeby usiadła.

- Nie jestem... zupełnie pewna... - zaczęła wolno mówić. - Zanim uczynię cokolwiek innego, chciałabym poddać Thomasa leczeniu. Wiem, że nadużywa środków odurzających.

- Droga Cassi - tłumaczył cierpliwie doktor Ballantine - rozmawiałem na ten temat z Thomasem. Z tego, co wiem, wynika, że jest bardzo ostrożny w korzystaniu z tych środków.

- Thomas zdobywa pigułki posługując się cudzym nazwiskiem - stwierdziła Cassi. -

Ale narkotyki to tylko jedna strona medalu. Uważam, że Thomas jest chory, psychicznie chory. Zdaję sobie sprawę, że jako psychiatra nie mam jeszcze dużego doświadczenia, ale Thomas jest z całą pewnością chory. Jest groźny dla otoczenia, w szczególności dla mnie.

Ballantine milczał przez chwilę. Patrzył na Cassi ze zdumieniem i po raz pierwszy był zatroskany. Objął ją ramieniem i perswadował ze współczuciem: - Dużo przeżyłaś w ostatnich dniach. Nie sądzę jednak, żebym mógł ci pomóc. Chciałbym, żebyś porozmawiała z kimś innym. Dlatego, bądź tak dobra, usiądź na chwilę i odpocznij.

- Z kim mam rozmawiać? - zapytała Cassi.

- Proszę cię, usiądź - łagodnie powiedział doktor. Wysunął z kąta fotel z wysokim oparciem i ustawił przed biurkiem, naprzeciwko okna. Ujął Cassi za rękę i delikatnie zachęcał do zajęcia miejsca w fotelu. - Usiądź tak, żeby ci było wygodnie.

To był jej stary doktor Ballantine, którego znała. Ufała, że pomoże jej i Thomasowi. Z uczuciem wdzięczności zagłębiła się w fotelu, między miękkimi skórzanymi poduszkami.

- Czy mogę ci coś podać? Kawę? Albo może chcesz coś zjeść?

- Chętnie bym coś przekąsiła - oświadczyła; czuła głód, a poziom cukru we krwi musiał być jeszcze niewysoki.

- W porządku, poczekaj tutaj chwileczkę. Jestem przekonany, że wszystko będzie dobrze.

Doktor Ballantine wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Cassi intensywnie myślała, kogo też Ballantine ma zamiar przyprowadzić. Musi to być ktoś, kto ma autorytet i może wpłynąć na Thomasa. Zaczęła sobie układać to, co ma do powiedzenia. Obejrzała się, gdy usłyszała, że za jej plecami otwierają się drzwi. Zaskoczona, nie wierząc oczom, zobaczyła Thomasa.

W pierwszej chwili poczuła się oszołomiona, ale szybko się opanowała i spokojnie obserwowała jego zachowanie. W jednym ręku trzymał talerz z jajecznicą, w drugim karton z mlekiem. Biodrem zatrzasnął za sobą drzwi. Podeszedł do niej i podał jedzenie. Był nieogolony, wyglądał mizernie i smutno. - Doktor Ballantine powiedział mi, że masz ochotę coś zjeść - powiedział cicho.

Cassi przyjęła talerz niemal automatycznie. Była głodna, ale zbyt wstrząśnięta, żeby jeść. - Gdzie jest doktor Ballantine? - zapytała niepewnym głosem.

- Czy ty mnie kochasz, Cassi? - zapytał Thomas błagalnym głosem.

Cassi poczuła się zakłopotana: wszystkiego się mogła spodziewać, ale nie tego.

- Oczywiście, że cię kocham - odparła - ale... Thomas przerwał, zakrywając jej usta dłonią.

- Jeśli mnie rzeczywiście kochasz, to z pewnością zrozumiesz, że bardzo potrzebuję pomocy. Wierzę, że dzięki twojej miłości uda mi się odnieść nad sobą zwycięstwo.

Serce Cassi się ścisnęło. Jaka była głupia! Przecież to jasne, że Thomas nie mógł mieć nic wspólnego z tym, co się zdarzyło ubiegłej nocy. Prawdą natomiast jest to, że jest chory!

- Jestem głęboko przekonana, że ci się uda - powiedziała z zapałem. Nawet nie

przypuszczała, że Thomasa stać na tak krytyczną autoocenę.

- Słusznie podejrzewasz mnie o narkotyki - ciągnął. - Co prawda w ostatnim tygodniu rzadziej po nie sięgałem, ale to nic nie zmienia. Oszukiwałem sam siebie, nie przyznając się do tego nałogu.

- Czy rzeczywiście chciałbyś z tym skończyć? - zapytała Cassi. Thomas wzniosł oczy; łzy płynęły mu po policzkach.

- Czy chciałbym? Ależ rozpaczliwie tego pragnę, sam jednak nie dam rady. Żeby zwyciężyć potrzebuję ciebie, Cassi. - W tym momencie Thomas robił wrażenie bezradnego dziecka. Cassi odłożyła na bok talerz i ujęła jego ręce w swoje dłonie.

- Nigdy dotąd nie prosiłem nikogo o pomoc - byłem zbyt dumny - ciągnął. - Ale teraz wiem, że popełniłem kilka niewybaczalnych błędów, a każdy pociągnął za sobą następny. Musisz mi pomóc, Cassi.

- Przede wszystkim potrzebujesz pomocy psychiatry - stwierdziła Cassi, ciekawa, co Thomas na to powie.

- Masz rację - zgodził się. - Nigdy nie chciałem przyznać się do tego - bałem się po prostu. Zamiast spojrzeć prawdzie w oczy, wolałem sięgnąć po następne pigułki.

Cassi patrzyła na Thomasa z takim zainteresowaniem, jakby go zobaczyła pierwszy raz. Miała ochotę po prostu zapytać, czy to on był odpowiedzialny za przedawkowanie insuliny, czy miał coś wspólnego ze śmiercią Roberta lub z którymkolwiek ze śmiertelnych przypadków z serii SSD. Jednak nie potrafiła. Nie teraz, leżącego się nie kopie.

- Bądź przy mnie - błagał. - Nie było łatwo wszystko ci wyznać.

- Potrzebujesz leczenia w szpitalu - stwierdziła Cassi.

- Rozumiem - zgodził się - tylko nie tutaj, nie w tym szpitalu. Cassi podniosła się z

fotela i położyła ręce na jego ramiona.

- Masz rację, to byłby chybiony pomysł. Tutaj nikt o tym nie powinien wiedzieć. A na mnie zawsze możesz liczyć - jestem twoją żoną.

Thomas objął Cassi ramionami, tuląc mokłą od łez twarz do jej szyi.

Cassi przycisnęła go do piersi jak matka. - Znam mały, prywatny szpital w Weston - Vickers Psychiatric Institute. Sądzę, że tam będzie najlepiej.

Thomas skinął potakująco głową.

- Uważam, że powinniśmy tam się udać niezwłocznie - Cassi odsunęła od siebie

Thomasa, żeby spojrzeć mu w oczy.

Thomas odpowiedział takim samym spojrzeniem. Z turkusowych oczu wyzierał ból. -

Zrobię wszystko, co uważasz za słuszne, bylebym tylko mógł pozbyć się dręczącego uczucia niepokoju. Dłużej tego nie zniosę.

Tym razem wziął w niej górę lekarz psychiatra. - Sam doprowadziłeś się do tego

stanu, mój drogi. Tak bardzo pragnąłeś sukcesu, że proces zwyciężania stał się dla ciebie

ważniejszy niż cel. Sądzę, że jest to wspólna cecha lekarzy, szczególnie chirurgów. Zawsze powinieneś pamiętać, że nie jesteś sam.

Thomas prawie się uśmiechnął. - Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem,

najważniejsze jednak jest to, że nie masz zamiaru mnie teraz opuścić.

- Ja także tego przedtem nie rozumiałam.

Cassi znów wzięła Thomasa w ramiona. A więc - mimo wszystko - odzyskała męża.

Oczywiście, że go nie opuści. Zbyt dobrze wie, co znaczy być chorym.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - Weźmiemy najlepszych lekarzy, najlepszych

psychiatrów. Sama też czytałam o zagubionych lekarzach. Niemal w stu procentach wracają

do zdrowia. Trzeba tylko dobrych chęci i poczucia odpowiedzialności.

- Jestem gotów - oświadczył Thomas.

- Chodźmy już więc - rzekła Cassi, biorąc go za rękę.

Trzymając się za ręce jak dwoje kochanków, Thomas i Cassi szli ku wyjściu, następnie w stronę garażu, potrąceni przez tłum. Cassandra z entuzjazmem opowiadała Thomasowi wszystko, co wiedziała o Vickers Psychiatric Institute. Wymieniała nawet nazwiska konkretnych specjalistów, z dużym doświadczeniem w leczeniu innych lekarzy.

Kiedy znaleźli się już w samochodzie, Cassi zapytała Thomasa, czy czuje się wystarczająco dobrze, żeby prowadzić. Zapewnił ją, że tak. Cassi zapięła pas bezpieczeństwa i jak zwykle miała ochotę zwrócić uwagę Thomasowi, by zrobił to samo, ale dała spokój w obawie przed jego reakcją.

Thomas włączył silnik porsche'a i ostrożnie wyprowadził samochód z parkingu.

Kiedy mijali automatyczną bramę, Cassi zapytała, w jaki sposób doktor Ballantine odnalazł go tak szybko.

- Dzwoniłem do niego w nocy, gdy opuściłaś szpital i nigdzie nie mogłem cię znaleźć

- odparł Thomas, zatrzymując samochód na czerwonym świetle. - Byłem przekonany, że będziesz chciała go widzieć. Poprosiłem, żeby zadzwonił do mnie, gdy będzie coś o tobie wiedział.

- Chyba bardzo się zdziwił. Co właściwie mu powiedziałaś? Światła sygnalizacyjne się zmieniły, więc Thomas przyspieszył w kierunku Storow Drive. - Powiedziałem mu, że znów przedawkowałaś insulinę.

Cassi przyszło do głowy, że jej zachowanie też nie zawsze było rozsądne, zwłaszcza wtedy, gdy wypisała się ze szpitala na własne żądanie i ukryła przed wszystkimi w separacie.

Thomas - jak zwykle - karkołomnie prowadził samochód; gdy na Storow Drive skręcił nagle w lewo w kierunku Weston, Cassandra rzuciło na drzwi, a gdy po chwili



przekreślił kierownicę w prawo, z trudem utrzymała równowagę.

- Thomas - odezwała się. - Zdaje się, że jedziemy do domu, a nie do Vickers.

Nic nie odpowiedział.

Cassi spojrzała w lewo: kurczowo ścisnęła kierownicę, podczas gdy prędkość samochodu wzrastała. Cassi wyciągnęła rękę i zaczęła masować napięte mięśnie karku Thomasa. Czowała, że napięcie w nim rośnie i próbowała go uspokoić.

- Thomas, co się stało? - zapytała, starając się zapanować nad narastającą obawą.

Nic nie odpowiedział, prowadził samochód jak automat. Na szczęście ruch o tej porze był niewielki.

Cassi odwróciła się ku niemu na tyle, na ile pozwalał jej pas bezpieczeństwa. Mimo woli przesunęła ręką wzdłuż jego boku; gdy natrafiła na coś twardego w kieszeni, sięgnęła do środka i - zanim zdołał jej w tym przeszkodzić - wydobyla opakowanie insuliny U500.

Thomas wyrwał jej pudełko i wcisnął z powrotem do swojej kieszeni.

Cassi wyprostowała się na siedzeniu i patrzyła na drogę pędzącą naprzeciw w oszłamiającym tempie. Teraz już wiedziała, skąd się wzięło jej ostatnie niedocukrzenie.

Istniał tylko jeden racjonalny powód obecności insuliny U500 w kieszeni Thomasa: była mu potrzebna, żeby ją podsunąć Cassi na miejsce insuliny U100. Wystarczyło za pomocą strzykawki usunąć z opakowania U100 jego dotychczasową zawartość i wprowadzić na jej miejsce zawartość opakowania U500 o pięciokrotnie większym stężeniu insuliny. Gdyby nie miała wtedy pod ręką wystarczającej ilości glukozy, znajdowałaby się teraz w stanie śpiączki albo może w jeszcze gorszym stanie... A co z przedawkowaniem w szpitalu? Nie majaczyła, gdy czuła zapach wody toaletowej Yves St. Laurent. Ale dlaczego chciał, by umarła? Dlatego, że tak jak Robert, analizowała dane zawarte w materiałach SSD. Nagle zrozumiała, że nieoczekiwana skrucha Thomasa przed wyjazdem ze szpitala była tylko podstępem.

Jednocześnie uprzytomniła sobie, że Ballantine ją, a nie Thomasa, uważał za chorą psychicznie.

Nowe uczucie - wściekłość - ogarnęło Cassi. Była wściekła nie tylko na Thomasa, ale i na siebie. Jak mogła tak się dać wyprowadzić w pole?

Spojrzała z boku na ostro zarysowany profil Thomasa: widziała go teraz w zupełnie innym świetle. Zaciśnięte usta wyrażały okrucieństwo, przymrużone oczy - obłąd. Miała wrażenie, że siedzi obok obcego człowieka, którym instynktownie gardzi.

- Usiłowałeś mnie zabić - odezwała się, zaciskając ręce w pięści. Thomas roześmiał się głośno z odcieniem drwiny; drgnęła mimo woli.

- Jaka niezwykła spostrzegawczość! Zaimponowałaś mi. Czyżbyś rzeczywiście choć przez chwilę sądziła, że nieczynne telefony i niesprawny samochód były dziełem przypadku?

Cassi rozejrzała się naokoło: oddalali się coraz bardziej od miasta. Musi się opanować, musi coś uczynić.

- Oczywiście, że chciałem cię zabić - warknął. - Pozbyć się ciebie tak samo, jak wcześniej pozbyłem się Roberta Seiberta. Jezu Chryste! Czyżbyś oczekiwała, że będę się spokojnie przyglądał, jak we dwójkę niszcycie dorobek mojego życia?

Cassi patrzyła rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Słuchaj - krzyczał Thomas - zawsze pragnąłem tylko jednego: leczyć ludzi, którzy zasługują na życie. Nie interesują mnie pacjenci psychiczni, ani też chorzy na kilka chorób jednocześnie. Wszyscy powinni w końcu zrozumieć, że środki, którymi dysponujemy, są ograniczone i że trzeba dokonywać pewnej selekcji. Nie możemy pozwolić, aby dobrze rokujący pełnowartościowi pacjenci czekali długo na możliwość operacji, podczas gdy łóżka w szpitalu i czas w salach operacyjnych okupują chorzy na stwardnienie rozsiane i homoseksualiści chorzy na AIDS.

- Thomas - odezwała się Cassi, hamując uczucie wściekłości - proszę cię, zawracaj natychmiast do Vickers. Rozumiesz?

Thomas patrzył na nią, nawet nie próbując ukryć nienawiści. Roześmiał się szyderczo.

- Czy ty naprawdę sądziłaś, że ja pozwolę się zamknąć w szpitalu dla wariatów?

- To jest twoja ostatnia szansa - zawołała Cassi, ciągle usiłując wmówić w siebie, że ma do czynienia po prostu z chorym człowiekiem. Nie stać ją było jednak na współczucie - czuła tylko wstręt.

- Milcz! - wrzasnął Thomas. Oczy mu wyszły z orbit, a twarz spurpurowiała z wściekłości. - Jestem - do diabła! - najlepszym chirurgiem serca w tym kraju i na pewno nie pozwolę, by mną pomiatał byle psychiatra.

Cassi zdawała sobie sprawę z ogromu narcyzmu nagromadzonego w Thomasie.

Wiedziała też, że nic dobrego nie wolno jej oczekiwać od człowieka, który już dwukrotnie usiłował pozbawić ją życia. Dostrzegła przed sobą zbliżający się zjazd w kierunku Somerville. Musiała coś zrobić. Mimo dużej szybkości, z jaką pędził samochód, chwyciła za kierownicę i skręciła gwałtownie w prawo. Miała nadzieję, że uda się jej go zatrzymać na poboczu autostrady.

Cios otwartą dłonią trafił w głowę Cassi, cios, który ją odrzucił. Puściła kierownicę, żeby zasłonić się rękami przed następnym uderzeniem. Tymczasem Thomas ostro skręcił kierownicą w lewo. Samochód zarzucił, a gdy Thomas z kolei obrócił kierownicą w prawo, wpadł w poślizg i z całą siłą uderzył w wysoki betonowy krawężnik autostrady. Brzęk tłuczonego szkła i trzask metalu o beton słychać było z daleka.

## **Rozdział XV**

Gdzieś z oddali do świadomości Cassandry dotarło głośno wymawiane jej imię.

Próbowała odezwać się, ale na próżno. Z największym wysiłkiem otworzyła oczy. Jak z gęstej

mgły wyłoniła się przed nią twarz Joan Widiker.

Cassi zamrugała oczami. Przed sobą zobaczyła płataninę rurek podłączonych do zawieszonych nad nią butli. Z lewej strony dochodziło nieustanne „bi-i-ip” monitora. Gdy nabrała do płuc powietrza, przeszył ją ból.

- Nic nie mów - odezwała się Joan. - Wyjdiesz z tego, choć może teraz nie czujesz się najlepiej.

- Co się stało? - z trudnością wydusiła z siebie Cassi.

- Miałaś wypadek samochodowy - odparła Joan odgarniając włosy z jej czoła. - Staraj się nic nie mówić.

Niby wspomnienie koszmarnego snu, odżyły w pamięci Cassi chwile, które przeżyła podczas dramatycznej jazdy z Thomasem. Pamiętała swoją wściekłość i moment, gdy chwyciła za kierownicę, a także zadane jej przez Thomasa uderzenie. Nad wszystkim, co się działo potem, w jej pamięci zapadła kurtyna. Wszystko pogrążyło się w ciemności.

- Co się dzieje z Thomasem? - zapytała czując narastający lęk.

- Jest także ranny - odparła Joan, nakazując jednocześnie, by leżała spokojnie.

Cassi zrozumiała nagle, że Thomas nie żyje.

- Nie zapiął pasa bezpieczeństwa - powiedziała Joan. Cassi zapytała z wahaniem: -

Nie żyje?

Joan skinęła głową potakująco.

Głowa Cassi opadła na bok, a po jej twarzy popłynęły łzy. Jednocześnie jednak powróciło wspomnienie tamtej dramatycznej rozmowy z Thomasem. Pomyślała także o Robercie i innych. Kurczowo chwyciwszy rękę Joan, rzekła: - Myślę, że go kochałam, ale niech Bogu będą dzięki...

# Epilog

(Sześć miesięcy później)

Po zakończeniu tylko jednej tego dnia operacji doktor Ballantine udał się do pokoju chirurgów. Operacja nie poszła mu łatwo: chyba już najwyższy czas, żeby zejść ze sceny. Ale stary doktor lubił operować. Po każdej pomyślnie zakończonej operacji przeżywał pewien rodzaj euforii.

Siedząc nad filiżanką gorącej kawy, poczuł nagle dłoń ma swoim ramieniu. Odwrócił się: przed nim stał uśmiechnięty George Sherman.

- Nigdy nie zgadniesz, z kim wczoraj jadłem kolację - zagadnął go. Ballantine spojrzał uważnie na zmęczoną twarz George'a. Od śmierci Thomasa wszyscy chirurdzy na oddziale byli przepracowani, ale najbardziej chyba George. W nowej sytuacji jakby spowaźniał i choć zawsze miał dla wszystkich uśmiech, częściej obecnie bywał zamyślony. W tej chwili jednak patrzył na Ballantine'a ze swoim dawnym szelmowskim uśmiechem.

- Z kim to więc wczoraj zjadłeś kolację? - zapytał Ballantine.

- Z Cassandrą Kingsley.

Brwi Ballantine'a uniosły się, wyrażając najwyższe zainteresowanie. - To bardzo pięknie. Na jakim etapie znajduje się ten jednostronny romans?

- Sądzę, że opór Cassi stopniowo słabnie - roześmiał się George. - Udało mi się ją namówić na wspólny wyjazd na Karaiby w styczniu. To będzie coś wspaniałego. Ona jest niezwykłą kobietą.

- Czy powróciła zupełnie do zdrowia? - pytał Ballantine.

- Całkowicie. Wszystko pozrastało się tak jak trzeba. Bardzo szybko wróciła do pracy.

I cieszy się bardzo dobrą renomą na Clarkson 2. Jak mi powiedział jeden z tamtejszych lekarzy, ma wszystkie zadatki na to, żeby awansować na szefa stażystów.

- Czy Cassi wspomina kiedykolwiek Thomasa, czy mówi coś o nim? - już bardziej

poważnym tonem dopytywał się Ballantine.

- Niekiedy mam wrażenie, że o pewnych sprawach dotyczących Thomasa nikt oprócz niej nie ma nawet pojęcia. Ona wciąż jeszcze nie wie, co ma z tym zrobić, ale chyba da temu wszystkiemu spokój - nie będzie do tego wracać.

Doktor Ballantine westchnął z ulgą. - Dałby Bóg, żeby tak było. Kiedy z nią ostatnio na ten temat rozmawiałem, usiłowałem ją przekonać, że podawanie historii Thomasa do publicznej wiadomości może przynieść więcej szkody niż pożytku. Ale nie byłem pewien, czy udało mi się ją przekonać.

- Cassi nie chciałaby przede wszystkim w czymkolwiek zaszkodzić dobrej sławie szpitala. Uważa, że rozgrzebywanie sprawy niczemu nie służy. Ludzie tacy jak Thomas są w stanie niszczyć samych siebie i swoich pacjentów tylko z powodu biernej postawy swoich kolegów.

- Słusznie. Jeśli chodzi o mnie, to nawiązałem kontakt z instytutem zajmującym się stosowaniem narkotyków i zażądałem, aby aktualizowali listy lekarzy uprawnionych do zakupu narkotyków, skreślając lekarzy już nie żyjących. To pozwoli uniknąć wielu nadużyć.

- To niezła myśl - stwierdził George. - Jak oni się do tego ustosunkowali?

Ballantine wzruszył ramionami. - Nie wiem.

- W związku ze sprawą Thomasa najbardziej niepokoi mnie to, że zawsze wyglądał jak człowiek zupełnie normalny. A przecież musiał brać wiele pigułek. Zastanawiam się, jak do tego doszło. Sam czasami biorę valium.

- Ja również - rzekł Ballantine. - Ale nie co dzień, jak to najwidoczniej robił Thomas.

- Oczywiście że nie - przytaknęła George. - Wiesz, nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego on nie chciał się pogodzić z faktem, że wszyscy inni lekarze przechodzili na

zatrudnienie w pełnym wymiarze godzin. Być może pigułki stępiły jego poczucie rzeczywistości. Po ostatnim przyjęciu u ciebie członkowie zarządu dali mu wolną rękę - za wszelką cenę chcieli go mieć w szpitalu, gotowi więc byli zaakceptować uprawianie przez niego niezależnej praktyki.

- Był bardzo dobrym chirurgiem, ale nie widział dalej niż koniec własnego nosa. Był typowym lekarzem ze znanej anegdoty - wiesz, mam na myśli tę anegdotę o lekarzu, który bawi się w Boga.

George milczał przez chwilę, myśląc, że każdy lekarz podejmuje decyzje wpływające na życie pacjentów. - A co z tą potrójną operacją zastawkową, o której wspominałeś w ubiegłym tygodniu? - zapytał George, kontynuując swój tok myślenia. - Co postanowiłeś zrobić w tej sprawie?

Ballantine pociągnął długi łyk kawy z filiżanki. - Nie mam zamiaru zajmować się tą sprawą. Kobieta ma kłopoty z nerkami, ma ponad sześćdziesiąt lat i jest na utrzymaniu opieki społecznej. Niektóre zastrzeżenia Thomasa wobec pacjentów, których operujemy dla celów dydaktycznych, nie były pozbawione sensu, i nawet nie życzę sobie, żeby komitet dowiedział się o tej chorej. Obawiam się, że gdyby ten przeklęty filozof usłyszał o niej, z pewnością nalegałby na operację.

George skinął głową potakująco, w głębi duszy był jednak przekonany, że każdy z lekarzy w pewnym stopniu odgrywa rolę Boga - podobnie myślała Cassi. Dlatego obiecał jej, że gdy tylko zostanie szefem chirurgii - a to obecnie było już przesądzone - wszystkie decyzje o operacjach będzie podejmował komitet, z filozofem włącznie.

George przeprosił Ballantine'a i udał się do przebieralni. Gdy przechodził obok aparatu telefonicznego, uprzytomnił sobie, że nie daje mu spokoju decyzja Ballantine'a o nieoperowaniu tej kobiety z wadą zastawki. Podniósł słuchawkę aparatu i poprosił

telefonistkę o połączenie z Rodney'em Stoddardem.